OŚWIADCZYNY

BRIDGERTONOWIE

JULIA QUINN



JULIA QUINN

BRIDGERTONOWIE

OŚWIADCZYNY

Przekład
Anna Reszka
Katarzyna Krawczyk

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Julia Quinn
Oświadczyny

Tytuł oryginału
To Sir Phillip, With Love

ISBN 978-83-8202-574-3

Copyright © 2003 by Julie Cotler Pottinger
„To Sir Phillip, With Love: The 2nd Epilogue" copyright © 2009 by Julie Cotler Pottinger
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2022

Wykorzystanie przekładu za zgodą Wydawnictwa AMBER Sp. z o.o.

Oświadczyny: Drugi epilog przełożyła Katarzyna Krawczyk

Redaktor prowadzący
Dariusz Wojtczak

Cover photo © Ilina Simeonova /Trevillion Images

Wydanie I w tej edycji
Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Stefanie i Randallowi Hargreavesom. Otworzyliście swój dom,
pokazaliście nam miasto, przechowaliście nasze rzeczy,
a kiedy przyjechaliśmy, na ganku czekała na nas paczka.
Gdy naprawdę kogoś potrzebuję, dokładnie wiem, do kogo zadzwonić.

I również Paulowi, tym razem Dlatego.
Bo zawsze jest jakieś Dlatego.

Prolog

Luty 1823
Gloucestershire, Anglia

Co za ironia losu, że stało się to w taki pogodny dzień.

W pierwszy słoneczny dzień po… ilu? Po sześciu tygodniach śniegu i deszczu, które na zmianę padały z zasnutego chmurami nieba. Nawet Phillip Crane, zwykle obojętny na kaprysy pogody, czuł się raźniej, uśmiechał szerzej. Musiał wyjść z domu. Nie mógł wytrzymać w murach, kiedy na dworze świeciło słońce.

Zwłaszcza w środku szarej zimy.

Jeszcze teraz, miesiąc po tamtym wydarzeniu, nie potrafił uwierzyć, że niczego nie przewidział. Czyżby był ślepy? Przecież mieszkał z Mariną od dnia ślubu. Miał osiem długich lat, żeby ją dobrze poznać. Powinien się spodziewać i, po prawdzie…

Spodziewał się, ale wolał udawać, że wszystko jest w porządku. Oszukiwał samego siebie, łudził się, że jeśli nie będzie o tym myślał, nic złego się nie stanie.

Ale się stało. I to w piękny, słoneczny dzień. Bóg miał osobliwe poczucie humoru.

Phillip spojrzał na szklaneczkę, którą trzymał w ręce, i ze zdziwieniem stwierdził, że jest pusta. Nawet nie pamiętał, kiedy wypił całą whisky. Nie czuł się pijany, w każdym razie bardzo pijany. A szkoda.

Wyjrzał przez okno i zobaczył, że słońce chyli się ku zachodowi. Tamten dzień też był pogodny. Zapewne stąd się wzięła jego melancholia.

Przynajmniej taką miał nadzieję. Musiał jakoś sobie wytłumaczyć to ogromne znużenie życiem, które raptem go ogarnęło.

Smutek go przerażał.

Bardziej niż pożar, bardziej niż wojna, bardziej niż samo piekło. Na myśl o tym, że pogrąży się w rozpaczy, że stanie się taki jak ona…

Marina była melancholiczką. Przez całe ich wspólne życie nie umiała otrząsnąć się z przygnębienia. Nie pamiętał jej śmiechu. Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy w ogóle go słyszał.

W tamten słoneczny dzień…

Zacisnął powieki. Nie wiedział jednak, czy w ten sposób chce przywołać wspomnienie, czy je odpędzić.

To był słoneczny dzień i…

— Człowiek myślał, że już nigdy nie poczuje na skórze tego miłego ciepła, prawda, sir Phillipie?

Crane wystawił twarz do słońca i zamknął oczy z rozkoszy.

— Cudownie — mruknął. — Szkoda tylko, że jest tak cholernie zimno.

Miles Carter, jego sekretarz, zaśmiał się i powiedział:

— Bywało gorzej. W tym roku jezioro nie zamarzło całe, tylko w kilku miejscach.

Phillip niechętnie otworzył oczy.

— Ale to jeszcze nie wiosna.

— Marzy się panu wiosna? Chyba zapomniał pan spojrzeć w kalendarz.

Crane zerknął na niego z ukosa.

— Płacę ci za te impertynencje?

— Owszem, i to nieźle — odparł sekretarz.

Phillip skwitował jego słowa uśmiechem i przystanął, żeby jeszcze przez chwilę nacieszyć się słońcem.

— Myślałem, że nie przeszkadzają panu słoty — rzucił Miles, kiedy

ruszyli dalej.

— Bo nie przeszkadzają — powiedział Phillip, maszerując lekkim krokiem urodzonego sportowca. — Ale to, że nie mam nic przeciwko zachmurzonemu niebu, nie oznacza, że nie wolę słońca. — Po chwili milczenia dodał: — Niech pani Millsby weźmie dzieci na spacer. Oczywiście nie obejdzie się bez ciepłych płaszczy, czapek i rękawiczek, ale przynajmniej złapią trochę słońca. Za długo siedziały w domu.

— Jak my wszyscy — zauważył Miles.

Phillip się roześmiał.

— Istotnie.

Z wahaniem zerknął na oranżerię. Powinien zająć się korespondencją, ale miał również nasiona do posortowania. Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że interesy mogą poczekać godzinę.

— Idź i odszukaj panią Millsby — wydał polecenie Milesowi. — Nasze sprawy omówimy później. Wiem, że nie lubisz oranżerii.

— Tak — przyznał sekretarz. — Ale o tej porze roku jest tam przyjemnie ciepło.

Phillip uniósł brew i wskazał głową na Romney Hall.

— Sugerujesz, że w mojej rodowej siedzibie hulają przeciągi?

— Jak we wszystkich rodowych siedzibach — zauważył Miles.

— To prawda — zgodził się Crane z uśmiechem.

Lubił Milesa Cartera. Zatrudnił go przed sześcioma miesiącami, żeby pomógł mu w robocie papierkowej i zarządzaniu majątkiem. Młodzieniec okazał się zdolny i pracowity. Poza tym jego nieco kostyczne poczucie humoru było mile widziane w domu, gdzie nieczęsto słyszało się śmiech. Służący nie mieli odwagi dowcipkować przy lordzie i lady Crane. A Marina… cóż, nie trzeba dodawać, że Marina nigdy się nie śmiała ani nie żartowała.

Dzieci czasami rozbawiały ojca, ale był to inny rodzaj wesołości, a poza tym Phillip zwykle nie wiedział, o czym z nimi rozmawiać. Starał się, jak mógł, ale zawsze czuł się niezręcznie. W końcu wyganiał je do niani.

Tak było najłatwiej.

— Idź już — powtórzył, odprawiając Milesa z zadaniem, które powinien sam wykonać.

Dzisiaj jeszcze nie widział córki i syna, ale nie chciał zepsuć pięknego dnia karceniem ich, do czego niechybnie by doszło.

Poszuka dzieci, kiedy będą na spacerze z nianią Millsby. Tak, to dobry pomysł. Pokaże im jakąś roślinę, opowie o niej. W ten sposób najlepiej sobie z nimi radził.

Wszedł do oranżerii i zamknął drzwi. Z przyjemnością zaczerpnął wilgotnego powietrza. Studiował botanikę w Cambridge i pewnie wybrałby karierę akademicką, gdyby jego starszy brat nie zginął pod Waterloo. W rezultacie Phillip przejął tytuł i majątek, został właścicielem ziemskim. Z czasem stwierdził, że ta sytuacja ma dobre strony. Przynajmniej mógł we względnym spokoju prowadzić swoje badania.

Pochylił się nad ławą i przyjrzał świeżo zasadzonemu groszkowi. Ostatnio starał się wyhodować dorodniejszą odmianę. Niestety, na razie bez powodzenia. Roślinki nie tylko były małe, ale w dodatku wyraźnie żółkły. Nie takiego efektu się spodziewał.

Zmarszczył brwi, ale po chwili się uśmiechnął i ruszył w głąb oranżerii. Nie przejmował się zbytnio, kiedy jego eksperymenty nie przynosiły oczekiwanych wyników. Uważał, że potrzeba wcale nie jest matką wynalazków.

Według niego wszystko było kwestią przypadku. Żaden naukowiec oczywiście by tego nie przyznał, ale wielkich odkryć najczęściej dokonywano w trakcie rozwiązywania całkiem innego problemu.

Phillip zaśmiał się cicho. Mniejsza o zwiędły groszek. Trzeba brać się do pracy. Pochylił się nad kolekcją nasion, rozłożył je, żeby wybrać najlepsze. Potrzebował tylko jednego…

Nagle jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Błysk czerwieni za świeżo umytymi oknami.

Phillip podniósł wzrok. Uśmiechnął się do siebie i potrząsnął głową. To chyba Marina. Czerwień była jej ulubionym kolorem. Dziwne. Każdy, kto spędził z nią choć trochę czasu, doszedłby do przekonania, że lady Crane woli ciemniejsze, wręcz ponure kolory.

Phillip zobaczył, że żona idzie w stronę lasu, i wrócił do pracy. Nieczęsto się zdarzało, żeby Marina wychodziła z domu. Ostatnio rzadko opuszczała nawet swój buduar. Dobrze, że zdecydowała się na spacer. Oczywiście nie oczekiwał cudu, ale może słońce poprawi jej nastrój, a pogodny, ciepły dzień sprawi, że na jej twarzy zagości chociaż cień uśmiechu.

Na pewno dzieci by na tym skorzystały. Niemal co wieczór odwiedzały matkę w pokoju, ale to im nie wystarczało.

Phillip doskonale wiedział, że nie jest w stanie jej zastąpić.

Westchnął, dręczony wyrzutami sumienia. Zdawał sobie sprawę, że nie jest takim rodzicem, jakiego potrzebują jego dzieci. Próbował sobie tłumaczyć, że robi, co może, i przynajmniej jeden cel udaje mu się osiągnąć: nie postępuje jak jego własny ojciec.

Rozumiał jednak, że to za mało.

Zdecydowanym ruchem odsunął się od ławy. Nasiona mogły poczekać. To on powinien zabrać dzieci na spacer, a nie niania, która nie odróżniała drzewa liściastego od iglastego, róży od stokrotki…

Spojrzał za okno i przypomniał sobie, że to dopiero luty. O tej porze roku pani Millsby raczej nie natknie się na żadne kwiaty, ale tak czy inaczej to

on powinien być teraz z dziećmi. Akurat od tego obowiązku nie musiał się wymigiwać, bo nieźle sobie z nim radził.

Wyszedł z oranżerii i ruszył w stronę Romney Hall. Byłoby dobrze, gdyby dzieci zobaczyły się z matką, pomyślał. Tęskniły za jej towarzystwem, nawet jeśli tylko głaskała je po głowach. Tak, skorzystają z okazji i zamiast pogłębiać wiedzę przyrodniczą, razem poszukają Mariny.

W połowie drogi zatrzymał się raptownie. Doświadczenie nauczyło go ostrożności. Jego żona wprawdzie odważyła się pójść na przechadzkę, ale to nie oznaczało, że czuje się dobrze. Nie lubił, kiedy dzieci widziały ją w chwilach największego przygnębienia.

Zawrócił i pomaszerował w stronę zagajnika, w którym niedawno zniknęła Marina. Szedł tak szybko, że wkrótce powinien dogonić żonę i ocenić jej nastrój. Zdąży dotrzeć do domu, zanim dzieci wyjdą z nianią na spacer.

W lesie bez trudu odnalazł ślady zostawione na wilgotnej ziemi przez grube buty Mariny. Prowadziły w dół łagodnego zbocza i dalej na trawiastą polanę.

— Cholera! — zaklął cicho Crane. Jego głos zagłuszył wiatr.

Na trawie ślady się urywały. Phillip osłonił oczy od słońca, wypatrując plamy czerwieni.

Nie zobaczył jej ani przy opuszczonej chacie, ani na swoim eksperymentalnym polu zboża, ani przy dużym głazie, na który wspinał się w dzieciństwie. Skierował wzrok ku północy i zmrużył oczy. Wreszcie ją wypatrzył. Kierowała się w stronę jeziora.

Jezioro!

Zamarł, patrząc, jak jego żona idzie ku brzegowi. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu ani się ruszyć. Marina nigdy nie pływała. Nawet nie wiedział, czy potrafi. W ciągu ośmiu lat małżeństwa ani razu nie widział,

żeby udała się nad jezioro znajdujące się na terenie ich posiadłości. Teraz nie mógł uwierzyć własnym oczom. Bezwiednie ruszył w jej stronę. Gdy Marina weszła na płyciznę, przyspieszył kroku. Nadal był za daleko, żeby coś zrobić. Mógł jedynie ją zawołać.

Niezależnie od tego, czy go usłyszała, nadal powoli i nieprzerwanie kierowała się ku głębokiej wodzie.

— Marina! — wrzasnął Phillip, puszczając się biegiem. Miał jeszcze sporą odległość do pokonania. — Marina!

Jego żona dotarła do miejsca, gdzie dno raptownie opadało, i zniknęła pod wodą. Czerwony płaszcz przez chwilę unosił się na metalicznie szarej powierzchni, a następnie powoli zatonął.

Phillip znowu wykrzyknął jej imię, choć nie mogła go usłyszeć. Potknął się i zjechał po zboczu schodzącym do jeziora. Na szczęście zachował dość przytomności umysłu, żeby zrzucić płaszcz i buty, nim wskoczył do lodowatej wody. Marina przebywała w niej zaledwie od minuty, za krótko, żeby utonąć, ale każda następna sekunda przybliżała ją do śmierci.

Phillip pływał w tym jeziorze niezliczoną ilość razy i dokładnie wiedział, gdzie zaczyna się głębia. Szybko dotarł do tego miejsca, choć ciążyło mu mokre ubranie.

Musiał ją znaleźć.

Zanim będzie za późno.

Zanurkował i rozejrzał się, próbując przebić wzrokiem gęstą, wirującą chmurę, utworzoną przez piasek i muł, które podniosły się z dna. Trudno było przez nią coś dojrzeć.

Na szczęście Marinę uratowało zamiłowanie do jaskrawych kolorów. Phillip dostrzegł czerwony płaszcz unoszący się na wodzie niczym latawiec. Żona nie walczyła z nim, kiedy ją wyciągał. Straciła przytomność i bezwładnie spoczywała w jego ramionach.

Gdy wychynęli na powierzchnię, Phillip gwałtownie zaczerpnął haust powietrza. Przez chwilę oddychał głęboko, posłuszny instynktowi, który nakazywał mu ratować najpierw siebie. Następnie popłynął do brzegu, uważając, żeby trzymać twarz Mariny nad wodą, choć wyglądała jak martwa.

W końcu dotarł na brzeg i wyniósł żonę na wąski skrawek kamienistej plaży, który oddzielał wodę od trawy. Przystawił ucho do ust Mariny, ale nie usłyszał oddechu.

Nie wiedział, jak ratować topielca, zrobił więc to, co wydawało mu się najbardziej rozsądne. Przełożył nieprzytomną przez kolana, twarzą do dołu, i zacząć klepać ją po plecach. Z początku jego wysiłki nie przynosiły żadnych efektów, ale po kolejnym, silniejszym uderzeniu Marina zakaszlała, a z jej ust buchnął strumień wody.

Phillip odwrócił ją szybko.

— Marino? — Lekko poklepał ją po twarzy. — Marino?

Znowu zaczęła gwałtownie kaszleć, a potem łapać powietrze. Płuca domagały się życiodajnego tlenu, choć dusza pragnęła czegoś innego.

— Dzięki Bogu — wyszeptał Phillip głosem drżącym z ulgi.

Nigdy tak naprawdę jej nie kochał, ale była jego żoną, matką jego dzieci. I dobrym człowiekiem, mimo że od lat przebywała we własnym świecie smutku i rozpaczy. Nie chciał jej śmierci.

Zamrugała i otworzyła oczy. Wzrok miała nieprzytomny. Gdy w końcu uświadomiła sobie, gdzie jest, wyszeptała:

— Nie.

— Musimy wracać do domu — powiedział Phillip burkliwie, zaskoczony własnym gniewem.

Jak mogła odrzucić jego poświęcenie? Chciała zrezygnować z życia tylko dlatego, że była smutna? Własne przygnębienie liczyło się bardziej od

córki i syna? Zły nastrój znaczył więcej niż to, że dzieci potrzebowały matki?

— Zabieram cię do domu — rzucił zdecydowanym tonem, niezbyt łagodnie biorąc ją na ręce.

Wyraźnie dochodziła do siebie. Nie było potrzeby traktować jej jak delikatnego kwiatu.

— Nie! — wyszlochała. — Proszę, nie. Nie chcę… nie chcę…

Phillip bez słowa zaczął wspinać się po zboczu, nie zważając na zimny wiatr, który zmieniał jego przemoczone ubranie w lód. Nie zwracał również uwagi na kamienie raniące jego bose stopy.

— Nie mogę — szepnęła Marina resztką sił.

Niosąc ją do domu, Phillip rozmyślał o tym, jak trafne są te słowa. „Nie mogę”. W pewnym sensie podsumowywały całe jej życie.

*

Pod wieczór stało się jasne, że gorączka może zrobić to, czego nie zdążyło dokonać jezioro.

Zaniósłszy Marinę do domu, Phillip z pomocą ochmistrzyni zdjął z niej przemoczone ubranie i otulił puchową kołdrą, należącą do posagu, który wniosła przed ośmioma laty.

— Co się stało? — wykrzyknęła pani Hurley, kiedy stanął w progu.

Nie chciał korzystać z głównego wejścia, gdzie mogły zobaczyć ich dzieci. Poza tym drzwi kuchenne znajdowały się bliżej o dobre dwadzieścia metrów od frontowych.

— Wpadła do jeziora — wyjaśnił krótko.

Ochmistrzyni posłała mu spojrzenie, które wyrażało współczucie i jednocześnie powątpiewanie. Domyśliła się prawdy. Pracowała u Crane’ów od czasu ich ślubu. Znała nastroje swojej pani.

Kiedy położyli Marinę do łóżka, wypędziła go z pokoju.

Nalegała też, żeby się przebrał, zanim nabawi się śmiertelnego zapalenia płuc. Phillip szybko jednak wrócił do sypialni żony. Dręczony wyrzutami sumienia uznał, że tam jest jego miejsce. Miejsce, którego unikał w ostatnich latach. Samo przebywanie w towarzystwie Mariny było przygnębiające. Trudne.

Teraz jednak nie zamierzał uchylać się od obowiązków, więc siedział przy jej łóżku przez cały dzień i pół nocy. Wycierał jej czoło, kiedy zaczynała się pocić i majaczyć, próbował karmić ciepłym bulionem, gdy leżała spokojnie.

Powtarzał jej, żeby walczyła, choć wiedział, że jego słowa niewiele pomogą.

Trzy dni później umarła.

Tego właśnie chciała, ale stanowiło to niewielkie pocieszenie, kiedy Phillip próbował wyjaśnić siedmioletnim bliźniętom, że już nigdy nie zobaczą matki. Siedział w ich pokoju na krzesełku, na którym ledwo się mieścił. Niemal zgięty wpół, zmuszał się do patrzenia im w oczy.

— Przykro mi — wykrztusił na koniec.

Bardzo kochał dzieci, ale nie potrafił być dla nich ojcem. Jak, do diabła, miał wziąć na siebie jeszcze rolę matki?

— To nie twoja wina — odezwał się Oliver, patrząc na niego z powagą. — Mama sama wpadła do jeziora, prawda? Nie wepchnąłeś jej.

Phillip nie wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko skinął głową.

— Jest teraz szczęśliwa? — zapytała cicho Amanda.

— Tak myślę — odparł Phillip. — Teraz patrzy na was z nieba, więc musi być szczęśliwa.

Bliźnięta przez jakiś czas zastanawiały się nad jego słowami.

— Mam nadzieję, że jest szczęśliwa — powiedział w końcu Oliver

głosem pewniejszym niż jego mina. — Może już nie płacze.

Smutek ścisnął serce Phillipa. Nie zdawał sobie sprawy, że dzieci słyszały szlochy matki. Wprawdzie ich pokój znajdował się bezpośrednio nad jej sypialnią, ale zawsze sądził, że już spały, kiedy Marina zaczynała płakać. Amanda pokiwała głową.

— Jeśli jest teraz szczęśliwa, to cieszę się, że odeszła.

— Nie odeszła — poprawił ją brat. — Umarła.

— A właśnie, że odeszła — powtórzyła z uporem dziewczynka.

— Oboje macie rację — rzekł Phillip, żałując, że może im powiedzieć tylko prawdę. — Ale myślę, że jest teraz szczęśliwa.

W pewnym sensie tak było. Tego przecież chciała Marina. Możliwe, że najbardziej ze wszystkiego pragnęła śmierci.

Amanda i Oliver milczeli przez dłuższą chwilę, wpatrując się w podłogę. Siedzieli na łóżku, najwyraźniej dla nich za wysokim. Phillip zmarszczył brwi. Dlaczego nigdy przedtem tego nie zauważył? Nie należałoby sprawić im niższych łóżek? A jeśli w nocy wypadną?

A może są już dostatecznie duzi, by do tego nie doszło? Może nigdy im się to nie przydarzyło?

Chyba rzeczywiście był okropnym ojcem. Powinien wiedzieć takie rzeczy. Może… może. Zamknął oczy i westchnął. Najlepiej będzie, jeśli przestanie się zadręczać i po prostu zacznie bardziej się starać.

— Wyjedziesz? — spytała nagle Amanda, unosząc głowę.

Phillip spojrzał jej w oczy, niebieskie jak u matki.

— Nie! — zapewnił żarliwie, klękając przed córką i biorąc ją za rączki. Wyglądały tak krucho w jego dużych dłoniach. — Nie — powtórzył. — Nie wyjadę. Nigdy nie wyjadę…

*

Phillip spojrzał na szklaneczkę. Znowu pusta, choć napełniał ją już cztery razy. Zabawne, jak szybko znikała whisky.

Nienawidził wspomnień. Sam nie wiedział, co było najgorsze. Nurkowanie w lodowatej wodzie czy chwila, kiedy pani Hurley odwróciła się do niego i powiedziała: „Umarła”. A może smutek na twarzach dzieci, strach w ich oczach?

Podniósł szklaneczkę do ust i wysączył ostatnie krople trunku. Zdecydowanie najgorsza była rozmowa z dziećmi. Zapewnił, że nigdy ich nie opuści, i dotrzymywał słowa, ale sama jego obecność nie wystarczała. Dzieci potrzebowały czegoś więcej. Potrzebowały kogoś, kto umiałby z nimi rozmawiać, przemówić im do rozsądku, nakłonić do grzecznego zachowania. Ojca już miały, więc musiał pomyśleć o znalezieniu im matki. Oczywiście było za wcześnie na powtórny ożenek. Żałoba jeszcze się nie skończyła, ale to nie znaczyło, że nie wolno mu zacząć się rozglądać.

Westchnął, garbiąc się w fotelu. Potrzebował żony. Mniejsza o wygląd i pieniądze. Nie obchodziło go, czy kandydatka potrafi liczyć w pamięci, mówić po francusku i jeździć konno.

Najważniejsze, żeby była zadowolona z życia.

Czy tak wiele wymagał od przyszłej żony? Uśmiechu przynajmniej raz dziennie. Może czasami nawet odrobiny wesołości?

I będzie musiała pokochać jego dzieci. Albo chociaż udawać tak dobrze, żeby nie dostrzegły różnicy.

Czy to za duże oczekiwania?

— Sir Phillipie?

Podniósł wzrok, zły na siebie, że zostawił uchylone drzwi gabinetu. Miles Carter wsadził głowę do pokoju.

— O co chodzi? — burknął Crane.

— List. — Sekretarz podszedł i wręczył mu kopertę. — Z Londynu.

Phillip uniósł brwi na widok kobiecego pisma. Odprawił Cartera skinieniem głowy, sięgnął po nożyk do papieru, przełamał woskową pieczęć. Ze środka wyjął pojedynczą kartkę. Potarł ją między palcami. Drogi papier, wysoka jakość, pomyślał. Autorka najwyraźniej nie musiała oszczędzać na papeterii.

Rozłożył list i przebiegł po nim wzrokiem:

Bruton Street 5, Londyn

Sir Phillipie Crane!

Spieszę złożyć kondolencje z powodu Pańskiej straty. Choć minęły lata od naszego ostatniego spotkania, miło wspominam Pańską Żonę, a moją drogą Kuzynkę Marinę. Bardzo mnie zasmuciła wieść o jej śmierci.

Proszę się nie wahać i napisać, czy mogę jakoś złagodzić Pański ból w tym trudnym okresie.

Eloise Bridgerton

Phillip potarł oczy. Bridgerton… Bridgerton. Czy Marina miała kuzynki o takim nazwisku? Musiała mieć, skoro jedna z nich do niego napisała.

Westchnął przeciągle, a potem zaskoczył samego siebie, sięgając po papier listowy i pióro. Po śmierci żony dostał niewiele listów z kondolencjami. Wyglądało na to, że większość przyjaciół i rodziny zapomniała o Marinie wkrótce po jej zamążpójściu. Chyba nie powinien być tym oburzony ani nawet zaskoczony. Marina rzadko wychodziła ze swojej sypialni. Łatwo zapomnieć o kimś, kogo się nie widuje.

W każdym razie panna Bridgerton zasłużyła na odpowiedź. Wymagała tego choćby zwykła uprzejmość, uznał Phillip, mimo że nie znał się na zasadach etykiety obowiązujących na wypadek śmierci żony.

Tak więc westchnął po raz kolejny i zanurzył pióro w atramencie.

1

Maj 1824
Droga z Londynu do Gloucestershire,
środek nocy

Droga Panno Bridgerton!

Dziękuję za kondolencje z powodu śmierci mojej Żony. To szlachetne, że poświęciła Pani czas, żeby napisać do człowieka, którego Pani nigdy osobiście nie poznała. Przesyłam zasuszony kwiat jako wyraz wdzięczności. To tylko zwykły bniec czerwony (Silene dioica), lecz ubarwia pola w Gloucestershire, a w tym roku pojawił się wcześnie.

To był ulubiony polny kwiat Mariny.

Z poważaniem Sir Phillip Crane

Eloise Bridgerton wygładziła dość pomiętą kartkę leżącą na jej kolanach. Choć przez okna powozu wpadał blask księżyca w pełni, w środku było zbyt ciemno na czytanie. Nie miało to jednak znaczenia. Eloise znała list na pamięć, a delikatny zasuszony kwiat, teraz bardziej różowy niż czerwony, leżał bezpiecznie między stronicami książki, którą wzięła z biblioteki brata.

Nie była zbyt zaskoczona, kiedy dostała odpowiedź od sir Phillipa. Tak nakazywały dobre maniery, choć nawet jej matka, z pewnością największy autorytet w kwestii etykiety, twierdziła, że Eloise traktuje korespondencję zbyt poważnie.

Dla dam z jej sfery spędzanie kilku godzin tygodniowo na pisaniu listów było całkiem normalne, ale Eloise miała zwyczaj codziennie zasiadać przy biurku. Lubiła pisać, zwłaszcza do ludzi, których nie widziała od lat (zawsze wyobrażała sobie ich zdziwienie, kiedy otwierali kopertę), więc przy każdej okazji sięgała po pióro i papier: urodzin, śmierci i wszelkich wydarzeń, które zasługiwały na gratulacje albo kondolencje.

Sama nie była pewna, co nią kieruje, bo i tak dużo czasu poświęcała na korespondowanie ze swoim licznym rodzeństwem. Zapewne skreślenie krótkiej wiadomości do dalekich krewnych wydawało się łatwe, skoro już siedziała przy sekretarzyku.

I choć wszyscy odpisywali z uprzejmości — nikt nie chciał urazić Bridgertonów — ani jedna osoba nigdy nie dołączyła prezentu, nawet tak skromnego jak zasuszony kwiat.

Eloise zamknęła oczy, przywołując obraz drobnych różowych płatków. Nie umiała sobie wyobrazić mężczyzny obchodzącego się delikatnie z tak kruchym kwiatem. Jej czterej bracia byli rosłymi, silnymi mężczyznami o szerokich barach i dużych dłoniach, które w jednej chwili zmiętyby biedną roślinkę.

Zaintrygowała ją odpowiedź Phillipa Crane'a, a szczególnie użycie łacińskiej nazwy. Natychmiast napisała drugi list.

Drogi Sir Phillipie!

Bardzo dziękuję za uroczy prezent. Miałam miłą niespodziankę, kiedy wypadł z koperty. To cenne wspomnienie o drogiej Marinie.

Przy okazji moją uwagę zwróciła Pańska znajomość rzeczy. Jest Pan botanikiem?

Eloise Bridgerton

Sprytnie zakończyła list pytaniem. W ten sposób zmuszała biedaka do

dalszej korespondencji.

Nie rozczarował jej. Po zaledwie dziesięciu dniach dostała odpowiedź.

Droga Panno Bridgerton!

Istotnie, jestem botanikiem, wykształconym w Cambridge, ale obecnie niezwiązanym z żadnym uniwersytetem ani instytutem badawczym. Prowadzę eksperymenty we własnej oranżerii w Romney Hall.

Czy Pani również interesuje się nauką?

Z poważaniem
Sir Phillip Crane

Ta korespondencja coraz bardziej jej się podobała. Może po prostu chodziło o to, że znalazła człowieka spoza rodziny, który miał ochotę prowadzić z nią pisemny dialog. Tak czy inaczej, Eloise odpisała natychmiast.

Drogi Sir Phillipie!

Obawiam się niestety, że nie jestem typem naukowca, choć mam głowę do liczb. Ale bardziej interesuje mnie humanistyka. Chyba Pan zauważył, że lubię pisać.

Pańska przyjaciółka Eloise Bridgerton

Nie była pewna, czy może podpisać się w ten sposób, ale w końcu pozwoliła sobie na odważny zwrot. Sir Phillip najwyraźniej lubił ich korespondencję tak bardzo jak ona; w przeciwnym razie z pewnością nie zakończyłby listu pytaniem.

Droga Panno Bridgerton!

Więc to jest przyjaźń, tak? Wyznam, że tutaj na wsi czuję się

trochę osamotniony, a skoro przy śniadaniu nie mam naprzeciwko siebie uśmiechniętej twarzy, przynajmniej poczytam sobie miły list. Zgodzi się Pani ze mną?

Dołączam kolejny kwiat. To Geranium pratense, znane bardziej jako bodziszek łąkowy.

Serdecznie pozdrawiam
Phillip Crane

Eloise dobrze pamiętała tamten dzień. Siedziała w ulubionym fotelu przy oknie w swoim buduarze i chyba przez całą wieczność przyglądała się starannie zasuszonemu fioletowemu kwiatowi. Czyżby sir Phillip próbował się do niej zalecać? Za pośrednictwem listów?

A potem dostała list całkiem inny od wcześniejszych.

Droga Panno Bridgerton!

Pisujemy do siebie już od pewnego czasu i choć nigdy oficjalnie się nie poznaliśmy, odnoszę wrażenie, jakbym dobrze Panią znał. Mam nadzieję, że Pani czuje podobnie.

Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale chciałbym zaprosić Panią do siebie, do Romney Hall. Wyrażam nadzieję, że spodobamy się sobie i zgodzi się Pani zostać moją żoną.

Oczywiście zadbam o przyzwoitkę. Jeśli przyjmie Pani zaproszenie, natychmiast sprowadzę do Romney Hall moją owdowiałą ciotkę.

Liczę na to, że rozważy Pani moją propozycję.

Jak zawsze łączę wyrazy szacunku
Phillip Crane

Eloise od razu schowała list do szuflady. Nie była w stanie nawet

zastanowić się nad prośbą. Sir Phillip naprawdę chciał ożenić się z kobietą, której nie znał?

No, może niezupełnie. W ciągu roku korespondowania dowiedzieli się o sobie więcej niż wiele żon i mężów w trakcie całego małżeństwa.

Ale nigdy się nie spotkali.

Eloise pomyślała o oświadczynach, które w swoim czasie odrzuciła. Ile ich było? Co najmniej sześć. Teraz nie mogła sobie nawet przypomnieć, dlaczego odmówiła niektórym mężczyznom. Właściwie bez powodu. Tyle że nie byli…

Doskonali.

Tylko po co takie wymagania?

Potrząsnęła głową, zirytowana własną głupotą i wygórowanymi oczekiwaniami. Nie, wcale nie szukała ideału. Po prostu potrzebowała kogoś, kto będzie stworzony dla niej.

Wiedziała, co o niej plotkują matrony z towarzystwa. Była zbyt wymagająca, a to gorsze niż głupota. Skończy jako stara panna… Nie, tego już nie mówiły. Od dawna uważały ją za starą pannę, zresztą nie bez powodu. W wieku dwudziestu ośmiu lat często słyszy się szepty za plecami. Albo słowa prawdy wypowiadane wprost.

Zabawne jednak było to, że Eloise bynajmniej nie narzekała na własny los. W każdym razie do niedawna.

Nie obawiała się staropanieństwa, a poza tym lubiła swoje życie. Miała najwspanialszą rodzinę, jaką można sobie wyobrazić: siedmioro braci i sióstr o imionach zaczynających się na kolejne litery alfabetu. Łatwo policzyć, że należała do średniaków w rodzeństwie. Matka, cudowna istota, nawet przestała ponaglać ją do zamążpójścia. W towarzystwie nadal szanowano i lubiano Eloise, jak wszystkich Bridgertonów (czasami nawet

się ich bano). Jej pogodny i miły charakter sprawiały, że wszyscy się do niej garnęli, mimo staropanieństwa.

Ale ostatnio…

Eloise westchnęła. Nagle poczuła się staro. Przestała być taka pogodna. Zaczęła nawet myśleć, że matrony mają rację. Nigdy nie znajdzie sobie męża. Może rzeczywiście była zbyt wybredna. Za bardzo się upierała, żeby pójść za przykładem starszych braci i siostry, którzy znaleźli prawdziwą miłość (choć początki źle wróżyły).

Może małżeństwo oparte na wzajemnym szacunku i przyjaźni jest lepsze niż żadne.

Niestety, nie miała z kim porozmawiać o tych rozterkach. Matka przez wiele lat namawiała ją, żeby znalazła sobie męża. I choć Eloise ją uwielbiała, nie umiałaby się pokajać i przyznać, że powinna była jej posłuchać. Jeśli chodzi o braci, najstarszy Anthony prawdopodobnie wziąłby na siebie wybór odpowiedniego kandydata, po czym zmusiłby biedaka do oświadczyn. Benedict zwykle bujał w obłokach, a poza tym prawie nie przyjeżdżał do Londynu, wolał wiejski spokój. Colin… cóż, z nim to była zupełnie inna historia, warta osobnego rozdziału.

Mogłaby porozmawiać z Daphne, ale za każdym razem, gdy szła do niej z wizytą, widziała, jaka szczęśliwa jest starsza siostra, jak bardzo zakochana w mężu i czwórce dzieci. Czy ktoś taki mógł udzielić dobrej rady osobie w zupełnie innej sytuacji? Z kolei Francesca mieszkała w dalekiej Szkocji. Zresztą Eloise nie chciała zaprzątać jej głowy swoimi głupimi zmartwieniami.

Młodsza siostra owdowiała w wieku dwudziestu trzech lat. W porównaniu z jej nieszczęściem troski Eloise wydawały się całkiem błahe.

I może dlatego korespondencja z sir Phillipem stała się dla niej taka

ważna. Trzymała ją w tajemnicy niczym grzeszną przyjemność. Bridgertonowie stanowili dużą, hałaśliwą i wesołą rodzinę. Prawie niemożliwe było utrzymanie czegokolwiek w sekrecie, zwłaszcza przed siostrami, z których najmłodsza Hiacynta szybko doprowadziłaby do wygrania wojny z Napoleonem, gdyby Jego Królewska Mość wpadł na pomysł, żeby zaangażować ją jako szpiega.

Tymczasem sir Phillip należał tylko do niej. Z nikim nie musiała się nim dzielić. Jego listy, związane fioletową wstążką, trzymała ukryte na dnie środkowej szuflady sekretarzyka, pod stosami papieru listowego.

Był jej sekretem.

A ponieważ nigdy go nie widziała, mogła stworzyć go w wyobraźni, na podstawie listów. Jeśli istniał na świecie idealny mężczyzna, był nim sir Phillip Crane z jej wyobraźni.

A teraz nagle zapragnął ją poznać. Oszalał? Chciał zniszczyć ich idealny związek?

Lecz wtedy stała się rzecz niemożliwa. Penelopa Featherington, jej najbliższa przyjaciółka od prawie dwunastu lat, wyszła za mąż. W dodatku za Colina. Jej brata!

Gdyby księżyc nagle spadł z nieba i wylądował w ogrodzie, Eloise nie byłaby bardziej zaskoczona.

Cieszyła się ze względu na Penelopę. Naprawdę. I oczywiście ze względu na Colina. Kochała oboje, więc była zachwycona, że znaleźli szczęście. Nikt inny nie zasłużył na nie bardziej.

Ale po ich ślubie w jej życiu powstała pustka.

Kiedy Eloise zastanawiała się nad życiem starej panny i próbowała przekonać samą siebie, że naprawdę tego chce, zawsze widziała przy sobie Penelopę, towarzyszkę w staropanieństwie. Los dwudziestoośmioletniej niezamężnej kobiety wydawał się całkiem znośny, póki jej przyjaciółka też

była niezamężną dwudziestoośmiolatką. Oczywiście to nie znaczyło, że Eloise nie chce, żeby Penelopa znalazła sobie męża. Rzecz w tym, że wydawało się to nieprawdopodobne. Eloise wiedziała, że Penelopa jest cudowna, dobra, bystra i dowcipna, ale dżentelmeni tego nie dostrzegali. Przez te wszystkie lata, które minęły od jej debiutu w towarzystwie, a było ich jedenaście, panna Featherington nie dostała ani jednej propozycji małżeństwa. Nawet śladu zainteresowania.

W pewnym sensie Eloise liczyła na to, że Penelopa już na zawsze pozostanie jej najbliższą przyjaciółką. I będzie dzielić z nią los starej panny.

Najgorsze, że sama nigdy nie pomyślała — co zresztą przyprawiało ją teraz o wyrzuty sumienia — jak poczułaby się Penelopa, gdyby to Eloise pierwsza wyszła za mąż, a szczerze mówiąc, było to o wiele bardziej prawdopodobne.

Lecz teraz Penelopa miała Colina, a w jej małżeństwie układało się świetnie. A Eloise była sama. Sama w sercu zatłoczonego Londynu, wśród licznej i kochającej rodziny.

Trudno sobie wyobrazić bardziej odludne miejsce.

I nagle przyszedł śmiały list od sir Phillipa. Teraz leżał schowany na samym dnie szuflady, zamknięty w nowo kupionym sejfie, żeby nie korciło jej zaglądać do niego sześć razy dziennie. Cóż, propozycja wydawała się intrygująca.

Z każdym dniem coraz bardziej intrygująca, w miarę jak Eloise stawała się coraz mniej zadowolona z życia, które sama wybrała.

Tak więc pewnego dnia, gdy udała się z wizytą do Penelopy i usłyszała od kamerdynera, że państwo Bridgertonowie nie przyjmują gości (powiedziane takim tonem, że nawet ona zrozumiała, co to oznacza), powzięła decyzję. Nadeszła pora, żeby pokierować własnym losem, zamiast chodzić na kolejne bale w złudnej nadziei, że nagle zmaterializuje się przed

nią idealny mężczyzna, choć w Londynie nie pojawił się nikt nowy, a po dekadzie obracania się w towarzystwie Eloise poznała już wszystkich kawalerów w wieku stosownym do małżeństwa.

Powtarzała sobie, że wcale nie musi od razu wychodzić za sir Phillipa. Uznała jednak, że trzeba sprawdzić tę nową możliwość. Jeśli nie będą do siebie pasowali, nie wezmą ślubu. Ostatecznie nie składała mu żadnych obietnic.

A trzeba powiedzieć, że kiedy już Eloise podejmowała jakąś decyzję, działała szybko. I nie tylko, pomyślała w chwili szczerości. Była również wytrwała. Penelopa porównała ją kiedyś do psa broniącego kości.

I wcale nie żartowała.

Kiedy Eloise uczepiła się jakiegoś pomysłu, nawet połączone siły Bridgertonów nie mogły jej od niego odwieść (a Bridgertonowie stanowili potężną siłę). Miała głupie szczęście, że jej osobiste plany i zamierzenia rodziny nigdy nie weszły ze sobą w kolizję, przynajmniej w ważnych kwestiach.

Eloise wiedziała, że bracia nie pozwoliliby jej jechać na spotkanie z nieznajomym mężczyzną. Anthony prawdopodobnie zażądałby, żeby sir Phillip przybył najpierw do Londynu i poznał całą rodzinę, a Eloise nie wyobrażała sobie, żeby coś mogło bardziej wystraszyć kandydata do jej ręki. Mężczyźni z londyńskiego towarzystwa, którzy starali się o jej względy, przynajmniej wiedzieli, w co się pakują. Biedny sir Phillip, który, jak sam przyznawał w listach, nie postawił nogi w stolicy od czasów szkolnych i nigdy nie brał udziału w sezonowych balach, wpadłby w pułapkę.

Tak więc po kilku dniach rozmyślań Eloise doszła do wniosku, że jedynym dla niej wyjściem jest podróż do Gloucestershire, i to w sekrecie. Gdyby rodzina dowiedziała się o jej planach, zabroniłaby jej jechać. Eloise

była godnym przeciwnikiem i pewnie w końcu postawiłaby na swoim, ale dopiero po długiej, wyczerpującej walce. Nie wspominając o tym, że nawet gdyby po przegranej bitwie wyrazili zgodę na wyjazd, nalegaliby, żeby wzięła do towarzystwa co najmniej dwie osoby.

Eloise zadrżała. Tymi osobami byłyby prawdopodobnie matka i Hiacynta.

Dobry Boże, nikt się nie zakocha, kiedy one będą w pobliżu. Ani nie stworzy spokojnej, ale trwałej więzi, na którą Eloise mogłaby ewentualnie się zdecydować.

Postanowiła, że ucieknie w czasie balu wydawanego przez jej siostrę Daphne. Miało to być wielkie wydarzenie. Tłumy gości, hałas i zamieszanie sprawią, że jej nieobecność pozostanie niezauważona przez dobrych sześć godzin, może więcej. Matka zawsze nalegała, żeby przychodziły punktualnie albo nawet wcześniej na przyjęcia u członków rodziny, więc z pewnością zjawią się u Daphne nie później niż o ósmej. Jeśli wymknie się wcześnie, a bal skończy się dopiero nad ranem, będzie świtało, zanim ktoś się zorientuje, że jej nie ma. W tym czasie ona będzie już w połowie drogi do Gloucestershire.

A jeśli nie w połowie, to dostatecznie daleko, by niełatwo było ją dogonić.

Rzeczywiście wszystko okazało się zadziwiająco proste. Cała rodzina była zaaferowana nowiną, którą zamierzał ogłosić Colin, więc Eloise jedynie szepnęła, że idzie do pokoju dla dam, wymknęła się tylnymi drzwiami i pokonała pieszo krótki odcinek do własnego ogrodu, w którym ukryła torby. Stamtąd musiała jedynie dotrzeć do rogu, gdzie wcześniej kazała czekać woźnicy.

Boże drogi, gdyby wiedziała, jak łatwo jest ruszyć w świat, zrobiłaby to lata temu.

Teraz jechała w stronę Gloucestershire, ku swojemu przeznaczeniu, jedynie z torbą ubrań na zmianę i plikiem listów od mężczyzny, którego nigdy nie widziała.

Mężczyzny, którego miała nadzieję pokochać.

To było podniecające.

Nie, to było przerażające.

Najbardziej szalona rzecz, jaką zrobiła w życiu, a sama przyznawała, że w swoim czasie podjęła kilka głupich decyzji.

Ale mogła to również być jej jedyna szansa na szczęście.

Eloise zmarszczyła brwi. Zaczynała bujać w obłokach. To zły znak. Powinna podejść do tej przygody z całym pragmatyzmem, który zwykle cechował jej postanowienia. Jeszcze był czas, żeby zawrócić. Co właściwie wiedziała o sir Phillipie? Zdradził jej całkiem sporo przez rok korespondowania…

Miał trzydzieści lat, dwa lata więcej niż ona.

Studiował botanikę w Cambridge.

Przez osiem lat był mężem jej dalekiej kuzynki Mariny, co oznaczało, że w chwili ślubu ledwo skończył dwadzieścia.

Miał brązowe włosy.

Wszystkie zęby.

Był baronetem.

Mieszkał w Romney Hall, kamiennej budowli wzniesionej w osiemnastym wieku obok Tetbury w Gloucestershire.

Lubił czytać naukowe rozprawy i poezje, ale nie powieści i zdecydowanie nie dzieła filozoficzne.

Lubił deszcz.

Jego ulubionym kolorem był zielony.

Nigdy nie wyjeżdżał z Anglii.

Nie znosił ryb.

Eloise stłumiła nerwowy śmiech. Nie znosił ryb? Aż tyle o nim wiedziała?

— Bez wątpienia solidna podstawa małżeństwa — mruknęła do siebie. W jej głosie zabrzmiała nuta strachu.

A ile on wiedział o niej? Co skłoniło go do złożenia propozycji małżeństwa zupełnie nieznanej kobiecie?

Próbowała sobie przypomnieć, co pisała mu w listach…

Że ma dwadzieścia osiem lat.

Brązowe, a właściwie kasztanowe włosy i wszystkie zęby.

Szare oczy.

Pochodziła z dużej i kochającej się rodziny.

Jej brat nosił tytuł wicehrabiego.

Ojciec zmarł, kiedy była dzieckiem. Ukąsiła go osa.

Za dużo mówiła. (Dobry Boże, naprawdę tak napisała?)

Lubiła poezję i powieści, ale nie naukowe rozprawy czy dzieła filozoficzne.

Podróżowała do Szkocji i nigdzie więcej.

Jej ulubionym kolorem był fioletowy.

Nie przepadała za baraniną i wręcz nie znosiła krwawej kiszki.

Z jej gardła znowu wyrwał się nerwowy śmiech. Rzeczywiście, świetna z niej partia, pomyślała z sarkazmem.

Wyjrzała przez okno, jakby tam mogła uzyskać wskazówkę, ile jeszcze drogi zostało jej do Tetbury.

Falujące zielone wzgórza wyglądały jak zielone falujące wzgórza. Równie dobrze mogła znajdować się w Walii.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na list leżący na kolanach. Złożyła go,

wsunęła w przewiązany wstążeczką pakiet i schowała do torby. Potem zaczęła stukać palcami po udach.

Miała powody do zdenerwowania.

Zostawiła dom, rodzinę, wszystko.

Jechała na drugi koniec Anglii, gdzie nikogo nie znała.

Nikogo.

Nawet sir Phillipa.

Londyn opuściła w pośpiechu i nie zdążyła zawiadomić baroneta, że przyjeżdża. Nie żeby zapomniała, raczej odkładała to na później.

Gdyby go uprzedziła, byłaby zmuszona dotrzymać słowa, a tak mogła w każdej chwili zawrócić. Wmawiała sobie, że po prostu lubi mieć wybór, ale w rzeczywistości bała się, że straci odwagę.

Poza tym to on prosił o spotkanie. Będzie szczęśliwy, gdy ją zobaczy.

Naprawdę?

Phillip wstał z łóżka i rozsunął story. Kolejny piękny, słoneczny dzień.

Idealny.

Poszedł do garderoby, żeby się ubrać. Już dawno odprawił służących, którzy mu w tym pomagali. Od śmierci Mariny nie chciał, żeby ktoś rano kręcił się po jego sypialni, otwierał okno, wybierał mu strój.

Zwolnił nawet Milesa Cartera, który bardzo się starał mu pomóc w najtrudniejszych chwilach. Ale przy młodym sekretarzu Phillip czuł się jeszcze gorzej, więc wypłacił mu sześciomiesięczną pensję i napisał doskonałe referencje.

W czasie trwania małżeństwa z Mariną czuł się taki samotny, że szukał kogoś, z kim mógłby porozmawiać, lecz teraz, kiedy odeszła, wystarczało mu własne towarzystwo.

Chyba musiał nawet napomknąć o tym w jednym ze swoich listów do tajemniczej Eloise Bridgerton, bo już minął miesiąc, odkąd złożył jej

propozycję niezupełnie małżeństwa, ale bliższego poznania się, i jeszcze nie dostał odpowiedzi. Zwykle raczej odpisywała mu od razu, więc obecne milczenie źle wróżyło.

Zmarszczył brwi. Eloise Bridgerton wcale nie była taka tajemnicza. W swoich listach sprawiała wrażenie całkiem otwartej i szczerej. Wyglądało na to, że ma pogodne usposobienie, a tego przede wszystkim szukał w przyszłej żonie.

Włożył roboczą koszulę. Zamierzał spędzić większą część dnia w oranżerii, grzebiąc w ziemi. Był nieco rozczarowany, że panna Bridgerton najwyraźniej uznała go za szaleńca, którego należy unikać za wszelką cenę. A już myślał, że rozwiąże najważniejszy problem. Rozpaczliwie potrzebował matki dla Amandy i Olivera, lecz dzieci zrobiły się tak niesforne, że nie przypuszczał, by jakaś kobieta z radością zgodziła się go poślubić i na całe życie związać z dwoma diablętami (a przynajmniej do osiągnięcia przez nie pełnoletności).

Tymczasem panna Bridgerton miała już dwadzieścia osiem lat i była starą panną. Korespondowała z nieznajomym przez ponad rok, co świadczyło, że jest dość zdesperowana. Raczej nie odrzuciłaby takiej szansy. Kandydat na męża miał dom, pokaźny majątek i tylko trzydzieści lat. Czego więcej mogłaby chcieć?

Phillip prychnął z irytacją, wkładając zwykłe wełniane spodnie. Widać miała większe oczekiwania, ale mogła choć zdobyć się na uprzejmość i napisać, że odrzuca jego propozycję.

Trzask!

Phillip skrzywił się i popatrzył na sufit. Romney Hall był stary i solidnie zbudowany. Jeśli zatrząsł się w posadach, oznaczało to, że jego dzieci przewróciły (pchnęły? potoczyły?) coś naprawdę dużego.

Łup!

Teraz zabrzmiało to jeszcze gorzej. Ale przecież była z nimi niania, a ona zawsze najlepiej radziła sobie z bliźniętami. Gdyby zdążył się ubrać w minutę, uciekłby z domu, nim dzieci narobią więcej szkód. Mógłby udawać, że nic strasznego się nie dzieje.

Sięgnął po buty. Tak, to świetny pomysł. Uciec jak najdalej.

Z imponującą szybkością dokończył ubieranie, wypadł na korytarz i popędził do schodów.

— Sir Phillipie! Sir Phillipie!

Cholera! Gonił go kamerdyner.

Phillip udał, że nie słyszy.

— Sir Phillipie!

— Do diaska! — zaklął Crane pod nosem.

Nie mógł zignorować tych okrzyków, jeśli nie chciał, żeby służba zaczęła się martwić, że pan domu traci słuch. Odwrócił się powoli.

— Tak, Gunning?

— Sir Phillipie — wysapał kamerdyner — mamy gościa.

— Gościa? — zdziwił się Phillip. — Czyżby on był źródłem tego…

— Hałasu? — podpowiedział uczynnie sługa.

— Właśnie.

— Nie. — Gunning odchrząknął. — To pańskie dzieci.

— Rozumiem — mruknął Phillip. — Nie do wiary, że przez chwilę się łudziłem.

— Nie sądzę, żeby coś zniszczyły, sir.

— Co za ulga! — odetchnął Crane.

— Istotnie, sir. Ale jest jeszcze gość.

Phillip jęknął. Kto, u licha, składa wizyty o tej porze? Co nie oznaczało, że w Romney Hall byli przyzwyczajeni do odwiedzin w rozsądniejszych godzinach.

Gunning spróbował się uśmiechnąć, ale widać było, że wyszedł z wprawy.

— Kiedyś miewaliśmy gości, pamięta pan?

Kłopot z kamerdynerami, którzy pracowali u rodziny, zanim człowiek się urodził, polegał na tym, że pozwalali sobie na sarkazm.

— Co to za gość?

— Nie jestem pewien, sir.

— Nie jesteś pewien? — powtórzył Phillip z niedowierzaniem.

— Nie pytałem.

— Czy to nie należy do zadań kamerdynerów?

— Wypytywanie?

— Tak — warknął Crane, zastanawiając się, czy Gunning nie próbuje czasem sprawdzić, jak długo wytrzyma jego pracodawca, zanim padnie na podłogę w ataku apopleksji.

— Pomyślałem, że pozwolę panu zapytać, sir.

— Tak sobie pomyślałeś? — Phillip też potrafił zdobyć się na ironię.

— Właśnie, sir. Ostatecznie ona przyjechała, żeby zobaczyć się z panem.

— Jak wszyscy nasi goście, co nigdy wcześniej nie przeszkadzało ci ustalić, kim są — zauważył Crane.

— Cóż, właściwie… — zaczął kamerdyner.

— Jestem pewien… — próbował mu przerwać Phillip.

— Nie miewamy gości, sir — dokończył Gunning, wygrywając słowny pojedynek.

Phillip już miał powiedzieć, że jeden właśnie czeka teraz na dole, ale się rozmyślił.

— Dobrze, zejdę na dół — rzekł, naprawdę zirytowany.

Kamerdyner się rozpromienił.

— Doskonale, sir.

Phillip zmierzył go wzrokiem.

— Dobrze się czujesz, Gunning?

— Tak, sir. Dlaczego pan pyta?

Stwierdzenie, że z tym szerokim uśmiechem Gunning trochę przypomina konia, nie byłoby grzeczne, więc Phillip tylko mruknął:

— Nic, nic.

I ruszył w dół po schodach.

Gość? Ciekawe kto to? Nikt nie przyjeżdżał tutaj prawie od roku, czyli odkąd sąsiedzi przestali składać obowiązkowe wizyty kondolencyjne. Phillip nie winił ich, że wolą trzymać się z daleka od Romney Hall; ostatnio, kiedy ktoś go odwiedził, Oliver i Amanda rozmazali na krzesłach dżem truskawkowy.

Lady Winslet opuściła jego dom w gniewie, który, zdaniem Phillipa, nie był zdrowy dla kobiety w jej wieku.

Kiedy dotarł na parter i skręcił do holu wejściowego, zmarszczył brwi. Ona? Tak powiedział Gunning?

Kto to, u licha…

Omal się nie potknął.

Kobieta stojąca w holu była młoda i całkiem ładna, a kiedy podniosła na niego wzrok, zobaczył, że ma największe i najpiękniejsze oczy, jakie w życiu widział.

Mógłby w nich zatonąć.

2

…wtedy, chyba nie będziesz tym zaskoczony, zaczęłam mówić o wiele za dużo. Po prostu nie mogłam się powstrzymać, jak zwykle kiedy jestem roztrzęsiona. Mogę tylko liczyć na to, że w przyszłości będę miała mniej powodów do zdenerwowania.

Z listu Eloise Bridgerton do brata Colina, z okazji jej debiutu w londyńskim towarzystwie

I wtedy otworzyła usta.

— Sir Phillip? — spytała i zanim zdążył skinąć głową, wyrzuciła z siebie potok słów: — Bardzo przepraszam, że zjawiam się niezapowiedziana, ale naprawdę nie miałam innego wyjścia. Prawdę mówiąc, gdybym wysłała zawiadomienie, list pewnie doszedłby już po moim przybyciu, więc zgodzi się pan, że to byłoby…

Phillip osłupiał. Nie był pewien, gdzie kończy się jedno słowo, a zaczyna następne.

— …długa podróż i niestety w ogóle nie spałam, więc proszę, żeby wybaczył mi pan to najście…

Zakręciło mu się w głowie. Czy byłoby nieuprzejmie, gdyby usiadł?

— …nie wzięłam dużo bagażu, nie miałam wyboru i…

Nie zanosiło się na to, żeby szybko skończyła. Phillip stwierdził, że jeśli pozwoli jej mówić jeszcze chwilę dłużej, albo on zacznie cierpieć na zaburzenia błędnika, albo ona straci przytomność z braku powietrza i uderzy głową o podłogę. Tak czy inaczej, jedno z nich będzie poszkodowane. Odchrząknął.

— Przepraszam… — zaczął.

Nie wiadomo, czy go usłyszała. Paplała dalej o powozie, który przywiózł ją pod same drzwi.

— Proszę pani… — spróbował znowu Crane, tym razem trochę głośniej.

— A potem… — Nieznajoma w końcu popatrzyła na niego tymi niesamowitymi szarymi oczami i przez chwilę Phillip czuł się zupełnie wytrącony z równowagi. — Tak? — spytała.

Wreszcie przyciągnął jej uwagę, ale zapomniał po co.

— Eee… kim pani jest? — wymamrotał.

Gapiła się na niego przez dłuższą chwilę ze zdziwieniem wymalowanym na twarzy, aż w końcu powiedziała:

— Eloise Bridgerton, oczywiście.

Eloise wiedziała, że mówi za dużo i stanowczo za szybko, ale zawsze tak się zachowywała, kiedy była zdenerwowana. I choć szczyciła się tym, że rzadko traci rezon, teraz zupełnie nie panowała nad emocjami. Poza tym sir Phillip, jeśli stojący przed nią niedźwiedź rzeczywiście nim był, okazał się zupełnie inny, niż się spodziewała.

— Pani jest Eloise Bridgerton?

Widząc jego zaskoczoną minę, poczuła lekką irytację.

— Oczywiście, że tak. Kim innym miałabym być?

— Nie mam pojęcia.

— Zaprosił mnie pan — przypomniała Eloise.

— A pani nie odpowiedziała na moje zaproszenie — odparował gospodarz.

Eloise przełknęła ślinę. Szczerze mówiąc, miał rację. W przeciwieństwie do niej.

— Naprawdę nie zdążyłam — zaczęła się tłumaczyć, ale dostrzegłszy wyraz jego twarzy, dodała pospiesznie: — Jak już wcześniej wspomniałam.

Phillip Crane patrzył na nią długo nieprzeniknionym wzrokiem, aż w końcu rzekł:

— Nie zrozumiałem ani słowa z tego, co pani mówiła.

Eloise poczuła, że jej usta same otwierają się ze zdziwienia. Nie, wcale nie była zdziwiona, tylko zła.

— Nie słuchał pan? — zapytała z mimowolną urazą w głosie.

— Starałem się.

Eloise policzyła w myślach do pięciu, po łacinie.

— Dobrze, w takim razie przepraszam — powiedziała po chwili. — Proszę mi wybaczyć, że przyjechałam niezapowiedziana. To było bardzo niegrzeczne z mojej strony.

Sir Phillip Crane milczał przez pełne trzy sekundy. Eloise liczyła.

— Przyjmuję przeprosiny — wykrztusił w końcu.

Eloise chrząknęła.

— I oczywiście… — pan domu rozejrzał się, jakby szukał ratunku — … bardzo się cieszę z pani wizyty.

Uwaga, że wcale nie wygląda na zachwyconego, nie byłaby uprzejma, więc Eloise tylko stała, zastanawiając się gorączkowo, co powiedzieć, żeby go nie obrazić.

Zmartwiło ją, że nic nie przychodzi jej do głowy. Chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło się, że zabrakło jej słów.

Na szczęście gospodarz przerwał niezręczne milczenie pytaniem:

— To pani cały bagaż?

Eloise wyprostowała plecy, zadowolona ze zmiany tematu.

— Tak. Ja naprawdę…

Czy naprawdę musiała mówić, że wykradła się z domu w środku nocy? Nie świadczyło to o niej dobrze. Ani o jej rodzinie. Nie chciała, by sir Phillip wiedział, że po prostu uciekła. Miała niejasne przeczucie, że gdyby

poznał prawdę, odesłałby ją z powrotem do Londynu. I choć ich pierwszemu spotkaniu zdecydowanie brakowało romantyzmu, nie zamierzała się poddawać.

Szczególnie że oznaczałoby to powrót na łono rodziny z podkulonym ogonem.

— To wszystko, co przywiozłam — dokończyła stanowczym tonem.

— Dobrze. Ja… eee… — Sir Phillip obejrzał się, wyraźnie zdesperowany, i ryknął: — Gunning!

Kamerdyner pojawił się tak szybko, że musiał podsłuchiwać.

— Tak, sir.

— My… eee, trzeba przygotować pokój dla panny Bridgerton.

— Już to zrobiłem — odparł Gunning.

Pan domu lekko poczerwieniał.

— To dobrze — mruknął. — Panna Bridgerton zostanie u nas… — Zerknął z ukosa na gościa.

— Dwa tygodnie — powiedziała Eloise.

— Dwa tygodnie — powtórzył sir Phillip, jakby kamerdyner nie dosłyszał. — Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby pani dobrze się u nas czuła.

— Oczywiście — zgodził się sługa.

— Świetnie — bąknął Crane, wyraźnie skrępowany. Albo znudzony, co byłoby jeszcze gorsze.

Eloise czuła się rozczarowana. Wyobrażała go sobie jako człowieka pełnego uroku, podobnego do jej brata Colina, który miał olśniewający uśmiech i w każdej sytuacji, nawet niezręcznej, wiedział, jak się zachować.

Tymczasem Phillip Crane wyglądał, jakby teraz wolał znajdować się w zupełnie innym miejscu. Nie był to zachęcający początek znajomości.

Powinien chociaż uczynić wysiłek, żeby bliżej ją poznać i przekonać się, czy będzie mu odpowiadała jako żona.

I najlepiej, żeby sam również bardziej się postarał, bo jeśli to prawda, że pierwsze wrażenie jest najważniejsze, Eloise wątpiła, czy uzna go za dobrego kandydata na męża.

Uśmiechnęła się z przymusem.

— Zechce pani spocząć? — zapytał uprzejmie gospodarz.

— Chętnie, dziękuję.

Sir Phillip rozejrzał się z zakłopotaniem, jakby nie bardzo orientował się w rozkładzie własnego domu. Wreszcie wskazał drzwi w głębi holu.

— Tam. W saloniku.

Gunning zakaszlał.

Crane łypnął na niego spode łba.

— Może najpierw każe pan przygotować poczęstunek, sir? — zasugerował kamerdyner.

— A, tak, oczywiście — mruknął sir Phillip. — Oczywiście. E… może…

— Herbatę? — podsunął Gunning. — I bułeczki?

— Doskonale.

— Albo może solidne śniadanie, jeśli panna Bridgerton jest głodna — dodał sługa.

Sir Phillip przeniósł wzrok na gościa.

— Bułeczki wystarczą — powiedziała Eloise, choć rzeczywiście była głodna.

Pan domu wziął ją pod ramię i zaprowadził do saloniku. Eloise usiadła na kanapie obitej satyną w niebieskie pasy. Pokój był czysty i przytulny, ale meble podniszczone. Cały dom wyglądał na lekko zaniedbany, jakby właścicielowi brakowało pieniędzy albo po prostu mu nie zależało.

Eloise skłaniała się ku temu drugiemu wyjaśnieniu. Dojeżdżając do

Romney Hall, zauważyła, że posiadłość jest imponująca, a oranżeria, której kawałek dostrzegła z okien powozu, prezentowała się wspaniale. Sir Phillip był botanikiem, więc nic dziwnego, że dbał o otoczenie domu, podczas gdy wnętrze podupadało.

Wyraźnie potrzebował żony.

Eloise złożyła ręce na kolanach, obserwując, jak gospodarz siada naprzeciwko niej.

Z trudem zmieścił się w fotelu, przeznaczonym dla drobniejszej osoby. Musiało być mu niewygodnie. Eloise, która miała czterech braci, wyczuła, że sir Phillip chętnie by zaklął, ale uznała, że sam jest sobie winien. Uśmiechnęła się grzecznie, czekając, aż gospodarz rozpocznie konwersację.

Crane chrząknął.

Eloise lekko pochyliła się do przodu.

Sir Phillip ponownie odchrząknął.

Ona zakaszlała.

Pan domu wydał z siebie kolejne „ehem”.

— Herbaty? — zapytała w końcu Eloise.

Gospodarz spojrzał na nią z wdzięcznością, ucieszony propozycją albo tym, że litościwie przerwała ciszę.

— Tak, chętnie — mruknął.

W tym momencie Eloise przypomniała sobie, że jest gościem i to nie ona powinna proponować herbatę. Szkoda, że pan domu zapomniał o swoich obowiązkach.

— Na pewno wkrótce ją dostaniemy — powiedziała.

— Tak — bąknął sir Phillip, poprawiając się w fotelu.

— Proszę mi wybaczyć, że nie uprzedziłam o swoim przyjeździe — usprawiedliwiła się Eloise, nie zważając na to, że się powtarza.

Musiała coś mówić. Sir Phillipowi może nie przeszkadzały niezręczne

pauzy w rozmowie, ale ona należała do osób, które nie lubią ciszy.

— Ależ nic się nie stało — uspokoił ją gospodarz.

— Wręcz przeciwnie — zaprotestowała Eloise. — Postąpiłam bardzo niegrzecznie. Jeszcze raz przepraszam.

Sir Phillip wyglądał na zakłopotanego jej bezpośredniością.

— Proszę, ale zapewniam panią, że to żaden kłopot. Ja po prostu byłem…

— Zaskoczony? — podsunęła Eloise.

— Tak.

Eloise ze zrozumieniem pokiwała głową.

— Nic dziwnego. Powinnam była wcześniej o tym pomyśleć. Naprawdę mi przykro.

Crane przeniósł wzrok za okno.

— Słoneczny dzień — stwierdził.

— Tak — zgodziła się Eloise.

Gospodarz wzruszył ramionami.

— Myślę, że wieczorem będzie padać.

Eloise nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko kiwnęła głową, przyglądając mu się ukradkiem. Był zbudowany potężniej, niż się spodziewała. Nie miał w sobie nic z mieszczucha. Na podstawie jego uroczych i ładnie napisanych listów sądziła, że jest bardziej… gładki. Może smuklejszy, oczywiście nie cherlawy, ale na pewno mniej umięśniony. Tymczasem on wyglądał, jakby dużo pracował fizycznie. Zwłaszcza w tym stroju: roboczych spodniach i koszuli bez krawata. Choć wspomniał, że ma brązowe włosy, wyobrażała go sobie jako ciemnego blondyna o aparycji poety (nie wiadomo dlaczego poeci zawsze kojarzyli się jej z cherubinami). Ale jego włosy okazały się dokładnie takie, jak je opisał: ciemnobrązowe,

lekko falujące. Oczy były podobnego koloru, prawie czarne, nieprzeniknione.

Eloise zmarszczyła brwi. Nie przepadała za ludźmi, których nie potrafiła od razu rozszyfrować.

— Jechała pani przez całą noc? — zapytał uprzejmie gospodarz.

— Tak.

— Musi być pani zmęczona.

Skinęła głową.

— Rzeczywiście jestem.

Sir Phillip wstał i z galanterią wskazał drzwi.

— Może wolałaby pani odpocząć? Nie chciałbym pani trzymać tutaj na siłę.

Eloise była wyczerpana, ale również głodna jak wilk.

— Najpierw coś zjem — zadecydowała. — A potem chętnie skorzystam z pańskiej gościnności i trochę odpocznę.

Pan domu pokiwał głową i usiadł z powrotem, próbując wcisnąć się w niedorzecznie mały fotel. W końcu wymamrotał coś pod nosem, a potem dorzucił głośniej:

— Przepraszam.

I przeniósł się na krzesło.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział, usadowiwszy się wygodnie.

Eloise tylko skinęła głową, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio znajdowała się w bardziej niezręcznej sytuacji.

Sir Phillip odchrząknął i spytał:

— Podróż była przyjemna?

— Owszem — odparła Eloise, przyznając mu w myślach punkt za próbę podtrzymania rozmowy. Zasłużył sobie na nagrodę, więc zrewanżowała się, mówiąc: — Ma pan piękny dom.

Crane uniósł brew i popatrzył na nią z wyraźnym niedowierzaniem.

— Otoczenie jest wspaniałe — dodała pospiesznie Eloise. Kto by pomyślał, że sir Phillip zdaje sobie sprawę z dość opłakanego stanu swojej siedziby rodowej? Mężczyźni zwykle nie dostrzegają takich rzeczy.

— Dziękuję. Jak pani wie, jestem botanikiem, więc dużo czasu spędzam poza domem.

— Dzisiaj też zamierzał pan pracować?

Odpowiedział skinieniem głowy.

Eloise posłała mu niepewny uśmiech.

— Przykro mi, że pokrzyżowałam panu plany — powiedziała ze skruchą.

— Nic się nie stało, zapewniam panią.

— Ale…

— Naprawdę nie musi pani wciąż mnie przepraszać — przerwał jej Crane. — Za nic.

I znowu zapadła ta okropna cisza. Oboje z utęsknieniem patrzyli na drzwi, czekając, aż zjawi się Gunning i wybawi ich z opresji.

Eloise zaczęła nerwowo poklepywać poduszki na kanapie, co jej matka uznałaby za bardzo niegrzeczne zachowanie. Zerknęła na sir Phillipa i z pewnym zadowoleniem stwierdziła, że on również na nią patrzy. Gdy dostrzegł jej spojrzenie, wykrzywił usta w irytującym półuśmiechu i opuścił wzrok na jej niespokojne dłonie.

Eloise natychmiast się opanowała.

Popatrzyła na niego wyczekująco. W duchu niemal go błagała, żeby coś powiedział. Cokolwiek.

Nie odezwał się.

Eloise miała tego dość. Musiała przerwać tę nienaturalną ciszę. Ludzie powinni mówić…

— Ja… — zaczęła z determinacją, której nie rozumiała.

Nie dokończyła zdania, bo powietrze przeszył wrzask mrożący krew w żyłach. Eloise zerwała się na równe nogi.

— Moje dzieci — wyjaśnił sir Phillip i westchnął ciężko.

— Ma pan dzieci?

Gospodarz zauważył, że ona stoi, więc podniósł się ze znużeniem.

— Oczywiście.

Eloise spojrzała na niego zdziwiona.

— Nigdy nie wspomniał pan o dzieciach.

Crane zmrużył oczy.

— Czy to jakiś problem? — spytał ostro.

— Oczywiście, że nie — rzuciła Eloise z oburzeniem. — Uwielbiam dzieci. Mam więcej siostrzeńców i bratanków, niż potrafię zliczyć, i mogę pana zapewnić, że jestem ich ulubioną ciocią. Nic jednak nie tłumaczy pańskiego przemilczenia.

— Niemożliwe, żebym nie napisał o dzieciach — oświadczył sir Phillip, potrząsając głową. — Musiała pani przeoczyć ten fragment.

Eloise wysunęła brodę do przodu.

— To nie jest informacja, którą mogłabym przeoczyć — stwierdziła wyniośle.

Crane skwitował jej słowa wzruszeniem ramion.

— Ani razu nie wspomniał pan o dzieciach — nie poddawała się Eloise. — Mogę to udowodnić.

Gospodarz splótł ręce na piersi i zmierzył ją wyzywającym wzrokiem.

Eloise ruszyła do drzwi.

— Gdzie moja walizka?

— Zapewne tam, gdzie ją pani zostawiła — odparł Crane protekcjonalnym tonem. — Albo raczej już jest w pani pokoju. Moja służba zna swoje obowiązki.

Eloise odwróciła się do niego z nachmurzoną miną.

— Mam wszystkie pańskie listy i mogę pana zapewnić, że w żadnym z nich nie pojawia się słowo „dzieci”.

Na twarzy sir Phillipa odmalowało się szczere zdziwienie.

— Zachowała pani moje listy?

— Oczywiście. A pan nie zachował moich?

Crane wyraźnie się zmieszał.

— Eee…

— Nie zachował ich pan? — obruszyła się Eloise.

Phillip nigdy nie rozumiał kobiet. Nieraz miał ochotę zakwestionować osiągnięcia współczesnej nauki i uznać kobiety za całkiem odrębny gatunek istot. Wiedział, że nie umie z nimi rozmawiać, ale tym razem popełnił naprawdę wielką gafę.

— Na pewno mam niektóre — bąknął.

Eloise zacisnęła usta.

— Większość z nich — poprawił się szybko Crane.

Zorientował się już, że Eloise Bridgerton odznacza się silnym charakterem. Teraz wyglądała bardzo wojowniczo.

— Nie znaczy to, że się ich pozbyłem — dodał, próbując się ratować. — Po prostu nie pamiętam, gdzie je położyłem.

Panna Bridgerton zapanowała nad gniewem, oddychając głęboko. Lecz jej oczy pozostały pochmurne.

— W porządku — powiedziała chłodno. — Zresztą to nie ma znaczenia.

Właśnie, pomyślał Phillip, ale był na tyle mądry, żeby zachować tę uwagę dla siebie.

Ton panny Bridgerton świadczył wyraźnie, że według niej to jednak ma znaczenie. I to duże.

W tym momencie powietrze rozdarł kolejny wrzask, a po nim donośny

huk. Phillip się skrzywił. Chyba przewrócił się jakiś mebel.

Eloise zerknęła na sufit, jakby się obawiała, że zaraz runie jej na głowę.

— Nie powinien pan do nich pójść? — zapytała.

Powinien, ale nie miał najmniejszej ochoty. Gdy bliźnięta wyrywały się spod kontroli, nikt nie potrafił nad nimi zapanować. Nawiasem mówiąc, właśnie na tym polegało „wyrwanie się spod kontroli". Uważał, że lepiej pozwolić im się wyszaleć, aż padną z wyczerpania (co zwykle następowało dość szybko), i wtedy się z nimi rozprawić. Pewnie nie była to najlepsza metoda wychowawcza i miała niewiele wspólnego z metodami polecanymi przez innych rodziców, ale człowiek potrzebuje dużo energii, żeby zajmować się dwójką ośmiolatków, a jego niestety wyczerpała się dobrych sześć miesięcy temu.

— Sir Phillipie?

Crane wypuścił powietrze z płuc.

— Ma pani rację, oczywiście. — Nie chciał wyjść na niedbałego ojca przed panną Bridgerton, którą zamierzał przekonać, na razie niezbyt zręcznie, żeby została matką dwójki diablęt z piekła rodem, demolujących właśnie dom. — Proszę wybaczyć. — Ukłonił się i wyszedł do holu.

— Oliver! — ryknął. — Amanda!

Wydawało mu się, że usłyszał za plecami stłumiony chichot.

Ogarnęła go irytacja. Obejrzał się i spiorunował wzrokiem pannę Bridgerton, choć wiedział, że nie powinien tego robić. Pewnie uważała, że lepiej poradziłaby sobie z jego dziećmi niż on.

Pomaszerował do schodów i ponownie zawołał córkę i syna. Ale chyba niepotrzebnie był niemiły. Przecież miał nadzieję… nie, gorąco się modlił, żeby Eloise Bridgerton umiała okiełznać bliźnięta.

Dobry Boże, gdyby udało się jej przemówić im do rozumu, trzy razy dziennie całowałby ziemię, po której stąpa.

Po chwili Oliver i Amanda z tupotem zbiegli po schodach. Nie wyglądali na przestraszonych.

— Co to było? — zapytał ojciec.

— Co? — rzucił syn zuchwałym tonem.

— Te krzyki.

— To Amanda — odparł szybko Oliver.

— Tak — zgodziła się jego siostra.

Phillip czekał na dalsze wyjaśnienia, ale dzieci milczały, więc rozpoczął przesłuchanie.

— A dlaczego Amanda krzyczała?

— Przez żabę — wyjaśniła córka.

— Żabę?

Dziewczynka kiwnęła głową.

— Tak. Była w moim łóżku.

— Rozumiem — powiedział Phillip. — Wiesz, skąd się tam wzięła?

— Ja ją tam położyłam — odparła Amanda.

Phillip zerknął na syna i wrócił spojrzeniem do córki.

— Położyłaś żabę do własnego łóżka?

Dziewczynka kiwnęła głową.

Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Phillip odchrząknął.

— Dlaczego?

Mała wzruszyła ramionami.

— Bo chciałam.

Phillip na chwilę oniemiał.

— Chciałaś? — wykrztusił w końcu.

— Tak.

— Trzymać żabę w swoim łóżku — upewniał się.

— Próbowałam wyhodować kijanki — wyjaśniła córka.

— W łóżku?

— Pomyślałam, że tam będzie im ciepło i przytulnie.

— Ja pomagałem — wtrącił Oliver.

— W to nie wątpię — rzekł ojciec cierpkim tonem. — Ale dlaczego krzyczeliście?

— Ja nie krzyczałem — obruszył się chłopiec. — To Amanda.

— Pytałem Amandę, nie ciebie! — skarcił go Phillip, z trudem się hamując, żeby nie machnąć na wszystko ręką i nie uciec do oranżerii.

— Patrzyłeś na mnie — powiedział Oliver i zaraz dodał tonem wyjaśnienia: — Kiedy zadałeś pytanie.

Phillip wziął głęboki oddech, nakazał sobie cierpliwość i zwrócił się do córki:

— Dlaczego krzyczałaś?

Amanda wzruszyła ramionami.

— Zapomniałam, że położyłam tam żabę.

— Myślałem, że umrze ze strachu! — wtrącił Oliver bardzo dramatycznie.

Phillip postanowił nie drążyć sprawy. Skrzyżował ramiona na piersi i zmierzył dzieci surowym wzrokiem.

— Myślałem, że uzgodniliśmy: żadnych żab w domu.

— Nie, powiedziałeś: żadnych ropuch — przypomniał Oliver. Siostra poparła go, energicznie kiwając głową.

— Żadnych płazów — uściślił Phillip.

— A gdyby któraś umierała? — zapytała Amanda. Jej niebieskie oczy napełniły się łzami.

— Nawet wtedy.

— Ale…

— Możecie leczyć ją na dworze.

— A jak będzie zimno, a ona będzie potrzebowała mojej opieki i ciepłego łóżka?

— Żaby lubią chłód i wilgoć — odparł Phillip. — Są płazami.

— A jeśli…

— Dość tego! — huknął ojciec. — Żadnych żab, kijanek, świerszczy, koników polnych czy innych zwierząt w tym domu!

Amanda zaczęła chwytać powietrze ustami.

— A jeśli…

Phillip wydał przeciągłe westchnienie. Nigdy nie wiedział, jak rozmawiać ze swoimi dziećmi. W dodatku córka wyglądała, jakby zaraz miała rozpłynąć się we łzach.

— Na litość… — Pohamował się w porę i złagodził ton. — O co chodzi, Amando?

Dziewczynka zaszlochała.

— A co z Bessie?

Phillip rozejrzał się za ścianą, o którą mógłby się oprzeć.

— Naturalnie, że mój zakaz nie dotyczy naszego ukochanego spaniela — zapewnił.

— Szkoda, że tego od razu nie powiedziałeś. — Amanda pociągnęła nosem. O dziwo, szybko doszła do siebie. — Zrobiło mi się strasznie smutno.

Phillip cicho zazgrzytał zębami.

— Przykro mi, że przeze mnie zrobiło ci się smutno.

Córka skinęła głową jak królowa.

Phillip jęknął w duchu. Kiedy bliźnięta zyskały przewagę w tej utarczce słownej? Z pewnością człowiek jego postury i (tak mu się przynajmniej wydawało) intelektu powinien poradzić sobie z dwójką ośmiolatków.

Niestety, znowu mimo najlepszych intencji stracił kontrolę nad rozmową

i teraz to on przepraszał dzieci.

Co za porażka!

— No dobrze, biegnijcie już — powiedział, żeby zachować resztki autorytetu. — Jestem bardzo zajęty.

Bliźnięta przez chwilę tylko na niego patrzyły.

— Przez cały dzień? — zapytał w końcu Oliver.

— Nie rozumiem. — O czym, u licha, on mówi, zastanawiał się Phillip.

— Będziesz zajęty przez cały dzień? — uściślił syn.

— Tak.

— Nie pójdziemy na spacer przyrodniczy? — włączyła się Amanda.

— Nie mogę — odparł Phillip, mimo że chętnie by się z nimi wybrał. Bał się jednak, że dzieci, wyjątkowo dziś irytujące, w końcu go rozgniewają, a wolał tego uniknąć.

— Moglibyśmy pomóc ci w oranżerii — zaproponował Oliver.

Raczej ją zdemolować.

— Nie — powiedział krótko Phillip. Nie potrafiłby się opanować, gdyby dzieci coś zniszczyły.

— Ale…

— Nie mogę — warknął, nienawidząc własnego tonu.

— Ale…

— A któż to jest? — dobiegł głos od drzwi saloniku.

Phillip się obejrzał. Eloise Bridgerton wtykała nos w nie swoje sprawy, a wcześniej zjawiła się w Romney Hall bez uprzedzenia.

— Proszę — syknął, nie starając się nawet ukryć irytacji.

Panna Bridgerton go zignorowała i zwróciła się do bliźniąt.

— Ciekawe, kim jesteście?

— A kim pani jest? — odparował Oliver.

Amanda tylko zmrużyła oczy.

Phillip pozwolił sobie na pierwszy prawdziwy uśmiech tego ranka i splótł ramiona na piersi. Zobaczmy, jak ona sobie poradzi.

— Jestem panna Bridgerton — przedstawiła się Eloise.

— Nie jest pani naszą nową guwernantką, prawda? — zapytał Oliver z wyraźną podejrzliwością.

— Nie. A co się stało z waszą guwernantką?

Phillip zakaszlał. Głośno.

Bliźnięta zrozumiały.

— E, nic — bąknął Oliver.

Panna Bridgerton nie dała się zwieść niewinnym minkom dzieci, ale nie drążyła tematu.

— Jestem waszym gościem — wyjaśniła.

Bliźnięta zastanawiały się przez chwilę, po czym Amanda oświadczyła:

— Nie chcemy żadnych gości.

— Nie potrzebujemy żadnych gości — poparł ją brat.

— Dzieci! — skarcił je Phillip. Wcale nie chciał brać strony wścibskiej panny Bridgerton, ale naprawdę nie miał innego wyjścia. Nie mógł tolerować niegrzecznego zachowania syna i córki.

Bliźnięta jednocześnie skrzyżowały ręce na piersi i wlepiły oczy w gościa.

— Przeproście pannę Bridgerton! — rozkazał ojciec.

Dzieci nadał patrzyły na nią buntowniczo.

— Natychmiast! — huknął Phillip.

— Przepraszamy — bąknęli oboje, ale nikt nie dałby się nabrać, że naprawdę jest im przykro.

— Wracajcie do swojego pokoju — polecił Phillip ostrym tonem.

Dzieci pomaszerowały niczym dumni żołnierze, z wysoko uniesionymi

głowami. Przedstawienie byłoby imponujące, gdyby Amanda nie odwróciła się u stóp schodów i nie wystawiła języka.

— Amando! — krzyknął ojciec, robiąc krok w jej stronę.

Dziewczynka popędziła w górę po schodach.

Phillip zatrzymał się i przez chwilę stał bez ruchu, z zaciśniętymi pięściami. Marzył o tym, żeby choć raz, jeden jedyny raz, jego dzieci zachowały się grzecznie, nie odpowiadały pytaniem na pytanie, były uprzejme dla gości, nie wystawiały języków i…

Choć raz pragnąłby się poczuć dobrym ojcem, który wie, co robi. I nie podnosi głosu. Nienawidził podnosić głosu, nie mógł znieść strachu, który pojawiał się w oczach dzieci.

Nienawidził powracających wspomnień.

— Sir Phillipie?

Do diaska, niemal o niej zapomniał. Odwrócił się.

— Słucham — mruknął zażenowany, że była świadkiem jego upokorzenia. Jednocześnie z tego właśnie powodu poczuł na nią złość.

— Pański kamerdyner przyniósł herbatę — oznajmiła panna Bridgerton, wskazując na salonik.

Phillip kiwnął głową. Musiał wyjść z domu. Uciec od dzieci, od kobiety, która widziała, jakim okropnym jest ojcem. Zaczęło padać, ale wcale mu to nie przeszkadzało.

— Mam nadzieję, że śniadanie będzie pani smakować — powiedział. — Zobaczymy się, jak już pani odpocznie.

I pospiesznie ruszył do drzwi. Poszedł do oranżerii, gdzie mógł być sam z milczącymi, grzecznymi i dyskretnymi roślinami.

3

…zrozumiesz, dlaczego nie mogłam przyjąć jego oświadczyn. Był zbyt gburowaty i miał paskudny charakter. Chciałabym poślubić kogoś miłego i uprzejmego, kto traktowałby mnie jak królową. Albo przynajmniej jak księżniczkę. Z pewnością nie są to przesadzone wymagania.

Z listu Eloise Bridgerton do przyjaciółki Penelopy Featherington, przekazanego przez posłańca po tym, jak Eloise dostała pierwszą propozycję małżeństwa

Gdy minęło południe, Eloise była niemal przekonana, że popełniła straszny błąd.

Niemal, bo jeszcze bardziej niż popełniania błędów nienawidziła przyznawania się do nich. Dlatego usiłowała robić dobrą minę do złej gry i wmawiała sobie, że mimo fatalnego początku sytuacja jakoś się w końcu ułoży.

Kiedy sir Phillip życzył jej miłego posiłku i wyszedł z domu, wręcz osłupiała. Na jego zaproszenie przejechała przez pół Anglii, a on zostawił ją samą zaledwie dwa kwadranse po powitaniu.

Nie oczekiwała, że zakocha się w niej od pierwszego wejrzenia i padnie na kolana, wyznając dozgonną miłość, ale liczyła na coś więcej niż krótkie: „Kim pani jest?” i „Smacznego”.

A może jednak oczekiwała, że już przy pierwszym spotkaniu oczaruje sir Phillipa? Stworzyła sobie w wyobraźni jego obraz. Teraz już wiedziała, że nieprawdziwy. Zrobiła z tego mężczyzny ideał i dlatego przeżyła

rozczarowanie, gdy się zorientowała, że daleko mu do doskonałości. Wydawał się niemal odpychający.

Najgorsze, że mogła winić tylko siebie. W swoich listach sir Phillip nie starał się pokazać w lepszym świetle (choć uważała, że powinien wspomnieć o dzieciach, zwłaszcza przed złożeniem propozycji małżeństwa).

Jej marzenia okazały się tylko… mrzonkami. Pobożnymi życzeniami. Jeśli Phillip Crane zawiódł jej oczekiwania, mogła mieć pretensje wyłącznie do siebie. Idealny mężczyzna z jej snów nigdy nie istniał.

Powinna być mądrzejsza.

W dodatku sir Phillip nie wyglądał na dobrego ojca, co uznała za poważną wadę.

Nie, to niesprawiedliwe. Nie powinna tak pochopnie go osądzać. Nie odniosła wrażenia, że sir Phillip źle traktuje dzieci, ale najwyraźniej nie umiał sobie z nimi radzić. Przekonała się o tym tego ranka. Sądząc po reakcji bliźniąt, nie potrafił nawiązać z nimi bliższego kontaktu.

Boże, tak naprawdę one błagały go, żeby spędził z nimi dzień. Dzieci, którym by poświęcano dużo uwagi, nigdy nie zachowałyby się w ten sposób. Eloise i jej rodzeństwo raczej starali się unikać rodziców. Brak nadzoru sprzyjał przecież psotom.

Jej ojciec był wspaniały. Miała zaledwie siedem lat, kiedy umarł, ale dobrze pamiętała bajki, które opowiadał jej przed snem, i przejażdżki po polach Kentu. Zwykle brali w nich udział wszyscy mali Bridgertonowie, ale zdarzało się, że tylko jedno z nich doznawało zaszczytu spędzenia czasu sam na sam z ojcem.

Gdyby Eloise nie zasugerowała sir Phillipowi, żeby sprawdził, dlaczego bliźnięta krzyczały i przewracały meble, prawdopodobnie zostawiłby je samym sobie. Albo raczej komuś innemu na głowie. Pod koniec rozmowy

stało się dla niej jasne, że sir Phillip za wszelką cenę próbuje unikać własnych dzieci.

Eloise tego nie pochwalała.

Wstała z łóżka, choć nadal była bardzo zmęczona. Lecz za każdym razem, kiedy się kładła, ściskało ją w gardle, jakby za chwilę miała się rozszlochać. Musiała czymś się zająć, inaczej nie zdołałaby nad sobą zapanować.

Nie mogła do tego dopuścić.

Otworzyła okno, choć na dworze wciąż mżyło. Nie było wiatru, więc deszcz nie powinien padać do środka, a bardzo potrzebowała świeżego powietrza. Chłodny powiew na twarzy wcale nie musiał poprawić jej samopoczucia, ale też nie powinien zaszkodzić.

Z okna widziała oranżerię. Przypuszczała, że gospodarz właśnie tam jest, bo nie słyszała w domu jego ciężkich kroków ani podniesionego głosu. Szklane tafle zaszły mgłą, więc jedyne, co zobaczyła, to kurtyna zieleni. Jakim był człowiekiem, że wolał rośliny od ludzi? Z pewnością nie takim, który ceni miłą rozmowę.

Eloise ogarnęło zniechęcenie. Ona uwielbiała rozmawiać.

Jeśli był odludkiem, dlaczego do niej pisał? Z równą jak ona wytrwałością starał się podtrzymywać ich korespondencję. I złożył jej propozycję małżeństwa. Jeśli nie pragnął towarzystwa, czemu by ją zapraszał?

Zaczerpnęła kilka haustów wilgotnego powietrza i rozprostowała plecy. Nie bardzo wiedziała, co zrobić z resztą dnia. Udało się jej zdrzemnąć, gdy wyczerpanie wzięło górę nad przygnębieniem. Niestety, nikt nie przyszedł, żeby poinformować ją o obiedzie czy innych planach pana domu związanych z gościem.

Wiedziała, że jeśli zostanie w tym zaniedbanym pokoju pełnym

przeciągów, zwariuje. Albo co najmniej się zapłacze. Nie tolerowała mazgajstwa u innych, więc sama myśl o takiej reakcji przerażała ją.

Ale dlaczego nie zwiedzić by domu? Może przy okazji znajdzie coś do jedzenia. Rano zjadła do herbaty wszystkie cztery bułeczki, z masłem i marmoladą, ale nadal czuła głód. Za kanapkę z szynką byłaby gotowa zabić.

Przebrała się w suknię z brzoskwiniowego muślinu, ładną i kobiecą, ale nie przesadnie strojną. A najważniejsze, że łatwo się ją wkładało i zdejmowało, co było sprawą istotną, kiedy się przebywało w obcym domu bez pokojówki.

Zerknąwszy w lustro, Eloise upewniła się, że wygląda wprawdzie nie oszałamiająco pięknie, ale przyzwoicie, i wyszła na korytarz.

Od razu natknęła się na bliźnięta, które wyglądały, jakby czatowały na nią od paru godzin.

— Dzień dobry — powiedziała Eloise i zaczekała, aż wstaną z podłogi. — Jak to miło, że mnie witacie.

— Wcale nie chcieliśmy pani powitać — oświadczyła Amanda. Syknęła, kiedy brat trącił ją w żebra.

— Nie? — spytała Eloise ze zdziwieniem. — W takim razie zamierzaliście pokazać mi jadalnię, tak? Muszę wyznać, że jestem bardzo głodna.

— Nie — powiedział Oliver.

— No cóż, niech zgadnę. — Eloise zastanawiała się przez chwilę. — Pomyśleliście, że zaprowadzicie mnie do swojego pokoju i pokażecie zabawki.

— Nie — odpowiedziały jednocześnie dzieci.

— Więc na pewno postanowiliście oprowadzić mnie po domu. Jest taki duży, że mogłabym się zgubić.

— Nie.

— Nie chcielibyście, żebym się zgubiła?

— Nie — powiedziała Amanda. — To znaczy tak.

Eloise udała, że nie rozumie.

— Chcecie, żebym się zgubiła?

Amanda pokiwała głową. Oliver tylko łypał spode łba.

— Hm. To ciekawe, ale nie wyjaśnia waszej obecności pod moimi drzwiami. W waszym towarzystwie raczej się nie zgubię.

Dzieci popatrzyły na nią pustym wzrokiem.

— Znacie swój dom, prawda? — spytała Eloise.

— Jasne — odparł Oliver, a Amanda kiwnęła głową. — Nie jesteśmy małymi dziećmi.

— Widzę — powiedziała Eloise. — Dzieciom nie pozwolono by samym czekać pod moimi drzwiami.

Bliźnięta milczały.

— Ojciec wie, że tu jesteście? — zainteresowała się Eloise.

— Jest zajęty.

— Bardzo zajęty.

— Jest bardzo zapracowany.

— Za bardzo zapracowany dla pani.

Dzieci mówiły jedno przez drugie, usilnie starając się ją przekonać, że ich ojciec nie ma dla niej czasu.

— Więc sugerujecie, że wasz tata jest zajęty — stwierdziła Eloise.

Mali Crane’owie popatrzyli na nią zaskoczeni, a następnie skinęli głowami.

— Ale to nadal nie wyjaśnia waszej tutaj obecności. Nie sądzę, żeby tata przysłał was w swoim zastępstwie… — Gdy oboje pokręcili głowami, uśmiechnęła się w duchu. Miała dziewięcioro siostrzeńców i bratanków.

Potrafiła rozmawiać z dziećmi. Rzuciła podekscytowanym głosem: — Chyba już wiem! Chcecie mi wyznać w tajemnicy, że posiadacie magiczne moce i umiecie przepowiadać pogodę.

— Nie — prychnęli Amanda i Oliver, tłumiąc chichot.

— Nie? — Eloise zrobiła zawiedzioną minę. — To szkoda, bo ta ciągła mżawka jest okropna, nie uważacie?

— Wcale nie — oświadczyła Amanda. — Tata lubi deszcz i my też.

— Lubi deszcz? — powtórzyła Eloise. — Dziwne.

— Mój tata nie jest dziwny — obruszył się Oliver. — Niech pani nie mówi o nim złych rzeczy.

— Nie miałam na myśli nic złego — zapewniła go Eloise, jednocześnie zastanawiając się, co dalej. Z początku sądziła, że bliźnięta zamierzały ją odstraszyć. Prawdopodobnie usłyszały, że ojciec planuje ożenek, a nie chciały żadnej macochy. Eloise obiło się o uszy, że zdążyły przepłoszyć swoimi wybrykami kilka biednych guwernantek.

Ale czy w takiej sytuacji nie próbowałyby raczej zniechęcić jej do ojca? Przekonać, że jest fatalnym kandydatem na męża?

— Zapewniam was, że nie mam złych intencji — powiedziała. — Poza tym ledwo znam waszego ojca.

— Jeśli przez panią tata będzie smutny, ja… ja… Oliver poczerwieniał na twarzy, szukając odpowiednich słów.

Eloise ukucnęła przed nim, tak że jej oczy znalazły się na poziomie jego oczu.

— Oliverze, uwierz, że nie zrobię niczego, co mogłoby zasmucić waszego tatę. — Chłopiec milczał, więc zwróciła się do jego siostry: — Amando?

— Powinna pani wyjechać — wypaliła dziewczynka. — Nie chcemy pani tutaj.

— Niestety, nie ruszę się stąd co najmniej przez tydzień — oznajmiła Eloise.

Dzieci potrzebowały nie tylko ciepła i dużo miłości, ale również dyscypliny i jasnych reguł.

Raptem Oliver rzucił się do przodu i pchnął ją mocno obiema rękami.

Eloise straciła równowagę i bardzo nieelegancko wylądowała na siedzeniu, pokazując bieliznę. Pozbierała się szybko i z góry zmierzyła dzieci surowym wzrokiem.

Brat i siostra cofnęli się o krok, patrząc na nią z mieszaniną strachu i zadowolenia, że jedno z nich zdobyło się na tyle odwagi.

— Tak się nie robi — stwierdziła Eloise.

— Zbije nas pani? — spytał Oliver. Mówił wojowniczym tonem, ale w jego głosie brzmiał również lęk.

— Oczywiście, że nie — zapewniła pospiesznie Eloise. — Nie uznaję bicia dzieci. Nie uznaję bicia kogokolwiek.

Z wyjątkiem ludzi, którzy katują słabszych, dodała w myślach.

W oczach bliźniąt pojawiła się ulga.

— Przypomnę jednak, że ty uderzyłeś mnie pierwszy — ciągnęła Eloise.

— Pchnąłem panią — poprawił ją chłopiec.

Eloise jęknęła w duchu.

— Jeśli nie chcecie, żeby was bito, sami również powinniście stosować tę zasadę wobec innych.

— Złotą Zasadę — wyrwała się Amanda.

— Właśnie — powiedziała Eloise z uśmiechem.

Wątpiła, czy zdoła coś zmienić jedną lekcją, ale dobrze było mieć nadzieję, że jej słowa skłonią dzieci do refleksji.

— Ale czy to nie oznacza, że powinna pani jechać do domu? — zapytała Amanda po chwili zastanowienia.

Złudzenia Eloise szybko się rozwiały. Teraz czekała z niepokojem, co też dziewczynka wymyśli, żeby się jej pozbyć.

— My jesteśmy w swoim domu, a pani powinna wracać do swojego — stwierdziła dziewczynka wyniośle jak na ośmiolatkę. A może tylko ośmiolatka potrafiła zachowywać się w taki sposób.

— Zasada nie działa w ten sposób — powiedziała Eloise.

— A właśnie, że tak — upierała się Amanda. — Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe. My nie pojechaliśmy do pani domu, więc pani nie powinna przyjeżdżać do naszego.

— Jesteś bardzo bystra, wiesz?

Amanda wyraźnie miała ochotę potwierdzić skinieniem głowy, ale była zbyt podejrzliwa, żeby przyjąć komplement.

Eloise nachyliła się do rodzeństwa.

— Ja też jestem bardzo sprytna — oświadczyła poważnym i nieco wyzywającym tonem.

Dzieci popatrzyły na nią szeroko otwartymi oczami; widać bardzo różniła się od innych znanych im dorosłych.

— Rozumiemy się? — zapytała Eloise, prostując się i spokojnie wygładzając suknię.

Bliźnięta nic nie odpowiedziały, więc postanowiła je wyręczyć.

— Tak? To dobrze. Pokażecie mi teraz, gdzie jest jadalnia? Umieram z głodu.

— Mamy lekcje — zaprotestował Oliver.

— Naprawdę? — Eloise uniosła brwi. — Interesujące. W takim razie musicie natychmiast wracać, skoro tyle czasu spędziliście pod moimi drzwiami.

— Skąd pani wiedziała… — Amanda urwała, kiedy brat trącił ją łokciem w żebra.

— Mam siedmioro braci i sióstr — wyjaśniła Eloise, doszedłszy do wniosku, że pytanie zasługuje na odpowiedź. — O wojnie podjazdowej wiem chyba wszystko.

Kiedy bliźnięta popędziły korytarzem, przygryzła wargę. Nie powinna była rzucać im wyzwania. W ten sposób sama zachęciła Amandę i Olivera, żeby znaleźli sposób na pozbycie się jej z domu.

I choć była pewna, że im się to nie uda — nie darmo pochodziła z rodu Bridgertonów — miała przeczucie, że bliźnięta poświęcą zadaniu całe swoje siły i pomysłowość.

Zadrżała. Węgorze w łóżku, włosy w atramencie, dżem na krzesłach. Dobrze znała wszystkie te sposoby i wcale nie paliła się do walki, zwłaszcza z dwójką dzieci młodszych od niej o dwadzieścia lat.

Westchnęła, kręcąc głową. Najlepiej będzie poszukać sir Phillipa i przekonać się, czy do siebie pasują. Gdyby rzeczywiście miała wyjechać za tydzień albo dwa i nigdy więcej nie zobaczyć żadnego z Crane’ów, wolała oszczędzić sobie bliskich spotkań z myszami i pająkami albo psikusów z solą w cukiernicy.

Chyba na myśl o cukrze zaburczało jej w brzuchu. Zdecydowanie przyszła pora, żeby znaleźć coś do jedzenia. I to jak najszybciej, zanim bliźnięta wpadną na pomysł, żeby ją otruć.

Phillip wiedział, że popełnił nietakt. Ale do diaska, ta cholerna baba nie uprzedziła go o swoim przyjeździe! Gdyby to zrobiła, mógłby sobie zawczasu przygotować kilka poetyckich fraz. Mało to się nabiedził, pisząc te wszystkie listy? Pocił się nad każdym słowem i nigdy nie wysyłał pierwszej wersji (choć zawsze używał najlepszego papieru, bo miał nadzieję, że uda mu się przy pierwszej próbie).

Do diabła, gdyby wcześniej go zawiadomiła, może nawet zdobyłby się

na jakiś romantyczny gest. Na przykład wręczył jej bukiet. A wiadomo, że na kwiatach znał się jak mało kto.

Tymczasem ona zjawiła się znienacka, a on wszystko zepsuł.

W dodatku okazała się zupełne inna, niż się spodziewał.

Do licha, dwudziestoośmioletnia stara panna powinna być nieatrakcyjnym babsztylem o końskiej twarzy! A tymczasem panna Bridgerton…

Cóż, nie bardzo potrafił ją opisać. Nie była klasycznie piękna, ale niewątpliwie robiła wrażenie, z tymi kasztanowymi włosami i jasnoszarymi oczami. Należała do kobiet, którym charakter dodaje urody. W jej oczach błyszczały inteligencja i ciekawość. I jeszcze sposób, w jaki przechylała głowę. Do tego oryginalne rysy, twarz w kształcie serca i szeroki uśmiech.

Co prawda, nie zdążył się na niego napatrzyć. Już o to zadbał dzięki swojemu legendarnemu urokowi.

Zanurzył ręce w wilgotnej ziemi i przeniósł dwie garści do małej glinianej doniczki, zostawiając miejsce na korzenie. Zupełnie nie wiedział, co teraz począć. Związał nadzieje na przyszłość z panną Eloise Bridgerton, a jej obraz stworzył sobie w wyobraźni na podstawie listów, które do niego pisała przez ostatni rok. Nie miał czasu ani ochoty na zalecanie się do przyszłej żony i matki swoich dzieci, więc zdobycie jej korespondencyjnie wydawało się lepszym i łatwiejszym sposobem.

Niezamężna kobieta zbliżająca się do trzydziestki powinna być wdzięczna za propozycję małżeństwa. Oczywiście Phillip nie oczekiwał, że zgodzi się przyjąć ją w ciemno. Sam też wolał najpierw osobiście poznać kandydatkę na żonę. Spodziewał się jednak osoby zdesperowanej, gotowej za wszelką cenę wydać się za mąż.

Zamiast tego przyjechała młoda, ładna, bystra i pewna siebie kobieta. Dobry Boże, dlaczego taka osoba miałaby wychodzić za nieznajomego

mężczyznę? Nie wspominając o zaszyciu się na wsi w najodleglejszym zakątku Gloucestershire. Phillip zupełnie nie znał się na modzie, ale nawet on potrafił stwierdzić, że jej strój jest elegancki i gustowny. Nie sądził, żeby panna Bridgerton wyrzekła się podróży do Londynu, bujnego życia towarzyskiego, przyjaciół.

I raczej nie znalazłaby ich w Romney Hall.

Bliższe jej poznawanie wydawało się bezcelowe. Na pewno nie zamierzała zostać, a on byłby głupi, gdyby się łudził nadzieją.

Phillip zaklął od serca. Teraz przyjdzie mu starać się o rękę jakiejś innej kobiety. Do diaska, najpierw będzie musiał ją znaleźć; zapowiadało się to na trudne zadanie. W okolicy żadna nawet na niego nie spojrzy. Wszystkie niezamężne damy wiedziały o jego dzieciach i nie miały ochoty brać na siebie odpowiedzialności za małe diablęta.

A teraz wyglądało na to, że również plany związane z panną Bridgerton wezmą w łeb.

Postawił doniczkę na półce z takim impetem, że trzask rozległ się w całej oranżerii.

Phillip skrzywił się i z westchnieniem zanurzył brudne ręce w wiadrze z niezbyt czystą wodą. Rano był bardzo nieuprzejmy. Nadal czuł irytację, że panna Bridgerton zjawiła się bez uprzedzenia i zmarnowała jego czas… a przynajmniej na to się zanosiło, bo raczej nie zamierzała wyjechać jeszcze tego samego wieczoru.

Lecz to nie tłumaczyło jego zachowania. Nie jej wina, że on nie umiał poradzić sobie z własnymi dziećmi. I z pewnością nie jej wina, że brak talentów wychowawczych zawsze wprawiał go w paskudny nastrój.

Wytarł dłonie w ręcznik, który wisiał przy drzwiach, wyszedł z oranżerii na mżawkę i ruszył w stronę domu. Zbliżała się pora obiadu; więc

pomyślał, że nie zaszkodzi usiąść z gościem przy stole i poprowadzić grzeczną konwersację.

Skoro już się zjawiła, a wcześniej on przez cały rok ślęczał nad listami, byłoby głupotą przynajmniej nie przekonać się, czy do siebie pasują. Tylko idiota sprowokowałby ją do wyjazdu — albo pozwolił jej odjechać — nie sprawdzając, czy nadaje się na żonę.

Było mało prawdopodobne, że panna Bridgerton zostanie, ale chociaż powinien jeszcze raz spróbować.

Po wejściu do domu wytarł buty o matę leżącą przy drzwiach. Był brudny, jak zawsze po pracy w oranżerii. Wprawdzie służba zdążyła się do tego przyzwyczaić, ale Phillip uznał, że powinien doprowadzić się do porządku, zanim poprosi pannę Bridgerton, żeby zjadła z nim obiad. Damy z Londynu z pewnością nie lubiły siadać do stołu z niechlujnymi osobnikami.

Wszedł do kuchni, przyjaźnie skinął głową służącej, która myła marchew w balii z wodą i…

— Panna Bridgerton! — wykrzyknął ze zdziwieniem. Siedziała przy kuchennym stole, nad talerzem, na którym leżała do połowy zjedzona wielka kanapka z szynką. Najwyraźniej czuła się jak u siebie w domu. — Co pani tutaj robi?

— Sir Phillip — przywitała go z uśmiechem.

— Nie musi pani jeść w kuchni — oświadczył lekko poirytowany tylko z tego powodu, że zastał ją nie tam, gdzie się spodziewał.

W dodatku wyłącznie ze względu na nią zamierzał przebrać się do obiadu, czym zwykle nie zawracał sobie głowy, a ona i tak zobaczyła go w takim stanie.

— Wiem — rzekła Eloise, patrząc na niego tymi niezwykłymi oczami.

— Ale szukałam jedzenia i towarzystwa, więc doszłam do wniosku, że tu najprędzej je znajdę.

Czy to był afront? Lecz spojrzenie panny Bridgerton wydawało się takie niewinne, że Phillip postanowił pominąć jej uwagę milczeniem.

— Właśnie szedłem się przebrać i zaprosić panią na obiad.

— Chętnie przeniosę się do jadalni i tam dokończę kanapkę — powiedziała Eloise. — Jest pyszna. Pani Smith na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby panu zrobić taką samą. — Przeniosła wzrok na kucharkę. — Prawda, pani Smith?

— To żaden kłopot, panno Bridgerton — zapewniła kobieta.

Phillip oniemiał. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby jego kucharka mówiła tak przyjaznym tonem.

Eloise wstała ze stołka, biorąc talerz.

— Idziemy? — zapytała. — Zupełnie mi nie przeszkadza pański strój.

Zanim Phillip sobie uświadomił, że wcale nie zgodził się na propozycję gościa, siedział naprzeciwko niego przy małym okrągłym stole w pokoju śniadaniowym, z którego korzystał o wiele częściej niż z dużej jadalni. Gdy pokojówka przyniosła tacę z herbatą, panna Bridgerton sama z wprawą nalała mu filiżankę.

Phillip poczuł niepokój. Eloise Bridgerton tak zręcznie nim pokierowała, że stała się panią sytuacji, choć to on zamierzał zaprosić ją na obiad. A wydawało mu się, że rządzi we własnym domu, przynajmniej nominalnie.

— Spotkałam pańskie dzieci — zagaiła panna Bridgerton, unosząc filiżankę do ust.

— Tak, byłem przy tym — przypomniał Phillip, zadowolony, że to ona rozpoczęła rozmowę. Nie musiał wymyślać tematu.

— Nie wtedy, później — sprostowała.

Crane popatrzył na nią pytająco.

— Czekały na mnie pod drzwiami mojej sypialni — wyjaśniła Eloise.

Phillipa ogarnęły złe przeczucia. Ciekawe, z czym na nią czekały? Z torbą żywych żab? Z torbą zdechłych żab? Jego dzieci bardzo źle traktowały swoje guwernantki, więc nie łudził się, że będą łaskawsze dla przyszłej macochy.

Odchrząknął.

— Widzę, że udało się pani przeżyć to spotkanie — zauważył.

— O, tak — odparła Eloise. — Doszliśmy do pewnego porozumienia.

— Porozumienia? — Phillip zmierzył ją badawczym wzrokiem. — Jakiego?

Panna Bridgerton zbyła jego pytanie machnięciem ręki.

— Nie musi pan się o mnie martwić.

— A o dzieci? — spytał.

Obdarzyła go nieodgadnionym uśmiechem.

— Oczywiście, że także nie.

— To dobrze. — Sięgnął po kanapkę i ugryzł duży kęs. Po chwili podniósł wzrok na pannę Bridgerton i powiedział, patrząc jej w oczy: — Muszę panią przeprosić za swoje poranne zachowanie. Byłem nieuprzejmy.

Eloise po królewsku skinęła głową.

— Ja też przepraszam, że zjawiłam się niezapowiedziana. To było niegrzeczne z mojej strony.

Phillip powtórzył jej gest.

— Ale pani mnie już przeprosiła, a ja pani nie — przypomniał.

Aż zadrżało mu serce. Dobry Boże, ten cudny uśmiech! Rozjaśniał całą jej twarz. Korespondując z panną Bridgerton, Phillip ani przez chwilę nie podejrzewał, że przy niej zabraknie mu tchu.

— Dziękuję — powiedziała Eloise. Jej policzki zabarwiły się na lekko

różowy kolor. — Jest pan bardzo miły.

Phillip odchrząknął i niespokojnie poprawił się na krześle. Nie miał pojęcia, dlaczego czuje się o wiele bardziej nieswojo, widząc jej uśmiech, a nie nieprzystępną minę.

— No dobrze — rzucił burkliwie i zakaszlał cicho, żeby zamaskować swój ton. — Skoro przeprosiny mamy już za sobą, może zajmiemy się powodami, dla których pani do mnie przyjechała.

Eloise odłożyła kanapkę i popatrzyła na niego z wyraźnym zdziwieniem. Nie przypuszczała, że będzie taki bezpośredni.

— Był pan zainteresowany małżeństwem — powiedziała.

— A pani?

— Jestem tutaj — odparła bez ogródek.

Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, aż zaczęła się wiercić na krześle.

— Nie jest pani taka, jak się spodziewałem — przyznał.

— Sądzę, że w tych okolicznościach właściwe będzie zwracanie się do mnie po imieniu — stwierdziła. — I pan również nie jest taki, jak się spodziewałam.

Phillip odchylił się na oparcie krzesła, obserwując ją z ledwo dostrzegalnym uśmiechem na ustach.

— A czego się pani spodziewała?

— A pan? — odparowała.

Spojrzeniem dał jej do zrozumienia, że zauważył unik, i wyznał bez ogródek:

— Nie sądziłem, że jest pani taka ładna.

Nieoczekiwany komplement całkiem zaskoczył Eloise. Nie wyglądała najlepiej dziś rano, a nawet gdyby… cóż, nigdy nie uchodziła za piękność z wyższych sfer. Panny Bridgerton uważano za atrakcyjne, pełne życia

i ujmujące. Dostawały niejedną propozycję małżeństwa, ale mężczyźni raczej je lubili, niż byli oszołomieni ich urodą.

— Ja… eee… — bąknęła, czując, że płoną jej policzki. Tak ją to speszyło, że poczerwieniała jeszcze bardziej. — Dziękuję.

Sir Phillip uprzejmie skinął głową.

— Nie rozumiem, dlaczego mój wygląd jest dla pana niespodzianką — stwierdziła Eloise, zła na siebie, że tak mocno zareagowała na pochlebstwo. Na niebiosa, można by pomyśleć, że nigdy wcześniej nie słyszała żadnego komplementu. Ale on patrzył na nią bez słowa, wręcz się gapił i…

Zadrżała.

A wcale nie było przeciągu. Czy można drżeć z… gorąca?

— Sama pani napisała, że jest starą panną — przypomniał Crane. — Musiał być jakiś powód, że nie wyszła pani za mąż.

— Nie dlatego, że nie dostałam żadnych propozycji — nie omieszkała go poinformować.

— Zapewne — zgodził się sir Phillip. — Ale nic na to nie poradzę, że jestem ciekaw, dlaczego kobieta taka jak pani akurat mnie uznała za odpowiedniego kandydata na męża.

Eloise przyjrzała mu się tak naprawdę po raz pierwszy.

Był całkiem przystojny, choć trochę zaniedbany. Ciemne włosy wymagały dobrego strzyżenia, na skórze zachował się ślad opalenizny, mimo że ostatnio tak niewiele mieli słońca. Potężnie zbudowany i muskularny, siedział na krześle ze swobodą i gracją, z wyciągniętymi nogami, co w londyńskim salonie byłoby nie do przyjęcia.

Z wyrazu jego twarzy wynikało, że nie dba o maniery. Nie był to rodzaj buntowniczej postawy, jaką widywała u młodych mężczyzn z towarzystwa. Poznała wielu, którzy stawiali sobie za punkt honoru lekceważenie

konwenansów, ale psuli efekt, z całych sił próbując wszystkim pokazać, jacy są odważni i nietuzinkowi.

Sir Phillip był inny. Eloise założyłaby się o dużą sumę, że po prostu nigdy nie przejmował się tym, że siedzi w niewłaściwy sposób, a już z pewnością nie przyszło mu do głowy dawać ludziom do zrozumienia, że nie dba o etykietę.

Zaczęła się zastanawiać, czy jest to cecha człowieka autentycznie pewnego siebie, a jeśli tak, to dlaczego ten mężczyzna wybrał akurat ją? Bo, pomijając nieuprzejme zachowanie dziś rano, zorientowała się, że sir Phillip Crane nie powinien mieć kłopotów ze znalezieniem sobie żony. Zostawiła jednak te rozważania i wróciła do jego wcześniejszego pytania.

— Jestem tutaj, bo po odrzuceniu kilku propozycji małżeństwa… — osoba o lepszym charakterze wykazałaby się skromnością i nie kładła takiego nacisku na słowo „kilka”, ale ona nie zdołała się powstrzymać — …stwierdziłam, że nadal pragnę wyjść za mąż. Pańskie listy świadczyły, że może pan być dobrym kandydatem. Postanowiłam więc spotkać się z panem i przekonać, czy mam rację.

— Bardzo to rozsądne z pani strony — przyznał sir Phillip.

— Skoro już poruszyliśmy temat małżeństwa, dlaczego nie mógł pan znaleźć żony tutaj?

Crane przez chwilę tylko na nią patrzył, jakby nie wierzył, że sama się tego nie domyśliła.

— Poznała pani moje dzieci — rzekł w końcu.

Eloise omal nie udławiła się kęsem kanapki.

— Słucham?

— Moje dzieci. Widziała je pani. Zdaje się, że nawet dwa razy.

— Tak, ale… — Jej oczy nagle się rozszerzyły. — O, nie, proszę mi nie mówić, że pańskie dzieci odstraszyły wszystkie kobiety w tej części Anglii?

Spojrzenie, które w nią wpił, było posępne.

— Większość kobiet w okolicy odmówiła nawet rozważenia takiej możliwości — powiedział.

Eloise pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Pańskie dzieci nie są takie złe — rzuciła na pocieszenie.

— Potrzebują matki — stwierdził Phillip.

Eloise uniosła brwi.

— Z pewnością potrafi pan znaleźć bardziej romantyczny sposób, żeby mnie przekonać do zostania pańską żoną.

Phillip westchnął ze znużeniem i rękami przeczesał zmierzwione włosy.

— Panno Bridgerton… Eloise, będę z panią szczery, bo nie mam sił ani cierpliwości na romantyczne gesty czy słowa. Potrzebuję żony. Moje dzieci potrzebują matki. Zaprosiłem panią tutaj, żeby się przekonać, czy do siebie pasujemy i czy byłaby pani gotowa podjąć się tej roli.

— Której? — spytała cicho Eloise.

Phillip zacisnął dłonie. Co jest z tymi kobietami? Mówią jakimś szyfrem?

— Co „której”? — W jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

— Której roli? — wyjaśniła Eloise. — Żony czy matki?

— Obu. Sądziłem, że to oczywiste.

— A na której bardziej panu zależy?

Phillip patrzył na nią przez dłuższą chwilę, świadomy, że zadała ważne pytanie, być może zwiastujące koniec jego niecodziennych zalotów. Wreszcie bezradnie wzruszył ramionami i oświadczył:

— Przepraszam, ale nie wiem, jak je rozdzielić.

Eloise pokiwała głową. Jej wzrok był poważny.

— Rozumiem. Chyba ma pan rację.

Phillip wypuścił powietrze z płuc. Nie zdawał sobie sprawy, że

wstrzymuje oddech. Jakimś cudem, Bóg tylko wie jakim, odpowiedział prawidłowo. Albo przynajmniej uniknął odpowiedzi nieprawidłowej.

Eloise wskazała napoczętą kanapkę leżącą na jego talerzu.

— Dokończymy jedzenie? — zaproponowała. — Cały ranek spędził pan w oranżerii. Na pewno jest pan głodny.

Phillip skinął głową, raptem całkiem zadowolony z życia. Nadal nie był pewien, czy panna Bridgerton zgodzi się zostać lady Crane, ale jeśli tak…

Cóż, raczej nie miałby obiekcji.

Zrozumiał jednak, że starania o jej względy nie będą takie łatwe, jak sądził. Stało się dla niego jasne, że potrzebuje jej bardziej niż ona jego. Liczył na to, że panna Bridgerton okaże się zdesperowaną starą panną, ale bardzo się pomylił. Mimo zaawansowanego wieku mogła przebierać w propozycjach, a on był tylko jednym z kandydatów do jej ręki.

Lecz coś musiało ją skłonić do opuszczenia domu i przybycia do Gloucestershire. Jeśli jej życie w stolicy tak świetnie się układało, dlaczego wyjechała?

Ale kiedy tak obserwował ją z drugiej strony stołu, kiedy patrzył, jak jej twarz zmienia się wraz z uśmiechem, uświadomił sobie, że nie obchodzi go, dlaczego opuściła Londyn.

Po prostu musiał postarać się o to, żeby została.

4

…tak przykro mi słyszeć, że Caroline ma kolkę i przysparza Ci zmartwień. I oczywiście szkoda, że Amelii i Belindzie nie spodobało się jej pojawienie na świecie. Ale musisz patrzeć optymistycznie, droga Daphne. Sytuacja byłaby o wiele trudniejsza, gdybyś urodziła bliźniaki.

Z listu Eloise Bridgerton do siostry, księżnej Hastings, miesiąc po narodzinach trzeciego dziecka Daphne

Idąc przez główny hol do schodów, Phillip pogwizdywał cicho, bardzo zadowolony z życia. Większą część popołudnia spędził z panną Bridgerton… z Eloise, i utwierdził się w przekonaniu, że będzie doskonałą żoną. Jest bystra, a mając tyle braci i sióstr, nie wspominając o siostrzeńcach i bratankach, z pewnością da sobie radę z Oliverem i Amandą.

I w dodatku jest ładna, pomyślał z drapieżnym uśmiechem. Niejeden raz tego popołudnia przyłapał się na tym, że na nią zerka i wyobraża sobie, jak trzyma ją w ramionach. Czy odwzajemniłaby jego pocałunek?

Na tę myśl poczuł znajome napięcie. Od tak dawna nie miał kobiety. Nawet nie potrafił zliczyć, od ilu lat.

Prawdę mówiąc, minęło ich więcej, niż mężczyzna byłby gotów się przyznać.

Nie korzystał z usług dziewek z miejscowej gospody. Wolał kobiety schludniejsze i… nie tak anonimowe.

Albo raczej wprost przeciwnie. Wydawało się mało prawdopodobne, że

te dziewki kiedykolwiek opuszczą miasteczko, a Phillip za bardzo lubił spędzać wolny czas w gospodzie, żeby pozbawić się tej przyjemności. Nie chciałby co rusz natykać się na dawne kochanki.

Przed śmiercią Mariny… cóż, nigdy nawet nie pomyślał o tym, żeby być jej niewierny, mimo że od dawna nie dzielili łoża.

Zaraz po narodzinach bliźniąt wpadła w melancholię. Zawsze wydawała się krucha i nazbyt refleksyjna, ale dopiero po pojawieniu się Olivera i Amandy zamknęła się we własnym świecie smutku i rozpaczy. Phillip obserwował przerażony, jak z każdym dniem z jego żony ucieka życie, jak ogarnia ją całkowita obojętność.

Wiedział, że tuż po urodzeniu dziecka kobiety nie powinny spełniać obowiązków małżeńskich, ale nawet kiedy Marina fizycznie doszła do siebie, nie wyobrażał sobie, że mógłby ją do czegoś zmusić. A poza tym, jak miał pożądać kobiety, która sprawiała wrażenie, jakby była bliska płaczu?

Gdy bliźnięta trochę podrosły i Phillip sądził — miał nadzieję — że Marina czuje się lepiej, odwiedził ją w sypialni.

Tylko jeden raz.

Nie odmówiła mu, ale też nie przyjęła go z entuzjazmem. Po prostu leżała bez ruchu, z głową odwróconą na bok, z oczami szeroko otwartymi, nieruchomymi.

Zupełnie jakby była nieobecna.

Opuścił ją, czując się moralnie zepsuty, jakby ją zgwałcił, choć wcale nie protestowała.

I nigdy więcej jej nie dotknął.

Jego potrzeby nie były tak duże, żeby musiał zaspokajać je z kobietą, która leżała jak martwa.

I nigdy więcej nie chciał się poczuć tak jak tamtej nocy. Po powrocie do

swojego pokoju długo nie mógł zasnąć, zdegustowany sobą. Rozpaczliwie pragnął wzbudzić w żonie jakąkolwiek reakcję. Kiedy okazało się to niemożliwe, wpadł w gniew i chciał ją ukarać. Zachował się jak zwierzę.

I to go przeraziło.

Był zbyt brutalny. Nie zadał jej bólu, ale zapomniał o delikatności. Potem wstydził się spojrzeć na siebie w lustrze.

A potem Marina odeszła. Umarła.

Panna Bridgerton wydawała się inna. Na pewno nie płakałaby bez powodu, nie zamykała się w pokoju, nie skubała jedzenia ani nie szlochała w poduszkę.

Eloise miała silny charakter. Umiała być szczęśliwa.

Phillip uważał, że jest to jedna z najważniejszych cech, których oczekiwał u przyszłej żony.

Zatrzymał się u stóp schodów i spojrzał na zegarek kieszonkowy. Powiedział Eloise, że po nią przyjdzie i zaprowadzi ją do jadalni. Kolacja miała być o siódmej. Z jednej strony nie chciał zjawić się za wcześnie. Z drugiej, spóźnić się również nie byłoby dobrze. Jeszcze uznałaby, że nie jest nią zainteresowany.

Zamknął kopertę zegarka i z politowaniem pokręcił głową. Zachowywał się jak młokos. To śmieszne. Był właścicielem majątku, panem domu, badaczem. Nie powinien liczyć minut do spotkania z kobietą, o której względy zamierzał się starać.

Ledwo to pomyślawszy, jeszcze raz sprawdził godzinę. Za trzy siódma. Idealnie. Akurat zdąży wejść po schodach i spotka się z nią pod drzwiami dokładnie o umówionej porze.

Uśmiechnął się nieznacznie, gdy wyobraził ją sobie w sukni wieczorowej. Miał nadzieję, że włoży niebieską. Na pewno do twarzy jej w tym kolorze.

Uśmiechnął się szerzej. Najlepiej wyglądałaby bez niczego.

Kiedy zobaczył Eloise na korytarzu, jej włosy były siwe.

Podobnie jak cała reszta. Do diabła!

— Oliver! — ryknął. — Amanda!

— Już dawno ich nie ma — powiedziała Eloise.

Oczy były jedyną częścią jej twarzy niepokrytą grubą warstwą mąki. Dobrze, że zamknęła je w porę, pomyślał Phillip. Zawsze podziwiał szybki refleks u kobiet.

— Panno Bridgerton, nie wiem, jak panią przeprosić… — zaczął, wyciągając do niej rękę. Lecz szybko ją zabrał, kiedy zrozumiał, że niewiele tu pomoże.

— Niech pan nie przeprasza za dzieci — warknęła Eloise.

— Racja. Oczywiście, ale zapewniam panią, że… Urwał raptownie. Po prawdzie, wyraz jej oczu uciszyłby samego Napoleona.

— Sir Phillipie, jak pan widzi, nie jestem gotowa do kolacji — powiedziała wolno, z naciskiem. Wyglądała, jakby miała ochotę rzucić się na niego z furią.

Phillip na wszelki wypadek cofnął się o krok.

— Domyślam się, że moje bliźnięta złożyły pani wizytę.

— O, tak — odparła Eloise z sarkazmem. — A potem uciekły. Nigdzie nie widać tych małych tchórzy.

— Cóż, nie mogą być daleko — stwierdził Phillip, spokojnie ciągnąc rozmowę, jakby jego gość nie przypominał zjawy. Uznał, że takie zachowanie będzie najlepsze. A w każdym razie najmniej narazi go na to, że panna Bridgerton skoczy mu z pazurami do gardła.

— Oczywiście chcą zobaczyć efekty — powiedział i dyskretnie zrobił kolejny krok do tyłu, gdy panna Bridgerton zakaszlała, siejąc wokół mąką. — Nie słyszała pani wybuchu śmiechu? Albo chichotu?

Eloise spiorunowała go wzrokiem.

— Racja. — Phillip się skrzywił. — Przepraszam. Głupi żart.

— Trudno było coś usłyszeć oprócz trzasku wiadra uderzającego w moją głowę — wysyczała Eloise przez zaciśnięte zęby.

— Do diaska! — mruknął Phillip, idąc za jej wzrokiem ku dużemu metalowemu kubłowi, który leżał bokiem na dywanie. W środku zostało jeszcze trochę mąki. — Jest pani ranna?

Panna Bridgerton potrząsnęła głową. Phillip zbliżył się i ujął w dłonie jej głowę, żeby poszukać guzów albo skaleczeń.

— Sir Phillipie! — krzyknęła Eloise, próbując się wyrwać. — Niech pan natychmiast…

— Proszę się nie ruszać! — rzekł Phillip rozkazującym tonem.

Przesunął kciukami po jej skroniach. Ten intymny gest sprawił mu dziwną przyjemność. Phillip z trudem się pohamował, żeby nie złożyć lekkiego pocałunku na czole poszkodowanej.

— Nic mi nie jest — zapewniła Eloise, odsuwając się gwałtownie. — Mąka ważyła więcej niż samo wiadro.

Phillip schylił się i postawił je, sprawdzając przy okazji jego ciężar. Było dość lekkie i nie powinno zrobić dużej krzywdy, ale z pewnością nie chciałoby się poczuć go na głowie.

— Proszę się nie obawiać, przeżyję — uspokoiła go Eloise z nutą ironii w głosie.

Phillip odchrząknął.

— Zapewne chce pani się wykąpać?

Wydawało mu się, że panna Bridgerton mówi pod nosem: „Chcę, żeby te dwa małe potwory zawisły na stryczku”, ale przecież nie mógł jej posądzać o krwiożercze zamiary tylko dlatego, że on sam coś takiego by powiedział.

— Każę przynieść wodę — zaoferował się pospiesznie.

— Proszę nie robić sobie kłopotu — ostudziła go Eloise. — W wannie została jeszcze woda z mojej ostatniej kąpieli.

Phillip się skrzywił. Dzieci nie mogły wybrać lepszego momentu.

— Mimo to dopilnuję, żeby przyniesiono kilka świeżych wiader — oświadczył.

Skarcił się w duchu, widząc jej gniewne spojrzenie.

Niewłaściwy dobór słów.

— Zajmę się tym od razu — powiedział skwapliwie.

— Tak będzie najlepiej — stwierdziła panna Bridgerton.

Ruszył korytarzem, żeby wydać pokojówce stosowne polecenia, ale kiedy skręcił za róg, zobaczył pół tuzina służących, którzy obserwowali całą scenę i zakładali się między sobą, ile minie czasu, zanim sir Phillip znajdzie bliźnięta i wygarbuje im skórę.

Kazał służbie natychmiast przygotować świeżą kąpiel i odprawił wszystkich, a sam wrócił do Eloise. Już był pobrudzony mąką, więc nie bał się wziąć jej za rękę.

— Bardzo mi przykro — powiedział, starając się nie roześmiać. Jego pierwszą reakcją była furia, ale teraz… cóż, panna Bridgerton wyglądała dość pociesznie.

Przeszyła go wzrokiem, wyczuwając jego rozbawienie.

Phillip szybko przybrał poważną minę.

— Może powinna pani wrócić do swojego pokoju? — zasugerował.

— I gdzieś usiąść? — spytała ze złością.

Miała rację. Jeszcze tego samego dnia trzeba by dokładnie sprzątnąć sypialnię gościnną.

— W takim razie dotrzymam pani towarzystwa — oznajmił gospodarz, siląc się na lekki ton.

Panna Bridgerton posłała mu spojrzenie, w którym nie było śladu

wesołości.

— No tak — bąknął Phillip, żeby wypełnić ciszę. Był pod wrażeniem pomysłowości bliźniąt mimo jej niefortunnych skutków. — Ciekawe, jak to zrobili.

— Czy to ważne? — obruszyła się Eloise.

— Przykro mi, ale nie mogę cofnąć tego, co się stało — odparł Phillip i choć zobaczył po jej minie, że wybrał nie najlepszy temat do rozmowy, dodał: — Prawdę mówiąc, nie wiem, gdzie Amanda i Oliver przywiązali wiadro…

— Postawili je na drzwiach.

— Słucham?

— Mam siedmioro braci i sióstr — przypomniała Eloise. — Myśli pan, że, nigdy nie widziałam tej sztuczki? Otworzyli drzwi, właściwie tylko uchylili, a potem ostrożnie postawili na nich wiadro.

— I nie usłyszała pani, jak to robią?

Panna Bridgerton popatrzyła na niego gniewnie.

— Tak, wiem, brała pani kąpiel — rzucił pospiesznie Crane.

— Chyba nie sugeruje pan, że sama sobie jestem winna, skoro ich nie usłyszałam — rzekła Eloise wyniosłym tonem.

— Oczywiście, że nie — czym prędzej zapewnił Phillip. Sądząc po morderczym spojrzeniu panny Bridgerton, jego zdrowie, a może i życie zależało od skwapliwości, z jaką przyzna jej rację. — Chyba panią teraz zostawię, żeby…

Nie bardzo wiedział, jak określić proces czyszczenia się z kilku funtów mąki.

Eloise skinęła głową. Nie było w tym geście nawet krzty entuzjazmu, ale Phillip ucieszył się, że przynajmniej nie zamierza wyjechać jeszcze tego samego wieczoru.

— Polecę kucharce, żeby trzymała kolację na piecu — powiedział. — I ukarzę dzieci.

— Nie! — zawołała za nim Eloise. — Proszę zostawić to mnie.

Crane odwrócił się wolno, trochę zaniepokojony tonem jej głosu.

— A co właściwie zamierza pani z nimi zrobić?

— Z nimi czy im?

Phillip nie przypuszczał, że dożyje takiej chwili, ale Bóg mu świadkiem, ta kobieta przeraziła go nie na żarty. Wyraz jej oczu był wręcz diaboliczny.

— Panno Bridgerton — zaczął ostrożnie — muszę spytać, co pani zamierza zrobić z moimi dziećmi?

— Właśnie się zastanawiam.

— Czy mogę liczyć na to, że jutro rano będą żywe?

— O, tak — zapewniła go Eloise. — Żywe i ze wszystkimi kończynami.

Phillip patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu. Zrozumiał, że Eloise Bridgerton da porządną nauczkę jego dzieciom. Osoba mająca siedmioro rodzeństwa z pewnością będzie wiedziała, jak się zemścić w wyrafinowany sposób.

— Dobrze, panno Bridgerton — powiedział niemal z satysfakcją. — Należą do pani.

Godzinę później, gdy oboje zasiedli do kolacji, rozległ się wrzask.

Phillip aż upuścił łyżkę. Krzyk Amandy brzmiał bardziej przerażająco niż zwykle.

Eloise nawet nie drgnęła, tylko dalej spokojnie jadła zupę żółwiową.

— Nic jej nie będzie — zapewniła, wycierając usta serwetką.

Z góry dobiegł tupot nóg. To Amanda pędziła do schodów. Phillip uniósł się z krzesła.

— Może powinienem…

— Włożyłam jej rybę do łóżka — wyjaśniła Eloise bez śladu uśmiechu.

Mimo to wyglądała na zadowoloną z siebie.

— Rybę? — zdziwił się Phillip.

— Bardzo dużą rybę.

Phillip gwałtownie zaczerpnął powietrza, ujrzawszy oczami wyobraźni zębatego rekina. Mimo poważnych obaw nie zdołał pohamować ciekawości.

— A skąd pani ją wzięła?

— Od pani Smith — odparła krótko Eloise, jakby kucharka codziennie wręczała jej wielkiego pstrąga.

Phillip zmusił się, żeby usiąść z powrotem. Stłumił w sobie ojcowski instynkt, który nakazywał biec córce na ratunek. Dziewczynka wrzeszczała, jakby lizały ją jęzory ognia, ale sama była sobie winna. Musiała ponieść konsekwencje swoich wybryków. Phillip sięgnął po łyżkę, lecz nagle znieruchomiał i spytał:

— A co pani podłożyła do łóżka Oliverowi?

— Nic.

Crane uniósł brew.

— Trzymam go w napięciu — wyjaśniła chłodno Eloise.

Phillip z uznaniem pokiwał głową.

— Oczywiście się zemszczą — ostrzegł.

— Będę gotowa. — Panna Bridgerton nie wyglądała na zaniepokojoną. Spojrzała mu prosto w oczy. — Chyba wiedzą, że zamierza pan poprosić mnie o rękę.

— Nigdy im o tym nie mówiłem.

— Jakżeby inaczej — mruknęła Eloise.

Popatrzył na nią uważnie, ale nie potrafił ocenić, czy chciała go obrazić.

— Nie czuję potrzeby informowania dzieci o swoich osobistych sprawach — oświadczył.

Eloise wzruszyła ramionami. Ten gest przyprawił Phillipa o wściekłość.

— Panno Bridgerton, nie potrzebuję pani rad, jak wychowywać moje dzieci.

— Nie powiedziałam ani słowa na ten temat — odparowała Eloise. — Choć mogłabym przypomnieć, że rozpaczliwie szuka pan dla nich matki, co by świadczyło, że jednak przydałaby się panu pomoc.

— Póki nie zgodzi się pani wziąć na siebie tej roli, może pani zachować swoje opinie dla siebie — odgryzł się Phillip.

Posłała mu lodowate spojrzenie i wróciła do jedzenia. Jednak po dwóch łyżkach zupy podniosła na niego wzrok i stwierdziła wojowniczo:

— Potrzebują dyscypliny.

— Myśli pani, że tego nie wiem?

— Potrzebują również miłości — dodała Eloise.

— Dostają miłość — zapewnił Phillip.

— I uwagi.

— Jej też im nie brakuje.

— Pańskiej uwagi.

Phillip wiedział, że daleko mu do ideału, ale nie zamierzał pozwolić, żeby go krytykowano.

— A pani w ciągu dwunastu godzin od swojego przyjazdu zauważyła, że dzieci są zaniedbywane — rzucił z gniewem.

Eloise prychnęła.

— Nie wymagało to aż dwunastu godzin. Wystarczyło, że dziś rano słyszałam, jak pana proszą, żeby poświęcił im pan choć kilka minut swojego cennego czasu.

— Nic podobnego — obruszył się Phillip, ale poczuł, że płoną mu czubki uszu, jak zawsze kiedy kłamał. Rzeczywiście uciekał przed własnymi dziećmi. Był jednak przerażony, że panna Bridgerton tak szybko to odkryła.

— Wręcz błagały, żeby nie pracował pan przez cały dzień — ciągnęła Eloise bezlitośnie. — Gdyby spędzał pan z nimi trochę więcej czasu…

— Nic pani nie wie o moich dzieciach — wysyczał Phillip. — I nic pani nie wie o mnie.

Eloise wstała gwałtownie.

— Najwyraźniej! — powiedziała, ruszając do drzwi.

— Proszę zaczekać! — zawołał Phillip, zrywając się z krzesła.

Do diaska! Jak to się stało? Jeszcze godzinę temu był przekonany, że panna Bridgerton zostanie jego żoną, a teraz wszystko wskazywało na to, że zamierza wrócić do Londynu.

Aż sapnął z irytacji. Nic skuteczniej nie wyprowadzało go z równowagi niż jego dzieci albo rozmowa o nich. Czy też, ściślej mówiąc, o jego ojcowskich niepowodzeniach.

— Przepraszam — powiedział ze skruchą, gotowy na wszystko, żeby tylko panna Bridgerton nie wyjechała. — Proszę! — Wyciągnął rękę. — Proszę nie odchodzić.

— Nie pozwolę, by traktował mnie pan jak idiotkę — oświadczyła Eloise.

— Jeśli czegoś zdążyłem się o pani dowiedzieć, to tego, że nie jest pani idiotką — zapewnił Phillip.

Eloise przez chwilę mierzyła go wzrokiem, aż w końcu podała mu dłoń.

— Musi pani zostać co najmniej do przyjścia Amandy — dodał niemal błagalnym tonem.

Panna Bridgerton pytająco uniosła brwi.

— Na pewno chciałaby pani nacieszyć się zwycięstwem — wyjaśnił Phillip. — Ja bym tak zrobił.

Eloise pozwoliła zaprowadzić się na miejsce, a niecałą minutę później do jadalni z krzykiem wpadła Amanda. Tuż za nią podążała niania.

— Tato! — krzyknęła z płaczem dziewczynka, rzucając mu się w ramiona.

Phillip objął ją niezdarnie. Od dawna tego nie robił.

— Co się stało? — zapytał, głaszcząc córkę po plecach.

Amanda odsunęła twarz od jego szyi i drżącym palcem wskazała na Eloise.

— To ona — rzuciła oskarżycielsko.

— Panna Bridgerton?

— Włożyła mi rybę do łóżka!

— A ty wysypałaś pannie Bridgerton mąkę na głowę — przypomniał surowo ojciec. — Więc jesteście kwita.

Amanda na chwilę zaniemówiła.

— Ale ty jesteś moim tatą! — wykrztusiła w końcu.

— Istotnie.

— Powinieneś stać po mojej stronie!

— Jeśli masz rację — rzekł spokojnie Phillip.

— To była ryba — zaszlochała córka.

— Czuję. Zdaje się, że przydałaby ci się kąpiel.

— Nie chcę się kąpać! Chcę, żebyś ją ukarał!

Phillip się uśmiechnął.

— Panna Bridgerton jest za duża, żeby ją karać, nie uważasz?

Amanda popatrzyła na niego z osłupieniem. Jej dolna warga drżała.

— Musisz jej powiedzieć, żeby sobie pojechała! — krzyknęła. — Natychmiast!

Phillip odsunął małą. Był z siebie całkiem zadowolony. Może sprawiła to obecność panny Bridgerton, ale miał więcej cierpliwości niż zwykle. Nie korciło go, żeby warknąć na córkę albo wypędzić ją z pokoju.

— Wybacz, Amando, ale panna Bridgerton jest moim gościem i zostanie

tu tak długo, jak zechcę — oświadczył.

Eloise odchrząknęła głośno.

— Albo jak długo ona sama zechce zostać — poprawił się Phillip.

Amanda skrzywiła usta.

— Co nie oznacza, że możecie dokuczać pannie Bridgerton, żeby ją stąd wypłoszyć — dodał szybko ojciec.

— Ale…

— Żadnych ale.

— Ale…

— Co powiedziałem? — zapytał surowo Phillip.

— Ale ona jest podła!

— A ja myślę, że jest bardzo sprytna. Żałuję, że sam już dawno temu nie włożyłem ci ryby do łóżka.

Dziewczynka cofnęła się przerażona.

— Wracaj do swojego pokoju, Amando.

— Ale tam cuchnie — zaprotestowała córka.

— Sama sobie jesteś winna.

— Ale moje łóżko…

— Będziesz musiała spać na podłodze — rzekł Phillip.

Dziewczynka ze zwieszoną głową powlokła się do drzwi.

— Ale…

— Tak, Amando? — zapytał Phillip, jego zdaniem imponująco cierpliwym tonem.

— Ona nie ukarała Olivera — szepnęła córka. — To niesprawiedliwe. Mąka to był jego pomysł.

Phillip uniósł brwi.

— No dobrze, nie tylko mój pomysł — poprawiła się Amanda. — Razem wszystko wymyśliliśmy.

— Na twoim miejscu nie martwiłbym się o Olivera. — Phillip w zamyśleniu pomasował brodę. — A może jednak bym się martwił. Podejrzewam, że panna Bridgerton ma wobec niego jakieś plany.

Amanda wyglądała na usatysfakcjonowaną.

— Dobranoc, tato — bąknęła pod nosem.

I pozwoliła niani, by wyprowadziła ją z jadalni.

Phillip wrócił do jedzenia, bardzo dumny z siebie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio wyszedł zwycięsko ze starcia z którymś z bliźniąt. Spojrzał na Eloise i powiedział:

— Biedny Oliver dostanie za swoje.

Panna Bridgerton wyglądała, jakby z trudem powstrzymywała się od uśmiechu.

— Nie będzie mógł zasnąć — stwierdziła.

Phillip pokiwał głową.

— Nie zmruży oka. Ale pani powinna uważać. Założę się, że Oliver zastawi na panią jakąś pułapkę.

— Nie mam zamiaru podejmować dziś wieczorem żadnych działań przeciwko niemu — oznajmiła Eloise, machnąwszy ręką. — To byłoby zbyt łatwe do przewidzenia. Wolę element zaskoczenia.

— O, tak — przyznał Phillip ze śmiechem.

Panna Bridgerton zrobiła zadowoloną minę.

— Zastanawiałam się nawet nad pozostawieniem go w ciągłej niepewności, ale to byłoby nieuczciwe wobec Amandy.

Phillip zadrżał.

— Nie cierpię ryb — powiedział z obrzydzeniem.

— Wiem. Pisał mi pan o tym.

— Tak?

Eloise pokiwała głową.

— Dziwne, że w ogóle jakaś znalazła się w tym domu — zauważyła. — Pewnie służba je lubi.

Jedząc kolejne dania, milczeli bez skrępowania albo gawędzili o niczym. Phillipowi przyszło do głowy, że może jednak małżeństwo nie jest taką złą rzeczą.

Przy Marinie chodził po domu na palcach, wciąż pełen lęku, że żona wpadnie w melancholijny nastrój. Czuł rozczarowanie, gdy wycofywała się z życia, niemal znikała. A chyba mogło być również tak jak teraz. Miło. Przyjaźnie. Spokojnie.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio rozmawiał z kimś o dzieciach i ich wychowaniu. Zawsze sam musiał dźwigać swoje brzemię, nawet za życia Mariny. Ona też była dla niego ciężarem. Kiedy umarła, poczuł ulgę i z tego powodu dręczyło go sumienie.

A Eloise…

Spojrzał ponad stołem na kobietę, która tak niespodziewanie pojawiła się w jego życiu. Jej włosy połyskiwały rudawo w blasku świec, oczy były pełne życia, a kiedy przyłapała go na tym, że ją obserwuje, pojawiły się w nich złośliwe iskierki.

Phillip uświadamiał sobie powoli, że takiej właśnie kobiety potrzebuje. Bystrej, pewnej siebie, władczej. Mężczyźni zwykle szukali zupełnie innych kandydatek na żonę, ale Phillip chciał, żeby ktoś wreszcie zaprowadził porządek w Romney Hall. Nic nie było takie, jak powinno, łącznie z dziećmi, a posępna atmosfera, która panowała w domu, kiedy Marina jeszcze żyła, niestety nie zniknęła po jej śmierci. Phillip chętnie scedowałby część swojej mężowskiej władzy na żonę, żeby tylko zdołała wszystko naprawić. Byłby bardzo szczęśliwy, gdyby mógł zaszyć się w oranżerii, a ona zajęłaby się całą resztą.

Czy Eloise Bridgerton zgodzi się wziąć na siebie rolę pani Romney Hall?

Dobry Boże, miał nadzieję, że tak.

5

…błagam Cię, mamo, musisz ukarać Daphne. To niesprawiedliwe, że tylko ja jestem posyłana do łóżka bez puddingu. W dodatku przez cały tydzień. Tydzień to za długo. Zwłaszcza że to wszystko był pomysł Daphne.

Z listu dziesięcioletniej Eloise Bridgerton do matki, zostawionego na nocnym stoliku Violetty Bridgerton

To dziwne, pomyślała Eloise, jak wiele może się zmienić w ciągu jednego dnia.

Gdy sir Phillip zaproponował, że pokaże jej galerię portretów, choć w rzeczywistości chciał jedynie przedłużyć wspólnie spędzone chwile, przyszło jej do głowy…

Że mimo wszystko okaże się doskonałym mężem.

Co prawda trochę brakowało jej poezji, romantyzmu i namiętności prawdziwych zalotów, ale ponieważ do jej trzydziestych urodzin pozostały tylko dwa lata, nie mogła kaprysić.

Jednak…

W blasku świec sir Phillip był bardziej przystojny, może nawet trochę niebezpieczny. W migotliwym świetle surowe rysy jego twarzy wyglądały niczym rzeźbione, prawie jak u posągów, które widziała w Muzeum Brytyjskim. A kiedy tak stał obok, władczym gestem trzymając ją za łokieć, niemal przytłaczał ją swoją bliskością.

To było dziwne, podniecające i odrobinę przerażające.

Ale również przyjemne. Zrobiła szaloną rzecz, uciekając z domu

w środku nocy, mając nadzieję, że znajdzie szczęście z mężczyzną, którego nie znała. Teraz ulgę przynosiła jej myśl, że może to jednak nie był błąd, że zaryzykowała, ale chyba wygrała.

Nie wyobrażała sobie powrotu do Londynu, konieczności wytłumaczenia się przed rodziną z tego, co zrobiła.

Musiałaby przyznać się do porażki. Przed sobą i przed innymi.

Lecz głównie przed sobą. A bardzo tego nie chciała.

Przy kolacji sir Phillip okazał się miłym towarzyszem, choć mniej gładkim i rozmownym, niż była przyzwyczajona. Najwyraźniej wiedział, co to jest czysta gra, zdaniem Eloise rzecz bardzo ważna w małżeństwie. Zaakceptował, a nawet podziwiał nauczkę, którą dała jego córce. Wielu jej londyńskich znajomych byłoby przerażonych, że szlachetnie urodzona dama mogła się uciec do tak podstępnych metod.

Jednym słowem, istniała duża szansa, że im się uda. Z jednej strony małżeństwo z nieznanym mężczyzną wydawało się szalonym pomysłem, ale z drugiej sir Phillip nie był tak całkiem jej obcy. Przecież korespondowali przez ponad rok.

— Mój dziadek — powiedział Phillip, wskazując duży portret.

— Całkiem przystojny — stwierdziła Eloise, choć niewiele widziała w słabym świetle. Pokazała na sąsiedni obraz. — A to pański ojciec?

Crane skinął głową, zaciskając usta.

— A pan? — zapytała Eloise, wyczuwając, że sir Phillip nie chce rozmawiać o ojcu.

— Tam, niestety.

Eloise poszła za jego wzrokiem i przyjrzała się portretowi chłopca w wieku około dwunastu lat. Obok niego stał chyba brat. Starszy.

— Co się stało z pańskim bratem? — zainteresowała się Eloise. Gdyby żył, Phillip Crane nie odziedziczyłby majątku ani tytułu baroneta.

— Waterloo — odparł krótko gospodarz.

Eloise, kierując się impulsem, dotknęła jego dłoni.

— Przykro mi — powiedziała.

Sir Phillip nie odzywał się przez dłuższą chwilę, aż w końcu wyznał cicho:

— To była dla mnie wielka strata.

— Jak miał na imię?

— George.

— Musiał pan być wtedy bardzo młody — stwierdziła, licząc w pamięci.

— Miałem dwadzieścia jeden lat. Ojciec umarł dwa tygodnie później.

Eloise się zamyśliła. Ona w wieku dwudziestu jeden lat powinna już być mężatką jak większość młodych dam z jej sfery. Powszechnie uważano, że człowiek dwudziestoletni jest dorosły, ale teraz, z perspektywy doświadczenia, ktoś taki wydawał się Eloise za mało dojrzały, żeby wziąć na swoje barki niespodziewany ciężar.

— Marina była jego narzeczoną.

Eloise wstrzymała oddech i zabrała rękę z jego dłoni.

— Nie wiedziałam.

Phillip wzruszył ramionami.

— To nie ma znaczenia. Chciałaby pani zobaczyć jej podobiznę?

— Tak.

Eloise stwierdziła, że naprawdę chce zobaczyć Marinę. Minęły lata od ich ostatniego spotkania, tak że pamiętała tylko ciemne włosy swojej dalekiej kuzynki i jasne oczy, chyba niebieskie. Jako rówieśniczki sadzano je razem na rodzinnych uroczystościach, ale tak naprawdę niewiele miały ze sobą wspólnego. Już wtedy, gdy miały po osiem lat, jak teraz Amanda i Oliver, różnice między nimi rzucały się w oczy. Eloise była niezwykle żywym dzieckiem, lubiła wspinać się na drzewa i zjeżdżać po poręczach,

zawsze naśladowała starsze rodzeństwo i domagała się udziału w ich psotach. Marina była cicha, o refleksyjnym usposobieniu. Eloise pamiętała, że ciągnęła ją za rękę i próbowała namówić do zabawy, ale kuzynka wolała siedzieć w kącie z książką.

Eloise kiedyś zaznaczyła strony i przekonała się, że Marina nigdy nie wyszła poza trzydziestą drugą.

Dziwne, że akurat to zapamiętała. Widocznie nie mogła pojąć, dlaczego jej rówieśniczka woli zostać w domu, gdy na dworze świeci słońce. Przez resztę tamtej wizyty szeptała ze swoją siostrą Francescą, próbując dociec, co właściwie Marina robi z tą książką.

— Pamięta ją pani? — zapytał Phillip.

— Trochę — odparła Eloise. Sama nie wiedziała, dlaczego nie chce podzielić się z nim swoimi wspomnieniami. W każdym razie w ten sposób zapamiętała ów kwietniowy tydzień sprzed dwudziestu lat: narady z Francescą i Marinę wpatrującą się w otwartą książkę.

Gdy zbliżyli się do portretu, Eloise zobaczyła, że jej kuzynka została uwieczniona w ciemnoczerwonej, misternie udrapowanej sukni. Siedziała na kanapie, z małą Amandą na kolanach, a obok stał Oliver w jednej z tych póz, które zmuszani są przyjmować chłopcy: wyprostowany i poważny niczym miniaturka dorosłego.

— Była śliczna — stwierdziła Eloise.

Phillip przez jakiś czas bez słowa patrzył na podobiznę zmarłej żony, a potem z trudem, jakby wymagało to od niego całej siły woli, odwrócił się i ruszył dalej.

Kochał ją kiedyś? A teraz?

Marina miała wyjść za jego brata. Wszystko wskazywało na to, że Phillip ożenił się z nią z obowiązku.

Ale to nie oznaczało, że nic do niej nie czuł. Może durzył się w niej

skrycie, kiedy jeszcze była zaręczona z jego bratem. Albo zakochał się po ślubie.

Eloise rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie, gdy niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w portret. Na jego twarzy malowały się emocje. A jednak coś czuł do żony. Minął zaledwie rok od jej śmierci, pomyślała Eloise. Oficjalny okres żałoby mógł nie wystarczyć na pogodzenie się ze stratą ukochanej osoby.

Gdy w końcu odwrócił głowę, uświadomiła sobie, że wpatruje się w jego twarz. Powinna uciec wzrokiem, zarumienić się, coś wymamrotać, ale tylko stała jak zahipnotyzowana, bez tchu, a po jej ciele rozlewało się dziwne ciepło.

Choć znajdował się w odległości co najmniej trzech metrów od niej, miała wrażenie, jakby jej dotykał.

— Eloise?

Nie usłyszała głosu, tylko zobaczyła, że jego wargi układają się w taki sposób, jakby wymawiał jej imię.

Nagle coś wyrwało ją z transu. Może jego szept albo skrzypienie drzewa za oknem. W każdym razie nareszcie mogła się ruszyć. I myśleć. Czym prędzej odwróciła się do portretu Mariny i utkwiła wzrok w pogodnej twarzy kuzynki.

— Dzieci muszą za nią tęsknić — stwierdziła, żeby zagaić rozmowę, odzyskać panowanie nad sobą.

Sir Phillip nic nie mówił przez dłuższą chwilę.

— Tak, długo za nią tęskniły — przyznał w końcu.

— Wiem, jak się czują — powiedziała Eloise. — Ja też byłam mała, kiedy umarł mój ojciec.

Phillip zmierzył ją wzrokiem.

— Nie wiedziałem.

Eloise wzruszyła ramionami.

— Rzadko o tym mówię. To było tak dawno temu.

Phillip zbliżył się do niej powoli.

— Dużo czasu minęło, zanim się pani otrząsnęła?

— Nie jestem pewna, czy po takim nieszczęściu w ogóle można dojść do siebie — odparła Eloise. — To znaczy, całkowicie. Ale nie myślę o ojcu codziennie, jeśli to chciał pan wiedzieć.

Odwróciła się od portretu Mariny. Za długo na niego patrzyła. Poczuła się jak intruz.

— Sądzę, że moi bracia dużo silniej przeżyli jego śmierć — dodała. — Zwłaszcza najstarszy Anthony, wyjątkowo zżyty z ojcem. Był już młodym mężczyzną, kiedy to się stało. Oczywiście najbardziej cierpiała moja matka. Rodzice gorąco się kochali.

— Jak to zniosła? — spytał Phillip.

— Najpierw dużo płakała. Ale tylko nocami w swoim pokoju, gdy myślała, że już śpimy. Bardzo za nim tęskniła. Musiało być jej ciężko, gdy została sama z siódemką dzieci.

— Myślałem, że jest was ośmioro.

— Hiacynta urodziła się miesiąc później — wyjaśniła.

— O Boże! — wyszeptał Phillip.

Tak, Eloise dobrze go rozumiała. Sama nie miała pojęcia, jak matka sobie poradziła.

— To była niespodziewana śmierć. Ojciec został ukąszony przez osę. Wyobraża pan sobie? Przez osę. Potem… Nie, nie będę pana zanudzać szczegółami. Chodźmy już. I tak jest tutaj za ciemno, żeby oglądać portrety.

Oczywiście to była tylko wymówka. Rozmawiając o śmierci ojca, Eloise zawsze czuła się nieswojo. Teraz po prostu nie miała ochoty dłużej przebywać wśród podobizn zmarłych ludzi.

— Chciałabym obejrzeć pańską oranżerię — powiedziała.

— Teraz?

Rzeczywiście jej prośba mogła wydać się dziwna.

— Lepiej jutro — poprawiła się Eloise. — Będzie jasno.

Na wargach sir Phillipa pojawił się cień uśmiechu.

— Możemy pójść od razu.

— Ale nic nie zobaczymy — stwierdziła Eloise.

— Nie wszystko, ale coś jednak zobaczymy — uspokoił ją gospodarz. — Świeci księżyc, a poza tym zabierzemy lampę.

Eloise z powątpiewaniem spojrzała za okno.

— Jest zimno.

— Weźmie pani płaszcz. — Phillip nachylił się ku niej z wyzywającym błyskiem w oku. — Chyba się pani nie boi?

— Oczywiście, że nie! — obruszyła się Eloise. Dostrzegła przynętę, ale dała się złapać.

Sir Phillip uniósł brew.

— Gdyby pan mnie lepiej znał, wiedziałby, że nie należę do strachliwych kobiet — oświadczyła Eloise.

— Z pewnością — mruknął Crane.

— Jest pan protekcjonalny.

Phillip tylko się zaśmiał.

— Dobrze, niech pan prowadzi — zadecydowała Eloise.

— Jak tu ciepło! — wykrzyknęła, kiedy gospodarz zamknął za nimi drzwi oranżerii.

— Zwykle jest jeszcze cieplej — powiedział Phillip. — Słońce mocno nagrzewa wnętrze przez te duże tafle szkła, ale z wyjątkiem dzisiejszego ranka niebo przez ostatnie dni było zasnute chmurami.

Często nocą, gdy nie mógł zasnąć, przychodził do oranżerii i pracował

przy świetle lampy. A zanim owdowiał, szukał sobie zajęcia, żeby nie kusiła go sypialnia Mariny.

Ale nikogo nie zapraszał, by dotrzymywał mu towarzystwa w ciemności. Za dnia również przebywał tutaj sam. Teraz patrzył na wszystko oczami panny Bridgerton i dostrzegał nowe szczegóły, choćby magiczną perłową poświatę księżyca na liściach. W dzień spacer po oranżerii nie różnił się zbytnio od spaceru po angielskich lasach, o ile nie patrzyło się na rzadkie odmiany paproci albo importowane storczyki.

Lecz w nocy, gdy mrok płatał oczom figle, wydawało się, że idą przez nieznaną dżunglę, gdzie za każdym drzewem czai się tajemnica.

— Co to jest? — zapytała Eloise, spoglądając na osiem małych glinianych doniczek ustawionych w rzędzie na stole roboczym.

Phillip podszedł do niej, mile połechtany jej szczerą ciekawością. Większość ludzi tylko udawała zainteresowanie albo nawet nie zadawała sobie takiego trudu i szybko stąd uciekała.

— To mój najnowszy eksperyment. Groszek.

— Ten, który jemy?

— Tak. Staram się wyhodować dorodniejszą odmianę.

Eloise przyjrzała się doniczkom. Nic jeszcze nie kiełkowało. Nasiona zostały posadzone zaledwie przed tygodniem.

— Dziwne — mruknęła. — Nie miałam pojęcia, że coś takiego można zrobić.

— Ja też nie mam pojęcia, czy mi się uda — przyznał Phillip. — Próbuję od roku.

— Bez powodzenia? To frustrujące.

— Miałem pewne sukcesy, ale nie takie, jakbym chciał.

— Któregoś roku próbowałam wyhodować róże — powiedziała Eloise. — Wszystkie zmarniały.

— Róże są trudniejsze do hodowania, niż się powszechnie sądzi — pocieszył ją Phillip.

Eloise spojrzała na niego z powątpiewaniem.

— Zauważyłam, że u pana jest ich mnóstwo.

— Dzięki ogrodnikowi.

— Botanik zatrudnia ogrodnika? — zdziwiła się Eloise.

Phillip wiele razy słyszał takie uwagi.

— Podobnie jak krawiec szwaczkę.

Eloise pokiwała głową i ruszyła w głąb oranżerii. Tu i ówdzie zatrzymywała się, żeby obejrzeć różne rośliny, i karciła gospodarza, że nie nadąża za nią z lampą.

— Bardzo pani dzisiaj władcza — skomentował Phillip.

Panna Bridgerton odwróciła się i przyłapała go na uśmiechu.

— Wolę określenie „zaradna” albo „dobrze zorganizowana” — oświadczyła półżartem.

— Kobieta zarządca, tak?

— Dziwię się, że nie wydedukował pan tego z listów — odparowała Eloise.

— A jak pani sądzi, dlaczego panią zaprosiłem? — zrewanżował się Crane.

— Chciał pan, żeby ktoś pokierował pańskim życiem? — rzuciła przez ramię, idąc dalej.

Phillipowi najbardziej zależało na tym, żeby ktoś pokierował jego dziećmi, ale raptem stwierdził, że zupełnie co innego chodzi mu po głowie. Panna Bridgerton patrzyła na niego, jakby…

Jakby chciała, żeby ją pocałował.

Powoli ruszył w jej stronę niczym drapieżca, zanim po dwóch krokach uświadomił sobie, co robi.

— Co to jest? — zapytała Eloise.

— Roślina — odparł krótko.

— Wiem. Gdybym…

W tym momencie dostrzegła błysk w jego oczach i umilkła.

— Mogę panią pocałować? — spytał.

Powstrzymałby się, gdyby zaprotestowała, ale nie dał jej szansy, pokonując dystans między nimi, zanim zdążyła odpowiedzieć.

— Mogę? — powtórzył, stojąc tak blisko, że wyszeptał to słowo tuż przy jej ustach.

Skinęła głową ledwo widocznym, ale zdecydowanym ruchem. Phillip musnął wargami jej usta, lekko, delikatnie, pamiętając, że tę kobietę zamierza poślubić.

Ale ona otoczyła rękami jego szyję i wtedy zapragnął więcej.

Dużo więcej.

Rozchylił językiem wargi Eloise, nie zważając na jej zaskoczenie. Lecz nawet to było dla niego za mało. Pragnął poczuć jej ciepło, witalność. Otoczył ją ramionami, jedną dłoń kładąc na plecach, drugą śmiało obejmując krągłość pośladka. Przygarnął ją do siebie, nie wstydząc się własnego pożądania. Minęło już tyle czasu, odkąd trzymał w ramionach kobietę, a Eloise była taka miękka i rozkoszna.

Pragnął jej.

Pragnął całej, ale nawet jego umysł zamroczony żądzą wiedział, że dziś jest to niemożliwe. Postanowił więc, że zadowoli się trzymaniem jej w objęciach, żarem jej ciała przenikającym go na wskroś.

Eloise odwzajemniła pocałunek, najpierw z wahaniem, jakby nie była całkiem pewna, co robi, potem z coraz większym zapałem, wydając uwodzicielskie gardłowe pomruki.

Doprowadzała go do szaleństwa.

— Eloise, Eloise — wyszeptał Phillip ochrypłym głosem.

Zanurzył dłoń w jej gęstych włosach, aż jedno kasztanowe pasmo wysunęło się z misternej fryzury. Phillip powędrował ustami do smukłej szyi, a Eloise wygięła plecy w łuk. Gdy zgiął kolana i dotarł wargami do jej obojczyka, odsunęła się gwałtownie.

— Przepraszam — wykrztusiła, poprawiając dekolt sukni, choć nie wymagał poprawek.

— A ja nie — rzekł Phillip bez cienia skruchy.

Oczy Eloise rozszerzyły się ze zdumienia, lecz on nie zamierzał się kajać. Nigdy nie ukrywał tego, co naprawdę myśli, więc lepiej, żeby poznała go od tej strony, nim będzie za późno.

I wtedy go zaskoczyła.

— To była figura retoryczna — powiedziała.

— Słucham?

— Powiedziałam, że przepraszam, ale wcale nie miałam tego na myśli. Po prostu tak się mówi.

Sprawiała wrażenie całkowicie opanowanej, jakby przed chwilą nie była namiętnie całowana.

— Ludzie plotą różne rzeczy, żeby wypełnić ciszę — dodała.

Phillip już zdążył się zorientować, że panna Eloise Bridgerton nie jest kobietą, która lubi ciszę.

— To tak jak wtedy…

Uciszył ją pocałunkiem.

— Sir Phillipie!

— Czasami cisza to dobra rzecz — stwierdził z uśmiechem zadowolenia.

Eloise zrobiła urażoną minę.

— Sugeruje pan, że za dużo mówię?

Phillip wzruszył ramionami. Doskonale się bawił, drażniąc pannę Brid-

gerton.

— Musi pan wiedzieć, że tu jestem bez porównania bardziej milcząca niż u siebie w domu — oświadczyła Eloise.

— Trudno mi to sobie wyobrazić.

— Sir Phillipie!

— Cii. — Ujął jej dłoń, a kiedy się wyrwała, chwycił ją ponownie, tym razem mocniej. — Przyda się nam tutaj trochę gwaru.

Gdy Eloise obudziła się następnego ranka, miała wrażenie, jakby nadal była pogrążona we śnie. Poprzedniego wieczoru nie spodziewała się, że sir Phillip ją pocałuje.

I nie przypuszczała, że tak bardzo jej się to spodoba.

Poczuła głód, więc postanowiła zejść do jadalni. Nie miała pojęcia, czy zastanie tam pana domu. Lubił wcześnie wstawać? A może wolał wylegiwać się w łóżku do południa? To dziwne, że nie wiedziała takich rzeczy, choć poważnie zastanawiała się, czy wyjść za niego za mąż.

I co mu powie, jeśli się okaże, że czeka na nią, jedząc jajecznicę? Co się mówi mężczyźnie po tym, jak się z nim całowało?

Nieważne, że pocałunek był bardzo miły. Zachowali się po prostu skandalicznie.

A jeśli jedyne, co zdoła z siebie wykrztusić, to „dzień dobry”? Sir Phillip z pewnością uzna, że to zabawne, po tym jak poprzedniego wieczoru żartował z jej gadatliwości.

Omal się nie roześmiała. Ona, która potrafiła prowadzić rozmowę o niczym i często to robiła, nie była pewna, co powie, kiedy zobaczy sir Phillipa Crane’a.

Całował ją, a to wszystko zmieniało.

Podeszła do drzwi i otworzyła je bardzo ostrożnie. Nie sądziła, żeby Oliver i Amanda drugi raz spróbowali tej samej sztuczki, ale nigdy nie

wiadomo. Nie budziła w niej entuzjazmu myśl o kolejnej mącznej kąpieli. Albo o czymś gorszym. Po incydencie z rybą dzieci prawdopodobnie przyszykowałyby dla niej coś płynnego i cuchnącego.

Nucąc pod nosem, wyszła na korytarz i skręciła w prawo, ku schodom. Dzień zapowiadał się obiecująco. Kiedy rankiem spojrzała za okno, słońce wyjrzało zza chmur i…

— Och!

Krzyk sam wyrwał się z jej gardła, gdy runęła do przodu, zawadziwszy o coś nogą. Nie miała szansy odzyskać równowagi. Jak zwykle szła szybko, więc kiedy upadła, zrobiła to z impetem.

I nawet nie zdążyła choć trochę zamortyzować upadku rękami. Łzy stanęły jej w oczach. Miała wrażenie, jakby jej podbródek palił ogień. Dodatkowo, padając, odrobinę przekręciła głowę w bok.

Jęknęła cicho, czekając, aż ból ustąpi. Sądziła, że będzie jak z dużym palcem u nogi, który po uderzeniu mocno pulsuje, a po chwili zostaje już tylko tępy ucisk.

Niestety, płomień nie gasł. Czuła go na brodzie, policzku, kolanie i biodrze.

Była cała poobijana.

Powoli, z trudem dźwignęła się wpierw do klęku, a następnie do pozycji siedzącej. Oparła się plecami o ścianę i dotknęła policzka. Ledwo powstrzymała się od syknięcia.

— Eloise!

Nie podniosła głowy, bała się ruszyć.

— Eloise, na Boga! — Phillip jednym susem pokonał ostatnie trzy stopnie schodów i podbiegł do niej. — Co się stało?

— Upadłam. — Nie zamierzała się skarżyć, ale samo tak wyszło.

Z delikatnością niezwykłą u mężczyzny jego postury ujął jej dłoń

i odsunął ją od policzka.

— Trzeba przyłożyć kawałek mięsa — stwierdził.

Eloise spojrzała na niego przez łzy.

— Jest siniak?

Phillip kiwnął głową z ponurą miną.

— Możliwe, że ma pani podbite oko. Jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić.

Eloise próbowała się uśmiechnąć, obrócić całą sytuację w żart, ale nie zdołała.

— Bardzo boli? — zapytał Phillip z troską.

Skinęła głową, zastanawiając się, dlaczego sam jego głos przyprawia ją o ściskanie w gardle. Przypomniało się jej, jak w dzieciństwie spadła z drzewa. Skręciła sobie kostkę, ale jakoś udało się jej nie rozpłakać, póki nie wróciła do domu.

Wystarczyło jedno spojrzenie matki, żeby zaczęła szlochać.

Phillip ostrożnie dotknął jej policzka i szybko zabrał rękę, kiedy się skrzywiła.

— Nic mi nie będzie — zapewniła go Eloise.

— Co się stało? — powtórzył.

Oczywiście dobrze znała odpowiedź na to pytanie. Zastawiono na nią pułapkę, przeciągając niewidoczną linkę przez korytarz. Domyślenie się, czyja to sprawka, nie wymagało nadzwyczajnych zdolności detektywistycznych.

Nie chciała jednak ściągać kłopotów na bliźnięta. Przynajmniej nie takich, które je czekały, gdyby ojciec zajął się sprawą. Nie sądziła, żeby Amanda i Oliver zamierzali zrobić jej krzywdę.

Ale Phillip już dostrzegł cienki szpagat owiązany wokół nóg dwóch

stolików stojących pod przeciwległymi ścianami. Oba wyjechały na środek korytarza, kiedy Eloise się potknęła.

— Nie zauważyłam tego — powiedziała, choć było to oczywiste.

Nie odrywając od niej wzroku, Phillip mocnym szarpnięciem zerwał sznurek.

Eloise wstrzymała oddech. Phillip najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z własnej siły.

Ani z siły swojego gniewu.

— Sir Phillipie! — wyszeptała Eloise, ale jej nie usłyszał.

— Oliver! — ryknął. — Amanda!

— Na pewno nie zamierzali zrobić mi krzywdy… — zaczęła Eloise, choć nie wiedziała, dlaczego właściwie broni dzieci.

Sprawiły jej ból, to prawda, ale czuła, że wymierzona przez nią kara byłaby mniej dotkliwa niż ta, którą szykował dla nich ojciec.

— Nic mnie to nie obchodzi — warknął Phillip. — Proszę zobaczyć, jak blisko schodów pani wylądowała. A gdyby pani z nich spadła?

Eloise spojrzała na podest. Był blisko, ale nie na tyle, żeby groziło jej runięcie na dół.

— Nie sądzę…

— Muszą za to odpowiedzieć — rzekł Crane głosem drżącym z wściekłości.

— Wszystko będzie dobrze — próbowała go uspokoić.

Piekący ból z wolna przechodził w tępe pulsowanie. Ale kiedy sir Phillip wziął ją na ręce, wydała cichy okrzyk.

— Zaniosę panią do łóżka — oznajmił stanowczym tonem, ledwo hamując furię.

Eloise nie zaprotestowała.

W tym momencie na podeście zjawiła się pokojówka. Ujrzawszy

ciemniejący siniak na twarzy gościa, gwałtownie nabrała powietrza, zasłaniając usta ręką.

— Proszę przynieść kawałek mięsa — polecił Crane. — Albo cokolwiek.

Służąca kiwnęła głową i pobiegła na dół, a Phillip ruszył w stronę pokoju gościnnego.

— Jeszcze coś panią boli? — zapytał, sadzając Eloise na łóżku.

— Biodro — przyznała. — I łokieć.

Phillip pokiwał głową z posępną miną.

— Coś pani sobie złamała?

— Nie! — odparła szybko Eloise. — Ja…

— Muszę sprawdzić — oświadczył Crane i nie zważając na protesty, delikatnie obmacał jej ramię.

— Sir Phillipie, ja…

— Moje dzieci omal pani nie zabiły — powiedział i dodał bez śladu rozbawienia w oczach: — Sądzę, że może pani sobie darować to „sir”.

Eloise przełknęła ślinę, patrząc, jak Phillip długim krokiem podchodzi do drzwi.

— Natychmiast sprowadźcie mi tu bliźnięta — rzucił do sługi stojącego na korytarzu.

Eloise nie wierzyła, żeby dzieci nie słyszały jego wcześniejszego ryku, ale wcale im się nie dziwiła, że odwlekają chwilę sądu.

— Phillipie — odezwała się, żeby zwabić go z powrotem do pokoju — proszę zostawić ich mnie. To ja zostałam poszkodowana i…

— To moje dzieci i ja je ukarzę — oświadczył Crane. — Bóg wie, że od dawna należy się im porządna nauczka.

Eloise obserwowała go z rosnącym przerażeniem. Niemal trząsł się z wściekłości i choć sama chętnie przetrzepałaby łobuziakom skórę, uważała, że ich ojciec nie powinien wymierzać kary w tym stanie.

— Zrobiły pani krzywdę — powiedział cicho. — To niewybaczalne.

— Nic mi nie będzie — zapewniła go powtórnie Eloise. — Za kilka dni nawet nie…

— Nie w tym rzecz — przerwał jej ostro. — Gdybym… — Załamał mu się głos, więc spróbował jeszcze raz: — Gdybym nie…

Zabrakło mu słów. Oparł się o ścianę, odchylił głowę do tyłu, spojrzał w sufit. Eloise nie wiedziała, czego tam szuka. Może odpowiedzi.

W końcu skierował na nią śmiertelnie poważny wzrok, a Eloise dostrzegła w jego oczach coś, czego nie spodziewała się tam zobaczyć.

I wtedy zrozumiała, że cały ten gniew, ledwo hamowana furia nie są spowodowane wybrykiem dzieci. W każdym razie nie tylko.

Wyraz jego twarzy i oczu świadczyły o… nienawiści do samego siebie.

On nie winił dzieci.

Obwiniał siebie.

6

…niedobrze, że pozwoliłaś mu się pocałować. Kto wie, na co się odważy przy następnym spotkaniu? Ale stało się, więc pozostaje mi tylko zapytać: czy było miło?

Z listu Eloise Bridgerton do siostry, wsuniętego pod drzwi jej sypialni tego wieczoru, kiedy Francesca poznała hrabiego Kilmartin, którego poślubiła dwa miesiące później

Kiedy dzieci weszły do pokoju, a właściwie zostały wepchnięte przez nianię, Phillip z trudem się opanował i został na swoim miejscu. Bał się, że jeśli do nich podejdzie, zbije je na kwaśne jabłko.

A wiedział, że później by tego żałował.

Splótł ramiona na piersi i bez słowa wpił groźny wzrok w syna i córkę, zastanawiając się, co powiedzieć.

W końcu Oliver odezwał się drżącym głosem:

— Tato?

Phillipowi przyszła do głowy tylko jedna rzecz. Według niego najważniejsza.

— Widzicie pannę Bridgerton? — spytał.

Bliźnięta pokiwały głowami, nie patrząc na swoją ofiarę. Wokół jej oka już robił się fioletowy siniak.

— Czy coś zauważyłyście?

Dzieci nie odpowiedziały. Ciszę przerwała pokojówka, stając w progu.

— Prosił pan o to, sir?

Phillip podszedł do drzwi i wziął od niej kawałek surowego mięsa.

— Głodne? — warknął do dzieci. — To dobrze.

Usiadł na łóżku obok Eloise.

— Proszę — rzucił burkliwie. Niestety, nie zdołał zapanować nad tonem głosu.

Potem odsunął jej ręce i sam przyłożył mięso do podbitego oka, a następnie przykrył je ściereczką. Zrobiwszy okład, wstał i zbliżył się do dzieci.

— Spójrzcie na mnie — polecił surowo, gdy żadne nie oderwało wzroku od podłogi.

Kiedy go posłuchały, zobaczył przerażenie w ich oczach. Choć ten widok go poruszył, niestety musiał jakoś ukarać dzieci za wybryk.

— Nie chcieliśmy, żeby coś jej się stało — wyszeptała Amanda.

— Naprawdę? — Phillip mówił lodowatym tonem, ale jego twarz zdradzała gniew. Nawet Eloise skuliła się na łóżku. — Nie pomyślałyście, że panna Bridgerton może sobie zrobić krzywdę, kiedy potknie się o sznurek? — ciągnął z sarkazmem, który był jeszcze bardziej przerażający niż wściekłość. — A może słusznie rozumowałyście, że sam sznurek nie jest groźny, lecz nie przyszło wam do głowy, że panna Bridgerton może przy upadku bardzo się potłuc.

Dzieci milczały.

Phillip spojrzał na poszkodowaną. Eloise zdjęła okład i ostrożnie dotknęła policzka. Siniak pod okiem stawał się coraz wyraźniejszy.

Bliźniętom należało przemówić do rozumu. Nie mogły dalej tak się zachowywać. Musiały pojąć, że trzeba innych traktować z większym szacunkiem. Powinny się nauczyć…

Phillip zaklął pod nosem. Musiały nauczyć się… czegokolwiek.

Wskazał głową drzwi.

— Chodźcie — polecił krótko i idąc do wyjścia, dorzucił przez ramię: —

Natychmiast.

Wyprowadzając dzieci na korytarz, modlił się o dość siły, żeby nad sobą zapanować.

Eloise nie chciała podsłuchiwać, ale mimo woli wytężała słuch. Nie wiedziała, dokąd sir Phillip zabrał dzieci: do sąsiedniego pokoju, na górę czy na dwór. Jedno było pewne. Zamierzał je ukarać.

I choć uważała, że Amanda i Oliver powinni ponieść karę, by zrozumieć, że zrobili rzecz niewybaczalną, w głębi serca martwiła się o nich. Wyglądali na przerażonych, kiedy ojciec ich wyprowadzał, a jej przypomniało się, jak poprzedniego dnia Oliver wypalił: „Zbije nas pani?”.

Mówiąc to, aż się skulił, jakby oczekiwał lania.

Chyba… Nie, to niemożliwe, pomyślała Eloise. Co innego dać czasami dzieciom klapsa, a co innego karać je biciem. Sir Phillip z pewnością tego nie robił.

Nie mogła aż tak pomylić się w jego ocenie. Poprzedniego wieczoru pozwoliła temu mężczyźnie się pocałować, sama też go pocałowała. Na pewno wyczułaby w nim skłonność do okrucieństwa, gdyby należał do osób, które znęcają się nad dziećmi.

Minęła prawie wieczność, zanim do pokoju wrócili mali winowajcy, ponurzy, z czerwonymi oczami. Dzieci wlokły się w żółwim tempie, popędzane przez idącego za nimi jeszcze bardziej posępnego ojca.

Zbliżyły się do łóżka, szurając nogami. Eloise odwróciła głowę, żeby je lepiej widzieć. Na jednym oku miała okład z surowego mięsa i oczywiście tę właśnie stronę wybrali Amanda i Oliver.

— Przepraszamy, panno Bridgerton — wymamrotali.

— Głośniej — rozkazał sir Phillip ostrym tonem.

— Przepraszamy — karnie powtórzyły bliźnięta.

Ranna skinęła głową.

— To się więcej nie powtórzy — dodała Amanda.

— Bardzo mnie to cieszy — powiedziała Eloise.

Phillip chrząknął znacząco.

— Tata mówi, że musimy pani wynagrodzić krzywdę — wtrącił Oliver.

— Hm… — zaczęła niepewnie Eloise.

— Lubi pani słodycze? — zapytała Amanda.

Eloise łypnęła na nią zdrowym okiem.

— Słodycze? — powtórzyła zdziwiona. Dziewczynka potwierdziła skinieniem głowy.

— Tak, chyba tak — odparła Eloise. — Wszyscy je lubią, prawda?

— Mam pudełko cytrynowych dropsów — oznajmiła Amanda. — Zbierałam je przez kilka miesięcy. Mogę je pani dać.

Eloise poczuła ściskanie w gardle na widok markotnej miny dziewczynki. Coś było nie tak z bliźniętami. Czegoś brakowało w ich życiu. Mając licznych siostrzeńców, doskonale wiedziała, jak wyglądają szczęśliwe dzieci.

— W porządku, Amando — powiedziała ze wzruszeniem. — Możesz zatrzymać swoje dropsy.

— Ale musimy pani coś dać — upierała się dziewczynka, rzucając zalęknione spojrzenie na ojca.

Eloise już miała ją zapewnić, że ta ofiara nie jest konieczna, ale patrząc na twarz Amandy, zrozumiała, że jednak jest. Po pierwsze, dlatego, że sir Phillip postawił taki warunek, a Eloise nie zamierzała podważać jego autorytetu. Po drugie, bliźnięta musiały zrozumieć, co to znaczy naprawić krzywdę.

— Więc dobrze — ustąpiła. — Możesz dać mi popołudnie.

— Popołudnie?

— Tak. Kiedy poczuję się lepiej, ty i twój brat podarujecie mi jedno

popołudnie. Niezbyt dobrze orientuję się w Romney Hall, a wy na pewno znacie tutaj każdy kąt. Możecie mnie oprowadzić. Oczywiście musicie obiecać, że nie będzie żadnych kawałów — dodała, ponieważ ceniła własne zdrowie i samopoczucie.

— Żadnych. — Amanda energicznie pokręciła głową. — Obiecuję.

— Oliverze! — ponaglił Phillip milczącego syna.

— Nie będzie żadnych kawałów w to popołudnie — mruknął chłopiec.

Ojciec chwycił go za kołnierz.

— Nigdy! — szybko poprawił się Oliver. — Obiecuję! Zostawimy pannę Bridgerton w spokoju!

— Mam nadzieję, że nie — odezwała się Eloise, zerkając na sir Phillipa. Miała nadzieję, że właściwie zrozumiał jej spojrzenie. — Przecież jesteście mi winni jedno popołudnie.

Amanda uśmiechnęła się ostrożnie, natomiast jej brat zachował ponurą minę.

— Możecie już iść — powiedział ojciec.

Dzieci popędziły do drzwi.

Po ich wyjściu dorośli milczeli przez dłuższą chwilę. Twarze mieli puste, znużone. Eloise była wyczerpana, ale jednocześnie czujna, jakby znalazła się w sytuacji, którą nie całkiem rozumiała.

Z jej gardła omal nie wyrwał się nerwowy śmiech. Oczywiście, że znajdowała się w niejasnej sytuacji i okłamywała samą siebie, uważając, że wie, co robić.

Sir Phillip sztywno podszedł do łóżka.

— Jak się pani czuje? — spytał.

— Chyba zaraz się rozchoruję od zapachu tego mięsa — odparła szczerze Eloise.

Phillip bez słowa podsunął jej talerz. Eloise odłożyła na niego stek

i skrzywiła się, słysząc nieprzyjemne mlaśnięcie.

— Chciałabym obmyć twarz — powiedziała.

Gospodarz pokiwał głową.

— Dobrze, tylko najpierw obejrzę pani oko.

— Ma pan doświadczenie w takich sprawach? — zapytała Eloise, ale posłusznie spojrzała w sufit, kiedy ją o to poprosił.

— Pewne. — Delikatnie nacisnął kciukiem jej kość policzkową. — Wygląda dobrze.

— Na pewno? — powtórzyła Eloise.

— Boksowałem na uniwersytecie — wyjaśnił Phillip.

— Był pan dobry?

Sir Phillip odwrócił jej głowę w bok.

— Proszę spojrzeć w lewo — polecił. — Dość dobry.

— Co to znaczy?

— Proszę zamknąć oko.

— Co to znaczy? — Eloise nie dawała za wygraną.

— Nie zamknęła pani oka.

Na wszelki wypadek zacisnęła obie powieki, żeby nie mrugać.

— Co to znaczy? — powtórzyła jeszcze raz.

Nie widziała jego twarzy, ale wyczuła, że się zawahał.

— Czy ktoś już pani mówił, że jest pani uparta?

— Bardzo często. To moja jedyna wada.

— Jedyna? — W jego głosie wyraźnie było słychać śmiech.

— Jedyna, o której warto wspomnieć. — Eloise otworzyła oczy. — Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Bo zapomniałem, jak brzmiało.

Już chciała zadać je ponownie, ale zrozumiała, że sir Phillip tylko się z nią droczy, więc spiorunowała go wzrokiem.

— Proszę zamknąć oko, jeszcze nie skończyłem. — Kiedy spełniła polecenie, nareszcie wyjaśnił: — „Dość dobry” oznaczało, że nie musiałem walczyć, jeśli nie chciałem.

— Ale nie był pan mistrzem — domyśliła się Eloise.

— Może pani otworzyć oko.

Drgnęła lekko, gdy zobaczyła, jak blisko niej stoi. Phillip chyba to zauważył, bo cofnął się o krok.

— Nie byłem mistrzem — przyznał.

— Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

— Nie zależało mi na tym dostatecznie.

— Jak to wygląda? — spytała Eloise.

— Pani oko?

Skinęła głową.

— Nie sądzę, żeby obyło się bez siniaka.

— Wydawało mi się, że upadając, stłukłam sobie policzek — powiedziała Eloise z westchnieniem.

— Widzę, że uderzyła się pani tutaj… — Phillip dotknął jej kości policzkowej tak delikatnie, że nie poczuła żadnego bólu — …czyli dostatecznie blisko, żeby krew zebrała się wokół oka.

Eloise jęknęła.

— Będę straszyć ludzi przez kilka tygodni.

— Może nie aż tak długo.

— Mam braci — przypomniała Eloise. — Nieraz widywałam podbite oczy. Benedict kiedyś nosił ślad przez dwa miesiące.

— Co mu się stało? — zainteresował się Phillip.

— Pozostali bracia — odparła krótko.

— Nie musi pani nic więcej mówić. Ja też miałem brata.

— Bestie — mruknęła Eloise. — Wszyscy co do jednego. — Ale w jej głosie brzmiała czułość.

— Chyba nie będzie aż tak źle z pani okiem — pocieszył ją sir Phillip i pomógł jej wstać z łóżka.

— Mam nadzieję.

Phillip pokiwał głową, a kiedy zaczęła obmywać twarz, stwierdził:

— Musimy postarać się o przyzwoitkę.

Eloise zamarła.

— Całkiem o tym zapomniałam.

Phillip milczał przez chwilę.

— Ja nie.

Eloise osuszyła twarz ręcznikiem.

— Przepraszam — powiedziała. — To oczywiście moja wina. W liście napomknął pan, że postara się o przyzwoitkę. Niestety, w wielkim pośpiechu opuszczałam Londyn i nie pomyślałam, że musi pan mieć czas, żeby wszystko zorganizować na mój przyjazd.

Phillip zmierzył ją wzrokiem, zastanawiając się, czy panna Bridgerton nie powiedziała więcej, niż zamierzała. Jakoś nie mógł sobie wyobrazić, żeby taka kobieta jak Eloise — otwarta, wesoła i wyjątkowo rozmowna — miała sekrety, ale jeśli chodzi o powody przyjazdu do Gloucestershire, była dość tajemnicza.

Podobno szukała męża, ale Phillip podejrzewał, że nie tylko dlatego opuściła Londyn i wybrała się na wieś. „W pośpiechu”. Dlaczego wyjeżdżała w pośpiechu? Co się wydarzyło?

— Już skontaktowałem się z moją ciotką — powiedział, prowadząc Eloise z powrotem do łóżka, choć najwyraźniej wolałaby wrócić tam sama. — Wysłałem do niej list tego ranka, kiedy pani przyjechała. Wątpię jednak, by ciotka zjawiła się wcześniej niż w czwartek. Mieszka w Dorset, ale nie

należy do osób, które chętnie opuszczają dom. Będzie potrzebowała czasu, żeby się spakować i zrobić wszystkie te rzeczy… — lekceważąco machnął ręką — …które kobiety muszą zrobić przed wyjazdem.

Eloise z powagą pokiwała głową.

— To tylko cztery dni. Na szczęście ma pan liczną służbę, więc nie będziemy zupełnie sami, jak w domku myśliwskim w głuszy.

— Mimo to pani reputacja mogłaby poważnie ucierpieć, gdyby ludzie dowiedzieli się o pani wizycie.

Eloise westchnęła przeciągle, a następnie wzruszyła ramionami w geście rezygnacji.

— Cóż, niewiele można teraz na to poradzić. — Wskazała na swoje oko. — Jeśli wrócę do domu, mój wygląd wywoła więcej komentarzy niż fakt, że tak nagle wyjechałam.

Phillip wolno pokiwał głową, ale myślał o czymś innym. Ciekawe, dlaczego panna Bridgerton niezbyt przejmowała się własną reputacją?

Raczej nie obracał się w towarzystwie, lecz z doświadczenia wiedział, że niezamężne damy, niezależnie od wieku, zawsze troszczą się o swoje dobre imię.

Czy to możliwe, żeby reputacja panny Bridgerton była zszargana, zanim ona sama stanęła na jego progu? I czy to w ogóle go obchodziło?

Zmarszczył brwi. Jeszcze nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Dobrze wiedział, czego oczekuje od żony. Miało to niewiele wspólnego z czystością i innymi zasadami, których musiały przestrzegać młode damy. Potrzebował kogoś, kto ułatwi mu życie. Kogoś, kto poprowadzi mu dom i zajmie się jego dziećmi. Był bardzo zadowolony, kiedy odkrył, że Eloise budzi w nim pożądanie, ale nawet gdyby okazała się brzydka jak noc, i tak by się z nią ożenił, bo najbardziej zależało mu na kobiecie praktycznej, zaradnej i dobrej dla Amandy i Olivera.

Ale jeśli rzeczywiście tak było, dlaczego poczuł gniew na myśl, że Eloise mogła mieć kochanka?

Nie, właściwie nie gniew. Nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa na określenie własnych uczuć. Może bardzie rozdrażnienie, podobne do tego, które wywołuje kamyk w bucie.

Miał wrażenie, że coś nie jest w porządku. Nie katastrofalnie źle, ale po prostu… nie tak, jak trzeba.

Popatrzył, jak Eloise siada na łóżku i opiera się o poduszki.

— Chce pani, żebym ją zostawił samą? — spytał.

Eloise westchnęła.

— Chyba tak, chociaż nie czuję się zmęczona, a tylko posiniaczona. Jest dopiero ósma rano.

Phillip zerknął na zegar stojący na półce.

— Dziewiąta.

— Ósma, dziewiąta, co za różnica? — Eloise wzruszyła ramionami. — Tak czy inaczej, to dopiero ranek. — Z tęsknotą spojrzała za okno. — I wreszcie nie pada.

— Wolałaby pani posiedzieć w ogrodzie? — zapytał Phillip.

— Wolałabym przejść się po ogrodzie — odparła pospiesznie. — Ale trochę boli mnie biodro. Chyba powinnam odpocząć jeden dzień.

— Więcej niż dzień — orzekł stanowczo Phillip.

— Zapewne ma pan rację, ale bardzo wątpię, czy tyle wytrzymam w zamknięciu.

Phillip się uśmiechnął. Panna Bridgerton nie należała do kobiet, które wolą spędzić dzień w salonie, przy robótkach, szyciu albo innych zajęciach związanych z igłą i nićmi. Przyjrzał się jej uważnie. Najwyraźniej nie lubiła siedzieć bez ruchu.

— Chciałaby pani wziąć ze sobą książkę? — spytał.

W jej oczach dostrzegł rozczarowanie. Pewnie się spodziewała, że dotrzyma jej towarzystwa, i, na niebiosa, on też tego pragnął, ale z drugiej strony, miał ochotę uciec w jakieś spokojne miejsce. Nadal był wytrącony z równowagi i zawstydzony tym, że musiał dać dzieciom klapsa.

Mniej więcej raz na dwa tygodnie zdarzały się im dzikie wybryki, a on nie wiedział, jak je ukarać. Nienawidził bicia, nienawidził tak, że za każdym razem zbierało mu się na wymioty, lecz co miał zrobić, kiedy dzieci zachowywały się karygodnie? Drobiazgi starał się tolerować, ale kiedy przykleiły włosy guwernantki do pościeli, nie mógł tego zbyć machnięciem ręki. Albo kiedy stłukły całą półkę terakotowych donic w jego oranżerii. Twierdziły, że to był wypadek, ale Phillip wiedział swoje. Wyraz ich oczu, kiedy Amanda i Oliver zapewniali o swojej niewinności, świadczył o braku przekonania, że ojciec im uwierzy.

Tak więc karał ich w jedyny sposób, jaki znał, ale do tej pory na szczęście kończyło się na kilku klapsach. Jeśli w ogóle decydował się sprawić dzieciom lanie. Najczęściej w takich sytuacjach osaczały go wspomnienia metod jego ojca, tak że pospiesznie odchodził, cały drżący i spocony. Przerażony tym, jak bardzo go korciło, żeby złoić im skórę.

Martwił się, że jest zbyt pobłażliwy. I pewnie był, ponieważ dzieci wcale się nie poprawiały. Mówił sobie, że powinien być bardziej surowy, a raz nawet pomaszerował do stajni i chwycił bat...

Aż zadrżał na to wspomnienie. Po incydencie z klejem, kiedy musieli obciąć włosy panny Lockhart, żeby ją uwolnić, wpadł w taką wściekłość, że przed oczami miał czerwoną mgłę. Myślał jedynie o tym, żeby ukarać dzieci, nauczyć je rozumu, zmusić, żeby wreszcie były grzeczne. Poszedł po bat…

Ale zaraz rzucił go jak oparzony, gdy sobie wyobraził, jaki się stanie, jeśli go użyje. Zaszył się w oranżerii na cały dzień, nienawidząc siebie za

to, czego omal nie zrobił. I za to, czego nie był w stanie zrobić. Nie potrafił wychować dzieci, sprawić, żeby stały się lepsze.

Nie umiał być dla nich ojcem. Może po prostu nie nadawał się do tego zadania. Niektórzy mężczyźni wiedzieli, co mówić i jak się zachować, a inni tego nie potrafili, choćby nie wiadomo jak się starali. Może wystarczyło naśladować własnego ojca. A to oznaczało, że Phillip jest przegrany od urodzenia. Teraz starał się nadrobić swoje braki, wynagrodzić dzieciom to, że jest złym ojcem, dając im dobrą matkę. Niestety, nic nie było takie proste, jak by chciał. Eloise Bridgerton zdążyła przewrócić jego życie do góry nogami, choć spędziła w Romney Hall zaledwie jeden dzień.

Nie spodziewał się, że będzie jej pragnął, że będzie czuł żądzę za każdym razem, gdy zerknie na nią ukradkiem. I dlaczego, kiedy zobaczył ją leżącą na podłodze, jego pierwszą reakcją było przerażenie?

Strach, że coś jej się stało. I, szczerze mówiąc, obawa, że wybryk bliźniąt skłoni ją do wyjazdu.

Kiedy biedna panna Lockhart została przyklejona do poduszki, Phillipa ogarnęła wściekłość na dzieci. Zaraz po wypadku Eloise w ogóle o nich nie pomyślał. Najpierw musiał się upewnić, że z nią wszystko jest w porządku.

Nie chciał żadnych komplikacji. Zależało mu jedynie na tym, żeby jego dzieci miały dobrą matkę. I teraz nie wiedział, co zrobić.

Choć kusił go poranek w ogrodzie z panną Bridgerton, nie mógł sobie pozwolić na tę przyjemność.

Potrzebował trochę czasu w samotności, żeby się zastanowić. A raczej, żeby w ogóle nie myśleć, bo myślenie tylko budziło w nim gniew, wprowadzało zamęt w głowie. Musiał zanurzyć ręce w ziemi, przesadzić parę roślin, odciąć się od świata, zapomnieć o wszystkich kłopotach.

Musiał uciec.

Trudno, był tchórzem.

7

…przez całe życie tak się nie nudziłam. Colinie, musisz wrócić do domu. Bez Ciebie jest nieznośnie nudno. Nie sądzę, żebym dłużej wytrzymała tę nudę. Proszę, wracaj, bo widzę, że zaczynam się powtarzać, a nie ma nic nudniejszego.

Z listu Eloise Bridgerton do brata, wysłanego (ale niedoręczonego) pięć lat po jej debiucie, podczas gdy Colin podróżował po Danii

Eloise spędziła cały dzień w ogrodzie, leżąc na bardzo wygodnym szezlongu, który, była o tym przekonana, został sprowadzony z Włoch, ponieważ z jej doświadczenia wynikało, że ani Anglicy, ani Francuzi nie mają pojęcia, jak robić wygodne meble.

Zwykle nie poświęcała dużo czasu na rozważania o konstrukcji krzeseł i sof, ale teraz, uwięziona w ogrodzie Romney Hall, nie miała innego tematu do rozmyślań. Żadnego. Oprócz wygodnego szezlongu, na którym odpoczywała. No, mogła jeszcze myśleć o tym, że sir Phillip jest niewychowanym gburem, bo zostawił ją samą na cały dzień, w dodatku po tym, jak dwa małe potwory — których istnienia nie uznał za stosowne ujawnić w swoich listach — podbiły jej oko.

Dzień był piękny, niebo błękitne, wiał lekki wietrzyk. Eloise nie miała o czym dumać.

Nigdy w życiu tak się nie nudziła.

Siedzenie bez ruchu i obserwowanie chmur nie leżało w jej naturze. Wolałaby pójść na spacer, obejrzeć krzewy, zrobić cokolwiek, byle tylko

nie gapić się bez celu w dal. A skoro już musiała tutaj tkwić, przydałoby się jej jakieś towarzystwo. Nawet chmury byłyby bardziej interesujące, gdyby mogła do kogoś powiedzieć: „Ta wygląda jak królik, nie uważasz?”.

Ale nie, zostawiono ją samą. Sir Phillip poszedł do oranżerii; widziała ją z tego miejsca, a czasami nawet jego poruszającą się sylwetkę. I choć naprawdę bardzo chciała wstać i do niego dołączyć, choćby dlatego, że rośliny musiały być ciekawsze niż przeklęte chmury, nie zamierzała dać mu satysfakcji.

Nie po tym, jak odrzucił jej propozycję. Dobry Boże, ten człowiek praktycznie przed nią uciekł. Bardzo dziwne. Eloise sądziła, że dobrze się rozumieją, a tu raptem on stał się niecierpliwy, znalazł wymówkę, że musi pracować, i wybiegł z pokoju, jakby była zadżumiona.

Okropny typ.

Eloise sięgnęła po książkę, którą przyniosła sobie z biblioteki. Zamierzała ją przeczytać, choćby miało ją to zabić.

Tak postanawiała już cztery razy. Nie udawało się jej jednak przebrnąć nawet przez jedno zdanie — albo ustęp, jeśli była bardzo zdyscyplinowana — bo jej umysł zaczynał błądzić, tekst zamazywał się przed oczami.

I dobrze jej tak, bo ze złości na sir Phillipa wzięła z biblioteki pierwszą książkę, jaka nawinęła się pod rękę.

Botanika paproci! Gdzie miała głowę?

Najgorsze, że gdyby sir Phillip ją zobaczył, na pewno pomyślałby, że wybrała akurat tę lekturę, bo chciała dowiedzieć się czegoś więcej o rzeczach, które go interesowały.

Bardzo się zdziwiła, gdy dobrnęła do końca strony. Nie pamiętała ani jednego słowa. Jej oczy musiały prześliznąć się po nich bez czytania.

To niedorzeczne. Odłożyła książkę i wstała. Zrobiła kilka kroków, żeby sprawdzić stan biodra. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, gdy stwierdziła,

że ból nie jest tak wielki. Właściwie czuła tylko lekki dyskomfort. Poszła do gęstwiny krzewów różanych i nachyliła się, żeby je powąchać. O tej porze roku kwiaty były jeszcze zamknięte, ale może…

— Co, u licha, pani tutaj robi?

Z wrażenia omal nie wpadła w krzaki.

— Sir Phillip — bąknęła bez sensu.

Gospodarz wyglądał na zirytowanego.

— Miała pani siedzieć — skarcił ją ostrym tonem.

— Siedziałam.

— Miała pani nie ruszać się z miejsca.

Eloise uznała, że najlepiej będzie powiedzieć prawdę.

— Nudziłam się.

Crane popatrzył na szezlong.

— Nie wzięła pani żadnej książki z biblioteki?

Eloise wzruszyła ramionami.

— Już ją skończyłam.

Phillip uniósł brew z wyraźnym niedowierzaniem. Eloise odpowiedziała mu wyniosłym spojrzeniem.

— Powinna pani siedzieć — warknął.

— Czuję się doskonale — oświadczyła Eloise. — Biodro już prawie mnie nie boli.

Sir Phillip przez jakiś czas patrzył na nią z rozdrażnieniem, jakby chciał coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Oranżerię opuścił w pośpiechu, bo był cały brudny. Na rękach i pod paznokciami miał ziemię, na koszuli ciemne smugi. Wyglądał jak oberwaniec, przynajmniej według londyńskich norm, ale było w nim coś pociągającego, coś pierwotnego i prymitywnego, kiedy tak łypał na nią z gradową miną.

— Nie mogę pracować, jeśli muszę się o panią martwić — rzucił

burkliwie.

— Więc niech pan nie pracuje — odparła Eloise, uważając to rozwiązanie za całkiem oczywiste.

— Jestem w trakcie ważnego eksperymentu — oznajmił tonem naburmuszonego dziecka.

— W takim razie będę panu towarzyszyć — oświadczyła Eloise i minąwszy go bokiem, ruszyła w stronę oranżerii.

Jak zamierzał się przekonać, czy do siebie pasują, skoro nie chciał spędzać z nią czasu?

Phillip już wyciągał rękę, żeby ją zatrzymać, ale przypomniał sobie, że jest brudny.

— Panno Bridgerton, nie może pani…

— Nie przyda się panu pomoc? — przerwała mu Eloise.

— Nie — uciął takim tonem, że nie mogła dalej się upierać.

W końcu straciła do niego cierpliwość.

— Sir Phillipie, mogę zadać panu pytanie?

Zaskoczony nagłym zwrotem w rozmowie, tylko skinął głową, krótko, jak mężczyźni, kiedy są zirytowani i chcą pokazać, że to oni panują nad sytuacją.

— Jest pan tym samym człowiekiem co wczoraj?

Popatrzył na nią jak na wariatkę.

— Słucham?

— Człowiekiem, z którym spędziłam wczorajszy wieczór — wyjaśniła Eloise, z trudem opanowując chęć skrzyżowania ramion na piersi. — Tym, z którym jadłam kolację, a potem zwiedzałam dom i oranżerię, który ze mną rozmawiał i sprawiał wrażenie, że cieszy się moim towarzystwem, choć zjawiłam się bez zapowiedzi.

Sir Phillip gapił się na nią przez chwilę, a potem wymamrotał:

— Lubię pani towarzystwo.

— Więc dlaczego siedziałam sama w ogrodzie przez trzy godziny? — zapytała Eloise.

— To nie były trzy godziny.

— Nieważne jak długo…

— Minęło zaledwie czterdzieści pięć minut — stwierdził Phillip.

— Niech i tak będzie…

— Tak jest.

— Cóż… — Nie upierała się dalej przy swoim, bo podejrzewała, że sir Phillip może mieć rację, co stawiało ją w dość niezręcznej sytuacji. Nie chciała jej pogorszyć.

— Panno Bridgerton… — rzekł z naciskiem, jakby sobie przypominał, że poprzedniego wieczoru zwracał się do niej po imieniu. I całował ją. — Jak zapewne pani się domyśla, dzisiejszy incydent z moimi dziećmi wprawił mnie w paskudny nastrój. Postanowiłem więc oszczędzić pani mojego towarzystwa.

— Rozumiem — powiedziała Eloise z nutą wyniosłości w głosie.

— To dobrze — rzekł Phillip.

Tyle że ona była całkiem pewna tego, co widziała. A mianowicie tego, że sir Phillip nie mówił całej prawdy. Dzieci wprawiły go w paskudny nastrój, owszem, ale chodziło o coś więcej.

— W takim razie nie będę panu przeszkadzać w pracy — oznajmiła, wskazując na oranżerię gestem, który miał wyglądać, jakby go odprawiała.

Phillip spojrzał podejrzliwie.

— A pani co zamierza robić? — zapytał.

— Chyba napiszę kilka listów, a potem wybiorę się na spacer — odparła Eloise.

— Nie pójdzie pani na żaden spacer — warknął sir Phillip.

Zupełnie jakby się o mnie troszczył, pomyślała Eloise.

— Zapewniam pana, że nic mi nie jest. Na pewno wyglądam gorzej, niż się czuję.

— Lepiej, żeby wyglądała pani gorzej, niż się czuje — odparował Crane.

Eloise spiorunowała go wzrokiem. Tak, miała podbite oko, ale była to jedynie chwilowa skaza na jej powierzchowności, więc nie musiał o tym przypominać.

— Będę schodzić panu z drogi, a o to przecież panu chodzi, prawda? — rzuciła urażona.

Na jego skroni zaczęła pulsować żyła. Ten widok sprawił Eloise przyjemność.

— Niech pan już idzie — ponagliła go.

Nie ruszył się z miejsca, więc odwróciła się na pięcie i skierowała ku furtce prowadzącej do innej części ogrodu.

— Proszę się zatrzymać! — krzyknął sir Phillip, dwoma susami pokonując odległość między nimi. — Nie powinna pani spacerować.

Eloise chciała zapytać, czy zamierza ją związać, ale pohamowała się z obawy, że ten pomysł może mu się spodobać.

— Nie rozumiem… Och!

Mamrocząc coś pod nosem o głupich kobietach (i używając innego, równie niepochlebnego określenia), sir Phillip chwycił ją na ręce i zaniósł na szezlong. Posadził ją na nim bezceremonialnie.

— Proszę tu zostać — rozkazał.

Eloise była tak oburzona tym niewiarygodnym przejawem arogancji, że w pierwszej chwili nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Nie może pan…

— Dobry Boże, kobieto, święty straciłby cierpliwość!

Eloise przeszyła go wzrokiem.

— Czego trzeba, żeby nie ruszyła się pani z tego miejsca? — spytał Phillip ze znużeniem.

— Nic nie przychodzi mi do głowy — odparła szczerze Eloise.

— Dobrze — skapitulował Crane. — Niech pani przejdzie na piechotę cały kraj. Popłynie do Francji.

— Z Gloucestershire?

— Jeśli ktoś wpadnie na pomysł, jak tego dokonać, tą osobą z pewnością będzie pani — stwierdził Phillip. — Miłego dnia, panno Bridgerton.

I odszedł, zostawiając ją tam, gdzie siedziała przez całą poprzednią godzinę. Eloise była tak zaskoczona, że całkiem zapomniała o spacerze.

*

Gdyby Phillip nie był przekonany, że już wcześniej zrobił z siebie durnia, uświadomiłby mu to jasno krótki liścik z informacją, że panna Bridgerton zje kolację w swoim pokoju.

Zważywszy na to, że jeszcze po południu skarżyła się na brak towarzystwa, decyzja, żeby spędzić wieczór samotnie, była z jej strony zamierzonym afrontem.

Phillip zjadł kolację sam, w milczeniu, czyli tak, jak od wielu miesięcy. Właściwie od lat, bo Marina rzadko opuszczała pokój i schodziła do jadalni. Można by sądzić, że zdążył się do tego przyzwyczaić, ale teraz czuł się nieswojo w obecności służby, która wiedziała, że panna Bridgerton odrzuciła jego towarzystwo.

Mamrotał do siebie, jedząc stek. Służących się ignorowało, jakby nie istnieli albo należeli do zupełnie innego gatunku. Phillipa nie obchodziło ich życie poza Romney Hall, ale oni interesowali się jego życiem, i wcale mu się nie podobało, że jest przedmiotem plotek. Z pewnością właśnie

o nim będą rozmawiali, kiedy późnym wieczorem zasiądą przy kuchennym stole.

Ze złością odkroił kawałek mięsa. Spodziewał się, że na kolację dostaną rybę z łóżka Amandy.

Zjadł sałatę, drób i pudding, choć zupa i mięso w zupełności mu wystarczyły. Lecz zawsze istniała szansa, że Eloise zmieni zdanie i do niego dołączy. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale gdyby postanowiła zrezygnować z głupiego uporu, chciał być przy tym obecny.

Gdy zrozumiał, że niepotrzebnie się łudzi, przyszło mu do głowy, żeby złożyć jej wizytę, ale nawet tutaj, na wsi, byłoby to bardzo niewłaściwe. Poza tym wątpił, czy panna Bridgerton chce go widzieć.

No, może niezupełnie. Przypuszczał raczej, że Eloise chciałaby go zobaczyć, ale skruszonego i pokornego. Nawet gdyby nie wypowiedział magicznego słowa „przepraszam”, sama jego obecność równałaby się pokajaniu.

Co wcale nie byłoby najgorszą rzeczą na świecie, skoro już postanowił, że chętnie padnie jej do nóg i poprosi, żeby zgodziła się zostać jego żoną i matką jego dzieci. Chociaż dziś po południu wszystko zepsuł. Nie wspominając o fatalnym poranku.

Ale decyzja, że zdobędzie jej względy, nie oznaczała, że będzie umiał się do tego zabrać.

Jego brat miał urok i klasę, zawsze wiedział, co powiedzieć i jak się zachować. George nawet by nie zauważył, że służący go obserwują i wkrótce będą o nim szeptać. Prawdę mówiąc, plotki na ogół sprowadzały się do powtarzania, że „pan George jest prawdziwym nicponiem”. Oczywiście tym słowom towarzyszyły uśmiechy i rumieńce.

Phillip zawsze był spokojniejszy, bardziej refleksyjny. Z pewnością mniej nadawał się do roli właściciela majątku. Zawsze planował opuścić Romney

Hall i nigdy tam nie wrócić, przynajmniej za życia ojca. George miał się ożenić z Mariną i spłodzić pół tuzina idealnych dzieci. Phillip byłby mrukliwym i nieco ekscentrycznym wujem, mieszkałby w Cambridge i większość czasu spędzał w oranżerii, prowadząc eksperymenty, których nikt by nie rozumiał i które, po prawdzie, nikogo by nie obchodziły.

Wszystkie te plany legły w gruzach na polu bitewnym w dalekiej Belgii.

Anglia wygrała wojnę, ale stanowiło to niewielkie pocieszenie dla Phillipa, którego ojciec ściągnął z powrotem do Gloucestershire, żeby uczynić go swoim dziedzicem.

Postanowił zmienić go w George'a, który zawsze był jego ulubieńcem. Lecz ojciec wkrótce umarł. Na oczach Phillipa. Jego serce stanęło, gdy pewnego razu wpadł w furię, zapewne jeszcze spotęgowaną niemożnością przełożenia syna przez kolano i złojenia mu skóry.

A Phillip został sir Phillipem i przejął wszelkie prawa i obowiązki wiążące się z tytułem baroneta.

Prawa i obowiązki, których nigdy nie chciał.

Kochał swoje dzieci, kochał je nad życie, więc powinien być zadowolony, że tak się wszystko ułożyło, ale nadal miał poczucie, że zawiódł. Romney Hall kwitło. Phillip wprowadził kilka rolniczych nowinek, które poznał na uniwersytecie, posiadłość przynosiła zyski po raz pierwszy od… cóż, od bardzo dawna. Kiedy żył ojciec, nie zarabiali prawie nic.

Ale pola to tylko pola. Natomiast dzieci były istotami ludzkimi, a on z każdym dniem utwierdzał się w przekonaniu, że źle wywiązuje się z roli ojca. Bliźnięta sprawiały mu coraz większe kłopoty, a on nie miał pojęcia, jak sobie z nimi radzić. Przerażało go to, bo nie potrafił sobie wyobrazić, co może być gorszego od przyklejonych włosów panny Lockhart czy podbitego oka Eloise. Gdy próbował rozmawiać z dziećmi, wydawało mu

się, że mówi niewłaściwe rzeczy. Postępował nieumiejętnie albo nie robił nic ze strachu, że straci panowanie nad sobą.

Z wyjątkiem poprzedniego wieczoru. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, zareagował jak trzeba. Obecność Eloise wyraźnie go uspokoiła, korzystnie wpłynęła na jasność myślenia, której zawsze mu brakowało, kiedy miał do czynienia z dziećmi. Dostrzegł humorystyczną stronę sytuacji, podczas gdy zwykle widział tylko własną bezradność.

To był kolejny powód, żeby postarać się o rękę panny Bridgerton. I właśnie dlatego nie powinien teraz do niej iść. Nie miał nic przeciwko ukorzeniu się. Do diabła, zrobiłby wszystko, żeby tylko została.

Po prostu nie chciał jeszcze bardziej pogorszyć sprawy.

Następnego ranka Eloise wstała dość wcześnie, bo wieczorem położyła się już o wpół do dziewiątej. Pożałowała dobrowolnego wygnania niemal w chwili, kiedy wysłała do sir Phillipa liścik, że zje kolację w swoim pokoju.

Pozwoliła, żeby gniew wziął górę nad rozsądkiem. A prawda była taka, że nienawidziła jeść sama, nie cierpiała siedzieć samotnie przy stole, patrzeć w talerz i liczyć, ile jeszcze kęsów jej zostało. Już wolałaby towarzystwo sir Phillipa w najbardziej ponurym nastroju.

Poza tym nadal nie wiedziała, czy pasują do siebie, a jedząc kolację osobno, raczej nie mogła poznać jego charakteru i temperamentu.

Może i był mrukiem, do tego gburowatym, ale kiedy się uśmiechał… Eloise nareszcie zrozumiała, co miały na myśli wszystkie młode damy, kiedy rozpływały się nad uśmiechem jej brata Colina (który ona uważała za zwyczajny). W takich chwilach twarz sir Phillipa całkiem się zmieniała. W jego ciemnych oczach pojawiały się wesołe i zarazem złośliwe iskierki, jakby wiedział coś, o czym ona nie miała pojęcia. Lecz nie one przyprawiały serce Eloise o trzepot. Pochodziła z rodu Bridgertonów

i nieraz widywała diabelskie błyski w oczach, ale szczyciła się tym, że jest na nie odporna. W spojrzeniu i uśmiechu sir Phillipa kryła się odrobina nieśmiałości, jakby nie był przyzwyczajony do obcowania z kobietami. Eloise miała przeczucie, że on jest tym mężczyzną, który, jeśli wszystko dobrze się ułoży, pewnego dnia ją doceni. Nawet jeśli jej nie pokocha, na pewno będzie ją szanował.

I właśnie z tego powodu jeszcze nie zaczęła się pakować, choć poprzedniego dnia tak niemiło się zachował.

Zeszła na dół do jadalni, ale dowiedziała się, że sir Phillip już zjadł śniadanie i wyszedł. To wcale nie znaczyło, że jej unikał, próbowała się pocieszać. Być może uznał, że Eloise nie jest rannym ptaszkiem, i postanowił na nią nie czekać. Ale kiedy zajrzała do oranżerii i przekonała się, że tam również go nie ma, stwierdziła, że poszuka sobie innego towarzystwa.

Oliver i Amanda byli jej winni popołudnie, ale równie dobrze mogła zamienić je na poranek. Eloise zdecydowanym krokiem ruszyła w górę po schodach.

— Chcecie popływać?

Oliver popatrzył na nią jak na wariatkę.

— Bo ja tak — powiedziała Eloise. — A ty?

— Nie.

— Ja chcę! — wykrzyknęła Amanda i pokazała bratu język, kiedy łypnął na nią spode łba. — Uwielbiam pływać. Oliver też. Ale nie chce się do tego przyznać, bo jest na panią zły.

— Nie uważam, żeby to był dobry pomysł — oświadczyła niania, kobieta o surowym wyglądzie i w nieokreślonym wieku.

— Nonsens — powiedziała Eloise. Ta jędza od razu wzbudziła w niej antypatię. Wyglądała na osobę, która lubi targać za uszy i bić linijką po

rękach. — Jest niezwykle ciepło jak na tę porę roku, a trochę ruchu wyjdzie dzieciom na zdrowie.

— Jednak… — zaczęła niania, wyraźnie zirytowana, że podważono jej autorytet.

— Po drodze powtórzymy lekcje — przerwała jej Eloise tonem, którego używała jej matka, kiedy chciała dać do zrozumienia, że nie zamierza tolerować sprzeciwu. — Dzieci obecnie nie mają guwernantki, prawda?

— Te dwa małe potwory przykleiły…

— Mniejsza o powód jej odejścia. — Eloise wolała nie wiedzieć, co dzieci zrobiły swojej ostatniej nauczycielce. — Domyślam się, że przez kilka ostatnich tygodni dźwigała pani na swoich barkach ogromny ciężar, łącząc dwie role.

— Miesięcy — sprostowała niania.

— Więc tym bardziej zasługuje pani na wolne przedpołudnie — stwierdziła Eloise.

— Właściwie nie miałabym nic przeciwko krótkiemu wypadowi do miasteczka…

— Zatem ustalone. — Eloise zerknęła na dzieci i pogratulowała sobie w duchu; Amanda i Oliver patrzyli na nią z nabożnym podziwem. Przeniosła wzrok na nianię. — Niech pani już idzie. I proszę dobrze wykorzystać te kilka godzin.

Zamknęła drzwi za oszołomioną kobietą i odwróciła się do dzieci.

— Jest pani bardzo sprytna — z zachwytem wyszeptała Amanda.

Nawet jej brat kiwnął głową.

— Nienawidzę niani — wyznała dziewczynka.

— Nie mówisz poważnie — stwierdziła Eloise, ale bez przekonania. Jej również pani Edwards nie przypadła do gustu.

— Właśnie, że tak — odezwał się Oliver. — Ona jest okropna.

Amanda pokiwała głową.

— Chciałabym, żeby wróciła niania Millsby, ale musiała wyjechać, żeby zająć się matką. Jest chora.

— Matka, a nie niania Millsby — wyjaśnił Oliver.

— Od jak dawna jest u was pani Edwards? — spytała Eloise.

— Od pięciu miesięcy — odparła Amanda grobowym tonem.

— Na pewno nie jest taka zła — przekonywała Eloise i chciała coś dodać, ale Oliver przerwał jej, mówiąc:

— Właśnie, że jest.

Eloise nie chciała podważać autorytetu osoby zajmującej się dziećmi, dlatego czym prędzej zmieniła temat.

— Teraz do południa macie mnie.

Amanda nieśmiało wzięła ją za rękę.

— Lubię panią — powiedziała.

— Ja też cię lubię — zapewniła ją Eloise. W kącikach jej oczu zebrały się łzy.

Oliver milczał, ale Eloise nie poczuła się urażona. Te dzieci miały prawo być ostrożne. Przecież opuściła je własna matka. Kochały ją, a ona nagle zniknęła z ich życia.

Eloise dobrze pamiętała pierwsze miesiące po śmierci swojego ojca. Wciąż przytulała się do matki, trzymała blisko niej, a najchętniej ściskała ją za rękę, żeby tylko kolejna ukochana osoba nie odeszła. Cóż w tym dziwnego, że bliźnięta nie cierpiały swojej nowej niani? Pewnie od urodzenia zajmowała się nimi pani Millsby, a ją też utraciły, i to tak niedługo po śmierci matki.

— Przepraszam, że podbiliśmy pani oko — powiedziała Amanda.

Eloise uścisnęła jej dłoń.

— Nie jest tak źle.

— Wygląda okropnie — stwierdził Oliver. W jego głosie zabrzmiała nuta skruchy.

— Owszem — przyznała Eloise — ale coraz bardziej się sobie podobam. Myślę, że wyglądam jak żołnierz, który brał udział w zwycięskiej bitwie!

— Nie wygląda pani, jakby wygrała bitwę — zauważył Oliver z powątpiewaniem.

— Bzdura. Oczywiście, że wygrałam. Każdy, kto wraca do domu z pola bitwy, jest zwycięzcą.

— Czy to znaczy, że wujek George przegrał? — zapytała Amanda.

— Brat waszego taty?

Dziewczynka pokiwała głową.

— Zginął, zanim się urodziliśmy.

Eloise zastanawiała się przez chwilę, czy dzieci wiedzą, że ich matka miała wyjść za George’a Crane’a. Pewnie nie.

— Wasz wujek był bohaterem — powiedziała z szacunkiem.

— A tata nie — zauważył Oliver.

— Wasz tata nie mógł iść na wojnę, bo miał tutaj, na miejscu, dużo obowiązków — wyjaśniła Eloise. — Ale to za poważna rozmowa na taki ładny poranek, nie uważacie? Chodźmy lepiej popływać.

Bliźnięta, zarażone jej entuzjazmem, błyskawicznie przebrały się w kostiumy kąpielowe. Wkrótce ruszyli we trójkę w stronę jeziora.

— Musimy poćwiczyć arytmetykę! — zawołała Eloise, kiedy dzieci popędziły przodem.

Ku jej zdziwieniu bliźnięta okazały się posłuszne. Kto by pomyślał, że z szóstkami i ósemkami może być tyle zabawy?

8

…nawet nie wiesz, jakie masz szczęście, że jesteś w szkole. My, dziewczęta, dostałyśmy nową guwernantkę, prawdziwe nieszczęście. Od rana do wieczora nudzi o liczbach. Biedna Hiacynta wybucha płaczem za każdym razem, kiedy słyszy słowo „siedem”. (Co prawda nie rozumiem, dlaczego cyfry od jeden do sześciu nie wywołują podobnej reakcji). Nie wiem, co zrobimy. Może umoczymy jej włosy w atramencie. (Włosy panny Haversham, a nie Hiacynty, choć nie wykluczam tego ostatniego).

Z listu Eloise Bridgerton do brata Gregory’ego w pierwszym roku jego nauki w Eton

Gdy Phillip wrócił z różanego ogrodu, zdziwił się, zastawszy dom pusty i cichy. Był to jeden z rzadkich dni, kiedy powietrzem nie wstrząsały okrzyki wściekłości ani huk przewracanych stołów.

Nie ma dzieci, pomyślał, rozkoszując się spokojem. Pewnie pani Edwards zabrała je na spacer.

Przypuszczał, że panna Bridgerton jest jeszcze w łóżku, choć już dochodziła dziesiąta, a ona nie wyglądała na osobę, która cały dzień wyleguje się w pościeli.

Spojrzał na róże, które trzymał w ręce. Starannie wybierał je przez całą godzinę. Romney Hall szczyciło się trzema ogrodami różanymi, ale musiał pójść do najdalszego, żeby poszukać wcześnie kwitnących odmian. Potem ostrożnie ściął kwiaty zgodnie z zasadami sztuki, tak żeby dalej się rozwijały, po czym bardzo dokładnie usunął wszystkie kolce.

Z roślinami zielonymi radził sobie jeszcze lepiej, ale nie sądził, żeby panna Bridgerton uznała garść bluszczu za romantyczny upominek.

Udał się do małej jadalni. Spodziewał się, że zobaczy jedzenie czekające na gościa, ale kredens był pusty. Zmarszczył brwi i przez chwilę stał na środku pokoju, zastanawiając się, co dalej. Eloise najwyraźniej już wstała i zjadła śniadanie, ale niech go licho, jeśli wiedział, gdzie teraz jest.

W tym momencie zjawiła się pokojówka ze szmatą i miotełką do kurzu. Dygnęła na widok pana domu.

— Potrzebuję wazonu — powiedział Crane, wskazując kwiaty.

Chciał osobiście wręczyć je Eloise, teraz jednak nie zamierzał nosić ich przez cały ranek, szukając jej wszędzie. Służąca ruszyła do drzwi, ale zatrzymał ją, mówiąc:

— Nie wiesz przypadkiem, dokąd mogła pójść panna Bridgerton? Widzę, że już sprzątnięto po śniadaniu.

— Wyszła z domu — odparła pokojówka. — Z dziećmi.

Na twarzy Phillipa odmalowało się zdziwienie.

— Wyszła z Oliverem i Amandą? Z własnej woli?

Służąca pokiwała głową.

— Ciekawe — mruknął Phillip. Wolał powściągnąć wyobraźnię. — Mam nadzieję, że jej nie zabiją.

Pokojówka spojrzała na niego z przerażeniem.

— Tylko żartowałem — uspokoił ją Crane. — Mary? — Zawahał się, niepewny jej imienia.

Dziewczyna skinęła głową w taki sposób, że nie mógł być pewien, czy trafił, czy po prostu jest uprzejma.

— Wiesz, dokąd poszli? — zapytał.

— Chyba nad jezioro. Popływać.

Phillipa przeszedł dreszcz.

— Popływać? — Własny głos zabrzmiał głucho w jego uszach.

— Tak. Dzieci miały na sobie kostiumy kąpielowe.

Popływać! Dobry Boże! Od roku unikał jeziora, zawsze wybierał dłuższą drogę naokoło, żeby oszczędzić sobie jego widoku. I zabronił dzieciom nawet się do niego zbliżać.

Czy rzeczywiście?

Przykazał pani Millsby, żeby nie puszczała dzieci w pobliże wody, ale czy to samo powtórzył pani Edwards?

Rzucił kwiaty na podłogę i wypadł z domu.

— Kto ostatni, ten krab pustelnik! — krzyknął Oliver, pędząc do jeziora. Wybuchnął radosnym śmiechem, kiedy woda sięgnęła mu pasa i musiał zwolnić.

— Sam jesteś krab pustelnik! — wrzasnęła Amanda, biegnąc za nim przez płyciznę.

— Zgniły krab!

— A ty martwy!

Eloise roześmiała się, brodząc przy brzegu. Nie przywiozła ze sobą kostiumu kąpielowego — kto by się spodziewał, że będzie go potrzebowała? — więc zawiązała spódnicę i halkę pod kolanami, odsłaniając łydki. Nieprzyzwoicie dużo pokazała, ale przy dwójce ośmiolatków nie miało to znaczenia.

Poza tym dzieci były zbyt zajęte droczeniem się ze sobą, żeby zwracać na nią uwagę.

Przez całą drogę do jeziora Amanda i Oliver śmiali się i paplali, a Eloise zastanawiała się, czy rzeczywiście potrzeba im jedynie odrobiny zainteresowania. Stracili matkę, ich stosunki z ojcem były w najlepszym razie poprawne, a ukochana niania wyjechała. Dobrze przynajmniej, że mieli siebie nawzajem.

I może ją.

Eloise przygryzła wargę, niepewna, czy powinna sobie pozwalać na takie myśli. Jeszcze nie zdecydowała, czy chce wyjść za sir Phillipa, i choć dzieci najwyraźniej jej potrzebowały — widziała, że tak jest — nie mogła podejmować tej ważnej decyzji z myślą o nich.

— Nie wchodź głębiej! — zawołała, widząc, że Oliver się oddala.

Zrobił minę, jaką robią wszyscy chłopcy, kiedy uważają, że traktuje się ich jak małe dzieci, ale Eloise zauważyła, że cofnął się o dwa duże kroki w stronę brzegu.

— Niech pani wejdzie dalej, panno Bridgerton — poprosiła Amanda, siadając na dnie. — Ale zimna! — pisnęła.

— To po co siadałaś? — spytał Oliver. — Wiedziałaś, że woda jest lodowata.

— Tak, ale moje stopy już się przyzwyczaiły. — Dziewczynka objęła się ramionami. — Nie czuły zimna.

— Nie martw się — pocieszył ją brat ze złośliwym uśmieszkiem. — Twój tyłek też zaraz się przyzwyczai.

— Oliverze! — skarciła go Eloise, ale zepsuła efekt uśmiechem.

— On ma rację! — wykrzyknęła Amanda ze zdziwieniem. — Już wcale nie czuję tyłka.

— Nie jestem pewna, czy to dobrze — skomentowała Eloise.

— Powinna pani popływać — zachęcił ją Oliver. — Albo przynajmniej wejść tak głęboko jak Amanda. Ledwo pani zanurzyła stopy.

— Nie mam kostiumu kąpielowego — wyjaśniła Eloise, choć mówiła im to już sześć razy.

— A ja myślę, że nie umie pani pływać — stwierdził chłopiec.

— Zapewniam cię, że bardzo dobrze umiem pływać. Lepiej, żebyś mnie nie prowokował, kiedy mam na sobie trzecią w kolejności najlepszą suknię.

Amanda spojrzała na nią z podziwem.

— Chciałabym zobaczyć tamte dwie — powiedziała. — Ta jest bardzo ładna.

— Dziękuję, Amando — odparła Eloise, zastanawiając się, kto wybiera małej ubrania. Prawdopodobnie pani Edwards. Dziewczynka wyglądała przyzwoicie, ale z pewnością nikt nie pomyślał o tym, żeby pozwolić jej na zabawę w samodzielne strojenie się. — Gdybyś miała kiedyś ochotę pójść na zakupy, chętnie cię zabiorę — zaproponowała z uśmiechem.

— Och, bardzo bym chciała — wyszeptała Amanda z zachwytem. — Jeszcze jak! Dziękuję!

— Dziewczyny! — prychnął z pogardą Oliver.

— Jeszcze kiedyś będziesz zadowolony, że istnieją — przepowiedziała Eloise.

— Co?

Eloise tylko się uśmiechnęła. Musiało minąć jeszcze trochę czasu, zanim chłopiec uzna, że dziewczyny są dobre nie tylko do szarpania ich za warkocze.

Oliver wzruszył ramionami i zaczął dłońmi uderzać powierzchnię wody pod takim kątem, żeby jak najwięcej prysnęło na siostrę.

— Przestań! — wrzasnęła Amanda.

Brat się zaśmiał i zrobił jej kolejny prysznic.

— Oliverze! — Dziewczynka wstała i ruszyła groźnie w jego stronę.

Gdy w pewnym momencie stwierdziła, że porusza się za wolno, zaczęła płynąć. Oliver parsknął śmiechem i dał nurka. Chwilę później wychynął na powierzchnię, żeby zaczerpnąć oddechu.

— Zaraz ci pokażę! — krzyknęła Amanda.

— Nie oddalaj się za bardzo! — ostrzegła ją Eloise, zupełnie niepotrzebnie.

Zauważyła, że bliźnięta doskonale sobie radzą w wodzie. Pewnie, tak jak Eloise i jej rodzeństwo, pływały od czwartego roku życia. Latem mali Bridgertonowie godzinami baraszkowali w stawie przy wiejskim domu w Kent, ale po śmierci ojca te zabawy się skończyły. Kiedy Edmund Bridgerton jeszcze żył, rodzina spędzała większość czasu na wsi, później na stałe przeniosła się do miasta. Eloise nigdy nie wiedziała, czy to dlatego, że matka wolała Londyn, czy dlatego, że siedziba na wsi budziła w niej za dużo wspomnień.

Eloise bardzo lubiła mieszkać w stolicy, ale tutaj, w Gloucestershire, chlapiąc się w jeziorze z dwójką rozbrykanych dzieci, uświadomiła sobie, jak bardzo tęskniła za życiem na wsi.

Nie była jeszcze gotowa porzucić Londyn, wszystkich przyjaciół i rozrywki, ale coraz częściej przychodziło jej do głowy, że nie musi spędzać tam aż tyle czasu.

Amanda w końcu dogoniła brata i rzuciła się na niego. Oboje zniknęli pod wodą. Eloise obserwowała ich uważnie. Widziała co jakiś czas rękę albo nogę, aż w końcu oboje wyskoczyli na powierzchnię, żeby zaczerpnąć tchu. Parskali, zanosili się śmiechem, rzucali sobie wyzwania.

— Uważajcie! — zawołała Eloise, głównie z obowiązku. Po raz pierwszy wzięła na siebie rolę czujnej opiekunki. Przy siostrzeńcach i bratankach zwykle była zabawną i pobłażliwą ciocią. — Oliverze! Nie ciągnij siostry za włosy!

Chłopiec puścił włosy, ale chwycił kołnierz stroju kąpielowego. Amanda zaczęła się krztusić.

— Oliverze! — krzyknęła Eloise. — Przestań natychmiast!

O dziwo, posłuchał jej, ale siostra wykorzystała okazję, żeby na niego skoczyć i wepchnąć go pod wodę.

— Amando! — wrzasnęła Eloise.

Dziewczynka udała, że nie słyszy.

Do licha, będzie musiała wejść głębiej, żeby położyć kres zabawie, a wtedy całkiem zamoczy ubranie.

— Amando, przestań w tej chwili! — Po raz ostatni spróbowała uratować suknię i godność.

Mała w końcu zareagowała na jej stanowczy ton. Oliver wyskoczył na powierzchnię, łapiąc powietrze.

— Amando Crane, zaraz…

— Nie! — przerwała mu Eloise. — Nie pozabijacie się nawzajem, nie zrobicie sobie krzywdy ani nawet się nie uściskacie przez najbliższych trzydzieści minut.

Dzieci wyraźnie przeraziła wzmianka o uściskach.

— No więc, jak będzie? — ponagliła je Eloise.

Bliźnięta milczały. Wreszcie Amanda nie wytrzymała.

— To co mamy robić?

Dobre pytanie. Większość wspomnień Eloise z kąpieli w stawie wiązała się z takimi właśnie bitwami.

— Może się wysuszymy i trochę odpoczniemy — zaproponowała.

Amanda i Oliver zrobili zawiedzione miny.

— Powinniśmy zająć się lekcjami — dodała Eloise. — Co powiecie na jeszcze trochę arytmetyki? Obiecałam pani Edwards, że pożytecznie spędzimy czas.

Ten pomysł również nie przypadł dzieciom do gustu.

— No, dobrze — powiedziała Eloise. — Co w takim razie proponujecie?

— Nie wiem — mruknął Oliver, a Amanda wzruszyła ramionami.

— Nie ma sensu stać tutaj bezczynnie — stwierdziła Eloise, kładąc ręce na biodrach. — Po pierwsze, to wyjątkowo nudne, a po drugie, pewnie zamarz…

— Wychodźcie z jeziora!

Zaskoczona Eloise odwróciła się niestety tak gwałtownie, że pośliznęła się i wpadła do wody. Do diabła, już po mojej sukni!

— Sir Phillip! — wykrztusiła.

W ostatniej chwili zamortyzowała upadek rękami i na szczęście nie wylądowała na siedzeniu. Mimo to przód sukni miała całkiem mokry.

— Wychodźcie natychmiast! — ryknął Phillip, wbiegając do jeziora.

— Sir Phillipie, co… — zaczęła Eloise.

Ale on już chwycił dzieci pod pachy i zaniósł je na brzeg. Niezbyt łagodnie postawił je na trawie. Eloise patrzyła na niego w osłupieniu.

— Mówiłem, że nie wolno wam zbliżać się do jeziora — krzyknął. — Mieliście trzymać się z dala od tego miejsca…

Umilkł, wyraźnie wstrząśnięty. Poza tym musiał złapać oddech.

— Ale to było w zeszłym roku — odezwał się Oliver.

— Słyszeliście, żebym odwołał zakaz?

— Nie, ale myśleliśmy…

— To źle myśleliście — warknął Phillip. — A teraz wracajcie do domu. Już!

Widząc groźne spojrzenie ojca, dzieci pobiegły w górę zbocza. Phillip patrzył za nimi bez słowa, a gdy tylko znalazły się poza zasięgiem słuchu, odwrócił się do Eloise z takim wyrazem twarzy, że odruchowo cofnęła się o krok.

— Co, do licha, pani sobie myślała? — wybuchnął.

Przez chwilę Eloise nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pytanie było zbyt niedorzeczne.

— Po prostu się bawiliśmy — rzuciła w końcu tonem ostrzejszym, niż zamierzała.

— Nie chcę, żeby moje dzieci zbliżały się do jeziora — rzekł sir Phillip.

— I jasno wyraziłem swoje życzenie…

— Nie przy mnie — wtrąciła Eloise.

— Powinna pani…

— Skąd miałam wiedzieć, że pan sobie nie życzy, by dzieci zbliżały się do wody? — przerwała mu, zanim zdążył oskarżyć ją o brak odpowiedzialności. — Poinformowałam panią Edwards, dokąd się wybieramy i co zamierzamy robić, a ona mnie nie uprzedziła, że to zabronione.

Widziała po minie, że sir Phillip zdaje sobie sprawę z braku argumentów i wprawia go to w jeszcze większą złość. Mężczyźni! Ciekawe, czy kiedyś nadejdzie dzień, w którym nauczą się przyznawać do błędu?

— Gorąco dziś — stwierdziła z całkowitym spokojem, jak zawsze, kiedy była zdecydowana nie przegrać sporu. Czyli, prawdę mówiąc, w każdej sytuacji. Po chwili dodała: — Starałam się naprawić nasze stosunki, żeby znowu nie paradować z podbitym okiem.

Powiedziała to, żeby poczuł się winny. Chyba się jej to udało, bo poczerwieniał na twarzy i mruknął coś pod nosem. Czekała, aż odpowie jej zrozumiale, ale tylko patrzył na nią spode łba, więc postanowiła mówić dalej:

— Pomyślałam, że najlepiej będzie zrobić razem coś miłego. Dzieci lubią dobrą zabawę.

— Co takiego? — burknął sir Phillip gniewnym tonem.

— Po prostu nie widziałam nic złego w pływaniu — wyjaśniła szybko Eloise.

— Naraziła pani moje dzieci na niebezpieczeństwo.

— Jakie niebezpieczeństwo? — obruszyła się Eloise.

Phillip milczał, łypiąc na nią groźnie.

— Och, na litość boską! — zirytowała się w końcu. — Może by im coś

groziło, gdybym nie umiała pływać.

— Nie obchodzi mnie, czy umie pani pływać — warknął Crane. — Najważniejsze, że moje dzieci nie potrafią.

— Owszem, potrafią pływać — oświadczyła Eloise. — I to całkiem dobrze. Sądziłam, że to pan je nauczył.

— O czym pani mówi?

Eloise osłupiała.

— Nie wiedział pan, że pańskie dzieci umieją pływać?

Przez chwilę Phillip nie mógł oddychać. Jego płuca się ścisnęły, ciało zmieniło w zimny posąg. Naprawdę był beznadziejny.

W końcu wyszły na jaw wszystkie jego braki. Wstrząsnęła nim nie nowina, że Amanda i Oliver umieją pływać, tylko fakt, że on nie miał o tym pojęcia. Jak ojciec może nie wiedzieć takiej rzeczy o własnych dzieciach?

Powinien się orientować, czy jego dzieci jeżdżą konno. Czy potrafią czytać i liczyć do stu. I, do licha, powinien wiedzieć, czy umieją pływać.

— Ja… — wykrztusił. — Ja…

Eloise zrobiła krok do przodu i zapytała z troską:

— Dobrze się pan czuje?

Kiwnął głową, a przynajmniej tak mu się wydawało. W jego głowie dźwięczał głos panny Bridgerton: „Owszem, potrafią, potrafią, potrafią…”. I nie słowa były istotne, lecz ton. Brzmiało w nim zaskoczenie, może nawet nuta pogardy.

Nic nie wiedział.

Dzieci dorastały, zmieniały się, a on zupełnie ich nie znał. Dobrze, że w ogóle je rozpoznawał.

Zaczerpnął haust powietrza. Nie wiedział, jakie są ich ulubione kolory.

Różowy? Niebieski? Zielony?

Ale czy miały znaczenie takie szczegóły, czy raczej to, że on nie

interesował się własnymi dziećmi?

Okazał się równie złym ojcem jak jego własny, który go katował, ale przynajmniej wyrażał w ten sposób troskę o jego przyszłość. Natomiast Phillip starał się zachować dystans, unikał bliźniąt, żeby tylko nie stracić panowania nad sobą, żeby nie stać się taki jak Thomas Crane.

— Phillipie! — szepnęła panna Bridgerton, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Coś się stało?

Popatrzył na nią niewidzącymi oczami.

— Chyba powinien pan pójść do domu — stwierdziła Eloise. — Nie wygląda pan dobrze.

— Ja… — Chciał powiedzieć, że nic mu nie jest, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Nie czuł się dobrze, a ostatnio nie był nawet pewien, kim jest.

Eloise przygryzła wargę i spojrzała w górę, kiedy raptem zrobiło się ciemniej.

Phillip podążył za jej wzrokiem i zobaczył, że chmura przesłoniła słońce. Temperatura od razu spadła o jakieś kilka stopni. Panna Bridgerton zadrżała.

Jemu też zrobiło się zimno.

— Musi pani wracać do domu — powiedział, biorąc ją pod ramię.

— Ależ, Phillipie, nic mi nie jest! — zaprotestowała, gdy pociągnął ją w górę zbocza. — Po prostu się wychłodziłam.

— Zaraz się pani przeziębi — stwierdził Crane, zdejmując kurtkę. — Proszę to włożyć.

Eloise tym razem się nie opierała, tylko ponownie zapewniła:

— Naprawdę czuję się dobrze. Nie musimy biec. — Omal nie upadła, kiedy sir Phillip przyspieszył kroku. — Niech pan się zatrzyma! Proszę pozwolić mi iść samej.

Stanął tak raptownie, że się potknęła.

— Nie ja będę odpowiedzialny, jeśli dostanie pani zapalenia płuc — uprzedził ostrym tonem.

— Jest maj — przypomniała Eloise.

— Niech sobie będzie nawet lipiec — rzucił burkliwie Crane. — Nie zostanie pani tutaj w mokrym ubraniu.

— Oczywiście, że nie. — Eloise nakazała sobie spokój, gdy zrozumiała, że wszelki opór jeszcze bardziej zdenerwuje sir Phillipa. — Ale wystarczy, jak pójdziemy wolniej. Do domu zostało jedynie dziesięć minut spaceru. Nie umrę przez ten czas.

Nie przypuszczała, że krew może dosłownie odpłynąć z czyjejś twarzy, ale tylko tak można było opisać nagle poblednięcie sir Phillipa.

— Co się stało? — spytała zaniepokojona.

Przez chwilę wydawało się, że Crane nie zamierza odpowiedzieć, ale potem wyszeptał:

— Nie wiem.

Eloise dotknęła jego ramienia i uważnie przyjrzała się jego twarzy. Wyglądał na oszołomionego, jakby nagle znalazł się na scenie, nie pamiętając roli. Oczy miał szeroko otwarte i patrzył na nią, ale widział jakieś straszne wydarzenie z przeszłości.

Eloise ścisnęło się serce. Dobrze znała moc złych wspomnień, wiedziała, jak potrafią prześladować w snach, aż w końcu człowiek boi się zdmuchnąć świecę.

Mając siedem lat, widziała, jak umiera ojciec. Krzyczała i szlochała, kiedy runął na podłogę, ustami chwytając powietrze. Nie mógł wydobyć z siebie głosu i tylko bił się w piersi. A potem błagała go, żeby się obudził i coś powiedział.

Teraz wiedziała, że już wtedy nie żył, ale wcale nie było jej lżej z tą

świadomością.

Na szczęście jakoś udało się jej przetrwać najgorsze. Prawdopodobnie dzięki matce, która przychodziła do niej co noc, trzymała ją za rękę, zachęcała do mówienia o ojcu, powtarzała, że trzeba za nim tęsknić.

Eloise nie zapomniała tamtych strasznych chwil, ale nocne koszmary nie dręczyły jej już od ponad dziesięciu lat.

Natomiast Phillip… To, co mu się przydarzyło, nadal było świeże w jego pamięci.

I w przeciwieństwie do niej musiał radzić sobie sam.

— Phillipie — powiedziała cicho, dotykając jego policzka. Nie poruszył się i gdyby nie czuła na dłoni jego oddechu, przysięgłaby, że zmienił się w posąg. Jeszcze raz wymówiła jego imię, przysuwając się bliżej.

Chciała, żeby zniknął ten jego martwy wyraz oczu, chciała, żeby znowu stał się taki jak dawniej. Pragnęła go uzdrowić. W tym jednym wyszeptanym słowie, jego imieniu, zawarła współczucie, zrozumienie i obietnicę pomocy. Miała nadzieję, że ją usłyszał.

Po chwili ujął jej rękę. Jego skóra była ciepła i szorstka. Przytulił dłoń Eloise do swojego policzka, jakby starał się zapamiętać jej dotyk. Następnie pocałował ją z uczuciem i niemal z czcią położył sobie na piersi.

Na bijącym sercu.

— Phillipie? — W głosie Eloise brzmiało pytanie, choć wyczuła jego zamiar.

I rzeczywiście objął ją i przyciągnął do siebie — wolno, ale z siłą, której nie zdołała się oprzeć. Potem wziął ją pod brodę, wyszeptał jej imię i przywarł wargami do jej ust. Całował ją zachłannie, jakby bez niej miał umrzeć, jakby była jego strawą i powietrzem. Ciałem i duszą.

Takiego pocałunku nie da się zapomnieć. Eloise nie sądziła, że można aż tak się zatracić.

Phillip jeszcze mocniej otoczył ją ramieniem, aż przywarła do niego całym ciałem. Przesunął rękę w dół jej pleców i chwycił pośladek. Eloise cicho krzyknęła.

— Potrzebuję cię — wyznał gardłowym głosem, jakby z trudem wydobył z siebie te słowa.

Przesunął wargi z jej ust na policzek, potem na szyję, łaskocząc ją, przyprawiając o dreszcz.

Eloise wręcz topniała w jego objęciach, aż w końcu nie wiedziała, kim jest ani co robi. Pragnęła go. Pragnęła więcej. Tylko że…

Nie w taki sposób. Nie chciała, żeby wykorzystał ją jako balsam na swoje rany.

— Phillipie, nie możemy — wyszeptała, jakimś cudem znajdując w sobie dość siły. — Nie tutaj.

Przez chwilę myślała, że jej nie puści, ale w końcu to zrobił.

— Przepraszam — wykrztusił, oddychając ciężko.

Wyglądał na oszołomionego, a Eloise nie wiedziała, czy to z powodu pocałunku, czy wydarzeń poranka.

— Nie przepraszaj — powiedziała, odruchowo wygładzając suknię. Stwierdziła, że jest bardzo mokra i pomięta, i nadal nerwowo przesuwała po niej dłońmi. Czuła się nieswojo. Miała poważne obawy, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, nie ruszy się z miejsca, z powrotem rzuci się w ramiona Phillipa.

— Powinna pani wrócić do domu — stwierdził głosem cichym i ochrypłym.

Oczy Eloise rozszerzyły się ze zdumienia.

— A pan nie idzie?

Potrząsnął głową i rzekł dziwnie beznamiętnym tonem:

— Nie zamarznie pani. Jest przecież maj.

— Tak, ale…

Eloise umilkła raptownie, bo tak naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć. Chyba miała nadzieję, że Phillip sam jej przerwie.

Bez słowa odwróciła się i ruszyła w górę stoku, ale zatrzymał ją spokojny głos.

— Muszę pomyśleć.

— O czym? — Nie powinna była pytać, wtrącać się w nie swoje sprawy, ale nigdy nie potrafiła w porę ugryźć się w język.

— Nie wiem. — Phillip bezradnie wzruszył ramionami. — O wszystkim.

Eloise skinęła głową i pomaszerowała do domu, lecz posępny wyraz oczu sir Phillipa prześladował ją przez cały dzień.

9

…wszyscy tęsknimy za ojcem, zwłaszcza o tej porze roku. Ale pomyśl, jakie miałeś szczęście, że spędziłeś z nim aż osiemnaście lat. Ja pamiętam tak niewiele, a bardzo chciałabym, żeby zobaczył mnie jako dorosłą osobę.

Z listu Eloise Bridgerton do brata, wicehrabiego Bridgertona,
z okazji dziesiątej rocznicy śmierci ojca

Eloise celowo zeszła później na kolację. Niewiele, bo spóźnianie się nie leżało w jej naturze, zwłaszcza że nie tolerowała tej wady u innych. Lecz po przedpołudniowych wydarzeniach nie miała pojęcia, czy sir Phillip zamierza się zjawić w jadalni. Nie mogła znieść myśli, że będzie czekać na niego w saloniku, nerwowo splatając palce i zastanawiając się, czy przyjdzie jej siedzieć samotnie przy dużym stole.

Dokładnie dziesięć po siódmej uznała, że gospodarz na nią nie czeka, więc równie dobrze może pójść do jadalni i zachowywać się, jakby przez cały czas planowała sama zjeść kolację.

Kiedy jednak weszła do saloniku, ku własnemu zaskoczeniu i, szczerze mówiąc, ogromnej uldze, zobaczyła, że sir Phillip stoi przy oknie, w eleganckim wieczorowym stroju, może niestanowiącym ostatniego krzyku mody, lecz doskonale skrojonym i uszytym. Eloise zauważyła, że całość jest utrzymana w barwach czarnej i białej. Była ciekawa, czy gospodarz nadal nosi częściową żałobę po Marinie, czy tak po prostu lubi. Jej bracia rzadko ubierali się w żywe kolory, popularne w pewnych kręgach. Sir Phillip również nie wyglądał na ich miłośnika.

Przez chwilę stała w drzwiach, obserwując jego profil i zastanawiając się, czy wyczuł jej obecność. Po chwili odwrócił się od okna, bąknął jej imię i ruszył przez pokój.

— Mam nadzieję, że przyjmie pani moje przeprosiny — powiedział.

Choć mówił tonem pełnym rezerwy, Eloise dostrzegła błaganie w jego oczach i wyczuła, że naprawdę zależy mu na jej wybaczeniu.

— Nie musi pan przepraszać — zapewniła go pospiesznie.

Mówiła szczerze. Skąd miała wiedzieć, czy powinien się pokajać, skoro sama nie bardzo rozumiała, co właściwie się stało tego ranka.

— Muszę — upierał się mimo wszystko. — Zareagowałem przesadnie, bo…

Patrzyła na niego bez słowa. Sir Phillip odchrząknął. Otworzył usta, ale minęła chwila, zanim wyrzucił z siebie:

— Marina omal nie utonęła w tym jeziorze.

Eloise odruchowo zakryła dłonią usta, żeby stłumić okrzyk.

— Nie była dobrą pływaczką — dodał Phillip.

— Tak mi przykro — wyszeptała Eloise. — Czy pan… — Jak miała zapytać, nie okazując wścibstwa? Lecz mimo obaw nie mogła się powstrzymać. Musiała wiedzieć. — Był pan tam?

Crane z ponurą miną skinął głową.

— Wyciągnąłem ją.

— Jakie to szczęście! — odetchnęła Eloise. — Musiała być przerażona.

Phillip milczał.

Eloise pomyślała o ojcu, o tym, jaka była bezradna, kiedy upadł na podłogę u jej stóp. Nawet w dzieciństwie nie potrafiła stać bezczynnie. Nigdy nie była tylko obserwatorem. Musiała coś robić, działać, naprawiać świat, ratować ludzi. I ten jeden raz, kiedy naprawdę liczył się czas, okazała się bezsilna.

— Cieszę się, że ją pan uratował — powiedziała. — Gdyby pan nie zdołał tego uczynić, ta świadomość byłaby dla pana straszna.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem, a Eloise uświadomiła sobie, jak osobliwie zabrzmiały jej słowa, więc wyjaśniła:

— To potworne, kiedy ktoś umiera, a tymczasem pan nic nie może zrobić, tylko patrzeć. — I ponieważ ten mężczyzna, który stał przed nią taki milczący i sztywny, wydał się jej bliski, zaraz dodała cicho, z żalem: — Ja to wiem.

Sir Phillip spojrzał na nią pytająco.

— Mój ojciec — rzekła krótko Eloise.

Nieczęsto dzieliła się tym wspomnieniem. Właściwie tylko jej przyjaciółka Penelopa, jako osoba spoza najbliższej rodziny, wiedziała, że Eloise była jedynym świadkiem przedwczesnej śmierci ojca.

— Przykro mi — bąknął Crane.

— Mnie również — szepnęła Eloise zdławionym głosem.

A wtedy Phillip powiedział bardzo dziwną rzecz:

— Nie wiedziałem, że moje dzieci potrafią pływać.

Było to tak nieoczekiwane stwierdzenie, zupełnie bez związku z tematem ich rozmowy, że Eloise osłupiała.

— Słucham?

Phillip podał jej ramię.

— Nie wiedziałem, że potrafią pływać — powtórzył zgnębionym głosem, idąc do drzwi. — Nawet nie wiem, kto je nauczył.

— Czy to ma znaczenie?

— Tak — odparł z goryczą. — Bo właśnie ja powinienem był to zrobić.

Eloise nie mogła patrzeć na jego smutną twarz, ale jednocześnie jej wyraz mocno ją poruszył. Każdy, kto tak kochał swoje dzieci — nawet jeśli nie bardzo umiał się nimi zajmować — musiał być dobrym człowiekiem.

Zdawała sobie sprawę, że ma tendencje do postrzegania wszystkiego tylko w czarnych lub białych barwach, że czasami wydaje pochopnie osądy, bo nie próbuje doszukać się różnych odcieni szarości, ale akurat teraz czuła, że się nie myli.

Sir Phillip Crane był dobry. Może nie nazwałaby go chodzącym ideałem, ale na pewno wrażliwym i szczerym człowiekiem.

— Teraz już nic pan na to nie poradzi — stwierdziła bez ogródek, jak miała w zwyczaju. Zawsze wolała rozwiązywać problemy, niż lamentować. — Nie oduczą się przecież tego, co już umieją.

Crane zatrzymał się i spojrzał na nią z ukosa.

— Oczywiście ma pani rację — przyznał i dodał ciszej: — Nieważne, kto je nauczył, ale powinienem przynajmniej wiedzieć, że potrafią pływać.

Eloise zgadzała się z nim w duchu, ale nie chciała bardziej go przygnębiać, wypowiadając na głos swoje zdanie. Wolała go pocieszyć, mówiąc:

— Jeszcze ma pan dużo czasu.

— Na nauczenie ich stylu grzbietowego? — rzucił Phillip z nutą ironii w głosie.

— Tak — odparła Eloise tonem nieco ostrzejszym, niż zamierzała, bo brakowało jej cierpliwości do osób użalających się nad sobą. — Lecz również na to, żeby pan poznał je lepiej. Pańskie dzieci są urocze.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem. Eloise odchrząknęła.

— Czasami zachowują się niegrzecznie…

Phillip uniósł brwi.

— No dobrze, często zachowują się źle — przyznała Eloise — ale tak naprawdę chodzi im jedynie o zwrócenie na siebie pańskiej uwagi.

— Powiedziały to pani? — zapytał Crane.

— Oczywiście, że nie — odparła z uśmiechem, rozbawiona jego

naiwnością. — Mają dopiero po osiem lat. Nie umiałyby wyrazić słowami tego, co czują. Dla mnie to całkiem jasne.

Po wejściu do jadalni Eloise usiadła na krześle podsuniętym przez lokaja. Gospodarz zajął miejsce naprzeciwko niej i sięgnął po kieliszek wina, ale szybko cofnął rękę. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie był pewien, jak to wyrazić. W końcu zapytał:

— Podobało im się? To znaczy pływanie.

Eloise się uśmiechnęła.

— Bardzo. Sam powinien pan zabrać je nad jezioro.

Phillip na krótką chwilę zamknął oczy.

— Nie sądzę, żebym był w stanie — powiedział.

Eloise pokiwała głową. Znała moc złych wspomnień.

— Może w inne miejsce — zasugerowała. — W okolicy na pewno są jakieś inne jeziora. Albo chociaż zwykły staw.

Phillip poczekał, aż gość weźmie do ręki łyżkę, i sam też zaczął jeść zupę.

— To świetny pomysł. Myślę… — Zawahał się, odchrząknął. — Myślę, że dałbym radę. Zastanowię się, dokąd moglibyśmy pójść.

Na widok niepewności malującej się na jego twarzy Eloise poczuła ukłucie w sercu. Nie bardzo wiedział, czy postępuje właściwie, ale mimo wszystko nie zamierzał się poddawać. Eloise korciło, żeby sięgnąć przez stół i dotknąć jego ręki. Oczywiście nie mogła sobie pozwolić na taki gest, nawet gdyby stół był krótszy. Tak więc tylko posłała gospodarzowi uśmiech, który miał dodać mu otuchy.

Phillip wytarł usta serwetką i powiedział:

— Mam nadzieję, że pani do nas dołączy.

— Oczywiście — zapewniła Eloise ze szczerym entuzjazmem. — Byłabym rozczarowana, gdyby pan mnie nie zaprosił.

— Niewątpliwie pani przesadza — stwierdził sir Phillip z krzywym uśmiechem. — Tak czy inaczej, będziemy zaszczyceni. Prawdę mówiąc, przy pani będę czuł się pewniej. — Widząc jej zdziwioną minę, dodał: — Wycieczka w pani towarzystwie nie może się nie udać.

— Ależ…

Sir Phillip nie pozwolił jej dokończyć zdania.

— Wszyscy będziemy lepiej się bawili w pani towarzystwie — stwierdził.

Eloise zrezygnowała z dalszej dyskusji i łaskawie przyjęła komplement. Sir Phillip miał rację. Zarówno on, jak i dzieci nie byli przyzwyczajeni do spędzania czasu razem. Obecność jeszcze jednej osoby powinna ułatwić im sytuację.

Ona sama nie miała nic przeciwko temu pomysłowi.

— Może jutro — zaproponowała. — Oczywiście jeśli pogoda się utrzyma.

— Myślę, że tak — stwierdził Phillip. — Nie czuć zmiany w powietrzu.

Eloise zerknęła na niego znad talerza rosołu, któremu przydałoby się więcej soli.

— Umie pan przewidywać pogodę? — zapytała, nawet nie starając się ukryć powątpiewania.

Miała kuzyna przeświadczonego o swoim darze przepowiadania pogody. Za każdym razem, kiedy go posłuchała, wracała ze spaceru przemoczona do suchej nitki albo zmarznięta na kość.

— Nie — odparł sir Phillip — ale można… — Nagle urwał i przekrzywił głowę. — Co to było?

— Co takiego? — zdziwiła się Eloise, ale w tym momencie usłyszała podniesione głosy dobiegające z holu i ciężkie kroki.

Potem stek wyzwisk i okrzyk przerażenia. Wydał go chyba kamerdyner.

I wtedy Eloise zrozumiała.

— O Boże! — Wypuściła łyżkę z ręki. Zupa prysnęła na obrus.

— Co się dzieje, do diaska? — Gospodarz wstał od stołu, najwyraźniej gotowy do odparcia inwazji.

Tyle że nie miał pojęcia, z jakimi intruzami za chwilę się spotka. Irytującymi, wścibskimi, nieznośnymi.

Ale Eloise wiedziała. I obawiała się, że nawet wściekły, nierozsądny i bardzo silny gospodarz może nie dać rady takim napastnikom.

Sir Phillip spojrzał na nią pytająco, unosząc brwi, gdy oboje usłyszeli, że ktoś woła jej imię.

Eloise krew odpłynęła z twarzy. I z całego ciała. Poczuła to wyraźnie i zrozumiała, że jeśli chce przeżyć, musi sama zabić, i to najlepiej kogoś, z kim była blisko spokrewniona.

Zerwała się z krzesła, kurczowo ściskając krawędź stołu. Kroki się zbliżały. Brzmiało to tak, jakby nadciągała dzika horda.

— To ktoś znajomy? — zapytał Phillip, całkiem spokojnie jak na człowieka bliskiego śmierci.

Eloise skinęła głową i z trudem wykrztusiła:

— Moi bracia.

Phillipowi przyszło do głowy (gdy dwie pary rąk zaciśnięte na jego gardle przygwoździły go do ściany), że Eloise mogła go ostrzec.

Niekoniecznie aż parę dni wcześniej, choć byłoby to miłe z jej strony, mimo że i tak niewystarczające przeciwko zbiorowej sile czterech, sądząc po wyglądzie, blisko spokrewnionych z nią mężczyzn.

Powinien był zawczasu pomyśleć, że lepiej nie starać się o rękę kobiety mającej braci.

Czterech, dokładnie mówiąc.

Cud, że jeszcze żył.

— Anthony! — krzyknęła Eloise. — Przestań!

Anthony Bridgerton, chyba on, bo nieproszeni goście nie raczyli się przedstawić, mocniej ścisnął szyję Phillipa.

— Benedikcie — Eloise błagalnym tonem zwróciła się do najpotężniejszego z całej grupy — bądź rozsądny.

Ten drugi z trzymających go za gardło (byli jeszcze dwaj, ale oni tylko stali z groźnymi minami) trochę rozluźnił uścisk i obejrzał się na siostrę.

Na nieszczęście dla pana domu, gdyż wcześniej, spiesząc się, żeby rozerwać go na strzępy, żaden nie przyjrzał się Eloise na tyle długo, by zauważyć podbite oko.

Teraz oczywiście uznali, że to jego sprawka.

Benedict wydał z siebie nieludzki ryk i przyszpilił Crane’a do ściany tak mocno, że niemal oderwał go od podłogi.

Cudownie, pomyślał Phillip. Teraz naprawdę umrę.

Z początku czuł jedynie dyskomfort, lecz teraz…

— Przestań natychmiast! — krzyknęła Eloise, skacząc bratu na plecy i ciągnąc go za włosy.

Benedict zawył i puścił gospodarza, żeby odeprzeć niespodziewany atak, ale niestety Anthony godnie go zastąpił, mocniej zaciskając ręce na szyi Phillipa.

Ten mimo braku powietrza spostrzegł, że Eloise walczy jak furia skrzyżowana ze zjawą zwiastującą śmierć i z Meduzą. Prawą rękę wczepiła we włosy brata, lewą oplotła jego szyję, przedramię wbijając mu pod brodę.

— Chryste! — wrzasnął Benedict i okręcił się gwałtownie, próbując zrzucić z siebie siostrę. — Niech ją ktoś zabierze!

Żaden z pozostałych Bridgertonów nie ruszył mu na ratunek, i nic dziwnego. Jeden z nich, oparty plecami o ścianę, wyglądał na rozbawionego całą sceną.

Phillip, choć zaczął mu się zamazywać wzrok, podziwiał hart i skuteczność Eloise. Mało która kobieta wiedziała, jak walczyć, żeby wygrać.

Nagle twarz Anthony’ego Bridgertona znalazła się bardzo blisko jego twarzy.

— Uderzył ją pan?

Jakbym mógł mówić, pomyślał Phillip, już prawie zamroczony.

— Nie! — krzyknęła Eloise, na chwilę przestając wyrywać bratu włosy. — Oczywiście, że mnie nie uderzył.

Anthony spojrzał na nią ostro, podczas gdy ona zaczęła okładać Benedicta pięściami.

— Tu nie ma żadnych „oczywiście”.

— To był wypadek — próbowała wyjaśnić Eloise. — Sir Phillip nie miał z nim nic wspólnego. — Żaden z braci nie wyglądał na przekonanego, więc dodała ze zniecierpliwieniem: — Och, na litość boską! Naprawdę myślicie, że broniłabym kogoś, kto mnie pobił?

Chyba jej uwierzyli, bo Anthony puścił gospodarza. Phillip osunął się na podłogę, łapiąc powietrze.

Czterech! Czy Eloise wspomniała, że jest ich aż tylu? Na pewno nie. W ogóle nie zastanawiałby się nad małżeństwem z kobietą, która ma czterech braci. Tylko głupiec wiązałby się z taką rodziną.

— Co mu zrobiliście? — Eloise zeskoczyła z pleców Benedicta i podbiegła do Phillipa.

— Co on zrobił tobie? — zapytał jeden z Bridgertonów.

Phillip poznał w nim tego, który wymierzył mu cios w brodę, zanim pozostali rzucili się go dusić.

Eloise spiorunowała brata wzrokiem.

— A w ogóle co tutaj robicie? — zapytała groźnym tonem.

— Bronimy czci naszej siostry — odparował brat.

— Jakbym potrzebowała twojej opieki! — prychnęła. — Nie masz jeszcze dwudziestu lat!

A, pomyślał Phillip, to musi być ten o imieniu zaczynającym się na G. George? Gavin? Nie…

— Mam dwadzieścia trzy — sprostował młodzieniec z urazą w głosie.

— A ja dwadzieścia osiem — przypomniała mu siostra. — Nie potrzebowałam twojej pomocy, kiedy chodziłeś z pieluchą, i nie potrzebuję jej teraz.

Gregory! Tak, Gregory. Eloise pisała o nim w jednym ze swoich listów. Do diaska! Jeśli wiedział o nim, musiał również wiedzieć o pozostałych braciach. Mógł winić tylko siebie, że o nich nie pamiętał.

— Koniecznie chciał jechać z nami — odezwał się Bridgerton stojący w kącie, ten, który nie próbował zabić pana domu.

Phillip doszedł do wniosku, że jego lubi najbardziej, zwłaszcza po tym, jak złapał Gregory’ego za rękę, kiedy najmłodszy brat próbował rzucić się na siostrę. Na co, nawiasem mówiąc, w pełni sobie zasłużyła, pomyślał Phillip. Pieluchy, też coś!

— Trzeba było go powstrzymać — stwierdziła Eloise, nieświadoma potajemnej zdrady Phillipa. — Macie pojęcie, jaka to dla mnie krępująca sytuacja?

Bracia popatrzyli na nią, jakby oszalała, co, zdaniem Phillipa, było całkiem uzasadnionym wnioskiem.

— Straciłaś prawo, żeby czuć się zakłopotana, skrępowana albo zawstydzona — oświadczył Anthony. — Możesz jedynie czuć się głupio po tym, jak uciekłaś bez słowa.

Eloise wyglądała na trochę utemperowaną, ale mimo to burknęła:

— I tak bym go nie posłuchała.

— W przeciwieństwie do pozostałych braci — odezwał się czwarty z Bridgertonów, zapewne Colin. — Jak wiadomo, w stosunku do nas jesteś potulna i uległa.

— Och, do licha! — warknęła Eloise.

Zupełnie jak nie dama, stwierdził w duchu Phillip.

Poczuł, że pieką go uszy. Czyżby ostatnio ktoś go za nie szarpał? Nie pamiętał. Czterech na jednego. Nic dziwnego, że pomieszało mu się w głowie.

— Ty nigdzie nie odchodź — rozkazał Anthony, celując palcem w Crane'a.

Jakby Phillip w ogóle brał pod uwagę taką możliwość.

— A ty… — najstarszy z Bridgertonów zwrócił się do siostry jeszcze groźniejszym tonem — co sobie myślałaś?

Eloise spróbowała zbyć pytanie.

— Co tu robicie?

I udało się jej, bo brat odpowiedział.

— Ratujemy cię przed upadkiem! — huknął. — Do diabła, Eloise, masz pojęcie, jak się martwiliśmy?

— A ja myślałam, że nawet nie zauważyliście mojego zniknięcia — zażartowała siostra.

— Matka wychodzi z siebie.

Eloise spoważniała.

— Och, nie — wyszeptała. — O tym nie pomyślałam.

— Właśnie — rzucił Anthony surowym tonem, którego należało oczekiwać po mężczyźnie będącym od dwudziestu lat głową licznej rodziny. — Powinienem sprawić ci lanie.

Phillip już miał zaprotestować, bo nie mógłby pozwolić na przemoc, lecz Anthony dodał:

— Albo przynajmniej założyć ci kaganiec.

Crane doszedł do wniosku, że Bridgerton bardzo dobrze zna siostrę.

— A ty dokąd się wybierasz? — spytał Benedict.

Phillip uświadomił sobie, że próbuje wstać. Opadł z powrotem na podłogę. Zerknął na Eloise.

— Może wypadałoby dokonać prezentacji? — zasugerował.

— Och — zmieszała się panna Bridgerton. — Tak, oczywiście. To moi bracia.

— Zdążyłem się domyślić — powiedział Phillip oschłym tonem.

Eloise posłała mu przepraszające spojrzenie; zdaniem Phillipa przynajmniej tyle mogła zrobić po tym, jak go torturowano i omal nie zabito. Następnie zaczęła kolejno wskazywać braci i wymieniać ich imiona:

— Anthony, Benedict, Colin, Gregory. Ci trzej… — dodała, wskazując panów A, B i C — są starsi ode mnie. Tamten… — machnęła lekceważąco w stronę najmłodszego — to jeszcze dzieciak.

Gregory wyglądał, jakby chciał ją udusić, co Phillipowi akurat nie przeszkadzało, jako że odwracało uwagę morderców od niego.

W końcu Eloise przeniosła spojrzenie na pana domu i powiedziała do braci:

— Sir Phillip Crane, ale zapewne już to wiecie.

— Znaleźliśmy jeden z listów — wyjaśnił Colin.

Eloise na chwilę zamknęła oczy. Phillip zobaczył, że jej wargi układają się w słowa: głupia, głupia, głupia. W każdym razie tak mu się wydawało.

Colin uśmiechnął się złośliwie.

— Na przyszłość bądź ostrożniejsza, jeśli zdecydujesz się na ucieczkę — powiedział.

— Zapamiętam radę — odparowała Eloise, ale wyraźnie traciła bojowy zapał.

— Czy teraz już mogę wstać? — odezwał się Phillip, nie kierując pytania do nikogo w szczególności.

— Nie — zaprotestowali zgodnie.

Nie wiadomo, który z Bridgertonów powiedział to najgłośniej.

Phillip został na podłodze. Nie uważał się za tchórza i całkiem dobrze potrafił walczyć na pięści, ale, do diabła, miał do czynienia z czterema przeciwnikami.

Może i był niezłym bokserem, ale nie głupcem i samobójcą.

— Skąd to podbite oko? — zainteresował się Colin.

Eloise milczała przez chwilę. W końcu odparła krótko:

— Miałam wypadek.

— Zechciałabyś nam to bliżej wyjaśnić? — poprosił brat.

Eloise przełknęła ślinę i zerknęła na Phillipa. Crane wolałby, żeby tego nie robiła. Jej niepewność mogła tylko utwierdzić braci w przeświadczeniu, że to on jest odpowiedzialny za jej obrażenia.

To nieporozumienie groziło mu śmiercią lub kalectwem. Bridgertonowie nie wyglądali na takich, którzy pozwolą, żeby ktoś bezkarnie tknął ich siostrę, nie mówiąc o podbijaniu jej oczu.

— Niech pani powie im prawdę — rzekł Crane ze znużeniem.

— To jego dzieci — wyjaśniła Eloise.

Phillip się już niczego nie obawiał. Choć Bridgertonowie omal go nie udusili, nie sprawiali wrażenia osobników, którzy są gotowi zrobić krzywdę niewinnym dzieciom. Poza tym był pewien, że Eloise nie narazi na niebezpieczeństwo Olivera i Amandy.

— Crane ma dzieci? — zdziwił się Anthony, mierząc go trochę przychylniejszym wzrokiem.

On również jest ojcem, domyślił się Phillip.

— Dwoje — odparła Eloise. — Bliźnięta. Chłopca i dziewczynkę. Mają

po osiem lat.

— Gratulacje — mruknął Anthony.

— Dziękuję — powiedział Phillip. W tym momencie poczuł się stary i znużony. — Bardziej na miejscu byłyby chyba wyrazy współczucia.

Najstarszy Bridgeton popatrzył na niego z zaciekawieniem i prawie z uśmiechem.

— Nie były szczególnie zachwycone moim przyjazdem — wtrąciła Eloise.

— Bystre dzieciaki — stwierdził Anthony.

W spojrzeniu, które posłała mu siostra, nie było rozbawienia.

— Zastawiły na mnie pułapkę — poskarżyła się. — Taką, jak kiedyś Colin. — Łypnęła gniewnie na drugiego brata. — W tysiąc osiemset czwartym.

Colin z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Pamiętasz datę?

— Ona pamięta wszystko — odezwał się Benedict.

Eloise jego też spiorunowała wzrokiem.

Mimo obolałego gardła Phillip coraz lepiej bawił się darmowym przedstawieniem.

— Upadłam — powiedziała Eloise, zwracając się znowu do Anthony'ego.

— I uderzyłaś się w oko?

— W biodro i w policzek, bo nie zdążyłam zamortyzować upadku. Siniak rozlał się pod okiem.

Anthony przeniósł spojrzenie na gospodarza.

— Mówi prawdę? — zapytał groźnym tonem.

Phillip pokiwał głową.

— Przysięgam na grób mojego brata. Dzieci wszystko potwierdzą, jeśli

uznacie za stosowne z nimi porozmawiać.

— Oczywiście, że nie — obruszył się Anthony. — Nigdy bym… — Odchrząknął, a następnie rozkazał: — Niech pan wstaje. Ale złagodził szorstki ton, podając gospodarzowi rękę.

Phillip przyjął pomoc, bo już dawno doszedł do wniosku, że lepiej mieć sojuszników niż wrogów w braciach Eloise. Popatrzył uważnie na czterech Bridgertonów. Nie miałby najmniejszej szansy, gdyby wszyscy rzucili się na niego. A wcale nie był przekonany, że to mało prawdopodobne.

Wiedział, że zanim dzień się skończy, on będzie martwy albo żonaty. I nie uśmiechało mu się poddanie tej kwestii pod głosowanie braciom Bridgertonom.

Anthony jednym spojrzeniem uciszył czwórkę młodszego rodzeństwa i zwrócił się do Crane’a.

— Może pan nam opowie, co tu się wydarzyło.

Eloise zamierzała się wtrącić, ale po krótkim wahaniu zacisnęła usta i usiadła na krześle z miną może nie całkiem potulną, ale przynajmniej potulniejszą, niż Phillip się spodziewał.

Od razu postanowił, że musi się nauczyć takiego spojrzenia. Najstarszy Bridgerton na pewno w jednej chwili przywoływał swoje dzieci do porządku.

— Nie sądzę, żeby moja siostra nam przerywała — stwierdził Anthony łagodnym tonem. — Proszę mówić.

Phillip zerknął na Eloise. Sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała wybuchnąć, ale trzymała język za zębami, co jak na nią było wielkim osiągnięciem.

Crane szybko zrelacjonował wydarzenia, które doprowadziły do przybycia Eloise do Romney Hall. Opowiedział o korespondencji, która

rozpoczęła się od listu z kondolencjami, o tym, że stali się przyjaciółmi. Umilkł, kiedy Colin pokręcił głową i mruknął:

— Zawsze się zastanawiałem, co ona tak pisze w swoim pokoju.

Gdy pan domu spojrzał na niego pytająco, Colin uniósł ręce i wyjaśnił:

— Jej palce zawsze były umazane atramentem.

Phillip zakończył swoją opowieść konkluzją:

— Po prostu szukałem żony. Z listów panny Eloise wynikało, że jest inteligentna i rozsądna. Moje dzieci, jak panowie się zorientujecie, jeśli zostaniecie tu dostatecznie długo, potrafią być dość… hm — przez chwilę szukał jak najłagodniejszego określenia — hałaśliwe — powiedział w końcu, zadowolony z siebie. — Liczyłem na to, że wasza siostra, panowie, będzie miała na nie kojący wpływ.

— Eloise? — prychnął Benedict.

Z min pozostałych trzech Bridgertonów wynikało, że w pełni zgadzają się z bratem.

Choć Phillip niedawno uśmiechnął się, słysząc uwagę Benedicta o pamięci Eloise, i spodobał mu się pomysł Anthony’ego z kagańcem, teraz zrozumiał, że Bridgertonowie nie darzą siostry takim szacunkiem, na jaki zasługiwała.

— Wasza siostra, panowie, ma zbawienny wpływ na moje dzieci — oświadczył tonem bardziej stanowczym, niż zamierzał. — Wolałbym, żebyście nie wyrażali się o niej lekceważąco w mojej obecności.

Chyba właśnie wydał na siebie wyrok śmierci. Było ich czterech, więc obrażanie Bridgertonów nie leżało w jego interesie. Ale nawet jeśli przejechali pół kraju, żeby bronić cnoty swojej siostry, on nie zamierzał stać bezczynnie i słuchać, jak sobie z niej pokpiwają.

Nie z Eloise. Nie w jego obecności.

Ale ku jego zaskoczeniu żaden z Bridgertonów się nie odezwał,

a Anthony, przywódca klanu, zmierzył go taksującym wzrokiem, jakby próbował dojrzeć, co kryje się w środku.

— Mamy sobie dużo do powiedzenia, pan i ja — stwierdził w końcu z całkowitym spokojem.

Phillip pokiwał głową.

— Sądzę, że będzie pan musiał porozmawiać również z siostrą.

Eloise posłała mu spojrzenie pełne wdzięczności. Nic dziwnego. Nie przypuszczał, żeby dobrze przyjęła wykluczenie z dyskusji dotyczącej jej życia. Do licha, nie należała do osób, które dobrze przyjmują wykluczenie z czegokolwiek.

— Dobrze — zgodził się Anthony. — Porozmawiam z nią. I chyba zrobię to najpierw, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Jakby Phillip był taki głupi, żeby się z nim spierać, podczas gdy trzej inni Bridgertonowie łypali na niego groźnie.

— Proszę skorzystać z mojego gabinetu — zaproponował. — Eloise pokaże panu drogę.

Nie powinien był tego mówić. Braciom nie należało przypominać, że ich siostra przebywała w Romney Hall dostatecznie długo, by dobrze się w nim orientować.

Anthony i Eloise bez słowa opuścili pokój, zostawiając Phillipa samego z pozostałymi Bridgertonami.

— Mogę usiąść? — zapytał gospodarz, bo podejrzewał, że utknie w jadalni na jakiś czas.

— Proszę — łaskawie pozwolił mu Colin.

Benedict i Gregory nadal piorunowali go spojrzeniami. Colin, jak zauważył Phillip, również nie palił się do zawierania przyjaźni. Może był odrobinę milszy niż bracia, ale w jego oczach kryła się bystrość, której nie należało lekceważyć.

— Proszę się częstować — rzekł gospodarz, wskazując zastawiony stół.

Benedict i Gregory zmierzyli go wzrokiem, jakby proponował im truciznę, ale Colin usiadł naprzeciwko pana domu i sięgnął po chrupiącą bułkę.

— Są całkiem niezłe — powiedział Phillip, choć nie miał okazji dzisiaj ich spróbować.

— Rzeczywiście dobre — mruknął Colin, ugryzłszy kęs. — Konam z głodu.

— Jak możesz w takiej chwili myśleć o jedzeniu? — obruszył się Gregory.

— Zawsze myślę o jedzeniu — odparł brat, rozglądając się za masłem. — O czym innym można jeszcze myśleć?

— Na przykład o żonie — wtrącił Benedict.

— A, tak — zgodził się Colin, po czym spojrzał na gospodarza twardym wzrokiem i powiedział: — Jak zapewne pan się domyśla, wolałbym spędzić noc ze swoją żoną.

Phillipowi nie przychodziła do głowy żadna replika, która nie byłaby obraźliwa dla nieobecnej pani Bridgerton, więc tylko skinął głową i zaczął smarować bułkę masłem.

Colin ugryzł ze swojej kolejny potężny kęs i odezwał się z pełnymi ustami, co w zamierzeniu miało być afrontem wobec gospodarza.

— Jesteśmy dopiero kilka tygodni po ślubie — wyjaśnił.

Phillip uniósł brew.

— Nadal nowożeńcy — dodał Colin.

Crane pokiwał głową.

— Naprawdę nie chciałem zostawiać żony.

— Rozumiem — mruknął Phillip, bo co innego mógłby powiedzieć.

— Naprawdę pan rozumie? — wtrącił się Gregory.

Colin posłał mu spojrzenie mrożące krew w żyłach; jego brat był zbyt młody, żeby opanować trudną sztukę dyplomacji i niuansów. Phillip odczekał chwilę i podsunął mu talerz szparagów, mówiąc:

— Domyślam się, że tęskni pan za żoną.

Colin jeszcze raz zmierzył brata pogardliwym wzrokiem i po dłuższej chwili odparł:

— Istotnie.

Phillip zerknął na jedynego Bridgertona, który nie był zaangażowany w ostatnią wymianę zdań.

To był wielki błąd. Benedict zaciskał pięści i sprawiał wrażenie, jakby żałował, że nie udusił Crane’a, kiedy miał po temu okazję.

Phillip czym prędzej przeniósł spojrzenie na Gregory’ego. Najmłodszy Bridgerton siedział z rękami splecionymi na piersi. Cały drżał z wściekłości, może na niego, a może na rodzinę, która traktowała go jak młokosa. Czując na sobie wzrok gospodarza, mocniej wysunął szczękę do przodu, zacisnął zęby i…

Phillipowi to wystarczyło. Wrócił spojrzeniem do Colina.

Najsympatyczniejszy z klanu był zajęty jedzeniem, bo tymczasem udało mu się oczarować służbę, tak że przyniesiono mu pełną wazę zupy. Lecz w pewnym momencie odłożył łyżkę i zaczął kolejno zginać palce, mrucząc pod nosem:

— Tęsknię. Za. Moją. Żoną.

— Cholera jasna! — nie wytrzymał w końcu Phillip. — Jeśli zamierzacie połamać mi nogi, dlaczego nie zrobicie tego od razu?

10

…nigdy się nie dowiesz, jakiego masz pecha, najdroższa Penelopo, że masz tylko siostry. Bracia są o wiele zabawniejsi.

Z listu Eloise Bridgerton do Penelopy Featherington, po nocnej przejażdżce po Hyde Parku z trójką starszych braci

Oto twój wybór — zaczął Anthony, siadając za biurkiem gospodarza jak za swoim własnym. — Możesz wyjść za niego w tym tygodniu albo w następnym.

Eloise osłupiała.

— Anthony! — wykrztusiła po chwili.

— Oczekujesz innej propozycji? — zapytał brat łagodnie. — Myślę, że moglibyśmy wydłużyć okres narzeczeństwa do trzech tygodni, jeśli podasz mi przekonujący powód.

Eloise nie znosiła, kiedy Anthony przemawiał do niej jak mądry i rozsądny ojciec do krnąbrnego dziecka. Wolała, kiedy się piekli i krzyczał. Wtedy przynajmniej mogła udawać biedną, skrzywdzoną niewinność.

— Nie rozumiem, dlaczego miałabyś mieć coś przeciwko ślubowi — ciągnął brat. — Czy nie przyjechałaś tutaj z takim właśnie zamiarem?

— Nie! Przyjechałam tutaj z zamiarem przekonania się, czy sir Phillip nadaje się na męża.

— I co?

— Nie wiem. Jestem tu dopiero od dwóch dni.

— Wystarczająco długo, żeby stracić reputację — rzekł Anthony,

oglądając swoje paznokcie w blasku świecy.

— Czy ktoś wie, dokąd pojechałam? — zapytała szybko Eloise. — To znaczy oprócz rodziny.

— Jeszcze nie, ale prędzej czy później ktoś się dowie. Zawsze tak jest.

— Miała tu być przyzwoitka — powiedziała Eloise.

— I była? — rzucił Anthony lekkim tonem, jakby pytał, czy dostanie jagnięcinę na kolację albo czy dla jego rozrywki zorganizowano polowanie.

— Wkrótce przyjedzie.

— Hm, szkoda, że nie przyjechała przed tobą — rzekł Anthony.

— Szkoda, że wszyscy tego nie zrobili — mruknęła Eloise.

— Co to miało znaczyć? — Brat znowu posłużył się tym koszmarnym tonem, dając do zrozumienia, że słyszał każde słowo.

— Anthony… — zaczęła Eloise. Zabrzmiało to jak błaganie, choć nie miała pojęcia, o co właściwie prosi.

Brat wpił w nią płonący wzrok. Moc tego spojrzenia uświadomiła Eloise, jakie miała szczęście, że do tej pory udawał, że zachowuje stoicki spokój.

Odruchowo cofnęła się o krok. Każdy by to zrobił, mając przed sobą rozwścieczonego Anthony’ego Bridgertona.

Kiedy się odezwał, jego głos był całkiem spokojny.

— Sama nawarzyłaś sobie piwa — stwierdził wolno, z naciskiem. — Obawiam się, że teraz będziesz musiała je wypić.

— Zmusisz mnie do poślubienia mężczyzny, którego prawie nie znam? — wyszeptała Eloise.

— Doprawdy? W jadalni wydawało się, że znasz go całkiem dobrze. Jak lwica rzucałaś mu się na ratunek przy każdej okazji.

Zapędzał ją w kozi róg, co doprowadzało ją do szału.

— To nie wystarczy do małżeństwa — powiedziała z uporem. — Przynajmniej na razie.

Lecz Anthony nie poddawał się łatwo.

— Jeśli nie teraz, to kiedy? Za tydzień? Dwa?

— Przestań! — wybuchnęła Eloise. Miała ochotę zatkać uszy. — Przez ciebie nie mogę myśleć.

— Przecież ty nie myślisz — odparował Anthony. — Gdybyś chwilę się zastanowiła, wykorzystała tę małą część swojego mózgu, w której mieści się rozsądek, nigdy nie uciekłabyś z domu.

Eloise splotła ręce na piersi i opuściła wzrok. Brakowało jej argumentów i to ją dobijało.

— Co zamierzasz? — spytał brat.

— Nie wiem — odburknęła zła na samą siebie.

— Cóż… — znowu ten okropny, mentorski ton — to nas stawia w trudnej sytuacji, nie uważasz?

— Nie możesz przestać? — zirytowała się Eloise, zaciskając pięści. — Musisz wszystkie wypowiedzi kończyć pytaniem?

Anthony uśmiechnął się niewesoło.

— A ja myślałem, że docenisz to, że chcę wysłuchać twojego zdania.

— Jesteś protekcjonalny i dobrze o tym wiesz.

Brat pochylił się nad biurkiem. Jego oczy ciskały pioruny.

— Masz pojęcie, ile wysiłku wymaga ode mnie hamowanie gniewu?

Eloise uznała, że lepiej będzie nie zgadywać.

— Uciekłaś w środku nocy — przypomniał Anthony, wstając z krzesła. — Bez słowa…

— Zostawiłam list! — obruszyła się Eloise.

Brat popatrzył na nią z nie dowierzaniem.

— Naprawdę! — zapewniła Eloise. — Zostawiłam go na stoliku w głównym holu. Obok chińskiej wazy.

— I w tym tajemniczym liście napisałaś…

— Żebyście się nie martwili, bo u mnie wszystko w porządku i skontaktuję się z wami w ciągu miesiąca.

— Aha — powiedział Anthony z wyraźną ironią. — Rzeczywiście to by mnie uspokoiło.

— Nie wiem, dlaczego go nie znaleźliście — dalej broniła się Eloise. — Pewnie zaplątał się wśród zaproszeń.

— Myśleliśmy, że zostałaś porwana — powiedział brat, zbliżając się do niej o krok.

Eloise zbladła. Nie przyszło jej do głowy, że rodzina może tak pomyśleć. Nie przewidziała, że jej wiadomość może zginąć.

— Wiesz, co zrobiła mama? — zapytał Anthony śmiertelnie poważnym tonem. — Po tym, jak omal nie zemdlała z niepokoju o ciebie?

Eloise potrząsnęła głową. Ogarnął ją lęk.

— Poszła do banku. Wiesz, po co?

— Nie możesz mi po prostu powiedzieć? — zirytowała się siostra. Nienawidziła pytań.

— Poszła się upewnić, że w każdej chwili może wycofać pieniądze, gdyby trzeba było zapłacić za ciebie okup!

Eloise aż się skuliła w sobie, słysząc furię w głosie brata. Chciała powtórzyć, że zostawiła list, ale wiedziała, że nie zabrzmiałoby to dobrze. Wolała nie potwierdzać swojej głupoty, próbując ją tłumaczyć. — To Penelopa w końcu się domyśliła, co zrobiłaś — wyjaśnił Anthony. — Poprosiliśmy ją, żeby przeszukała twój pokój, bo bywała w nim częściej niż którekolwiek z nas.

Eloise pokiwała głową. Penelopa była jej najbliższą przyjaciółką. Nadal nią pozostała, mimo że wyszła za Colina. Spędziły niezliczone godziny w jej pokoju, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Jedyne, co zachowała przed nią w sekrecie, to korespondencja z Phillipem.

— I znalazła któryś z listów? — zapytała.

Nie żeby to miało znaczenie, ale nie mogła się powstrzymać.

— Owszem, spadł za biurko. Razem z suszonym kwiatem.

— On jest botanikiem — wyszeptała Eloise.

— Słucham?

— Jest botanikiem — powtórzyła głośniej. — Sir Phillip. Studiował w Cambridge. Zostałby naukowcem, gdyby jego brat nie zginął pod Waterloo.

Anthony pokiwał głową.

— Jeśli mi powiesz, że jest okrutnym człowiekiem, że będzie cię bił, obrażał i poniżał, nie zmuszę cię do ślubu. Ale chcę, żebyś najpierw rozważyła moje słowa. Należysz do rodu Bridgertonów. Nieważne, za kogo wyjdziesz ani czyje nazwisko będziesz nosić, jeśli staniesz przed ołtarzem i złożysz przysięgę. I tak na zawsze pozostaniesz Bridgertonówną, a rodzina zachowa godność i dobre imię, nie dlatego, że takie są oczekiwania, ale dlatego, że tacy właśnie jesteśmy.

Eloise skinęła głową, walcząc z łzami, które napłynęły jej do oczu.

— Więc teraz zadam ci pytanie — ciągnął Anthony. — Czy jest jakiś powód, dla którego nie możesz wyjść za sir Phillipa Crane’a?

— Nie — wyszeptała bez wahania. Nie była gotowa na małżeństwo, ale nie zamierzała ratować się przed nim, mijając się z prawdą.

— Tak myślałem.

Eloise stała sztywno, niepewna, co zrobić ani co powiedzieć, niemal zrezygnowana. Odwróciła się, żeby ukryć łzy, choć Anthony wiedział, że ona płacze.

— Wyjdę za niego — rzuciła zdławionym głosem. — Ja po prostu chciałam…

Brat nie ponaglał jej, ale kiedy milczenie zaczęło się przedłużać, w końcu

spytał:

— Czego chciałaś, Eloise?

— Miałam nadzieję, że to będzie małżeństwo z miłości — odparła tak cicho, że sama ledwo siebie usłyszała.

— Rozumiem. — Anthony jak zwykle słyszał doskonale. — Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim uciekłaś, prawda?

Nienawidziła go w tym momencie.

— Ty ożeniłeś się z miłości. Powinieneś mnie rozumieć.

— Ożeniłem się, kiedy zostaliśmy przyłapani w kompromitującej sytuacji przez największą cholerną plotkarkę w Anglii — przypomniał brat tonem wskazującym na to, że nie podoba mu się nagła zmiana tematu rozmowy.

Eloise westchnęła przeciągle. Minęło tyle lat od ślubu Anthony'ego, że już zapomniała o okolicznościach, które do niego doprowadziły.

— Nie kochałem wtedy mojej żony — ciągnął brat szorstkim głosem, w którym jednak przebijała nuta tęsknoty. — A nawet jeśli tak, to nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Eloise pokiwała głową.

— Miałeś wielkie szczęście. — Chciałabym, żeby takie samo spotkało Phillipa i mnie, dodała w myślach.

I wtedy Anthony ją zaskoczył. Nie zbeształ jej ani nie udzielił reprymendy, tylko powiedział krótko:

— Wiem.

— Czułam się zagubiona — wyznała cicho Eloise. — Kiedy Penelopa i Colin się pobrali… — Opadła na krzesło, ukryła twarz w dłoniach. — Jestem okropna. Muszę być płytka i beznadziejna, bo kiedy się pobrali, mogłam myśleć tylko o sobie.

Anthony westchnął, kucając obok niej.

— Nie jesteś okropna, Eloise. Dobrze o tym wiesz.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, kiedy jej brat stał się taki mądry. Gdyby na nią krzyknął, gdyby jeszcze raz przemówił do niej drwiącym tonem, całkiem by się załamała. Albo wręcz przeciwnie, zrobiłaby się harda. Tak czy inaczej, coś między nimi by się popsuło. Tymczasem Anthony, właśnie on, zawsze dumny i wyniosły, arystokrata w każdym calu, trwał obok siostry, trzymał jej dłonie w swoich i mówił z łagodnością, od której ściskało się jej serce.

— Byłam szczęśliwa ze względu na nich — ciągnęła Eloise. — Jestem szczęśliwa ze względu na nich.

— Wiem.

— Powinnam czuć samą radość.

— Nie byłabyś człowiekiem — stwierdził Anthony.

— Penelopa została moją siostrą. Powinnam być szczęśliwa.

— Czy nie mówiłaś, że jesteś? — przypomniał brat.

Eloise pokiwała.

— Jestem. Jestem. Wiem, że jestem. To przecież nie są puste słowa.

Anthony uśmiechnął się i czekał cierpliwie.

— Tyle że nagle poczułam się taka samotna. I stara. — Spojrzała na brata, żeby się upewnić, czy ją rozumie. — Nigdy się nie spodziewałam, że zostanę porzucona.

Anthony się roześmiał.

— Eloise Bridgerton, nie sądzę, by ktokolwiek popełnił ten błąd i cię porzucił.

Jej wargi lekko zadrżały. Nie mogła się nadziwić, że ze wszystkich ludzi akurat jej brat powiedział właściwą rzecz.

— Chyba nigdy tak naprawdę nie wierzyłam, że już zawsze pozostanę starą panną. A jeśli nawet, to Penelopę czekał ten sam los. Nie było to miłe

z mojej strony, zresztą nie poświęcałam dużo czasu na takie rozważania, ale…

— Ale takie myśli cię nawiedzały — dokończył za nią Anthony. — Nie sądzę, żeby Penelopa przypuszczała, że kiedykolwiek wyjdzie za mąż. I szczerze mówiąc, wątpię, żeby Colin planował ożenek. Lecz miłość potrafi nieoczekiwanie wkraść się do serca.

Eloise pokiwała głową, zastanawiając się, czy z nią też tak będzie. Raczej nie. Należała do osób, na które uczucie powinno spaść niczym grom z jasnego nieba.

— Cieszę się, że zostali małżeństwem — powiedziała.

— Wiem, że tak. Ja również.

— Sir Phillip — przypomniała Eloise, wskazując na drzwi, choć jadalnia znajdowała się w drugim końcu holu. — Korespondowaliśmy przez ponad rok, aż kiedyś napomknął o małżeństwie. I zrobił to bardzo ostrożnie. Nie oświadczył się, tylko zapytał, czy nie mogłabym go odwiedzić, żeby się przekonać, czy do siebie pasujemy. Wmawiałam sobie, że jest szalony, że nie powinnam nawet rozważać takiej propozycji. Jaka kobieta poślubiłaby mężczyznę, którego kompletnie nie zna? — Eloise zaśmiała się niepewnie. — A potem Colin i Penelopa ogłosili zaręczyny i nagle cały mój świat się rozpadł. Właśnie wtedy zaczęłam myśleć o poślubieniu sir Phillipa. Za każdym razem, kiedy patrzyłam na biurko, na szufladę, w której przechowywałam jego listy, zdawało mi się, że wypalają dziurę w drewnie.

Anthony nic nie mówił, tylko trzymał ją za rękę, jakby wszystko rozumiał.

— Musiałam coś zrobić. Nie mogłam po prostu siedzieć i czekać, jaką niespodziankę zgotuje mi życie.

Brat się roześmiał.

— To ostatnia rzecz, jakiej bym się obawiał, jeśli chodzi o ciebie, Eloise

— powiedział.

— Anth…

— Nie, pozwól mi dokończyć. Ty jesteś zupełnie inna. Nie czekasz biernie, co przyniesie ci los. Uwierz mi. Obserwowałem, jak dorastałaś, musiałem czasami być dla ciebie ojcem, podczas gdy chciałem być tylko bratem.

Eloise ogarnęło wzruszenie. Anthony miał rację. Kiedyś był dla niej ojcem. Dla całego rodzeństwa. Przez lata pełnił te obowiązki bez słowa skargi.

Tym razem ona uścisnęła jego dłoń, bo dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha.

— To ty kierujesz swoim życiem — dodał Anthony. — Zawsze nad nim panowałaś, zawsze sama podejmowałaś decyzje. Może czasami inaczej to odbierałaś, ale taka jest prawda.

Eloise zamknęła na chwilę oczy i potrząsnęła głową, mówiąc:

— Rzeczywiście sama zadecydowałam, że tutaj przyjadę. Wydawało mi się, że to dobry pomysł.

— I może jeszcze się przekonasz, że to był dobry pomysł — pocieszył ją Anthony. — Sir Phillip wygląda na uczciwego człowieka.

Eloise nie darowała sobie cierpkiej uwagi.

— Wydedukowałeś to, zaciskając ręce na jego szyi?

Brat spojrzał na nią wyniośle.

— Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, czego potrafią dowiedzieć się o sobie mężczyźni w czasie walki.

— Nazywasz to walką? Czterech na jednego!

Anthony wzruszył ramionami.

— Nigdy nie mówiłem, że to była uczciwa walka.

— Jesteś niepoprawny — skarciła go siostra.

— Ciekawa ocena, zważywszy na twoje ostatnie poczynania — skomentował Anthony.

Eloise poczerwieniała.

— No, dobrze — zlitował się brat i zmienił temat. — Oto co zrobimy.

Eloise zrozumiała, że cokolwiek powie brat, będzie musiała go posłuchać. Mówił bardzo zdecydowanym tonem.

— Natychmiast spakujesz swoje rzeczy i pojedziemy do Mojego Domku. Zostaniemy tam przez tydzień.

Eloise pokiwała głową. Mój Domek był dość dziwną nazwą rodowej siedziby Benedicta mieszczącej się niedaleko Romney Hall. W Wiltshire. Brat mieszkał tam z żoną Sophie i trzema synami. Choć dom nie imponował wielkością, powinno wystarczyć w nim miejsca dla kilkorga dodatkowych Bridgertonów.

— Twój sir Phillip może codziennie przyjeżdżać z wizytą — ciągnął Anthony.

Eloise doskonale odczytała właściwe znaczenie jego słów: „Twój sir Phillip będzie przyjeżdżał codziennie”. Ponownie skinęła głową.

— Jeśli pod koniec tygodnia uznam, że jest godny ożenić się z moją siostrą, weźmiecie ślub. Od razu.

— Na pewno potrafisz ocenić charakter człowieka w ciągu tygodnia? — spytała Eloise.

— Czasami trwa to dłużej — przyznał Anthony. — Ale jeśli nie będę pewny, po prostu zostaniemy na jeszcze jeden tydzień.

— Sir Phillip może nie zechcieć mnie poślubić — zauważyła Eloise.

Brat zmierzył ją wzrokiem.

— Nie ma takiej możliwości.

Eloise przełknęła ślinę.

Anthony uniósł brew.

— Rozumiemy się?

Skinęła głową. Jego plan wydawał się rozsądny, choć, po prawdzie, większość starszych braci wcale za taki by go nie uznała. Gdyby, na przykład, doszła do wniosku, że nie może wyjść za sir Phillipa Crane’a, miała tydzień na wymyślenie, jak się z tego wykręcić. Przez tydzień wiele mogło się wydarzyć.

Wystarczyło przypomnieć sobie ostatnie siedem dni.

— Wracamy do jadalni? — zapytał Anthony. — Pewnie jesteś głodna, a jeśli będziemy dłużej zwlekać, Colin bez wątpienia pochłonie wszystko, co jest w domu.

Eloise skinęła głową i dodała:

— Albo już zabili gospodarza.

Brat pomyślał chwilę.

— To oszczędziłoby mi kosztów wesela — stwierdził.

— Anthony!

— To był żart. — Bridgerton ze znużeniem pokręcił głową. — Chodźmy. Upewnijmy się, że twój sir Phillip jeszcze jest wśród żywych.

— I wtedy zjawiła się dziewka z tawerny, a miała największe… — mówił Benedict, kiedy Eloise i Anthony weszli do jadalni.

— Benedikcie! — wykrzyknęła siostra z oburzeniem.

Brat spojrzał na nią ze skruszoną miną, gwałtownie opuścił ręce, którymi sugestywnie gestykulował, i bąknął:

— Przepraszam.

— Jesteś żonaty — przypomniała mu Eloise z naganą w głosie.

— Ale nie ślepy — wstawił się za nim Colin.

— Ty też masz żonę! — rzuciła siostra oskarżycielskim tonem.

— Ale też nie jestem ślepy — powiedział brat na swoją obronę.

— Eloise — wtrącił się Gregory z nader irytującą pobłażliwością — są

rzeczy, których nie można nie zauważyć, kiedy się jest mężczyzną.

— To prawda — przyznał Anthony. — Sam widziałem.

Eloise kolejno zmierzyła braci wzrokiem, szukając u nich choć odrobiny powagi i umiaru. W końcu jej spojrzenie padło na Phillipa, który w tym niedługim czasie, kiedy jej nie było, najwyraźniej zawarł dozgonną przyjaźń z trzema Bridgertonami. I zdążył wprawić się w stan lekkiego upojenia.

— Sir Phillipie? — ponagliła go z nadzieją w głosie.

Ale gospodarz obdarzył ją krzywym uśmiechem i oznajmił:

— Wiem, o kim mówią. Byłem kilka razy w tej gospodzie. Lucy słynie ze swoich powabów.

— Nawet ja o niej słyszałem — powiedział Benedict, kiwając głową. — Z mojego domu to godzina jazdy wierzchem. Może mniej, jeśli się postarać.

Gregory nachylił się do gospodarza. W jego niebieskich oczach błyszczała ciekawość.

— Ty kiedyś też…?

— Gregory! — krzyknęła Eloise.

Tego było naprawdę za wiele. Bracia nie powinni rozmawiać przy niej w taki sposób, a w dodatku ostatnią rzeczą, którą chciała wiedzieć, było to, czy sir Phillip zawarł bliższą znajomość z dziewką obdarzoną piersiami większymi od arbuzów.

Lecz Crane tylko potrząsnął głową.

— Była mężatką — wyjaśnił. — A ja miałem żonę.

Anthony szepnął Eloise do ucha:

— Nada się.

— Cieszę się, że masz takie wysokie wymagania, jeśli chodzi o przyszłego męża twojej siostry — odszepnęła.

— Wiem, co mówię — rzekł Anthony. — Widziałem Lucy.Ten człowiek ma niezłomną wolę.

Eloise położyła ręce na biodrach i spojrzała mu prosto w oczy.

— A ciebie kusiło?

— Oczywiście, że nie! Kate poderżnęłaby mi gardło.

— Nie pytam, co zrobiłaby Kate, gdybyś zbłądził, choć podejrzewam, że nie zaczęłaby od twojego gardła…

Anthony się skrzywił. Wiedział, że siostra ma rację.

— Chcę wiedzieć, czy czułeś pokusę — nie ustępowała Eloise.

— Nie — zapewnił brat. — Ale nie mów tego nikomu. Zawsze uchodziłem za rozpustnika i hulakę. Nie chciałbym, żeby ludzie pomyśleli, że całkiem dałem się usidlić…

— Jesteś okropny.

Anthony uśmiechnął się szeroko.

— Jednak żona kocha mnie do szaleństwa, a tylko to naprawdę się liczy, nie sądzisz?

Eloise zgodziła się z nim w duchu, ale nie powiedziała tego na głos, tylko spytała z westchnieniem:

— Co z nimi zrobimy?

Patrzyła na czterech mężczyzn siedzących przy stole zastawionym pustymi naczyniami. Phillip, Benedict i Gregory odpoczywali rozparci na krzesłach, Colin jeszcze jadł.

Anthony wzruszył ramionami.

— Nie wiem, co ty chcesz zrobić, ale ja zamierzam się do nich przyłączyć — oznajmił.

Stojąc w drzwiach, Eloise obserwowała, jak brat siada przy stole i nalewa sobie wina. Na szczęście Lucy przestała być tematem rozmowy. Teraz

panowie zajęli się boksem. Phillip właśnie demonstrował Gregory’emu jakąś sztuczkę.

I raptem zdzielił go pięścią w twarz.

— Przepraszam. — Klepnął poszkodowanego po plecach, ale Eloise zauważyła, że kącik jego ust uniósł się w lekkim uśmieszku. — Na pewno zaraz przestanie boleć. Z moim podbródkiem już jest dużo lepiej.

Gregory mruknął, że nic mu nie jest, ale zaczął masować szczękę.

— Sir Phillipie, możemy zamienić słowo? — poprosiła Eloise.

— Oczywiście. — Zerwał się natychmiast, choć, po prawdzie, wszyscy obecni mężczyźni powinni to zrobić, bo ona nadal stała.

Phillip podszedł do niej szybko i zapytał:

— Coś się stało?

— Martwiłam się, że pana zabiją — wycedziła Eloise.

Crane uśmiechnął się krzywo. Widać było, że wypił co najmniej trzy kieliszki wina.

— Ale nie zabili.

— Widzę — syknęła Eloise. — Jakim cudem?

Phillip się obejrzał. Anthony dojadał nędzne resztki, które zostawił Colin (tylko dlatego, że ich nie zauważył), a Benedict balansował na krześle stojącym na dwóch nogach. Gregory nucił coś pod nosem, oczy miał zamknięte i rozanielony uśmiech na twarzy; zapewne rozmyślał o Lucy albo, co bardziej prawdopodobne, o niektórych partiach jej ciała.

Phillip wrócił spojrzeniem do ich siostry i wzruszył ramionami.

— Kiedy staliście się najlepszymi przyjaciółmi? — zapytała Eloise z przesadną cierpliwością.

— A, to naprawdę zabawne — odparł Crane. — Poprosiłem ich, żeby połamali mi nogi.

Eloise wytrzeszczyła oczy. Teraz już była pewna, że do końca życia nie

zrozumie mężczyzn, choć, mając czterech braci, znajdowała się w lepszej sytuacji niż większość kobiet. Ale po dwudziestu ośmiu latach badań doszła do wniosku, że wszyscy to po prostu dziwacy.

Phillip ponownie wzruszył ramionami.

— Chyba w ten sposób przełamałem lody — wyjaśnił.

— Najwyraźniej — stwierdziła Eloise.

Patrzyła na niego, a on na nią, lecz przez cały czas widziała, że Anthony ich obserwuje. Nagle Phillip spoważniał.

— Musimy się pobrać — oznajmił.

— Wiem.

— Oni naprawdę połamią mi nogi, jeśli się z panią nie ożenię — uprzedził Crane.

— Nie tylko to panu grozi — burknęła Eloise. — Dama wolałaby jednak się łudzić, że została wybrana z innych powodów niż strach przed okaleczeniem.

— Racja — powiedział wolno Phillip, jak zwykle mówią mężczyźni, gdy nie są pewni, jak zareagować.

— A przynajmniej, że nie jest to jedyny powód — dodała Eloise.

— Racja — powtórzył Crane, kiwając głową, ale na nic więcej się nie zdobył.

Eloise zmrużyła oczy.

— Ile wina pan wypił?

— Tylko trzy. — Zastanowił się chwilę. — Może cztery.

— Kieliszki czy butelki?

Na to pytanie nie umiał udzielić odpowiedzi. Eloise spojrzała na stół. Wśród resztek kolacji stały cztery butelki wina, z czego trzy puste.

— Nie byłam nieobecna aż tak długo — stwierdziła ze zdziwieniem.

Phillip wzruszył ramionami.

— Musiałem albo się z nimi napić, albo dać sobie połamać nogi. Wybór wydawał się prosty.

— Anthony! — zawołała Eloise.

Miała już dość Phillipa. Miała dość wszystkiego: mężczyzn, ślubu, gróźb i pustych butelek po winie. Ale przede wszystkim miała dość siebie, tego, że nie panuje nad sytuacją, że jest bezradna wobec losu.

— Chcę już jechać — oświadczyła.

Anthony pokiwał głową i coś wymamrotał, jedząc ostatni kawałek kurczaka, który przeoczył Colin.

— Natychmiast!

Brat musiał usłyszeć w jej głosie jakąś niepokojącą nutę, bo wstał od razu i powiedział:

— Oczywiście.

Eloise jeszcze nigdy w życiu tak nie ucieszył widok powozu.

11

…nie znoszę mężczyzn, którzy piją za dużo. Jestem więc pewna, że zrozumiesz, dlaczego nie mogłam przyjąć oświadczyn lorda Wescotta.

Z listu Eloise Bridgerton do brata Benedicta po odrzuceniu drugiej propozycji małżeństwa

Nie! — wykrzyknęła Sophie Bridgerton, drobna, niemal eteryczna żona Benedicta. — Nie zrobili tego!

— Zrobili — powiedziała Eloise, siedząc na krześle ogrodowym i sącząc lemoniadę. — A potem wszyscy się upili!

— Dranie — skwitowała bratowa.

W tym momencie Eloise uświadomiła sobie, że poprzedniego wieczoru najbardziej przeszkadzała jej komitywa i swobodne zachowanie mężczyzn. A brakowało obecności rozsądnej kobiety, z którą mogłaby na nich ponarzekać.

Sophie się nachmurzyła.

— Tylko mi nie mów, że znowu rozmawiali o tej biednej Lucy.

Eloise wytrzeszczyła oczy.

— Wiesz o niej? — spytała zdziwiona.

— Wszyscy wiedzą — odparła Sophie. — Po prawdzie, trudno jej nie zauważyć, mijając na ulicy.

Eloise próbowała sobie wyobrazić słynną Lucy, lecz nie zdołała.

— Powiem ci szczerze — bratowa szeptała, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ją podsłuchać — że żal mi tej kobiety. Całe to

niechciane zainteresowanie, a poza tym… pomyśl, jakie to obciążenie dla jej kręgosłupa.

Eloise próbowała pohamować wesołość, ale z jej gardła wyrwał się cichy śmiech.

— Posy nawet kiedyś ją o to zapytała!

Eloise rozdziawiła usta. Posy, przyrodnia siostra Sophie, przez kilka lat mieszkała z Bridgertonami, póki nie wyszła za mąż za pastora, który mieszkał kilka mil od Benedicta i Sophie. Była najmilszą osobą na świecie, więc Eloise wcale nie zdziwiło, że właśnie ona próbowała zaprzyjaźnić się z zamężną kelnerką o wielkim biuście.

— Należy do parafii Hugh — wyjaśniła Sophie. — Dlatego się znają.

— I co powiedziała? — zainteresowała się Eloise.

— Posy?

— Nie, Lucy.

— Och, nie wiem. — Sophie się skrzywiła. — Posy nie chciała mi powtórzyć. Jesteś w stanie w to uwierzyć? Przez całe życie nie miała przede mną żadnych sekretów, a teraz oświadczyła, że nie może zdradzić zaufania parafianki.

Eloise pomyślała, że to szlachetne ze strony Posy.

— Ale mnie i tak to wszystko nie obchodzi — oświadczyła Sophie z przekonaniem kobiety, która wie, że jest kochana. — Benedict nigdy by nie zbłądził.

— Oczywiście, że nie — powiedziała szybko Eloise.

Historia Benedicta i Sophie przeszła w jej rodzinie do legendy. I była jednym z powodów, dla których Eloise odrzuciła tyle propozycji małżeństwa. Pragnęła takiego samego uczucia, namiętności, dramatu. „Mam trzy domy, sześć koni i czterdzieści dwa ogary” — poinformował ją jeden z adoratorów, starając się o jej rękę. Ona chciała czegoś więcej.

— Ale nie sądzę, żebym wymagała od niego zbyt wiele, prosząc, żeby trzymał usta zamknięte, kiedy Lucy przechodzi obok — dodała Sophie.

Eloise już miała zdecydowanie i energicznie ją poprzeć, kiedy zobaczyła, że przez trawnik idzie w ich stronę sir Phillip.

— To on? — spytała bratowa z uśmiechem.

Eloise kiwnęła głową.

— Jest bardzo przystojny — stwierdziła Sophie.

— Tak, chyba tak.

— Chyba? — Bratowa prychnęła ze zniecierpliwieniem. — Nie udawaj przy mnie niewiniątka, Eloise Bridgerton. Kiedyś byłam twoją pokojówką i znam cię lepiej niż ktokolwiek.

Eloise powstrzymała się od uwagi, że Sophie była jej pokojówką przez całe dwa tygodnie, zanim ona i Benedict opamiętali się i postanowili się pobrać.

— No dobrze, jest całkiem przystojny, jeśli ktoś lubi krzepkich wieśniaków — ustąpiła.

— Na przykład ty — zauważyła Sophie.

Ku własnej konsternacji Eloise poczuła, że się czerwieni.

— Może — mruknęła.

— I przyniósł kwiaty — dodała Sophie z aprobatą.

— Jest botanikiem — wyjaśniła Eloise.

— To nie czyni jego gestu mniej miłym.

— Nie, tylko łatwiejszym.

— Eloise, przestań natychmiast — skarciła ją bratowa.

— Co mam przestać?

— Nie odtrącaj tego biedaka, zanim dasz mu szansę.

— Wcale tego nie robię — zaprotestowała Eloise, świadomie kłamiąc.

Nie znosiła, kiedy rodzina próbowała kierować jej życiem, nawet

w dobrych intencjach. Robiła się wtedy zła i przekorna.

— A ja myślę, że kwiaty to bardzo miły gest z jego strony — powtórzyła Sophie. — Nie obchodzi mnie, czy ma pod ręką setki odmian. Najważniejsze, że o nich pomyślał.

Eloise pokiwała głową, zła na siebie. Chciała być cała w uśmiechach, pełna optymizmu, ale nie potrafiła.

— Benedict nie podał mi wszystkich szczegółów — ciągnęła Sophie, nie zważając na humory Eloise. — Wiesz, jacy są mężczyźni. Nigdy nie mówią tego, co chciałoby się wiedzieć.

— A co chciałabyś wiedzieć?

Sophie zerknęła na sir Phillipa, oceniając, ile ma czasu, zanim do nich dotrze.

— Po pierwsze, czy to prawda, że nie znałaś go, zanim do niego uciekłaś?

— Osobiście nie — przyznała Eloise.

Stwierdziła w duchu, że cała jej opowieść brzmi bardzo głupio. Kto by pomyślał, że ona, Bridgertonówna, pojedzie do mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie spotkała?

— Ale jaka to będzie romantyczna historia, jeśli wszystko zakończy się dobrze — skomentowała Sophie rzeczowym tonem.

Eloise przełknęła ślinę. Było jeszcze za wcześnie, by wyrokować, że wszystko dobrze się skończy. Podejrzewała, a właściwie miała całkowitą pewność, że wyjdzie za sir Phillipa, ale nie umiała przewidzieć, jakie będzie ich małżeństwo. Nie kochała go, a on nie kochał jej. Na razie ona mieszkała w Wiltshire, starając się nie zauważać, w jaki sposób jej brat patrzy na żonę. Jednocześnie zastanawiała się, czy nie popełniła strasznego błędu.

Naprawdę chciała poślubić mężczyznę, który szukał przede wszystkim

matki dla swoich dzieci?

Czy nie lepiej być samotną, jeśli nie ma miłości?

Niestety, żeby znaleźć odpowiedź na te pytania, musiała wyjść za sir Phillipa i zobaczyć, co będzie dalej. A jeśli się nie ułoży…

Znajdzie się w potrzasku.

Najłatwiej odzyskałaby wolność, umierając, a takiej możliwości nie miała ochoty nawet rozważać.

— Panno Bridgerton.

Phillip podawał jej bukiet białych orchidei.

— To dla pani.

Uśmiechnęła się, mile zaskoczona swoją nieco nerwową reakcją i szybszym biciem serca na jego widok.

— Dziękuję — mruknęła, biorąc od niego bukiet. — Są śliczne.

— Gdzie pan znalazł takie piękne orchidee? — zapytała Sophie.

— Sam je wyhodowałem — odparł Crane. — Mam oranżerię.

— Tak, Eloise wspomniała, że jest pan botanikiem. Ja też lubię uprawiać ogród, ale przyznam się, że moja wiedza w tej dziedzinie pozostawia wiele do życzenia. Nasi ogrodnicy uważają mnie za zmorę swojego życia.

W tym momencie Eloise uświadomiła sobie, że nie dokonała prezentacji. Wskazała na bratową.

— Sir Phillipie, przedstawiam panu żonę Benedicta, Sophie.

Crane pochylił się nad dłonią gospodyni i mruknął:

— Pani Bridgerton.

— Miło mi pana poznać — powiedziała Sophie przyjaznym tonem. — Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Zdaje się, że już pan jest prawie jak członek rodziny.

Eloise się zarumieniła.

— Och! — wykrzyknęła jej bratowa z zakłopotaniem. — Nie miałam na

myśli… nigdy bym nie sugerowała… O Boże. Chciałam powiedzieć, że po prostu mężczyźni… — Opuściła wzrok na swoje ręce. Jej policzki zrobiły się ciemnoczerwone. — Cóż, słyszałam, że było dużo wina.

Phillip odchrząknął.

— Tego szczegółu wolałbym nie pamiętać.

— Fakt, że w ogóle go pan pamięta, jest godny podziwu — wtrąciła Eloise słodkim głosem.

Sir Phillip zmierzył ją wzrokiem. Jego mina świadczyła, że nie zwiódł go jej ton.

— Jest pani dla mnie zbyt łaskawa.

— Boli pana głowa? — zapytała Eloise z udawaną troską.

Crane się skrzywił.

— Jak diabli.

Powinna się nad nim litować. Powinna być miła, zwłaszcza że przyniósł jej rzadkie orchidee. Uważała jednak, że nie zasłużył na współczucie, więc mruknęła pod nosem:

— To dobrze.

— Eloise! — syknęła z dezaprobatą Sophie.

— Jak się czuje Benedict? — odwzajemniła się Eloise.

Bratowa westchnęła.

— Przez cały ranek był w paskudnym humorze, a Gregory jeszcze nie wstał.

— Zdaje się, że w porównaniu z nimi jest ze mną całkiem nieźle — skomentował Phillip.

— Z wyjątkiem Colina — powiedziała Eloise. — On nigdy nie odczuwa skutków nadużycia alkoholu. A Anthony pił wczoraj mało.

— Szczęściarz.

— Miałby pan ochotę czegoś się napić, sir Phillipie? — zapytała

gospodyni. — Oczywiście czegoś bezalkoholowego, zważywszy na okoliczności. Chętnie poczęstuję pana lemoniadą.

— Byłbym wdzięczny. Dziękuję.

Gdy Sophie ruszyła po lekkim trawiastym stoku w kierunku domu, zajął jej miejsce naprzeciwko Eloise.

— Miło panią widzieć w ten ładny poranek — zagaił.

Nigdy nie przepadał za pustymi rozmowami i mimo ostatnich, dość niezwykłych, wydarzeń nie zmienił upodobań.

— Pana również — mruknęła Eloise.

Phillip poprawił się na krześle. Było dla niego za małe, jak większość krzeseł.

— Muszę panią przeprosić za moje wczorajsze zachowanie — powiedział sztywno.

Eloise przez chwilę patrzyła w jego ciemne oczy, a następnie przeniosła wzrok na trawę. Sprawiał wrażenie szczerego. Nie znała go dobrze — z pewnością nie na tyle, żeby go poślubić — lecz nie wyglądał na człowieka, który nie mówi tego, co myśli. Ale nie była jeszcze gotowa okazać mu łaski, więc odpowiedziała dość powściągliwie:

— Mam braci. Jestem przyzwyczajona do takich rzeczy.

— Ale ja nie. I zapewniam panią, że nie mam w zwyczaju się upijać.

Eloise skinęła głową, przyjmując przeprosiny.

— Dużo myślałem — oznajmił Phillip.

— Ja też.

Crane odchrząknął i poprawił krawat, jakby nagle zaczął go cisnąć.

— Oczywiście musimy się pobrać — stwierdził.

Niczym jej nie zaskoczył, ale powiedział to w bardzo irytujący sposób. Może chodziło o brak emocji w jego głosie, jakby ślub z nią stanowił po prostu kolejny problem do rozwiązania. Albo o rzeczowy ton, który wyrażał

przekonanie, że Eloise nie ma innego wyboru (rzeczywiście tak było, ale nie chciała, żeby jej o tym przypominać).

Tak czy inaczej, zrobiło się jej nieswojo.

Przez całe dorosłe życie sama podejmowała decyzje i uważała się za najszczęśliwszą z kobiet, że rodzina jej na to pozwala. Może dlatego teraz poczuła, że zmusza się ją do czegoś, na co jeszcze nie jest gotowa.

Albo nie mogła znieść świadomości, że sama doprowadziła do tej farsy. Była na siebie wściekła. I uszczypliwa wobec innych.

— Zrobię wszystko, żeby uczynić panią szczęśliwą — obiecał Phillip i dodał: — A moje dzieci potrzebują matki.

Eloise uśmiechnęła się słabo. Wolałaby nie wychodzić za mąż tylko ze względu na dzieci.

— Na pewno będzie pani dla mnie wielką pomocą — ciągnął sir Phillip.

— Wielką pomocą — powtórzyła Eloise, coraz bardziej rozczarowana.

— Zgadza się pani?

Tylko skinęła głową, ponieważ bała się, że jeśli otworzy usta, zacznie krzyczeć.

— To dobrze — powiedział Crane. — W takim razie wszystko ustalone.

„Wszystko ustalone”. Oto romantyczne oświadczyny, które miała wspominać przez całe życie. „Wszystko ustalone”. A najgorsze, że nie miała prawa się skarżyć. Przyjechała do Romney Hall bez zapowiedzi, nie dając gospodarzowi czasu na sprowadzenie przyzwoitki. Sama pędziła na oślep ku swojemu przeznaczeniu. Zachowała się bezmyślnie, więc dostała to, na co zasłużyła.

„Wszystko ustalone”.

Przełknęła ślinę.

— To wspaniale — wykrztusiła.

Sir Phillip popatrzył na nią wyraźnie zmieszany.

— Nie jest pani szczęśliwa? — spytał.

— Oczywiście, że jestem — odburknęła.

— Nie wygląda pani na szczęśliwą.

— Ale jestem.

Crane mruknął coś pod nosem.

— Słucham?

— Nic, nic.

— Coś pan mówił — nie ustępowała Eloise.

Sir Phillip popatrzył na nią ze zniecierpliwieniem.

— Gdybym chciał, żeby pani usłyszała, powiedziałbym to głośno.

Eloise wciągnęła powietrze przez zęby.

— W takim razie w ogóle nie powinien pan był się odzywać — stwierdziła.

— Niektóre rzeczy trudno jest zachować dla siebie — wymamrotał Phillip.

— Słucham? — powtórzyła Eloise.

Crane przeczesał ręką włosy.

— Eloise…

— Obraził mnie pan?

— Naprawdę chce pani wiedzieć?

— Zdaje się, że wkrótce będziemy małżeństwem, więc tak — oświadczyła Eloise.

— Nie pamiętam dokładnie swoich słów, ale mówiłem coś o kobietach i braku rozsądku.

W tym samym momencie zrozumiał, że popełnił błąd. Takie stwierdzenie byłoby niegrzeczne w każdych okolicznościach, a teraz wydawało się szczególnie niewłaściwe. Jednak Eloise go naciskała i nie chciała ustąpić. Zupełnie jakby dla zabawy kłuła go igłą. Ciekawe, skąd się wziął jej

paskudny nastrój? On jedynie powiedział rzecz oczywistą, że muszą się pobrać. Szczerze mówiąc, powinna być zadowolona, że trafiła na uczciwego mężczyznę, który jest gotów ją poślubić i w ten sposób uchronić przed kompromitacją.

Nie wymagał wdzięczności. Do diaska, był winny w takim samym stopniu jak ona. Ostatecznie sam ją zaprosił. Ale czy to za wiele oczekiwać uśmiechu i miłego słowa?

— Cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę — rzekła nagle Eloise. — Dobrze się stało.

Crane łypnął na nią podejrzliwie.

— Słucham?

— Trzeba się lepiej poznać przed ślubem i…

Phillip jęknął w duchu. To nie mogło skończyć się dobrze.

— I przynajmniej teraz wiem, co pan sądzi o mojej płci — dokończyła Eloise ostrzejszym tonem.

Phillip należał do ludzi, którzy wolą unikać konfliktów, ale tym razem nie wytrzymał.

— O ile sobie przypominam, nie powiedziałem, co myślę o kobietach — zauważył.

— Bo panu przeszkodziłam — odparowała Eloise. — Ale określenie „brak rozsądku” mówi samo za siebie.

— Naprawdę? Cóż, teraz uważam zupełnie inaczej.

Eloise zmrużyła oczy.

— Nie rozumiem.

— Po prostu zmieniłem zdanie. Doszedłem do wniosku, że wcale nie mam kłopotów ze zrozumieniem kobiet. To panią uważam za nieznośną.

Eloise aż się cofnęła, wyraźnie dotknięta.

— Nikt wcześniej nie nazwał pani nieznośną? — Phillipowi trudno było

w to uwierzyć.

— Nikt spoza rodziny — odparła z urazą w głosie.

— Najwyraźniej obraca się pani wśród bardzo uprzejmych ludzi — skomentował Phillip i znowu poprawił się na krześle. Czy naprawdę już nikt nie troszczy się o wygodę postawnych mężczyzn? — Albo po prostu onieśmiela pani wszystkich, tak że ulegają pani kaprysom.

Zapłoniła się, a on nie umiał stwierdzić, czy to z zakłopotania opinią o jej osobie, czy dlatego, że jest zła i nie może wydobyć z siebie głosu.

Pewnie jedno i drugie.

— Przepraszam — bąknęła.

Phillip popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Słucham?

— Przepraszam — powtórzyła dobitnie, dając mu do zrozumienia, że trzeci raz tego nie zrobi.

— Aha — bąknął, zbyt oszołomiony, żeby zdobyć się na coś więcej. — Dziękuję.

— Proszę bardzo. — Jej ton nie był miły, ale przynajmniej się starała.

Przez dłuższą chwilę Phillip nic nie mówił. Wreszcie nie wytrzymał.

— Za co?

Spiorunowała go wzrokiem, wyraźnie zirytowana, że to jeszcze nie koniec rozmowy.

— Musiał pan zapytać?

— Tak.

— Przepraszałam za to, że jestem w okropnym nastroju i że zachowywałam się niegrzecznie. Ale jeśli pan spyta, co rozumiem przez niegrzeczne zachowanie, przysięgam, że wstanę i sobie pójdę. I nigdy więcej pan mnie nie zobaczy, bo te przeprosiny są dla mnie dostatecznie trudne bez wyjaśniania ich powodu.

Phillip doszedł do wniosku, że nie może liczyć na więcej.

— Dziękuję — rzekł cicho.

Trzymał język za zębami przez całą minutę, chyba najdłuższą w życiu, ale w końcu uznał, że nie zaszkodzi, jeśli to powie.

— Jeśli dzięki temu poczuje się pani lepiej, to do wniosku, że do siebie pasujemy, doszedłem, jeszcze zanim zjawili się pani bracia. I zamierzałem poprosić panią o rękę. Jak należy, z pierścionkiem i tak dalej… sam nie wiem. Dawno nikomu się nie oświadczałem, a i wtedy odbyło się to w szczególnych okolicznościach.

W oczach Eloise odmalowało się zaskoczenie… i chyba odrobina wdzięczności.

— Przykro mi, że pani bracia przyspieszyli sprawę i wymusili decyzję, zanim pani uznała, że jest gotowa, ale… nie żałuję tego, co się stało.

— Naprawdę? — szepnęła Eloise.

— Dam pani tyle czasu, ile pani potrzebuje — zapewnił Phillip. — Oczywiście w granicach rozsądku. Nie mogę jednak… — Urwał, zobaczywszy, że w ich stronę zmierzają Anthony i Colin, a za nimi lokaj z tacą. — Nie mogę mówić za pani braci. Obawiam się, że nie zechcą czekać tak długo, jak pani by sobie życzyła. Po prawdzie, gdyby była pani moją siostrą, jeszcze wczoraj zaprowadziłbym panią do kościoła.

Eloise spojrzała na braci. Oceniła, że dotrą do nich za pół minuty. Otworzyła usta, ale szybko je zamknęła. Wreszcie, po kilku sekundach, w czasie których Phillip niemal widział trybiki obracające się w jej głowie, wypaliła:

— Dlaczego pan uznał, że pasujemy do siebie?

— Słucham? — Phillip grał na zwłokę. Nie spodziewał się takiego bezpośredniego pytania.

Ale właściwie, dlaczego? Przecież miał do czynienia z Eloise Bridgerton.

— Dlaczego pan uznał, że do siebie pasujemy? — powtórzyła naglącym tonem.

Tak, Eloise Bridgerton nie bawiła się w subtelności. Nigdy nie krążyła wokół sprawy, skoro mogła od razu przejść do sedna.

— Ja… eee… — zaczął się jąkać Phillip.

— Nie wie pan — stwierdziła rozczarowana.

— Oczywiście, że wiem. — Żaden mężczyzna nie lubił tego rodzaju zarzutów.

— Na pewno nie, bo inaczej nie łapałby pan powietrza jak ryba wyjęta z wody.

— Dobry Boże, kobieto, nie masz w sobie krzty litości? Człowiek potrzebuje chwili spokoju, żeby sformułować odpowiedź.

— Oto i szczęśliwa para! — dobiegł ich wesoły głos Colina.

Phillip jeszcze nigdy w życiu nie był równie zadowolony z obecności innych ludzkich istot.

— Dzień dobry — powiedział, uszczęśliwiony, że na razie umknął przed dociekliwością Eloise.

— Głodny? — zapytał Colin, siadając obok Phillipa. — Pozwoliłem sobie zamówić w kuchni śniadanie *alfresco*.

Crane spojrzał na lokaja, zastanawiając się, czy powinien zaoferować mu pomoc. Biedak wyglądał, jakby za chwilę miał się załamać pod ciężarem tacy.

— Jak się czujesz dziś rano? — zapytał Anthony, siadając na wyścielanej ławie obok siostry.

— Dobrze — odparła krótko.

— Głodna?

— Nie.

— Radosna?

— Nie dlatego, że cię widzę.

Anthony odwrócił się do Crane’a.

— Zwykle jest bardziej rozmowna — powiedział.

Phillip był ciekaw, czy Eloise uderzy brata. Z pewnością na to zasłużył.

Tymczasem lokaj z głośnym hukiem postawił tacę na stole i skonsternowany zaczął przepraszać za niezdarność, ale Anthony uspokoił go, mówiąc, że sam Herkules nie przydźwigałby dość jedzenia, żeby wystarczyło dla Colina.

Dwaj Bridgertonowie sami napełnili sobie talerze, po czym Anthony stwierdził, patrząc na Eloise i Phillipa:

— Wyglądacie, jakbyście doskonale do siebie pasowali.

Siostra zmierzyła go wzrokiem.

— Kiedy doszedłeś do takiego wniosku? — spytała nieprzyjaznym tonem.

— Wystarczyła mi chwila — odparł Anthony, wzruszając ramionami. I zaraz dodał: — Zauważyłem, że się sprzeczacie. Wszystkie dobre pary to robią.

— Bardzo mnie to cieszy — mruknął Crane.

— Moja żona i ja często prowadzimy podobne rozmowy, zanim ona przejmie mój sposób myślenia — wyjaśnił Anthony.

Eloise ograniczyła się do pogardliwego spojrzenia.

— Wprawdzie moja żona mogłaby być innego zdania — ciągnął najstarszy brat — ale oczywiście pozwalam jej myśleć, że to ja jej ustępuję. — Odwrócił się z uśmiechem do gościa. — Tak jest łatwiej.

Phillip zerknął na Eloise. Bardzo starała się trzymać język za zębami.

— Kiedy pan przyjechał? — zapytał Anthony.

— Parę minut temu — odparł Phillip.

— Zaproponował mi małżeństwo — wtrąciła Eloise. — Na pewno

ucieszy was ta wiadomość.

Crane aż się zakrztusił z wrażenia. Tymczasem Eloise przeniosła wzrok na Anthony’ego i uściśliła:

— Powiedział: „musimy się pobrać”.

— I miał rację — stwierdził brat z całkowitym spokojem. — Musicie się pobrać. Gratulacje dla Phillipa, że nie mówił ogródkami. Wydawałoby się, że akurat ty powinnaś docenić bezpośredniość.

— Ktoś chce babeczkę? — odezwał się Colin. — Nie? W takim razie zostanie więcej dla mnie.

Anthony spojrzał na Phillipa i powiedział:

— Moja siostra trochę się zirytowała, bo nienawidzi, jak się jej rozkazuje. Za kilka dni wszystko będzie dobrze.

— Już jest dobrze — rzuciła Eloise.

— Jasne — mruknął brat.

— Nie musisz gdzieś być? — wycedziła siostra przez zęby.

— Ciekawe pytanie. Właściwie powinienem być w Londynie, z żoną i dziećmi. Tak, gdybym gdzieś musiał być, to właśnie tam. Ciekawe, co ja robię w Wiltshire? A jeszcze trzy dni temu, kiedy obudziłem się w Londynie, w swoim wygodnym łóżku, nie przypuszczałem, że znajdę się tutaj. — Uśmiechnął się łagodnie. — Jeszcze jakieś pytania?

Eloise milczała.

Anthony podał jej kopertę, mówiąc:

— To do ciebie.

Eloise od razu rozpoznała pismo.

— Od mamy — dodał brat, zupełnie niepotrzebnie.

— Chce pani przeczytać list? — zapytał sir Phillip.

Potrząsnęła głową.

— Nie teraz.

Oznaczało to, jak Phillip przypuszczał, że nie przy braciach. I nagle zrozumiał, co powinien zrobić.

— Lordzie Bridgerton, czy mogę prosić o chwilę sam na sam z pańską siostrą? — zwrócił się do Anthony'ego.

— Już pan był z nią chwilę sam na sam — przypomniał Colin, odrywając się od pałaszowania bekonu.

Phillip go zignorował.

— Milordzie?

— Oczywiście, jeśli moja siostra się zgodzi — zadecydował Anthony.

Phillip chwycił Eloise za rękę i podniósł ją z ławy.

— Zgadza się — powiedział.

— Hm — mruknął Colin. — Właśnie widać.

W tym momencie Phillip doszedł do wniosku, że wszystkim Bridgertonom przydałyby się kagańce.

— Proszę pójść ze mną — rzekł do Eloise, nim zdążyła zaprotestować.

A na pewno by to zrobiła. Nie uśmiechnęłaby się uprzejmie i nie poszła z nim potulnie, gdyby sprzeczka była możliwa.

— Dokąd idziemy? — wykrztusiła, gdy ruszył przez trawnik, nie zważając na to, że musiała biec, żeby dotrzymać mu kroku.

— Nie wiem.

— Nie wie pan?

Zatrzymał się tak raptownie, że na niego wpadła. Było to całkiem miłe. Poczuł jej ciało, od piersi po uda, ale niestety szybko odzyskała równowagę i cofnęła się, nie pozwalając mu nacieszyć się chwilą.

— Jestem tu pierwszy raz — wyjaśnił jak małemu dziecku. — Musiałbym być jasnowidzem, żeby wiedzieć, dokąd idę.

— Aha. W takim razie niech pan prowadzi.

Skierował się do bocznych drzwi.

— Co jest za nimi? — zapytał.

— Dom — odparła Eloise.

Phillip przeszył ją wzrokiem.

— Gabinet Sophie, a dalej hol — objaśniła.

— Czy Sophie jest w swoim pokoju?

— Wątpię. Przecież poszła po lemoniadę.

— To dobrze — powiedział Phillip.

Sięgnął do klamki. Z ulgą stwierdziwszy, że klucz nie został przekręcony w zamku, zajrzał do środka. Pokój był pusty, ale drzwi do holu otwarte, więc podszedł do nich i zamknął je starannie. Kiedy się odwrócił, Eloise nadal stała w progu, patrząc na niego z mieszaniną ciekawości i rozbawienia.

— Proszę zamknąć drzwi — polecił.

Eloise uniosła brwi.

— Słucham?

— Proszę je zamknąć.

Nieczęsto używał takiego tonu, ale po latach poddawania się losowi i poczucia zagubienia, w końcu wziął życie w swoje ręce.

I wiedział dokładnie, czego chce.

— Proszę zamknąć drzwi, Eloise — powtórzył cicho, zbliżając się do niej.

— Phillipie, ja…

— Proszę nic nie mówić, tylko zamknąć drzwi.

Ale ona tylko na niego patrzyła, jakby go nie znała. I po prawdzie, tak właśnie było. Do diaska, on sam zwątpił, czy zna siebie dostatecznie.

— Phillipie…

Sam zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Szczęknięcie zabrzmiało złowieszczo.

— Co pan robi? — spytała Eloise.

— Martwiła się pani, że możemy do siebie nie pasować — przypomniał Crane.

Eloise rozchyliła usta.

On zrobił krok do przodu.

— Pora się o tym przekonać — powiedział.

12

…skąd wiedziałaś, że Ty i Simon do siebie pasujecie? Bo ja jeszcze nie spotkałam mężczyzny, o którym mogłabym to powiedzieć, choć minęły już długie trzy sezony w towarzystwie.

Z listu Eloise Bridgerton do siostry, księżnej Hastings, po odrzuceniu trzeciej propozycji małżeństwa

Eloise ledwo miała czas zaczerpnąć powietrza, kiedy przywarł ustami do jej ust. I dobrze, że zdążyła, bo nie wyglądało na to, żeby zamierzał ją puścić przed następnym tysiącleciem.

Ale nagle odsunął się i dużymi dłońmi objął jej twarz. Zajrzał w oczy.

Ona odwzajemniła spojrzenie.

— O co chodzi? — spytała, czując się nieswojo pod jego badawczym wzrokiem.

Wiedziała, że uchodzi za atrakcyjną, ale w żadnym razie nie była legendarną pięknością, natomiast Phillip wpatrywał się w nią tak, jakby chciał ocenić każdy rys.

— Chciałem nareszcie się pani przyjrzeć — wyszeptał. Dotknął jej policzka, przesunął kciukiem po podbródku. — Zawsze jest pani w ruchu.

Nogi się pod nią ugięły, usta rozchyliły, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu, nie mogła zrobić nic oprócz patrzenia w jego ciemne oczy.

— Jest pani taka piękna. Wie pani, co pomyślałem, kiedy pierwszy raz panią zobaczyłem?

Potrząsnęła głową, na próżno szukając właściwych słów.

— Pomyślałem, że mógłbym zatonąć w pani oczach. Po myślałem —

przysunął się bliżej, tak że niemal łaskotał ją oddechem — że mógłbym w pani zatonąć.

Eloise aż się zachwiała.

Phillip dotknął jej ust, musnął delikatną skórę opuszkiem palca. Pieszczota przyprawiła ją o miły dreszcz, który rozszedł się po całym ciele.

I Eloise uświadomiła sobie, że aż do tego momentu nigdy tak naprawdę nie rozumiała siły pożądania. Nie wiedziała, co to w ogóle jest.

— Pocałuj mnie — poprosiła cicho.

Phillip się uśmiechnął.

— Zawsze mi rozkazujesz.

— Pocałuj.

— Na pewno? — zapytał, wyraźnie się z nią drażniąc. — Bo jeśli to zrobię, nie będę mógł…

Eloise nie pozwoliła mu dokończyć, tylko chwyciła za tył jego głowy i przyciągnęła ją do siebie.

Phillip zaśmiał się i otoczył ją ramionami. Eloise otworzyła usta i jęknęła z rozkoszy, gdy wsunął w nie język. Skubał jej wargi, lizał, powoli rozpalając w niej ogień. Przez cały czas tulił ją mocno, a żar jego ciała przenikał przez kilka warstw tkaniny.

Błądząc po jej plecach dłońmi, przesunął je na pośladki i uniósł ją, aż…

Gwałtownie zaczerpnęła tchu. Miała dwadzieścia osiem lat, była dostatecznie dorosła, żeby słyszeć różne niedyskretne zwierzenia. Nie spodziewała się jednak, że tak wyraźnie poczuje jego żądzę.

Cofnęła się odruchowo, ale nie puścił jej, tylko przyciągnął ją bliżej i szepnął:

— Chciałbym być w tobie.

Nogi się pod nią ugięły.

Phillip nie dał jej upaść, tylko przytrzymał ją mocniej. Następnie położył

ją na kanapie i przygniótł swoim ciężarem do miękkich, kremowych poduszek. Gdy Eloise odchyliła głowę do tyłu, powędrował ustami po kolumnie jej szyi.

— Phillipie — jęknęła raz i drugi, jakby znała tylko to jedno słowo.

— Tak, tak.

Głos z trudem wydobywał się z jego gardła, a Eloise nie miała pojęcia, o czym Phillip mówi. Wiedziała tylko, że chce tego samego, co on. Wszystkiego.

Wszystkiego, co możliwe, i niemożliwego również. Głos rozsądku ucichł, zostały same doznania. Żądza i obecna chwila.

Nie liczyło się wczoraj, nie liczyło się jutro. Istniały tylko teraźniejszość i zachłanne pragnienie.

Phillip objął jej kostkę, następnie przesunął rękę na kolano i dalej w górę uda, aż dotarł do brzegu pończochy. Nie zatrzymał się tam, nie spytał o pozwolenie, lecz Eloise nie protestowała, kiedy rozchylił jej nogi. Pozwoliła się pieścić.

Gdy zatrzymywał się tu i ówdzie, myślała, że zaraz umrze z niecierpliwości. Cała płonęła, miała wrażenie, że jeszcze chwila i wyparuje.

Albo eksploduje.

I kiedy była przekonana, że już nic nie jest w stanie bardziej jej rozpalić, dotknął jej.

W miejscu, którego jeszcze nikt nie dotykał, którego ona sama nie śmiała dotknąć. Zrobił to śmiało, a zarazem tak delikatnie, że musiała przygryźć wargi, by nie wykrzyczeć jego imienia.

I poczuła, że w tym momencie przestała być sobą. Należała do niego.

Postanowiła, że później, dużo później, odzyska kontrolę nad sobą i siłę

woli, ale teraz była cała jego. Żyła wyłącznie dla niego, dla jęku pożądania, dla szeptu rozkoszy.

— Och, Phillipie. — Sama nie umiała stwierdzić, czy to błaganie, obietnica, czy pytanie.

Ale tylko tak potrafiła dać mu do zrozumienia, żeby nie przestawał. Nie wiedziała, co ją czeka, czy potem nadal będzie tą samą osobą. Była jednak pewna, że nie wytrzyma długo w tym stanie, że za chwilę się rozpadnie.

I zrozumiała, że tylko Phillip może ją uratować.

Wygięła plecy w łuk, z całej siły uczepiła się jego ramion, żeby zatrzymać go przy sobie.

— Eloise — jęknął, wsuwając drugą rękę pod jej suknię.

Nie miała pojęcia, co zrobił — on też pewnie nie wiedział — ale całe jej ciało napięło się jak struna. Nie mogła mówić, nie mogła oddychać. Otworzyła usta w bezdźwięcznym okrzyku zaskoczenia, rozkoszy i mnóstwa innych doznań. I kiedy pomyślała, że nie przeżyje ani chwili dłużej, wstrząsnęły nią gwałtowne spazmy. Gdy się uspokoiła, stwierdziła, że nie ma siły poruszyć nawet palcem.

— O, mój Boże — wyszeptała, bo tylko to przyszło jej do głowy. — O, mój Boże.

Phillip przytulił ją i pogłaskał po włosach. Bardzo delikatnie, choć z trudem nad sobą panował.

Eloise leżała bez ruchu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła wstać. Oddychała głęboko, czując wargi Phillipa na skroni. W końcu dźwignął się, mrucząc, że jest dla niej za ciężki, a kiedy spojrzała w bok, zobaczyła, że klęczy obok kanapy i wygładza jej spódnice.

Ten czuły gest ją zaskoczył, zważywszy na jej niedawne wyuzdanie. Poczuła, że na jej usta wypływa błogi uśmiech.

— Och, Phillipie — westchnęła.

— Jest tutaj łazienka? — spytał ochrypłym głosem.

Dopiero teraz zauważyła jego dziwny wyraz twarzy.

— Łazienka? — powtórzyła.

Skinął głową.

— Na prawo. — Eloise wskazała drzwi prowadzące do holu. Zdziwiła się, że Phillip już ją opuszcza po tak cudownych przeżyciach, ale z drugiej strony, skąd miała wiedzieć, jakie zachowanie jest normalne u mężczyzny.

Podszedł do drzwi, ale jeszcze się odwrócił, trzymając rękę na klamce.

— Teraz mi wierzysz? — rzucił wyzywającym tonem.

Eloise nie zrozumiała.

— W jakiej sprawie?

Phillip uśmiechnął się znacząco i powiedział:

— Że do siebie pasujemy.

*

Nie miał pojęcia, jak długo zajmie Eloise odzyskanie sił i doprowadzenie się do porządku. Wyglądała rozkosznie, kiedy zostawił ją na kanapie w gabinecie Sophie Bridgerton. Nigdy nie potrafił zrozumieć zawiłości kobiecej toalety, ale domyślał się, że Eloise musi co najmniej poprawić włosy.

Boże, była wspaniała!

Od tak dawna nie miał kobiety. Nawet nie potrafił zliczyć, ile to już lat minęło. Wiedział jednak, że jeśli w końcu znajdzie odpowiednią, zareaguje jak młodzieniec. Kobiece ciało jawiło mu się jako najprawdziwszy cud.

I często je sobie wyobrażał.

Ale rzeczywistość przerosła jego marzenia. Szalał za Eloise. Za cichymi jękami, które wydobywały się z jej gardła, za zapachem skóry, za

krągłościami, które idealnie mieściły się w jego dłoni. I choć w ostatniej chwili musiał się pohamować, dostał więcej, niż oczekiwał.

Kiedyś myślał, że zadowoli go dowolne kobiece ciało, ale teraz zrozumiał, dlaczego nigdy nie pociągały go dziewki z gospody, mimo że były chętne. I dlaczego nie znalazł sobie dyskretnej wdowy.

Potrzebował czegoś więcej.

Potrzebował Eloise.

Chciał trzymać ją w ramionach i nie wypuszczać z nich ani na chwilę.

Pragnął ją posiąść, a potem wyciągnąć się na plecach i pozwolić, żeby zrobiła z nim, co zechce.

Dawniej też miewał fantazje. Jak każdy mężczyzna. Ale teraz, kiedy tamte wyobrażenia przybrały określony kształt, obawiał się, że nie zapanuje nad żądzą, jeśli nie nauczy się kontrolować swoich myśli.

Musiał koniecznie wziąć ślub. Jak najszybciej.

Szybko obmył ręce w umywalce. Eloise nie zdawała sobie sprawy, jak na niego działa. Nie miała najmniejszego pojęcia. Patrzyła na niego z rozanielonym uśmiechem, zbyt pochłonięta własnymi przeżyciami, żeby zauważyć, w jakim on jest stanie.

Wyszedł z łazienki i szybko ruszył do frontowych drzwi. Już niedługo. Ta myśl wywołała uśmiech na jego wargach i omal nie skłoniła go do powrotu do gabinetu Sophie Bridgerton.

— A, tu jest! — zawołał Benedict na jego widok.

Ujrzawszy broń w jego ręce, Phillip zamarł w pół kroku. Nie był pewien, czy powinien się bać. Przełknął ślinę, zastanawiając się gorączkowo.

Nie, niemożliwe, żeby gospodarz wiedział, co niedawno wydarzyło się w gabinecie jego żony. A poza tym Benedict się uśmiechał.

Oczywiście mógł należeć do tego gatunku ludzi, którzy z radością zabiliby mężczyznę nastającego na cnotę ich siostry…

— Dzień dobry — powiedział Phillip, omiatając wzrokiem wszystkich obecnych, żeby ocenić sytuację.

Benedict powitał go ukłonem i zapytał:

— Strzela pan?

— Oczywiście — odparł Crane.

— To dobrze. — Gospodarz wskazał głową tarczę. — Proszę do nas dołączyć.

Phillip z ulgą zauważył, że to nie on będzie celem.

— Nie przywiozłem pistoletu — powiedział.

— Oczywiście, że nie. Po co miałby pan go przywozić? Jesteśmy przyjaciółmi. — Benedict uniósł brwi. — Prawda?

— Tak myślę.

Bridgerton skrzywił usta w uśmiechu niebudzącym zaufania.

— Proszę nie martwić się o broń. Pożyczymy ją panu. Phillip kiwnął głową. Jeśli w ten sposób miał dowieść swojej męskości przed braćmi Eloise, niech tak będzie. Potrafił strzelać. Była to jedna z umiejętności, w których od dziecka ćwiczył go ojciec. Phillip spędzał niezliczone godziny na tyłach Romney Hall, mierząc we wskazywane przez niego cele. Z każdym razem wstrzymywał oddech i modlił się żarliwie, żeby trafić.

Zasada była prosta. Jeśli próba się udała, ojciec go nie bił.

Podszedł do stołu, na którym leżało kilka pistoletów. Po drodze przywitał się z pozostałymi braćmi Bridgertonami. Sophie siedziała trochę dalej, z nosem w książce.

— Zaczynajmy, zanim wróci Eloise — powiedział Anthony i zmierzył Crane’a wzrokiem. — Gdzie ona jest?

— Poszła przeczytać list od matki — skłamał Phillip.

— Hm, spokój nie potrwa długo — stwierdził Anthony, marszcząc brwi. — Lepiej się pospieszmy.

— Może będzie chciała od razu napisać odpowiedź — rzucił Colin z nadzieją w głosie. — Dzięki temu zyskamy kilka cennych minut. Znacie Eloise. Wciąż do kogoś skrobie listy.

— Istotnie — przyznał Anthony. — Właśnie w ten sposób wpakowała nas w kłopoty, czyż nie?

Phillip tylko na niego popatrzył z nieodgadnionym uśmiechem. Był tego ranka zbyt zadowolony z siebie, żeby chwycić przynętę.

Gregory wybrał pistolet.

— Nawet jeśli postanowi odpowiedzieć mamie, i tak niedługo przyjdzie — powiedział. — Jest cholernie szybka.

— W pisaniu? — zapytał Phillip.

— We wszystkim — odparł ponuro Gregory. — Strzelajmy.

— Dlaczego wszyscy tak się spieszą, żeby zacząć bez Eloise? — zainteresował się Crane.

— E, bez powodu — rzucił Benedict.

— A kto się spieszy? — jednocześnie burknął Anthony.

Wszyscy, pomyślał Phillip, ale wolał milczeć.

— Wiek przed urodą, staruszku — powiedział Colin, klepiąc Anthony’ego po plecach.

— Jesteś zbyt łaskawy — odparował brat, podchodząc do kredowej linii narysowanej na trawie. Uniósł rękę, wycelował i strzelił.

— Dobra robota — skomentował Phillip, gdy lokaj przyniósł tarczę.

Anthony nie trafił w sam środek, ale całkiem blisko.

— Dziękuję. — Odłożył pistolet. — Ile ma pan lat?

Pytanie zaskoczyło Phillipa, ale odpowiedział:

— Trzydzieści.

Anthony wskazał głową Colina.

— W takim razie będzie pan po nim. Zawsze robimy wszystko według

wieku. To jedyny sposób, żeby się nie pogubić.

— Dobrze — zgodził się Phillip, obserwując pojedynek Benedicta i Colina.

Obaj oddali dobre strzały, żaden w sam środek, ale dostatecznie blisko, żeby go zabić, gdyby to on był celem.

Na szczęście, na razie mu to nie groziło.

Phillip wybrał pistolet, sprawdził jego wagę w dłoni i zbliżył się do kredowej linii. Dopiero niedawno przestał myśleć o ojcu za każdym razem, kiedy mierzył z broni palnej. Minęły lata, zanim w końcu sobie uświadomił, że lubi strzelanie, że to nie musi być udręka. I wtedy głos ojca, tak często obecny w jego głowie, zawsze podniesiony, zawsze krytykujący, umilkł na dobre.

Phillip uniósł rękę. Mięśnie miał twarde jak stal. Nacisnął spust.

Zmrużył oczy, patrząc na tarczę. Chyba nieźle. Gdy lokaj ją przyniósł, Phillip stwierdził, że do środka zabrakło najwyżej centymetra. Spisał się lepiej niż Bridgertonowie.

Tarcza wróciła na miejsce, nadeszła kolej Gregory’ego. Najmłodszy z klanu okazał się równie dobry jak Crane.

— Zwykle robimy pięć rund — wyjaśnił Anthony. — W razie remisu walczą ze sobą najlepsi.

— Z jakiegoś szczególnego powodu? — zainteresował się Phillip.

— Nie. — Anthony sięgnął po pistolet. — Po prostu zawsze tak gramy.

— Traktujemy nasze gry poważnie — wtrącił Colin.

— Rozumiem.

— Fechtuje pan?

— Niezbyt dobrze — odparł Crane.

Wargi Colina drgnęły w lekkim uśmiechu.

— To świetnie.

— Uciszcie się! — warknął Anthony, oglądając się na nich z irytacją. — Próbuję się skupić.

— W kryzysowej sytuacji nie zawsze będziesz mógł liczyć na spokój — zauważył brat.

— Zamknij się! — syknął Anthony.

— Jeśli zostaniemy zaatakowani — ciągnął Colin niezrażony, obrazowo gestykulując — obawiam się, że będzie dużo hałasu, więc, szczerze mówiąc, z niepokojem myślę…

— Colin!

— Nie zwracaj na mnie uwagi — poradził brat.

— Zabiję go — oznajmił Anthony. — Czy ktoś ma coś przeciwko temu?

Nikt nie miał, tylko Sophie uniosła wzrok znad książki i wspomniała coś o krwi, bałaganie i konieczności sprzątania.

— To doskonały nawóz — wtrącił Phillip tonem znawcy.

— Aha. — Sophie pokiwała głową, odwracając stronicę. — W takim razie go zabijcie.

— Jak książka, kochanie? — zawołał Benedict.

— Całkiem dobra.

— Zamkniecie się wreszcie? — wrzasnął Anthony, ale natychmiast się zreflektował i wymamrotał ze skruchą, patrząc na bratową: — Oczywiście nie ty, Sophie.

— Bardzo się cieszę — powiedziała wesoło gospodyni.

— Nie próbuj grozić mojej żonie — ostrzegł Benedict.

Anthony spiorunował go wzrokiem.

— Wszystkich was powinno się rozpłatać i poćwiartować — stwierdził z krwiożerczym błyskiem w oku.

— Z wyjątkiem Sophie — przypomniał mu Colin.

Starszy brat łypnął na niego groźnie.

— Wiesz, że ten pistolet jest naładowany? — zapytał.

— Na moje szczęście bratobójstwo jest ogólnie potępiane — zauważył Colin.

Anthony bez słowa odwrócił się z powrotem do tarczy.

— Runda druga! — obwieścił.

— Zaczekaaaajcie!

Wszyscy czterej Bridgertonowie obejrzeli się z jękiem. Po zboczu pędziła w ich stronę Eloise.

— Strzelacie? — spytała zdyszana.

Nikt nie odpowiedział. Wszystko było oczywiste.

— Beze mnie?

— Nie strzelamy, tylko stoimy obok pistoletów — wyjaśnił Gregory.

— I niedaleko tarczy — dodał Colin.

— Strzelacie — rzuciła siostra oskarżycielskim tonem.

— Oczywiście, że tak — warknął Anthony i skinieniem głowy wskazał bratową. — Sophie siedzi sama. Powinnaś dotrzymać jej towarzystwa.

Eloise położyła ręce na biodrach.

— Sophie czyta książkę.

— Dobrą — zapewniła Sophie, nie odrywając wzroku od lektury.

— Ty też powinnaś coś poczytać, Eloise — zasugerował Benedict. — Lektury są bardzo pouczające.

— Nie potrzebuję żadnych nauk — odparowała siostra. — Dajcie mi broń.

— Nie damy ci pistoletu — oświadczył Benedict. — Mamy ich za mało.

— Możecie się podzielić — stwierdziła Eloise. — Nigdy tego nie próbowaliście? To bardzo kształcące.

Brat łypnął na nią w sposób, który nie uchodził mężczyźnie w jego wieku.

— Benedict próbował powiedzieć, że już nie będzie bardziej wykształcony — wtrącił Colin.

— Z pewnością — odezwała się Sophie, nie patrząc na nich.

— Proszę wziąć mój — zaproponował wspaniałomyślnie Phillip, wręczając Eloise pistolet.

Czterej Bridgertonowie jęknęli, a on raptem sobie uświadomił, że całkiem mu się podoba przyprawianie ich o desperację.

— Dziękuję — powiedziała miło Eloise. — Z okrzyku Anthony'ego „runda druga" wnioskuję, że już oddaliście po jednym strzale?

— Istotnie — potwierdził Phillip i zerknął na jej braci. Wszyscy mieli zniechęcone miny. — O co chodzi?

Anthony tylko potrząsnął głową. Phillip przeniósł wzrok na kolejnego Bridgertona.

— Ona jest wybrykiem natury — mruknął Benedict.

Phillip z zaciekawieniem przyjrzał się Eloise. Nie wyglądała mu na dziwoląga.

— Ja rezygnuję — oznajmił Gregory. — Jeszcze nie jadłem śniadania.

— Będziesz musiał polecić, żeby przyniesiono drugą tacę — uprzedził go Colin. — Nic już nie zostało.

Gregory westchnął z irytacją.

— To cud, że jako twój młodszy brat jeszcze nie umarłem z głodu — zauważył.

Colin wzruszył ramionami.

— Musisz być szybki, jeśli chcesz jeść — powiedział.

Anthony popatrzył na nich z niesmakiem i westchnął.

— Czy wy chowaliście się w sierocińcu?

Phillip przygryzł wargę, żeby ukryć uśmiech.

— Strzelamy? — ponagliła ich Eloise.

— Ty na pewno tak — stwierdził Gregory. — Ja idę coś zjeść. Został jednak i, oparty o pień drzewa, ze znudzoną miną obserwował siostrę, która uniosła rękę i wypaliła niemal bez celowania. Phillip osłupiał, kiedy lokaj przyniósł tarczę. Trafienie w sam środek.

— Gdzie się tego pani nauczyła? — spytał z podziwem.

Eloise wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Zawsze umiałam.

— Wybryk natury — mruknął Colin.

— To wspaniałe — powiedział Phillip z przekonaniem.

Eloise spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Jeśli kiedyś przyjdzie mi bronić swojego domu, będę wiedział, kogo wysłać na pierwszą linię.

Eloise uśmiechnęła się promiennie.

— Gdzie teraz ustawiamy tarczę? — zapytała.

Gregory wyrzucił ręce do góry.

— Ja muszę coś zjeść.

— Dla mnie też przynieś! — zawołał Colin.

— Jasne — mruknął Gregory pod nosem.

Tymczasem Eloise zwróciła się do Anthony’ego.

— Teraz twoja kolej?

Brat wziął od niej pistolet i położył go na stole do ponownego załadowania.

— A co za różnica? — rzucił z rezygnacją.

— Musimy zrobić wszystkie pięć rund — oświadczyła siostra. — Sam ustalałeś zasady.

— Wiem — rzekł posępnie Anthony.

Oddał strzał, ale najwyraźniej się do niego nie przyłożył, bo chybił aż

o dziesięć centymetrów.

— Nawet nie próbowałeś walczyć! — oskarżyła go Eloise.

Anthony spojrzał na Benedicta i powiedział:

— Nienawidzę strzelania.

— Twoja kolej — przypomniała Eloise, zwracając się do drugiego brata.

Najpierw Benedict, a po nim Colin zajęli miejsca przy linii narysowanej na trawie. Obaj postarali się bardziej niż Anthony, ale żaden nie spisał się najlepiej.

Gdy Phillip sięgnął po pistolet, usłyszał, jak Eloise pyta:

— Chyba nie zamierza pan się poddać?

— Nawet o tym nie pomyślałem — zapewnił Crane.

— Świetnie, bo to żadna zabawa rywalizować z kiepskimi strzelcami. — Ostatnie słowa Eloise wypowiedziała z naciskiem, kierując je do braci.

— Właśnie — mruknął Benedict.

— Zawsze tak robią — poskarżyła się Eloise. — Specjalnie strzelają źle, a gdy uznaję, że nie warto z nimi walczyć, i odchodzę, wtedy zaczynają prawdziwą grę.

— Cii — syknął Phillip. — Celuję.

— Aha. — Eloise umilkła, obserwując go z zainteresowaniem.

Phillip oddał strzał, a kiedy przyniesiono tarczę, pozwolił sobie na uśmiech zadowolenia.

— Brawo! — wykrzyknęła Eloise, klaszcząc w dłonie. — Och, Phillipie, to było wspaniałe!

Anthony wymamrotał pod nosem coś, czego raczej nie powinien mówić w obecności siostry, a potem dodał głośniej, zwracając się do Crane’a:

— Naprawdę pan się z nią ożeni? Szczerze mówiąc, jeśli pan ją sobie zabierze i pozwoli jej strzelać, żeby już nas więcej nie nękała, chętnie podwoję jej posag.

Phillip był w tym momencie pewien, że ożeniłby się z Eloise nawet bez posagu, ale tylko się uśmiechnął i odparł:

— Umowa stoi.

13

…i uważam, że oni wszyscy mają paskudny charakter. Czy to moja wina, że jestem lepsza? Myślę, że nie. Tak jak nie jest ich winą, że urodzili się mężczyznami i dlatego są pozbawieni choćby odrobiny zdrowego rozsądku lub wrodzonej grzeczności.

Z listu Eloise Bridgerton do Penelopy Featherington po pokonaniu sześciu mężczyzn (w tym trzech niespokrewnionych) w pojedynku strzeleckim

Następnego dnia Eloise pojechała do Romney Hall na obiad razem z Benedictem, Anthonym i Sophie. Pozostali dwaj Bridgertonowie stwierdzili, że skoro sytuacja została opanowana, mogą wrócić do Londynu: Colin do nowo poślubionej żony, a Gregory do codziennych zajęć młodego kawalera z wyższych sfer.

Eloise była szczęśliwa, widząc, jak odjeżdżają. Kochała braci, ale po raz kolejny przekonała się, że czterech jednocześnie to więcej, niż jest w stanie znieść.

Wysiadając z powozu, była pełna optymizmu. Poprzedni dzień okazał się dużo lepszy, niż się spodziewała. Nawet gdyby Phillip nie zabrał jej do gabinetu Sophie, by udowodnić, że „do siebie pasują”, uznałaby jego wizytę za udaną. Świetnie sobie poradził z połączonymi siłami czterech Bridgertonów, co przyprawiło ją o zadowolenie i nawet odrobinę dumy.

O dziwo, dopiero teraz zrozumiała, że nie mogłaby poślubić mężczyzny, który nie potrafiłby stawić czoła jej braciom i wyjść bez szwanku z tej konfrontacji.

Tymczasem Phillip zmierzył się ze wszystkimi naraz. Bardzo jej zaimponował.

Oczywiście nadal miała wątpliwości co do tego małżeństwa. Całkiem zresztą uzasadnione. Oboje żywili do siebie szacunek i sympatię, ale nie kochali się i Eloise nie mogła przewidzieć, czy kiedykolwiek poczują do siebie miłość.

Mimo to była przekonana, że postępuje właściwie, wychodząc za Phillipa za mąż. Nie miała zresztą dużego wyboru w tej kwestii. Mogła poślubić sir Phillipa Crane'a albo wieść samotne życie. Uważała jednak, że Phillip będzie dobrym mężem. Wiedziała, że jest uczciwy i honorowy, a jeśli nawet czasami zbyt milczący, to przynajmniej obdarzony poczuciem humoru, które Eloise uważała za niezwykle ważne u przyszłego małżonka.

A kiedy ją pocałował…

Cóż, doskonale wiedział, jak przyprawić ją o dreszcz.

Eloise była oczywiście praktyczną osobą i wiedziała, że namiętność nie wystarczy do udanego małżeństwa.

Ale, pomyślała z szelmowskim uśmiechem, z pewnością nie zaszkodzi.

*

Po raz piętnasty w ciągu ostatniego kwadransa Phillip spojrzał na zegar stojący na gzymsie nad kominkiem. Bridgertonowie mieli przyjechać o wpół do dwunastej, a umówiona pora minęła pięć minut temu. Takie drobne spóźnienie nie było powodem do niepokoju, gdy jechało się wiejskimi drogami, ale najgorsze, że nie potrafił utrzymać w ryzach Olivera i Amandy, którzy czekali razem z nim w saloniku.

— Nie cierpię tej marynarki — oświadczył Oliver z naburmuszoną miną.

— Jest za mała — zauważyła Amanda.

— Wiem — rzekł brat z wyraźną pogardą. — Gdyby nie była za mała,

nie skarżyłbym się.

Phillip pomyślał, że znalazłby wiele innych powodów do narzekania, ale zatrzymał tę opinię dla siebie.

— Twoja sukienka też jest za mała — odwzajemnił się Oliver. — Widać ci kostki.

— Właśnie ma być je widać — poinformowała go siostra, patrząc na swoje nogi.

— Nie aż tyle.

Amanda znowu spojrzała w dół, tym razem z niepokojem.

— Masz dopiero osiem lat — przypomniał ojciec znużonym głosem. — Sukienka jest w sam raz. — Miał nadzieję, bo nie znał się na tego rodzaju sprawach.

Eloise — pomyślał z ulgą, jakby doczekał się odpowiedzi na swoje modlitwy. Ona będzie wiedziała takie rzeczy. Czy sukienka jest za krótka, kiedy dziewczynka powinna zacząć upinać włosy, czy chłopiec powinien pójść do Eton, czy do Harrow.

Eloise będzie wiedziała.

Dzięki Bogu!

— Spóźniają się — stwierdził Oliver.

— Nie — odruchowo sprzeciwił się Phillip.

— A właśnie, że tak — upierał się syn. — Znam się na zegarze.

O tym Phillip też nie wiedział, podobnie jak o umiejętności pływania. Ta świadomość go przygnębiła.

Eloise — powtórzył w myślach. Chociaż nie spisywał się zbyt dobrze jako ojciec, przynajmniej zamierzał poślubić odpowiednią kobietę i matkę dla swoich dzieci. Po raz pierwszy od ich narodzin robił właściwą rzecz. Napawało go to ogromną dumą.

Eloise. Powinna już tu być.

Do diabła, najchętniej już by się z nią ożenił. A przy okazji, jak się uzyskuje specjalną dyspensę? Nad tego rodzaju sprawami nigdy się nie zastanawiał, bo nie sądził, że będą mu potrzebne, ale nie chciałby teraz czekać paru tygodni, żeby odczytano zapowiedzi.

Czy śluby odbywały się w soboty rano? Czy uda się im wszystko załatwić do tej najbliższej? Zostały tylko dwa dni, ale gdyby dostali specjalną dyspensę…

Phillip chwycił Olivera za kołnierz, kiedy syn zerwał się z krzesła, żeby wybiec z pokoju.

— Nie — powiedział stanowczo. — Zaczekasz tutaj na pannę Bridgerton. Będziesz zachowywał się grzecznie i miło uśmiechał.

Na wzmiankę o Eloise Oliver uspokoił się, przynajmniej na chwilę, ale jego wymuszony grymas przyprawił Phillipa o dreszcz grozy.

— To nie był uśmiech — stwierdziła Amanda.

— Był.

— Nie. Twoje wargi nawet nie uniosły się w górę…

Phillip westchnął ciężko i postanowił, że jeszcze dziś porozmawia z Anthonym Bridgertonem o dyspensie. Wicehrabia powinien znać się na takich rzeczach.

Już nie mógł doczekać się soboty. W dzień będzie powierzał bliźnięta opiece Eloise, a w nocy… W nocy on się nią zajmie.

— Dlaczego się uśmiechasz? — spytała Amanda.

— Wcale się nie uśmiecham — zaprzeczył Phillip, ale poczuł, że na jego twarz wypływa rumieniec. Na Boga!

— Uśmiechałeś się, a teraz jesteś czerwony.

— Nie bądź niemądra! — warknął Phillip.

— Nie jestem niemądra — obruszyła się córka. — Oliver, spójrz na tatę. Czy jego policzki nie są różowe?

— Jeszcze jedno słowo o moich policzkach, a… — już miał powiedzieć: „wychłostam cię batem”, ale nikt by mu nie uwierzył — …coś zrobię — dokończył groźbę.

Poskutkowało i przez chwilę dzieci siedziały cicho i bez ruchu. Potem Amanda machnęła nogami i przewróciła podnóżek.

Phillip zerknął na zegar.

Córka zerwała się z kanapy, żeby podnieść stołek.

— Oliver! — wrzasnęła.

Phillip oderwał wzrok od wskazówek, które stały w miejscu i zobaczył, że Amanda leży na podłodze.

— Popchnął mnie — poskarżyła się, łypiąc na brata.

— Nieprawda — zaprotestował Oliver.

— A właśnie, że tak — upierała się siostra.

— Nie!

— Ktoś ją popchnął i z całą pewnością nie byłem to ja — interweniował Phillip.

Oliver przygryzł wargę, myśląc gorączkowo.

— Może się potknęła — zasugerował.

Ojciec spiorunował go wzrokiem.

— No, dobrze, popchnąłem ją — przyznał się wreszcie chłopiec. — Przepraszam.

Phillip osłupiał. Może rzeczywiście stawał się coraz lepszym ojcem. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz jego syn z własnej woli okazał szczerą skruchę.

— Też możesz mnie pchnąć — zachęcił Oliver siostrę.

— O, nie — błyskawicznie zareagował Phillip, przerażony tym pomysłem.

— Dobrze — skwapliwie zgodziła się Amanda.

— Nie! — kategorycznie rzekł Phillip, zrywając się z kanapy. — Nie

waż się…

Ale dziewczynka nie mogła przepuścić takiej okazji. Oliver zatoczył się do tyłu z głośnym śmiechem i krzyknął:

— Teraz ja ciebie muszę popchnąć!

— Zostaw siostrę w spokoju! — ryknął Phillip, przeskakując przez podnóżek.

— Ale ona mnie popchnęła! — zawył Oliver.

— Bo sam jej na to pozwoliłeś, urwisie! — zirytował się ojciec.

Chciał złapać syna, ale smarkacz był śliski jak węgorz.

— Popchnął mnie! — pisnęła Amanda. — Popchnął!

— Nie dotykaj jej więcej! — huknął Phillip.

Naszła go wizja saloniku z połamanymi meblami i przewróconymi lampami.

Dobry Boże, a lada moment zjawią się Bridgertonowie! Wyciągnął ręce po Olivera w chwili, kiedy ten dopadł Amandę. Wszyscy troje runęli na podłogę, ściągając poduszki z kanapy. Dobrze, że chociaż one są nietłukące — pomyślał Phillip.

Trzask!

— Co to było, do diaska?

— Chyba zegar — wykrztusił Oliver.

Phillip nie miał pojęcia, w jaki sposób zdołali strącić zegar z półki nad kominkiem.

— Oboje marsz do swoich pokojów aż do… — zaczął groźnym tonem.

— To zrobił Oliver — powiedziała szybko Amanda.

— Nie obchodzi mnie, kto to zrobił — oświadczył Phillip. — Wiecie, że zaraz przyjedzie panna Bridgerton…

— Hm.

Crane powoli odwrócił się do drzwi. W progu stali goście: Anthony Brid-

gerton, Benedict, Sophie i Eloise.

— Milordzie — odezwał się Phillip, stanowczo zbyt szorstkim tonem.

Naprawdę powinien zachować się uprzejmiej. To nie wina wicehrabiego, że jego dzieci są diablętami. Niestety, w tej chwili nie potrafił zdobyć się na serdeczne powitanie.

— Może przeszkadzamy? — zapytał Anthony ze stoickim spokojem.

— Ależ nie — pospiesznie zapewnił go gospodarz. — My tylko… przestawiamy meble.

— I doskonale wam idzie — zauważyła Sophie wesoło.

Phillip posłał jej uśmiech pełen wdzięczności. Lady Bridgerton należała do kobiet, które robią wszystko, żeby inni zawsze czuli się dobrze. Miał ochotę ją za to ucałować.

Zerwał się z podłogi, postawił przewrócony podnóżek, a następnie pomógł wstać synowi i córce. Krawat Olivera był przekrzywiony, klamra do włosów wisiała nad uchem Amandy.

— Oto moje dzieci — powiedział z całą godnością, na jaką go było stać. — Oliver i Amanda Crane.

Bliźnięta wymamrotały słowa powitania, wyraźnie nieszczęśliwe, że muszą się popisywać przed tyloma dorosłymi. Albo naprawdę wstydziły się za swoje zachowanie, choć wydawało się to wielce nieprawdopodobne.

— Dobrze — pochwalił je ojciec. — Możecie już biec.

Dzieci spojrzały na niego żałośnie.

— Co znowu? — zniecierpliwił się Phillip.

— Możemy zostać? — spytała Amanda cichym głosikiem.

— Nie.

Zaprosił Bridgertonów na obiad, a później na zwiedzanie oranżerii, dlatego wolał, żeby dzieci zniknęły w swoim pokoju, jeśli wizyta miała być udana.

— Proszę — powiedziała błagalnie córka.

Phillip starannie unikał patrzenia na gości, którzy byli świadkami, że zupełnie nie potrafi radzić sobie z dziećmi.

— Pani Edwards czeka na was w holu — przypomniał.

— Nie lubimy niani Edwards — oświadczył Oliver.

Amanda pokiwała głową.

— Oczywiście, że ją lubicie — stwierdził ojciec z irytacją. — Jest waszą nianią od paru miesięcy.

— Ale jej nie lubimy.

Phillip spojrzał na Bridgertonów.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział zduszonym głosem. — Przepraszam za tę scenę.

— Naprawdę nie ma za co — zapewniła go Sophie z miłym uśmiechem.

Phillip zaprowadził bliźnięta w kąt pokoju i oznajmił, przeszywając je wzrokiem:

— Poprosiłem pannę Bridgerton, żeby została moją żoną.

Oczy dzieci się rozjarzyły.

— No, dobrze. Widzę, że zgadzacie się ze mną, że to świetny pomysł.

— Czy ona…

— Nie przerywajcie mi — warknął Phillip, zbyt niecierpliwy, żeby teraz odpowiadać na jakieś pytania. — Posłuchajcie uważnie. Muszę jeszcze uzyskać zgodę jej rodziny, dlatego chcę przyjąć gości obiadem, bez dzieci plączących się pod nogami.

Amanda i Oliver nie musieli wiedzieć, że Anthony Bridgerton wręcz zażądał od niego poślubienia Eloise i że niepotrzebne są żadne starania o zgodę.

Dolna warga córki zaczęła drżeć. Nawet Oliver wyglądał na zasmuconego.

— Co znowu? — burknął ojciec.

— Wstydzisz się nas? — spytała Amanda.

Phillip westchnął ze znużeniem. Był na siebie zły. Boże, jak do tego doszło?

— Nie…

— Mogę pomóc?

Crane odwrócił się i spojrzał na Eloise jak na zbawczynię. Później obserwował ją w milczeniu, gdy uklękła przed dziećmi i zaczęła coś do nich mówić głosem tak cichym, że nie słyszał słów, tylko łagodny ton.

Bliźnięta zaczęły protestować, ale uciszyła je i mówiła dalej, gestykulując żywo. Niedługo potem, ku zdumieniu ojca, Amanda i Oliver pożegnali się grzecznie i wyszli z pokoju, choć nie mieli najszczęśliwszych min.

— Dziękuję Bogu, że żenię się z tobą — powiedział cicho Phillip.

— I słusznie — odszepnęła Eloise, mijając go z tajemniczym uśmiechem.

Crane podążył za nią i jeszcze raz poprosił gości o wybaczenie.

— Od śmierci matki trudno sobie z nimi poradzić — wyjaśnił.

— Nie ma nic gorszego od utraty rodzica — rzekł cicho Anthony. — Niech pan więcej nie przeprasza za dzieci.

Phillip skinął głową, wdzięczny za zrozumienie.

— Zapraszam na obiad — powiedział.

Ale prowadząc Bridgertonów do jadalni, wciąż widział twarze Olivera i Amandy, gdy opuszczali pokój. Malował się na nich smutek.

Bywali uparci, rozbrykani, nieznośni, ale nie smutni, chyba że zaraz po śmierci Mariny.

Po obiedzie i spacerze po oranżerii dorośli podzielili się na dwie grupki. Benedict przywiózł ze sobą szkicownik, więc został z żoną przy domu,

żeby zrobić kilka rysunków Romney Hall. Anthony, Eloise i Phillip postanowili przejść się po okolicy. Po jakimś czasie wicehrabia dyskretnie został z tyłu, żeby narzeczeni mogli swobodniej porozmawiać.

— Co powiedziałaś dzieciom? — zapytał Crane.

— Nic szczególnego — odparła Eloise. — Po prostu starałam się zachować jak matka. — Wzruszyła ramionami. — Zdaje się, że poskutkowało.

Phillip wpadł w zadumę.

— Dobrze mieć rodziców, których można naśladować — stwierdził po dłuższej chwili.

Eloise zerknęła na niego z boku.

— A ty takich nie miałeś?

Potrząsnął głową.

— Nie.

Eloise czekała, aż powie coś więcej, ale milczał. W końcu postanowiła go przycisnąć.

— Matka czy ojciec?

— Co masz na myśli? — zapytał Phillip.

— Które z rodziców było złym przykładem?

Popatrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem, lekko ściągając brwi.

— Matka umarła przy porodzie — wyjaśnił.

Eloise pokiwała głową.

— Rozumiem.

— Wątpię — rzekł Phillip zdławionym głosem. — Ale doceniam, że próbujesz zrozumieć.

Szli dalej wolnym krokiem. Nie chcieli, żeby Anthony ich usłyszał, więc żadne nie przerwało milczenia przez kilka minut. W końcu, gdy skręcili na

ścieżkę prowadzącą na tyły domu, Eloise zadała pytanie, z którym nosiła się przez cały dzień:

— Dlaczego zabrałeś mnie wczoraj do gabinetu Sophie?

Phillip aż się potknął z wrażenia.

— Myślałem, że to całkiem oczywiste — wymamrotał, czerwieniejąc na twarzy.

— No, tak — przyznała Eloise, też się rumieniąc. — Ale na pewno nie przypuszczałeś, że dopniesz swego.

— Mężczyzna zawsze ma nadzieję.

— Chyba nie mówisz poważnie!

— Oczywiście, że tak. — Phillip najwyraźniej nie mógł uwierzyć, że prowadzi tego rodzaju rozmowę. — Lecz istotnie nie liczyłem na wiele. — Łypnął na nią z ukosa. — Nie żałuję jednak tego, co się stało.

Eloise zapiekły policzki.

— Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie — zauważyła.

— Doprawdy?

— Tak. — Zdawała sobie sprawę z tego, że jest wręcz nieznośnie uparta, ale odpowiedź była dla niej ważna. — Dlaczego mnie tam zaprowadziłeś?

Phillip patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a następnie obejrzał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy Anthony ich nie słyszy.

— Cóż, skoro koniecznie musisz wiedzieć, zamierzałem cię pocałować. Dużo plotłaś o małżeństwie i zadawałaś wiele niedorzecznych pytań. — Wzruszył ramionami. — Uznałem więc, że to dobry sposób, by ci udowodnić, że do siebie pasujemy.

Eloise postanowiła, że nie zrewanżuje się za uwagę o pleceniu.

— Namiętność nie wystarczy, żeby małżeństwo było udane — stwierdziła.

— Z pewnością jest dobrym początkiem — rzekł Phillip. — Możemy

porozmawiać o czymś innym?

— Nie. Próbuję powiedzieć…

Phillip przewrócił oczami.

— Zawsze próbujesz coś powiedzieć — zauważył.

— Właśnie dlatego jestem czarująca — odparowała Eloise.

Phillip spojrzał na nią ze świętą cierpliwością.

— Doskonale do siebie pasujemy, a nasze małżeństwo będzie zgodne i szczęśliwe — zapewnił. — Nie wiem, co jeszcze mam powiedzieć albo zrobić, żeby to udowodnić.

— Ale mnie nie kochasz — stwierdziła cicho Eloise.

Phillip zatrzymał się w pół kroku i przez dłuższą chwilę patrzył na nią bez słowa.

— Dlaczego mówisz takie rzeczy? — zapytał w końcu.

Eloise bezradnie wzruszyła ramionami.

— Bo to ważne.

Tym razem Phillip milczał jeszcze dłużej, zanim się odezwał.

— Czy nie przyszło ci do głowy, że niekoniecznie trzeba dawać wyraz każdej myśli i uczuciu?

— Owszem. — W tym jednym słowie Eloise zawarła wszystkie swoje smutki. — Wiele razy. — Uciekła wzrokiem. Gardło miała ściśnięte. — Ale nie mogę się powstrzymać.

Phillip pokręcił głową, wyraźnie skonsternowany, co wcale jej nie zdziwiło. Ona sama wprawiała siebie w zakłopotanie. Dlaczego drążyła tę kwestię? Dlaczego nie potrafiła być subtelna? Matka powtarzała jej, że więcej można osiągnąć sposobem niż siłą, ale Eloise nie nauczyła się zachowywać swoich myśli dla siebie.

Właściwie to wprost zapytała Phillipa, czy ją kocha, a jego milczenie wystarczyło za odpowiedź. W jej sercu zawrzało. Wbrew sobie była

rozczarowana, czyli jednak w głębi duszy żywiła nadzieję, że Phillip padnie przed nią na kolana i wyzna jej dozgonną miłość.

I nie wiedziała, dlaczego tego pragnie, skoro sama też go nie kochała.

Czuła jednak, że gdyby miała dość czasu, mogłaby pokochać tego mężczyznę. I być może chciała takie zapewnienie usłyszeć od niego.

— Kochałeś Marinę? — spytała, nim zdążyła ugryźć się w język. Do licha, znowu zmuszała go do zbyt osobistych wyznań.

Cud, że nie złapał się za głowę i nie uciekł od niej z krzykiem.

Bardzo długo nie odpowiadał. Oboje patrzyli na siebie, starając się ignorować Anthony'ego, który stał w odległości trzydziestu metrów od nich i z uwagą przyglądał się jakiemuś drzewu. W końcu Phillip rzekł cicho:

— Nie.

Eloise wcale się nie ucieszyła. Ani nie zasmuciła. Zaskoczyło ją, że właściwie zareagowała obojętnością na to oświadczenie. Ale odetchnęła głęboko; nawet nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Była jednak zadowolona, że teraz już zna prawdę.

Nie lubiła nie wiedzieć.

I dlatego po raz kolejny nie zdołała się pohamować.

— Dlaczego się z nią ożeniłeś?

W jego oczach na chwilę pojawiła się pustka. W końcu wzruszył ramionami i odparł:

— Nie wiem. Wydawało mi się, że to właściwa rzecz.

Eloise pokiwała głową. Jego słowa miały sens. Właśnie tak by postąpił. Zawsze robił właściwe rzeczy, przepraszał za swoje przewinienia, brał na siebie ciężary innych…

Dotrzymywał obietnic uczynionych przez brata. Ale jeszcze jedno nie dawało jej spokoju.

— Czy… — Omal nie straciła odwagi. — Czy budziła w tobie

namiętność?

Nie powinna pytać, lecz po pamiętnym sam na sam w gabinecie Sophie po prostu musiała to wiedzieć. Wmawiała sobie, że odpowiedź nie ma dla niej znaczenia, lecz koniecznie chciała ją poznać.

— Nie — rzucił krótko Phillip.

Potem odwrócił się i ruszył przed siebie długim krokiem. Eloise pospieszyła za nim. Kiedy już go doganiała, zatrzymał się raptownie, tak że musiała chwycić się jego ramienia, żeby nie upaść.

— Ja też mam pytanie — powiedział szorstkim tonem.

— Oczywiście — zgodziła się Eloise, choć całkiem ją zaskoczył.

Nie mogła zaprotestować po tym, jak sama niemal poddała go przesłuchaniu.

— Dlaczego wyjechałaś z Londynu?

Eloise wytrzeszczyła oczy. Nie oczekiwała aż tak łatwego pytania.

— Żeby cię poznać — odparła bez wahania.

— Bzdura.

Eloise oniemiała, słysząc wyraźny gniew w jego głosie.

— Dlatego zjawiłaś się w Romney Hall, ale nie dlatego wyjechałaś z Londynu — stwierdził Phillip.

Nie przyszło jej wcześniej do głowy, że to jakaś różnica, ale rzeczywiście miał rację. Nie z jego powodu wyjechała z Londynu. Po prostu wykorzystała stworzoną przez niego okazję, żeby opuścić stolicę bez poczucia, że ucieka. Dał jej powód do wyjazdu dużo łatwiejszy do usprawiedliwienia niż ucieczka.

— Miałaś kochanka? — zapytał cicho.

— Nie! — wykrzyknęła, niechcący alarmując brata. Gdy na nich popatrzył, zmusiła się do uśmiechu i pomachała mu, dając znak, że wszystko jest w porządku. — To tylko osa! — zawołała.

Anthony natychmiast ruszył w jej stronę. Na jego twarzy malował się niepokój.

— Już odleciała! — uspokoiła go Eloise. — Nic się nie stało! — Potem odwróciła się do Phillipa i wyjaśniła: — Śmiertelnie boi się os. Całkiem o tym zapomniałam. Mogłam powiedzieć, że zobaczyłam mysz.

Phillip z zaciekawieniem zerknął na Anthony'ego. Eloise nie zdziwiła jego reakcja. Istotnie trudno było uwierzyć, że taki mężczyzna jak jej brat boi się os, jeśli się nie wiedziało, że jego ojciec umarł po ukąszeniu przez tego owada.

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie — przypomniał Phillip.

Do diaska! Sądziła, że temat został wyczerpany.

— Jak w ogóle mogłeś je zadać? — odparowała.

Phillip wzruszył ramionami.

— Przecież uciekłaś z domu, nie powiadamiając swojej rodziny, dokąd się wybierasz…

— Zostawiłam list — przerwała mu Eloise.

— A, tak, list — mruknął bez przekonania. Eloise przeszyła go wzrokiem.

— Nie wierzysz mi?

Phillip skinął głową.

— Wierzę. Jesteś zbyt dobrze zorganizowana i odpowiedzialna, żeby wyjeżdżać bez upewnienia się, że wszystko zostawiasz w najlepszym porządku.

— To nie moja wina, że list trafił między zaproszenia — próbowała się usprawiedliwiać Eloise.

— Nieważne — mruknął Phillip, splatając ramiona na piersi.

Eloise zacisnęła zęby, urażona. Poczuła się jak niegrzeczne dziecko, ale

nie mogła nic zrobić ani powiedzieć na swoją obronę, bo trafnie ocenił jej postępowanie.

Musiała to przyznać z bólem serca.

— Faktem jest, że uciekłaś z Londynu jak przestępczyni, w środku nocy — stwierdził Phillip. — Po prostu przyszło mi do głowy, że mogło wydarzyć się coś, co… zepsuło twoją reputację. — Widząc jej poirytowaną minę, dodał: — To chyba uzasadniony wniosek.

Oczywiście miał rację. Nie w kwestii jej reputacji, bo ta była czysta i niepokalana jak świeży śnieg. Lecz istotnie cała sytuacja wyglądała dziwnie i, szczerze mówiąc, to cud, że Phillip wcześniej nie zadawał żadnych pytań.

— Gdybyś miała kochanka, nie zmieniłoby to moich zamiarów — zapewnił teraz.

— Nie miałam — powiedziała szybko Eloise. — Chodziło o to, że… — westchnęła. — O to, że…

I wyznała mu wszystko. Mówiła o propozycjach małżeństwa, które ona dostawała w przeciwieństwie do Penelopy, o nie całkiem poważnych planach, że razem się zestarzeją jako stare panny. Wyjawiła, jaka się czuła winna, kiedy Penelopa i Colin wzięli ślub, a ona nie mogła przestać użalać się nad sobą i swoim osamotnieniem.

Zdradziła mu swoje najskrytsze myśli i odczucia, o których jeszcze nigdy nikomu nie mówiła. W pewnym momencie przyszła jej nawet do głowy refleksja, że jak na kobietę, której nie zamykają się usta, bardzo dużo zachowywała dla siebie.

W końcu umilkła, bo po prostu zabrakło jej energii.

Wtedy Phillip wziął ją za rękę i powiedział:

— Już wszystko dobrze.

I właśnie tak było.

14

…przyznaję, że pan Wilson ma w swojej twarzy coś z płaza, ale moim zdaniem powinnaś nauczyć się powściągliwości w wyrażaniu opinii. Choć nigdy nie uznałabym go za odpowiedniego kandydata do małżeństwa, z pewnością nie jest ropuchą. I nie uchodzi, że moja młodsza siostra tak go nazwała, w dodatku w jego obecności.

Z listu Eloise Bridgerton do siostry Hiacynty po odrzuceniu czwartej propozycji małżeństwa

Cztery dni później wzięli ślub. Phillip nie miał pojęcia, jak Anthony zdobył specjalną dyspensę, dzięki której mogli pobrać się bez kościelnych zapowiedzi, i do tego w poniedziałek, zdaniem Eloise nie gorszy od wtorku czy środy, skoro w grę nie wchodziła sobota.

Na wieś zjechała cała rodzina Eloise, z wyjątkiem jej owdowiałej siostry, która nie zdążyła dotrzeć tu ze Szkocji. Normalnie ceremonia odbyłaby się w Kent, w siedzibie rodowej Bridgertonów, albo przynajmniej w Londynie, gdzie rodzina regularnie chodziła do kościoła św. Jerzego na Hanover Square, ale nie dałoby się zorganizować jej w tak krótkim czasie. W każdym razie nie był to zwyczajny ślub. Benedict i Sophie zaproponowali swój dom na przyjęcie weselne, ale Eloise uważała, że bliźnięta będą się czuły lepiej w Romney Hall, więc uroczystość odbyła się w pobliskim parafialnym kościółku, a po niej wydano kameralne przyjęcie na trawniku przed oranżerią Phillipa.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, Eloise poszła do swojej nowej sypialni razem z matką. Violetta Bridgerton od razu zabrała się za

układanie rzeczy z pospiesznie zebranej wyprawy ślubnej córki. Oczywiście zupełnie niepotrzebnie, bo wcześniej wszystkim zajęła się pokojówka sprowadzona z Londynu, ale Eloise nie komentowała tej nerwowej krzątaniny. Wyglądało na to, że lady Bridgerton po prostu musi coś robić w czasie rozmowy.

Eloise doskonale rozumiała tę potrzebę.

— Chcę się poskarżyć, że pozbawiono mnie momentu chwały należnej matce panny młodej — rzekła Violetta, zdejmując swój koronkowy welon i kładąc go na biurku. — Ale cieszę się, że wyszłaś za mąż.

Eloise uśmiechnęła się do niej łagodnie.

— Byłaś już zdesperowana, prawda?

— Owszem — przyznała matka, ale zaraz dodała: — A właściwie nie. Zawsze uważałam, że w końcu nas zaskoczysz. Często to robisz.

Eloise pomyślała o latach, które minęły od jej debiutu, o wszystkich odrzuconych propozycjach małżeństwa. O ślubach, w których razem uczestniczyły, a matka patrzyła, jak jej przyjaciółki kolejno wydają córki za ostatnich wolnych dżentelmenów.

Za dżentelmenów bezpowrotnie straconych dla córki lady Bridgerton, starej panny.

— Przykro mi, że cię rozczarowałam — powiedziała cicho Eloise.

Violetta zmierzyła ją mądrym spojrzeniem.

— Moje dzieci nigdy nie sprawiają mi zawodu. One po prostu… wprawiają mnie w zdumienie. Chyba to lubię.

Eloise uściskała ją, choć czuła się przy tym niezręcznie. Właściwie nie wiedzieć czemu, bo w jej rodzinnym domu nigdy nie wstydzono się tego rodzaju przejawów uczucia. Może dlatego, że była teraz niebezpiecznie bliska płaczu. I wyczuła to samo wzruszenie u matki. Znowu była niezdarną

dziewczynką o długich rękach i nogach, kościstych łokciach i nigdy niezamykających się ustach.

Potrzebowała matki.

— No — mruknęła Violetta jak przed laty, kiedy zajmowała się skaleczonym kolanem albo zranionymi uczuciami. — No, już dobrze. — Nagle oblała się rumieńcem.

— Mamo? — zaniepokoiła się Eloise.

— Nienawidzę tego — poskarżyła się Violetta i miała przy tym bardzo dziwną minę.

— Czego? — zdziwiła się córka.

Lady Bridgerton wzięła głęboki oddech.

— Musimy odbyć małą rozmowę. — Uniosła głowę i badawczo spojrzała córce w oczy. — Rzeczywiście musimy?

Eloise nie była pewna, o co właściwie pyta ją matka: o teoretyczną czy o praktyczną znajomość istoty obowiązków małżeńskich.

— Hm. Ja jeszcze nie… Jeśli chodzi ci o… to znaczy, ja nadal… — zaczęła się jąkać.

— Świetnie — przerwała jej Violetta, oddychając z wyraźną ulgą. — Ale czy ty… to znaczy, czy jesteś świadoma…

— Tak — powiedziała szybko Eloise, żeby oszczędzić im obu skrępowania. — Nie sądzę, żebyś musiała mi coś wyjaśniać.

— Świetnie — powtórzyła matka z jeszcze głośniejszym westchnieniem. — Muszę wyznać, że nienawidzę tej roli. Nawet nie pamiętam, co powiedziałam Daphne. Wiem tylko, że przez cały czas czerwieniłam się i jąkałam. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, czy po naszej rozmowie była lepiej poinformowana niż przed nią. Obawiam się, że nie.

— Zdaje się, że całkiem dobrze przystosowała się do życia małżeńskiego — zauważyła Eloise.

— O, tak, prawda? — rozpromieniła się matka. — Czwórka dzieci i mąż, który ją uwielbia. Nie można oczekiwać więcej.

— A co powiedziałaś Francesce? — zainteresowała się Eloise.

— Słucham?

Eloise mówiła o młodszej siostrze, która wyszła za mąż przed sześcioma laty, a dwa lata później została wdową.

— Jakiej lekcji udzieliłaś przed ślubem Francesce? Wspomniałaś tylko o Daphne.

Niebieskie oczy Violetty posmutniały, jak zawsze, kiedy myślała o swojej trzeciej córce, tragicznie owdowiałej w tak młodym wieku.

— Znasz Francescę — powiedziała. — Sądzę, że ona mogłaby nauczyć mnie paru rzeczy.

Eloise wytrzeszczyła oczy.

— Oczywiście nie to miałam na myśli — poprawiła się matka, mocno zmieszana. — Francesca była niewinna jak… jak ty.

Eloise poczuła, że twarz jej płonie, i w duchu podziękowała Stwórcy za pochmurny dzień, dzięki któremu w sypialni panował półmrok. Była również zadowolona, że matka zajęła się oglądaniem oderwanego rąbka sukni. Oczywiście nie straciła dziewictwa, ale wcale nie czuła się taka niewinna.

— Ale znasz Francescę — powtórzyła Violetta i wzruszyła ramionami, stwierdziwszy, że sama nie zdoła naprawić sukni. — Zawsze była ciekawska i sprytna. Pewnie dużo wcześniej przekabaciła jakąś biedną służącą, żeby ją uświadomiła.

Eloise pokiwała głową. Wolała się nie przyznawać, że obie z Francescą zebrały kieszonkowe, żeby przekupić służącą. Nie żałowały później ani jednego pensa. Wyjaśnienie Annie Mavel obfitowało w szczegóły, a siostra później potwierdziła, że było bardzo dokładne.

Violetta uśmiechnęła się smutno i dotknęła policzka córki tuż pod okiem. Siniak z fioletowego zrobił się najpierw zielony, a teraz żółtawy, ledwo widoczny.

— Jesteś pewna, że będziesz szczęśliwa? — zapytała matka.

Eloise odwzajemniła uśmiech.

— Trochę za późno na zastanawianie się nad tym, nie sądzisz? — zauważyła.

— Żeby coś zrobić, owszem, ale nie za późno na zadawanie sobie pytań — stwierdziła Violetta.

— Myślę, że będę szczęśliwa — powiedziała Eloise.

Mam nadzieję, poprawiła się w myślach.

— Sir Phillip wygląda na miłego człowieka.

— Jest bardzo miłym człowiekiem.

— Honorowym — dodała matka.

— Tak.

Violetta pokiwała głową.

— Ja też sądzę, że będziesz szczęśliwa. Pewnie minie trochę czasu, zanim sobie to uświadomisz. Z początku możesz nawet wątpić, ale w końcu znajdziesz szczęście. Tylko pamiętaj…

— Co, mamo?

— Pamiętaj, że to wymaga czasu — odparła matka powoli, jakby starannie dobierała słowa.

Co wymaga czasu? — chciała krzyknąć Eloise. Ale Violetta już wstała i pospiesznie zaczęła wygładzać spódnice.

— Chyba muszę popędzić rodzinę, bo nigdy nie wyjedziemy — stwierdziła, poprawiając kokardę przy sukni.

Odwróciła przy tym głowę, ale Eloise zauważyła, że matka dyskretnie ociera łzę.

— Jesteś bardzo niecierpliwa — powiedziała lady Bridgerton, idąc do drzwi. — Zawsze taka byłaś.

— Wiem. — Eloise zastanawiała się, czy to przygana, a jeśli tak, to dlaczego matka wybrała akurat ten moment, żeby ją skrytykować.

— A ja zawsze lubiłam w tobie tę cechę — wyznała Violetta. — Podobnie jak wszystkie inne, ale z jakiegoś powodu uważałam twoją niecierpliwość za szczególnie ujmującą. Nie chciałaś więcej, ty chciałaś wszystko.

Eloise nie była pewna, czy to zaleta.

— Pragnęłaś, żeby inni mieli wszystko — ciągnęła matka — koniecznie chciałaś wszystko wiedzieć, wszystkiego się nauczyć…

Przez chwilę wydawało się, że już skończyła, ale potem odwróciła się i dodała:

— Nigdy nie zadowalałaś się byle czym, i bardzo dobrze. Cieszę się, że nie wyszłaś za żadnego z tych mężczyzn, którzy oświadczali ci się w Londynie. Żaden z nich nie uczyniłby cię szczęśliwą. Może zadowoloną, ale nie szczęśliwą.

Oczy Eloise rozszerzyły się ze zdumienia.

— Ale nie pozwól, żeby twoja niecierpliwość wzięła górę nad innymi cechami — poradziła Violetta. — Myślę, że czasami o nich zapominasz. — Posłała jej łagodny, mądry uśmiech matki żegnającej się z córką. — Nie spiesz się, Eloise. Bądź delikatna. Nie staraj się zbyt mocno.

Eloise chciała coś odpowiedzieć, ale stwierdziła, że nie może wydobyć z siebie głosu.

— Bądź cierpliwa — dodała Violetta. — Nie ponaglaj.

— Ja…

Eloise chciała obiecać, że posłucha jej rady, ale głos znowu ją zawiódł, tak że mogła jedynie patrzeć na matkę. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że

naprawdę jest mężatką. Ostatnio tak dużo myślała o Phillipie, że niemal zapomniała o rodzinie.

Zostawiała najbliższych. Wiedziała, że zawsze będzie mogła na nich liczyć, ale jednak opuszczała gniazdo rodzinne.

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak często siadywała z matką, żeby porozmawiać. Nie doceniała w pełni tamtych chwil. Violetta Bridgerton zawsze odgadywała potrzeby swoich dzieci, co doprawdy było godne podziwu, zważywszy na to, że było ich ośmioro, każde z własnymi nadziejami i marzeniami.

Nawet list, który przez Anthony'ego przysłała do Romney Hall, był dokładnie taki, jaki Eloise chciałaby dostać. Violetta mogłaby czynić jej wyrzuty, rzucać oskarżenia, ale ona napisała jedynie: „Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Pamiętaj, proszę, że jesteś moją córką i zawsze nią będziesz. Kocham Cię".

Eloise rozpłakała się na głos. Dzięki Bogu, że zapomniała przeczytać go wcześniej i zrobiła to dopiero późno w nocy, kiedy została sama w swoim pokoju w domu Benedicta.

Violetcie Bridgerton nigdy niczego nie brakowało, ale jej prawdziwym bogactwem były mądrość i nieprzebrane zasoby miłości. Patrząc teraz na nią, Eloise pomyślała, że ta kobieta jest nie tylko jej matką, ale również wzorem do naśladowania. Chciałaby być taka jak ona.

Nie mogła uwierzyć, że zrozumienie tego zabrało jej tak dużo czasu.

— Myślę, kochanie, że ty i sir Phillip potrzebujecie teraz trochę prywatności — stwierdziła stanowczo Violetta, sięgając do klamki.

Eloise skinęła głową, choć matka nie mogła zobaczyć tego gestu.

— Będę za wami tęsknić — powiedziała.

— Oczywiście, że tak. — Violetta mówiła ze sztucznym ożywieniem, najwyraźniej usiłując odzyskać panowanie nad sobą. — A my będziemy

tęsknić za tobą. Na szczęście masz blisko do Benedicta i Sophie. I do Posy. Poza tym na pewno będę częściej przyjeżdżać z wizytami, skoro mam kolejne wnuczęta do psucia.

Eloise otarła łzę. Cała jej rodzina od razu i bezwarunkowo zaakceptowała dzieci Phillipa. Spodziewała się tego, ale i tak od samej myśli zrobiło się jej cieplej na sercu. W ostatnich dniach bliźnięta wesoło i hałaśliwie bawiły się z najmłodszym pokoleniem Bridgertonów, a Violetta nalegała, żeby nazywały ją babcią. Amanda i Oliver zgodzili się skwapliwie, zwłaszcza kiedy starsza pani wyjęła całą torebkę miętówek, tłumacząc, że musiały wpaść do jej walizki jeszcze w Londynie.

Eloise już wcześniej pożegnała się z gośćmi, więc kiedy matka wyszła, zrozumiała, że teraz jest naprawdę lady Crane. Panna Bridgerton wróciłaby do Londynu z resztą rodziny, natomiast żona baroneta i właściciela ziemskiego z Gloucestershire zostawała tutaj, w Romney Hall. Czuła się dziwnie i obco. Skarciła się za to w duchu. Małżeństwo zawarte w wieku dwudziestu ośmiu lat nie powinno aż tak wytrącić jej z równowagi. Nie była niedojrzałą dziewczyną — i to od dawna.

A jednak miała prawo uważać, że jej życie zmieniło się na zawsze. Stała się mężatką i panią domu. Nie wspominając o matkowaniu dwójce dzieci. Żadne z jej rodzeństwa nie musiało tak szybko brać na siebie obowiązków rodzicielskich.

Ale ona była gotowa podjąć się tego zadania. Musiała. Rozprostowała plecy i spojrzała zdecydowanie na swoje odbicie w lustrze, szczotkując włosy. Pochodziła z rodu Bridgertonów, a to do czegoś zobowiązywało. I nie należała do osób, które w milczeniu znosiłyby nieszczęśliwe życie, więc musiała po prostu zadbać o to, żeby jej takie nie było.

Słysząc pukanie do drzwi, odwróciła się i zobaczyła, że do pokoju

wchodzi Phillip. Zamknął za sobą drzwi, ale nie ruszył się z miejsca, tylko spytał:

— Czy nie potrzebujesz pokojówki?

— Dałam jej wolny wieczór — odparła Eloise, wzruszając ramionami. — Jej obecność tutaj dziwnie mi przeszkadzała.

Phillip odchrząknął i szarpnął krawat nerwowym gestem, który Eloise już umiała rozpoznać. Nigdy nie czuł się swobodnie w oficjalnym stroju. Wciąż czegoś dotykał, poprawiał, najwyraźniej miał ochotę przebrać się w wygodne robocze ubranie.

Jakie to dziwne, że jej mąż miał określone zajęcie. Eloise nigdy nie sądziła, że poślubi kogoś takiego. Wprawdzie nie zarabiał w ten sposób na utrzymanie, ale praca w oranżerii i tak odróżniała go od młodych mężczyzn z jej sfery, którzy na ogół wiedli próżniacze życie.

Podobało się jej, że miał bystry umysł, swoje cele i zainteresowania, że wolał badania naukowe niż konie i hazard.

Lubiła go.

Jak to dobrze! Cóż to byłoby za małżeństwo, gdyby nie przepadała za mężem.

— Dać ci jeszcze kilka minut? — zapytał Phillip.

Potrząsnęła głową. Była gotowa.

Jego wargi się poruszyły. Eloise wydawało się, że usłyszała słowa „dzięki Bogu”, a chwilę potem znalazła się w jego ramionach. Gdy ją pocałował, zapomniała o swoich rozważaniach.

Phillip przypuszczał, że powinien więcej uwagi poświęcić własnemu ślubowi, ale prawda była taka, że nie mógł skupić się na doniosłych wydarzeniach dnia, bo noc była tak kusząco bliska. Za każdym razem, kiedy patrzył na Eloise, kiedy czuł jej zapach, wyróżniający się spośród

delikatnej woni perfum pozostałych kobiet, czuł napięcie i dreszcz oczekiwania.

Już niedługo, powtarzał w duchu, nakazując sobie spokój, i dziękował Bogu, że mu się to udawało. Wkrótce.

Gdy wreszcie nadeszła upragniona chwila i zostali sami, nie mógł uwierzyć, że ta piękna kobieta o kasztanowych włosach, opadających miękkimi falami na plecy, jest jego żoną. Nigdy nie widział jej włosów rozpuszczonych, nie sądził, że są tak długie.

— Zawsze się zastanawiałem, dlaczego kobiety upinają włosy — mruknął po siódmym pocałunku.

— Bo tego się od nich oczekuje — odparła Eloise, zaskoczona jego uwagą.

— Wcale nie dlatego — sprzeciwił się Phillip. Przesiał między palcami miękkie pukle, uniósł je do nosa. — To dla ochrony mężczyzn.

Eloise popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Chyba miałeś na myśli ochronę przed mężczyznami — poprawiła go.

Mąż pokręcił głową.

— Zabiłbym każdego, który by cię teraz zobaczył.

— Phillipie! — Jej ton miał być karcący, ale zarumieniła się i wyglądała na całkiem zadowoloną z jego oświadczenia.

— Bo żaden nie mógłby ci się oprzeć — dodał Phillip, nawijając na palec jedwabisty lok. — Jestem tego pewien.

— Wielu mężczyzn jakoś zdołało mi się oprzeć — zauważyła Eloise z uśmiechem. — Naprawdę wielu.

— Byli głupcami — stwierdził Phillip. — Zresztą to tylko dowodzi mojej racji, nie uważasz? To… — musnął ustami gęsty pukiel, potem wciągnął w nozdrza jego zapach — było zawsze ukryte w koku.

— Odkąd skończyłam szesnaście lat — przyznała Eloise.

Phillip przyciągnął ją do siebie łagodnie, ale zdecydowanie.

— Cieszę się, bo nigdy nie byłabyś moja, gdybyś nie używała szpilek. Ktoś inny zdobyłby cię już lata temu.

— To tylko włosy — szepnęła Eloise lekko drżącym głosem.

— Masz rację. U żadnej innej nie są tak kuszące. Tylko u ciebie.

Ujął w dłonie jej twarz i pocałował. Wiedział, jak smakują jej usta, przekonał się o tym już wcześniej, właściwie całkiem niedawno. Ale mimo to był zaskoczony ich słodyczą, tym, że jego ciało ogarniał płomień od jednego muśnięcia ciepłych warg.

Tyle że z nią to nie był zwykły pocałunek.

Odnalazł zapięcie sukni, drobne, obciągnięte materiałem guziki na plecach.

— Odwróć się — poprosił.

Nie był tak doświadczony, żeby rozpiąć je bez patrzenia. Poza tym podobało mu się niespieszne rozbieranie, odsłanianie kremowej skóry.

Przesuwając rękę w dół jej kręgosłupa, uświadomił sobie, że teraz Eloise należy do niego. Na wieki. Nadal nie mógł uwierzyć we własne szczęście, lecz postanowił cieszyć się nim, zamiast głowić, czym sobie na nie zasłużył.

Kolejny guzik. Ujrzawszy kawałek ciała blisko podstawy pleców, Phillip dotknął go lekko. Eloise zadrżała.

Sięgnął do ostatniego guzika. Właściwie nie musiał go rozpinać, bo teraz mógłby po prostu zsunąć z niej suknię. Ale chciał zrobić wszystko jak należy, rozkoszować się chwilą.

Gdy ukazała się górna część pośladków, zapragnął pocałować je właśnie w tym momencie, gdy stała odwrócona do niego plecami, drżąc nie z zimna, lecz z podniecenia.

Nachylił się i przywarł ustami do jej karku, trzymając za ramiona. Uznał,

że pewne rzeczy są jeszcze zbyt śmiałe dla niewinnej Eloise.

Najważniejsze, że należała do niego. Była jego żoną, ogniem, namiętnością, czystą energią. Nie delikatną i kruchą Mariną, niezdolną do odczuwania innych emocji niż smutek.

Nie była Mariną. Powinien przypominać to sobie nie tylko teraz, ale stale, przez cały czas, za każdym razem, kiedy na nią patrzył. Nie była Mariną, więc nie musiał wstrzymywać przy niej oddechu, bać się własnych słów i wyrazu twarzy, bać się wszystkiego, co mogłoby spowodować, że ona zamknie się w sobie i pogrąży w rozpaczy.

To była Eloise. Eloise. Silna, wspaniała Eloise.

Opadł na kolana i mocno przytrzymał ją za biodra, kiedy wydała cichy okrzyk zaskoczenia i próbowała się odwrócić.

Pocałował ją. Właśnie tam, u podstawy pleców, w miejscu, które tak go kusiło. Potem, pod wpływem impulsu — bo jego doświadczenie z kobietami było ograniczone, ale najwidoczniej wyobraźnia nadrabiała ten brak — przesunął językiem po delikatnej skórze. Znieruchomiał, lecz nie oderwał warg od jej ciała, kiedy Eloise jęknęła i oparła się rękami o ścianę, jakby nie mogła dłużej ustać na nogach.

— Phillipie! — wykrztusiła.

Wtedy wstał i obrócił ją do siebie.

— Musiałem — powiedział, jakby to wszystko tłumaczyło. I prawdę mówiąc, było to jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło mu do głowy. Po prostu korcił go ten skrawek brzoskwiniowej skóry, który tylko czekał na pieszczotę.

Pocałował Eloise, jednocześnie zsuwając z niej suknię ślubną. Bladoniebieski kolor podkreślał szarą barwę jej oczu, przywodzącą na myśl zachmurzone niebo tuż przed burzą. Siostra Eloise, Daphne, była zachwycona suknią. Ale Phillip bez żalu zdejmował ją z żony.

Nie miała na sobie halki, a on wiedział, że nie włożyła jej ze względu na niego. Wstrzymał oddech, kiedy czubkami piersi musnęła cienkie płótno jego koszuli. Jednak zamiast napawać się widokiem, Phillip lekko przesunął po nich dłonią, a potem, nie przestając całować żony, ujął w dłoń jedną pierś, żeby poczuć jej rozkoszny ciężar.

— Phillipie — jęknęła Eloise z ustami przy jego ustach.

Kiedy wziął w palce sterczącą brodawkę i ścisnął ją bardzo delikatnie, wreszcie uwierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Nie mógł już dłużej czekać. Musiał zobaczyć ją całą. Odsunął się, przerywając pocałunek z cichą obietnicą, że zaraz wróci.

Wstrzymując oddech, zaczął wodzić po niej zachłannym wzrokiem. Na dworze jeszcze się nie ściemniło, ostatnie promienie słońca wpadały przez okna, oblewając ciało Eloise różowozłotym blaskiem. Jej piersi były większe, niż sobie wyobrażał, pełne i krągłe. Z trudem się pohamował, żeby natychmiast nie zaciągnąć jej do łóżka. Mógłby wpatrywać się w nią przez całą wieczność, pieścić ją i wielbić, aż…

Dobry Boże, kogo próbował oszukać? Aż jego żądza stałaby się tak silna, że musiałby ją posiąść, pożreć żywcem.

Drżącymi rękami zaczął rozpinać guziki koszuli. Zerwawszy ją z siebie, zapomniał się i na chwilę odwrócił plecami do żony.

I usłyszał jej cichy okrzyk. Zamarł.

— Co się stało? — spytała Eloise, wyraźnie wstrząśnięta.

Sam nie rozumiał, dlaczego jest taki zaskoczony. Przecież wiedział, że nadejdzie chwila, kiedy będzie zmuszony wszystko jej wytłumaczyć. Była jego żoną i miała oglądać go nagiego do końca życia. Powinna znać pochodzenie jego blizn.

On nie musiał na nie patrzeć, w przeciwieństwie do Eloise.

— Byłem chłostany — powiedział, nie odwracając się. Chyba powinien

oszczędzić jej przykrego widoku, ale z drugiej strony, kiedyś musiała się do niego przyzwyczaić.

— Kto ci to zrobił? — Mówiła cicho, ale w jej głosie brzmiało wzburzenie.

Phillipowi zrobiło się cieplej na sercu.

— Ojciec — odparł krótko.

Dobrze pamiętał tamten dzień. Miał dwanaście lat, przyjechał do domu ze szkoły, a ojciec zmusił go, żeby towarzyszył mu na polowaniu. Phillip był dobrym jeźdźcem, ale nie dość dobrym, żeby powtórzyć jego skok. Wiedział jednak, że zostanie uznany za tchórza, jeśli nie spróbuje pokonać przeszkody.

Oczywiście upadł, a właściwie został wyrzucony z siodła. Jakimś cudem wyszedł z tego bez szwanku, ale ojciec wpadł we wściekłość. Thomas Crane miał określoną wizję angielskiego dżentelmena i nie mieściło się w niej spadanie z konia. Jego synowie musieli doskonale jeździć konno, strzelać, boksować, fechtować. W przeciwnym razie niech Bóg się nad nimi zlituje.

George oczywiście wykonał skok. W sporcie zawsze górował nad Phillipem. Był od niego dwa lata starszy, większy i silniejszy. Trzeba mu oddać, że próbował wstawić się za bratem i uratować go od kary, ale Thomas Crane i tak wychłostał młodszego syna, a starszego zrugał za wtrącanie się. Phillip musiał się nauczyć, jak być mężczyzną, zaś obaj mieli być bezwzględnie posłuszni ojcu, nawet George.

Phillip nie wiedział, dlaczego tamta kara różniła się od innych. Zwykle ojciec bił przez ubranie, używając pasa, który nie zostawiał śladów. Ale wtedy znajdowali się przy stajniach, bat był pod ręką, a gniew Thomasa Crane’a gwałtowniejszy niż kiedykolwiek.

Nawet kiedy bicz przeciął płótno koszuli, nie ostudziło to furii ojca.

Po tej jednej chłoście na plecach Phillipa zostały blizny. A w głowie wspomnienie na resztę życia.

Odwrócił się i zobaczył, że żona patrzy na niego ze zgrozą.

— Przykro mi — rzekł cicho, choć właściwie nie miał za co przepraszać. Pokazał jej tylko, jak wyglądało jego dzieciństwo.

— A mnie nie! — wybuchnęła Eloise, mrużąc oczy. — Jestem wściekła.

Phillip nie zdołał się powstrzymać. Odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem. Była wspaniała. Mimo nagości gotowa pomaszerować do samego piekła, żeby wyciągnąć stamtąd jego ojca i powiedzieć mu do słuchu.

Wyglądała na lekko skonsternowaną jego reakcją, ale potem się uśmiechnęła, jakby zrozumiała doniosłość tej chwili.

Phillip wziął jej rękę i położył ją sobie na sercu.

— Jaki silny — szepnęła, przesuwając dłonią po jego torsie. — Nie miałam pojęcia, że praca w oranżerii jest taka ciężka.

Phillip poczuł się jak szesnastolatek, dumny z jej komplementu. W jednej chwili zapomniał o ojcu.

— Poza oranżerią też pracuję — powiedział burkliwie, bo nie umiał zwyczajnie podziękować.

— Z ogrodnikami? — zdziwiła się Eloise.

Mąż popatrzył na nią z rozbawieniem.

— Eloise Bridgerton…

— Crane — poprawiła go szybko.

Phillipa zalała fala radości.

— Eloise Crane — zaczął od nowa — tylko mi nie mów, że w sekrecie fantazjowałaś o ogrodnikach.

— Oczywiście, że nie. Chociaż…

Nie mógł puścić jej wahania w niepamięć.

— Chociaż? — ponaglił.

Eloise udała zmieszaną.

— Pracując w słońcu, wyglądają tak… pierwotnie. Phillip skwitował jej słowa uśmiechem. Miał minę człowieka, którego pragnienie już niedługo się ziści.

— Ach, Eloise. — Przywarł wargami do jej szyi. — Nie masz pojęcia o tym, co pierwotne. Najmniejszego.

I zrobił to, o czym marzył od dawna. W każdym razie jedną z wielu rzeczy. Chwycił w usta koniuszek piersi Eloise, podrażnił go językiem, lekko zacisnął wargi.

— Phillipie! — niemal krzyknęła jego żona. Porwał ją na ręce i zaniósł do łóżka, czekającego na nowożeńców. Położył ją i wyprostował się, żeby nacieszyć jej widokiem. Eloise zasłoniła się odruchowo, a on pozwolił jej na to, spokojny, że dostanie nagrodę, o której marzył. Potem zajął się ostatnią częścią jej garderoby, pończochami. Zaczął zsuwać pierwszą, po drodze pieszcząc udo przez cienki jedwab. Eloise drgnęła, kiedy dotarł do kolana.

— Masz łaskotki? — zapytał.

Skinęła głową.

— I nie tylko — powiedziała.

„Nie tylko”. Spodobało mu się, że Eloise czuje więcej i pragnie więcej.

Drugą pończochę zdjął szybciej, a następnie stanął obok łóżka i sięgnął do zapięcia swoich spodni. W ostatniej chwili zawahał się i pytająco spojrzał na żonę.

Gdy wzrokiem dała mu do zrozumienia, że jest gotowa, rozebrał się z szybkością, o którą siebie nie podejrzewał, i położył obok niej. Zesztywniała na moment, ale kiedy ją pogłaskał, jednocześnie wędrując ustami od jej skroni do ust, odprężyła się.

— Nie ma się czego bać — uspokoił ją.

— Nie boję się.

Cofnął się i zajrzał jej w oczy.

— Nie?

— Trochę się denerwuję, ale nie czuję strachu — oświadczyła.

Phillip pokręcił głową.

— Jesteś wspaniała — stwierdził z podziwem.

— Wszystkim to powtarzam, ale tylko ty jeden mi wierzysz — powiedziała Eloise, wzruszając ramionami.

Roześmiał się, zdumiony własną reakcją. Ledwo mógł uwierzyć, że to jego noc poślubna. Już drugi raz żona go rozbawiła, a on powoli zaczynał doceniać ten zaskakujący, bezcenny dar. Zrozumiał, że jest prawdziwym szczęściarzem.

Miłość cielesna zawsze kojarzyła mu się z żądzą i zaspokajaniem męskich potrzeb, a nigdy z radością i cudem poznawania drugiej osoby.

Ujął twarz Eloise w dłonie i pocałował ją z czułością. Przesunął wargi na jej policzek i szyję. Potem niżej, odkrywając jej ciało od ramion po brzuch i biodra.

Pominął tylko jedno miejsce, bo postanowił, że zajmie się nim później, kiedy Eloise będzie gotowa.

Kiedy on będzie gotowy. Marina nigdy nie pozwalała się tam całować. Nie, nieprawda. On nigdy nie prosił o takie rzeczy. Wydawało mu się to niewłaściwe w sytuacji, kiedy żona leżała pod nim milcząca i nieruchoma, jakby spełniała obowiązek. Przed ślubem obcował z kobietami, ale z gatunku tych doświadczonych. Z nimi nigdy nie miał ochoty na tego rodzaju intymności.

Później, obiecał sobie, ćwicząc siłę woli. Wkrótce. Tak, wkrótce.

Objął dłońmi łydki Eloise, rozchylił jej nogi. Był podniecony, tak bardzo

podniecony, że bał się kompromitacji, więc wziął kilka głębokich oddechów. Musiał myśleć przede wszystkim o żonie, o jej rozkoszy.

— Eloise — wyszeptał.

Pożądał jej do szaleństwa. Nie miał pojęcia, jak długo wytrzyma.

— Phillipie? — W jej głosie brzmiał niepokój.

Uniósł się na łokciu, żeby na nią spojrzeć.

— Jesteś bardzo duży — powiedziała cicho.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Czy wiesz, że właśnie to mężczyzna pragnie usłyszeć?

— Nie wątpię — mruknęła Eloise. — Zdaje się, że to jedna z tych rzeczy, którymi się przechwalacie, grając w karty, jeżdżąc konno, rywalizując bez sensu.

Phillip nie był pewien, roześmiać się czy obruszyć.

— Eloise, zapewniam cię…

— Będzie bardzo bolało? — spytała nagle.

— Nie wiem — odparł uczciwie. — Nigdy nie byłem w twojej sytuacji. Pewnie trochę. Mam nadzieję, że niezbyt mocno.

Skinęła głową, doceniając szczerość.

— Ja… — zaczęła.

— Mów śmiało — zachęcił ją łagodnie.

Eloise milczała przez chwilę.

— Daję się ponieść namiętności, jak tamtego dnia, ale potem włącza się wyobraźnia i ogarnia mnie lęk, że się rozczaruję i cała magia zniknie — wyjaśniła w końcu. — Zniknie magia.

I wtedy Phillip się zdecydował. Do diabła, dlaczego miałby czekać? Albo ona? Nachylił się i pocałował ją w usta.

— Leż spokojnie — przykazał. — Nigdzie nie odchodź.

Nim zdążyła zadać kolejne pytanie, a na pewno miała ich wiele,

przesunął się w dół i zrobił to, co wcześniej zamierzał.

Eloise krzyknęła cicho.

— Dobrze — mruknął Phillip.

Trzymając mocno za biodra, zaczął ją pieścić, smakować jej skórę. Był nienasycony, wygłodniały. Jednocześnie myślał z wdzięcznością, że teraz, kiedy jest żonaty, będzie mógł to robić tak często, jak zechce.

Oczywiście nieraz słyszał męskie rozmowy na ten temat, ale nie przypuszczał, że tak mu się to spodoba. Był o włos od zatracenia się, choć Eloise jeszcze nawet go nie dotknęła. Nie żeby akurat tego pragnął w tym momencie, widząc, jak żona kurczowo ściska prześcieradła. Aż zbielały jej kostki.

Powinien doprowadzić ją na szczyt, ale żądza wzięła nad nim górę. Ostatecznie to była jego noc poślubna i czuł, że jeśli zaraz nie posiądzie Eloise, chyba zajmie się ogniem.

Przesunął się w górę, nie zważając na jęk rozczarowania żony, i wszedł w nią zdecydowanym ruchem.

Eloise wykrzyknęła jego imię, on też wydał z siebie gardłowy dźwięk. Chyba powinien się wtedy zatrzymać, spytać, czy wszystko w porządku, czy nie boli, ale po prostu nie mógł. Już tyle czasu minęło… I tak bardzo jej pragnął…

Jego żar i niecierpliwość najwyraźniej spodobały się Eloise, bo zaczęła się pod nim poruszać, wbijając paznokcie w jego plecy.

W pewnym momencie zawołała:

— Jeszcze!

Phillip chwycił ją za biodra i uniósł lekko, przyspieszając rytm. Chwilę później Eloise wygięła się pod nim w łuk i zadrżała gwałtownie, a z jej gardła wyrwał się krzyk. Mąż jej zawtórował, wstrząsany spazmami. Potem opadł na nią bez sił.

15

…Nie mogę uwierzyć, że nie chcesz powiedzieć mi nic więcej. Jako Twoja starsza siostra (o cały rok, o czym chyba nie muszę ci przypominać) zasługuję na szacunek i choć doceniam Twoje potwierdzenie, że informacje Annie Mavel o pożyciu małżeńskim były bardzo dokładne, wolałabym poznać kilka szczegółów oprócz tego krótkiego opisu. Z pewnością nie jesteś aż tak nieprzytomna ze szczęścia, żeby nie zdobyć się na kilka słów (zwłaszcza przymiotników), których z niecierpliwością oczekuje Twoja ukochana siostra.

Z listu Eloise Bridgerton do Franceski, hrabiny Kilmartin, dwa tygodnie po ślubie siostry

Tydzień później Eloise siedziała w saloniku, który ostatnio przerobiono na jej gabinet, i ślęczała nad domowymi rachunkami, żując końcówkę pióra. Miała podsumowywać wydatki, liczbę worków mąki, płace służby i tym podobne rzeczy, a tymczasem była w stanie jedynie liczyć, ile razy ona i Phillip się kochali.

Trzynaście. Nie, czternaście. Właściwie piętnaście, jeśli liczyć ten raz, kiedy…

Zarumieniła się, choć w pokoju nie było nikogo oprócz niej. Zresztą nikt nie zgadłby, o czym myśli lady Crane.

Czy naprawdę to zrobiła?

Nawet nie wiedziała, że coś takiego jest możliwe. Annie Mavel

oczywiście o tym nie wspomniała, kiedy przed laty udzielała pożytecznej lekcji jej i Francesce.

Eloise uśmiechnęła się, zadając sobie pytanie, czy ich pokojówka w ogóle słyszała o takich rzeczach. Po prawdzie, trudno jej było wyobrazić sobie, że ktoś miewa równie śmiałe pomysły, nie mówiąc o wprowadzaniu ich w życie.

To cudownie być żoną mężczyzny, który za nią szaleje. W ciągu dnia mało się widywali — Phillip miał swoją pracę, a ona własne zajęcia — ale w nocy, po pięciu minutach przeznaczonych na jej toaletę (zaczęło się od dwudziestu, ale ten czas stopniowo się skracał, a Eloise i tak słyszała jego niecierpliwe kroki, kiedy chodził pod drzwiami sypialni)…

W nocy kochał się z nią jak szalony. Jego energia wydawała się niewyczerpana, podobnie jak ciekawość i zapał do poznawania nowych rzeczy. Czasami aż go błagała, żeby przestał, choć wcale nie była pewna, czy tego naprawdę chce.

Powiedział, że Marina nie budziła w nim namiętności, ale Eloise trudno było w to uwierzyć. Miał wręcz nienasycony apetyt (głupie słowo, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy), a to, co robił dłońmi…

Ustami…

Zębami…

Językiem…

Znowu oblała się rumieńcem. Robił takie rzeczy, że kobieta musiałaby być z lodu, żeby nie zareagować.

Eloise spojrzała na kolumny cyfr w księdze rachunkowej. Jakoś nie potrafiła ich zsumować. Za każdym razem, kiedy próbowała otrząsnąć się ze swoich snów na jawie i skupić na pracy, liczby rozmywały się przed jej oczami. Przeniosła wzrok za okno. Z tego miejsca nie mogła dojrzeć

oranżerii, ale wiedziała, że jest tuż za rogiem i że krząta się w niej Phillip, przycinając pędy, siejąc nasiona i co tam jeszcze.

Przez cały dzień.

Zmarszczyła brwi. Właśnie. Jej mąż całe dnie spędzał w oranżerii, często nawet kazał przynosić sobie tam obiad. Oczywiście nie było w tym nic niezwykłego, że małżonkowie wiedli osobne życie, a wiele par nie spotykało się również w nocy, ale oni wzięli ślub zaledwie przed tygodniem.

Prawdę mówiąc, tak pospiesznie zawarli małżeństwo, że Eloise dopiero poznawała Phillipa. I nadal bardzo mało o nim wiedziała. Wcześniej zdążyła się zorientować, że jest uczciwy i honorowy, że będzie dobrze ją traktował. Teraz również odkryła, że pod jego chłodną rezerwą kryje się zmysłowość i gorący temperament.

Lecz nie licząc jednej opowieści o ojcu, nie znała doświadczeń, które uczyniły go takim, a nie innym człowiekiem. Próbowała wyciągnąć go na zwierzenia i czasami jej się to udawało, najczęściej jednak nie.

Bo Phillip nigdy nie chciał rozmawiać, jeśli, mógł całować. A pocałunki nieuchronnie prowadziły do tego, że ciągnął ją do sypialni, gdzie zapominali o słowach.

Przy kilku okazjach, kiedy udało się jej zainicjować rozmowę, przeżyła rozczarowanie. Pytała go, na przykład, o opinię w jakiejś domowej kwestii, a on wzruszał ramionami i mówił, żeby sama ją rozstrzygnęła, jak uzna za stosowne. Czasami zastanawiała się, czy dzięki małżeństwu po prostu nie zyskał gospodyni.

I oczywiście kochanki.

Ale Eloise wiedziała, że w małżeństwie może być coś więcej. Ze związku swoich rodziców nie pamiętała zbyt wiele, ale często widywała

swoje rodzeństwo ze współmałżonkami. Uważała, że ona i Phillip znajdą takie samo szczęście, jeśli tylko poświęcą sobie więcej czasu poza łóżkiem.

Wstała nagle i podeszła do drzwi. Powinna z nim porozmawiać. Nie było powodu, dla którego nie mogłaby odwiedzić męża w oranżerii. Może nawet spodoba mu się, kiedy zapyta go o pracę.

Nie zamierzała go przesłuchiwać, ale jedno pytanie czy dwa wtrącone do rozmowy na pewno nie zaszkodzą. A jeśli Phillip burknie na nią, że przeszkadza mu w pracy, ona natychmiast wyjdzie.

Ale wtedy usłyszała głos matki.

„Bądź cierpliwa, Eloise. Nie ponaglaj”.

Nie podejrzewała u siebie aż takiej siły woli. Choć było to wbrew jej naturze, zawróciła i znów usiadła przy biurku.

Nie zdarzyło się jeszcze, żeby Violetta Bridgerton myliła się w naprawdę ważnych sprawach, a skoro uznała za stosowne udzielić córce rady w dniu ślubu, Eloise powinna jej posłuchać.

Tak, matce na pewno chodziło o to, żeby umiała zapanować nad impulsami, pomyślała Eloise, marszcząc brwi.

Przycisnęła uda dłońmi, żeby tylko nie pobiec do drzwi. Wyjrzała przez okno, ale czym prędzej odwróciła wzrok, bo choć nie widziała oranżerii z tego miejsca, wiedziała, że stoi zaraz za rogiem.

Walczyła ze sobą, zaciskając zęby. Nigdy nie należała do osób, które siedzą bezczynnie i tylko się uśmiechają. Ona musiała się ruszać, coś robić, poszukiwać, pytać. I niestety również narzucać się, sprawiać kłopot, zadręczać, wyrażać opinie na każdy temat.

Westchnęła przeciągle. Wyglądało na to, że niezbyt sympatyczna z niej osoba.

Próbowała przypomnieć sobie słowa matki z dnia ślubu. Z pewnością było w nich również coś pozytywnego. Matka ją kochała. Musiała

powiedzieć jakąś miłą rzecz. Czy nie stwierdziła, że jej niecierpliwość jest urocza? Prawdę mówiąc, nie oznaczało to uznania jej samej za czarującą.

Do licha! Miała dwadzieścia osiem lat i zawsze była zadowolona z siebie i swojego sposobu bycia.

No, prawie zadowolona. Wiedziała, że za dużo mówi i czasami jest zbyt bezpośrednia. Nie każdy ją lubił, ale większość ludzi tak, a ona już dawno doszła do wniosku, że to jej wystarcza.

Więc dlaczego akurat teraz straciła pewność siebie, obawiała się zrobić albo powiedzieć coś niewłaściwego?

Wstała od biurka. Nie mogła dłużej znieść niezdecydowania i bierności. Posłuchała rady matki i dała Phillipowi trochę spokoju, ale, na Boga, nie była w stanie siedzieć bezczynnie ani chwili dłużej.

Spojrzała na niedokończone rachunki. O Boże! Przecież nie leniła się, skoro robiła to, co do niej należało, prawda?

Sapnąwszy z irytacji, z trzaskiem zamknęła księgę. Nie miało znaczenia, czy będzie sumować liczby, bo znała siebie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że nie zdoła skupić się na pracy, nawet jeśli tu zostanie, więc równie dobrze mogła stąd wyjść i zająć się czymś innym.

Dzieci! Właśnie. Została żoną dopiero tydzień temu, ale już była matką. I jeśli czyjeś życie wymagało jej ingerencji, to właśnie Olivera i Amandy.

Z poczuciem celu pomaszerowała do drzwi. Znowu była dawną sobą. Musiała sprawdzić, czy bliźnięta uczą się pilnie. Oliver jesienią miał iść do Eton, więc musiał należycie się do tego przygotować.

I była jeszcze kwestia ich ubrań. Dzieci wyrosły ze starych, a poza tym Amanda zasłużyła na jakiś ładniejszy strój…

Eloise westchnęła z zadowoleniem, spiesząc w górę po schodach. Już odliczała na palcach, co powinna zrobić: wezwać krawcową, sformułować i dać ogłoszenia o poszukiwaniu nauczycieli, bo dzieci koniecznie musiały

zacząć uczyć się francuskiego, gry na fortepianie i oczywiście rachunków… Chyba nie były za małe na dzielenie liczb wielocyfrowych?

Ożywiona pchnęła drzwi pokoju dziecinnego i… zatrzymała się raptownie.

Oliver miał czerwone oczy, jakby płakał, a Amanda pociągała nosem i wycierała go wierzchem dłoni. Oboje męczyła czkawka, ich oddechy były urywane.

— Co się stało? — zapytała Eloise.

Bliźnięta nic nie odpowiedziały, tylko spoglądały na nią błagalnym wzrokiem. Eloise przeniosła wzrok na ich nianię.

— Pani Edwards?

Niania wykrzywiła usta w nieprzyjemnym grymasie.

— Dąsają się, bo zostali ukarani — wyjaśniła.

Eloise wolno pokiwała głową. Nie zdziwiło jej, że Oliver i Amanda zasłużyli na karę, ale według niej coś tutaj było nie w porządku. Może chodziło o zrezygnowany wyraz oczu, jakby próbowały się buntować, lecz przegrały.

Nie żeby zamierzała namawiać dzieci do buntu, zwłaszcza przeciwko niani, która powinna zachować autorytet, ale nie chciała również widzieć na ich twarzach upokorzenia, potulności i smutku.

— Za co zostały ukarane? — spytała.

— Za brak szacunku — odparła natychmiast niania.

— Rozumiem. — Eloise westchnęła. Sama kilka razy skarciła bliźnięta za niegrzeczne słowa. — Jaką karę pani wymierzyła?

— Dostali linijką po rękach — powiedziała pani Edwards, stojąc sztywno, jakby kij połknęła.

Eloise zacisnęła zęby. Nie lubiła kar cielesnych, ale z drugiej strony bicie po rękach było powszechnie stosowane w najlepszych szkołach.

Z pewnością wszyscy jej bracia nieraz w Eton posmakowali linijki. Nie sądziła, żeby przez parę lat nauki udało im się uniknąć naruszenia dyscypliny.

Lecz nie podobał się jej wyraz oczu dzieci, więc wzięła panią Edwards na bok i powiedziała cicho:

— Rozumiem, że dzieci potrzebują dyscypliny, ale jeśli będzie pani znowu musiała je ukarać, proszę zrobić to łagodniej.

— Jeśli zrobię to łagodniej, nie dostaną nauczki — odparła niania ostrym tonem.

— Ja będę oceniać, czy dostały nauczkę — oświadczyła Eloise, zirytowana jej uporem. — Ja już nie proszę, tylko domagam się od pani większej łagodności. To są tylko dzieci.

Pani Edwards ściągnęła usta, ale skinęła głową, raz, krótko, by pokazać, że ustępuje z konieczności, choć nie zgadza się z decyzją lady Crane i nie pochwala jej interwencji.

Eloise odwróciła się do dzieci i powiedziała głośniej:

— Myślę, że Amanda i Oliver czegoś się dzisiaj nauczyli. Może teraz pójdą ze mną na przerwę.

— Właśnie ćwiczymy pisanie i nie możemy sobie pozwolić na marnowanie czasu — sprzeciwiła się pani Edwards. — Zwłaszcza jeśli mam pełnić jednocześnie obowiązki i niani, i guwernantki.

— Zamierzam rozwiązać ten problem w najbliższym czasie — zapewniła ją Eloise. — A jeśli chodzi o dzisiejszy dzień, chętnie poćwiczę z dziećmi pisanie. Może być pani spokojna, że nie będą miały zaległości.

— Nie sądzę…

Eloise przeszyła ją wzrokiem. W końcu była z Bridgertonów. Wiedziała, jak radzić sobie ze służbą.

— Wystarczy, że pokaże mi pani plan lekcji.

Niania z widoczną niechęcią poinformowała lady Crane, że dziś ćwiczą litery M, N i O.

— Duże i małe — dodała burkliwie.

— Rozumiem — powiedziała Eloise z nutą wyniosłości w głosie. — Jestem pewna, że poradzę sobie z tym zadaniem.

Pani Edwards poczerwieniała na twarzy.

— Czy to wszystko? — spytała.

— Tak — odparła Eloise. — Niech pani dobrze wykorzysta wolny czas, bo na pewno nie ma go pani wiele, pełniąc podwójne obowiązki niani i guwernantki. Proszę wrócić na obiad, żeby dopilnować dzieci.

Pani Edwards opuściła pokój, idąc z wysoko uniesioną głową.

— No więc… — Eloise skierowała uwagę na dzieci, które nadał siedziały przy małym stoliku, patrząc na nią jak na pomniejsze bóstwo, które zstąpiło na ziemię, żeby uratować je przed złą czarownicą.

Nie dokończyła zdania, bo Amanda rzuciła się na nią z taką siłą, że omal nie pchnęła jej na ścianę. Otoczyła ją ramionami w pasie. Oliver wkrótce dołączył do siostry.

— No, no — mruknęła Eloise kojącym tonem, głaszcząc dzieci po włosach. — Co się stało?

— Nic — dobiegła stłumiona odpowiedź Amandy.

Oliver odsunął się i stanął prosto jak prawdziwy mężczyzna. Potem zepsuł efekt, wycierając nos wierzchem dłoni.

Eloise podała mu chusteczkę.

Chłopiec użył jej, skinął głową w podziękowaniu i oświadczył:

— Wolimy ciebie niż nianię Edwards.

Eloise też uważała ją za wyjątkowo antypatyczną osobę i obiecała sobie, że jak najszybciej znajdzie jej następczynię. Nie zamierzała jednak mówić o tym dzieciom. Pewnie od razu przekazałyby nowinę pani Edwards, a ona

natychmiast złożyłaby wymówienie albo wyładowała na nich swój gniew i frustrację.

— Usiądźmy — zaproponowała, kierując dzieci do stolika. — Nie wiem, jak wy, ale ja wolałabym nie tłumaczyć się przed panią Edwards, jeśli nie poćwiczymy liter.

Naprawdę muszę porozmawiać z Phillipem, pomyślała, patrząc na ręce Olivera. Jedna z kostek była zaczerwieniona. To pewnie tylko jej wyobraźnia, ale…

Tak, powinna omówić tę sprawę z mężem. Im szybciej, tym lepiej.

Phillip nucił pod nosem, ostrożnie umieszczając w ziemi sadzonkę. Nagle sobie uświadomił, że przed ślubem zawsze pracował w kompletnej ciszy. Nigdy do tej pory nie miał ochoty gwizdać ani cicho podśpiewywać. Ale teraz… cóż, teraz odnosił wrażenie, że muzyka jest w powietrzu, otacza go, wypełnia. Był również bardziej odprężony, wyraźnie zelżało ciągłe napięcie mięśni karku i pleców.

Poślubienie Eloise okazało się bardzo mądrą decyzją. Do licha, posunąłby się nawet do stwierdzenia, że to była najlepsza rzecz, jaką zrobił w życiu.

Po raz pierwszy od dawna czuł się szczęśliwy.

Teraz wydawało się to takie proste, choć wcześniej nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że nie jest szczęśliwy. Z pewnością czasami się śmiał, cieszył różnymi rzeczami, a nie był, tak jak Marina, wiecznie pogrążony w rozpaczy.

Nigdy jednak nie przeżywał prawdziwej radości. Takiej jak teraz, gdy każdego ranka budził się z przekonaniem, że świat jest cudownym miejscem, będzie taki również wieczorem, w nocy i przez wszystkie kolejne dni.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio równie dobrze się czuł. Pewnie w czasach

uniwersyteckich, kiedy po raz pierwszy zasmakował w nauce i wysiłku umysłowym, a poza tym nareszcie znalazł się daleko od ojca i nie musiał bać się stale wiszącego nad nim bata.

Nie potrafił zliczyć, pod iloma względami zmieniło się dzięki Eloise jego życie. Oczywiście rozkosze małżeńskiego łoża przerastały wszystko, co sobie wyobrażał. Gdyby wiedział, że może być tak wspaniale, na pewno nie wytrwałby we wstrzemięźliwości. Byłoby to wykluczone, zważywszy na jego obecny apetyt.

Ale on po prostu nie miał pojęcia, że może być inaczej niż z Mariną. Albo z kobietami, z którymi zadawał się jako student, jeszcze zanim po raz pierwszy się ożenił.

Lecz choć Eloise rozpalała go do białości, nie była jedynym źródłem jego obecnego zadowolenia.

Równie ważne wydawało się przeświadczenie, że nareszcie, po raz pierwszy, odkąd urodziły mu się dzieci, zrobił coś dla ich dobra.

Nigdy nie był doskonałym ojcem. Miał tego świadomość i nie udawał, że jest inaczej, ale w końcu stanął na wysokości zadania i znalazł im idealną matkę.

Od razu poczuł się, jakby zdjęto z jego ramion tysiącfuntowy ciężar.

Nic dziwnego, że przestały go boleć plecy.

Mógł iść rano do oranżerii i nie martwić się o nic. Nie pamiętał, kiedy ostatnio pracował w spokoju, bez podrywania się przy każdym hałasie czy krzyku. Albo kiedy mógł skupić się na swoich badaniach bez poczucia winy, że zaniedbuje dzieci.

Teraz, wchodząc do oranżerii, zapominał o wszystkich troskach. Do licha, nie miał żadnych trosk.

To było cudowne uczucie. Magiczne.

Jaka ulga!

A jeśli czasami żona patrzyła na niego tak, jakby chciała, żeby powiedział albo zrobił coś innego, przypisywał to prostemu faktowi, że ona jest kobietą, a on mężczyzną i nigdy jej nie zrozumie. Właściwie powinien być wdzięczny, że Eloise zawsze mówi to, co myśli, bo dzięki temu nie musiał wciąż zgadywać, czego od niego oczekuje.

Jego brat powtarzał często: „Strzeż się kobiet zadających pytania. Nigdy nie udzielisz właściwej odpowiedzi”.

Phillip uśmiechnął się do siebie na to wspomnienie. Rzeczywiście nie miał powodu się martwić, że ich rozmowy czasami się nie kleiły. Przeważnie kończyły się w łóżku, co jemu akurat bardzo odpowiadało.

Od razu obudziło się w nim pożądanie. Do licha! Musi przestać myśleć o żonie w środku dnia. Albo wrócić dyskretnie do domu i ją odszukać.

Lecz w tym momencie Eloise otworzyła drzwi i zajrzała do oranżerii, jakby wyczuła, że mąż o niej rozmyśla, i po raz kolejny chciała udowodnić, że jest wspaniała.

Phillip natychmiast pożałował, że pomieszczenie ma szklane ściany. Przyszło mu nawet do głowy, żeby zainstalować jakiś parawan, gdyby żona zaczęła odwiedzać go tu regularnie.

— Nie przeszkadzam? — spytała.

Oczywiście przeszkadzała, bo akurat był w trakcie ważnego eksperymentu, ale uświadomił sobie, że nie ma nic przeciwko jej wizycie. Bardzo go to zaskoczyło, bo do tej pory zawsze irytowały go wymuszone przerwy w pracy. Nawet kiedy przychodziła osoba, której towarzystwo lubił, po kilku minutach chciał, żeby już sobie poszła, a on mógł wrócić do swojego zajęcia.

— Nie, jeśli nie razi cię mój wygląd — powiedział.

Eloise zmierzyła go wzrokiem. Zauważyła ślady ziemi na ubraniu i ciemną smugę na lewym policzku, ale potrząsnęła głową, mówiąc:

— To drobiazg.

— Co cię dręczy? — zapytał Phillip.

— Chodzi o nianię — oznajmiła Eloise bez wstępów. — Nie lubię jej.

Nie tego się spodziewał. Odłożył łopatkę.

— Nie lubisz? — powtórzył ze zdziwieniem. — Dlaczego?

— Właściwie nie wiem. Po prostu jej nie lubię.

— Cóż, trudno to uznać za powód do jej zwolnienia — stwierdził mąż.

Eloise zacisnęła wargi, co, jak Phillip zdążył się przekonać, było oznaką poirytowania.

— Zbiła dzieci linijką po rękach — powiedziała z oburzeniem.

Phillip westchnął. Nie podobało mu się, że ktoś bije jego dzieci, ale przecież taką karę stosowano we wszystkich szkołach w kraju. A Amanda i Oliver nie byli wzorami grzeczności. Powstrzymał się jednak od tych uwag i spytał:

— Zasłużyły sobie?

— Nie wiem — przyznała Eloise. — Nie było mnie przy tym, ale pani Edwards oświadczyła, że zwracały się do niej bez szacunku.

Phillip lekko się przygarbił.

— Niestety, nietrudno mi w to uwierzyć — stwierdził.

— Istotnie — zgodziła się Eloise. — Amanda i Oliver bywają nieznośni, ale mimo wszystko to nie w porządku, żeby wymierzać im taką karę.

Phillip wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

— Więc zbadajmy sprawę — zaproponował.

— Naprawdę tego chcesz? — zdziwiła się Eloise.

Mąż wzruszył ramionami.

— To nie ja się martwię. Nigdy nie miałem zastrzeżeń do pani Edwards, ale skoro ty je masz, powinnaś przeprowadzić śledztwo. Poza tym lepiej ode mnie radzisz sobie w takich sprawach.

— Ale… — Eloise próbowała się odsunąć, kiedy musnął nosem jej szyję — ty jesteś ich ojcem.

— A ty matką. — Głos miał lekko zachrypnięty, wręcz płonął z pożądania. Gdyby tylko zdołał sprawić, żeby Eloise przestała mówić, mógłby zaciągnąć ją do sypialni, gdzie na pewno byłoby zabawniej. — Ufam twojemu osądowi — powiedział, żeby ją ułagodzić, a poza tym naprawdę tak myślał. — Właśnie dlatego się z tobą ożeniłem.

Jego słowa najwyraźniej ją zaskoczyły.

— Tylko dlatego? — spytała tonem, który obudził jego czujność.

— Między innymi — mruknął, zastanawiając się, jak ją rozpalić mimo dzielących ich warstw ubrań.

— Phillipie, przestań! — skarciła go, wyrywając się z jego objęć.

Do licha!

— Eloise, co się stało? — zapytał ostrożnie, bo z jego doświadczenia, aczkolwiek skromnego, wynikało, że z rozzłoszczoną kobietą należy obchodzić się jak z jajkiem.

— Co się stało? — powtórzyła z niebezpiecznym błyskiem w oku. — Jak możesz pytać?

— Może dlatego, że nie wiem, co się stało? — rzucił z sarkazmem.

— Phillipie, to nie pora…

— Na pytanie, co się stało?

— Nie! — prawie krzyknęła Eloise.

Phillip cofnął się o krok. Instynkt samozachowawczy, pomyślał z ironią. To jest dla mężczyzny najważniejsze w sporach z żoną. Troska o własne bezpieczeństwo.

Eloise zaczęła dziwnie gestykulować.

— Na to — powiedziała.

Phillip się rozejrzał. Wskazywała na ławę, na rośliny w donicach, na

niebo widoczne przez szklany dach.

— Eloise, nie jestem tępy, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz — stwierdził spokojnym tonem.

I od razu zrozumiał, że będzie miał kłopoty.

— Naprawdę nie wiesz? — zapytała żona.

Chyba diabeł w niego wstąpił, bo zamiast słuchać instynktu samozachowawczego, wypalił nieopatrznie:

— Nie czytam w myślach.

— Nie czas na intymności — wykrztusiła w końcu Eloise.

— Oczywiście — zgodził się Phillip. — Nie ma tutaj ani krzty prywatności. Lecz zawsze możemy wrócić do domu. — Aż się uśmiechnął na tę myśl. — Wiem, że jest środek dnia, ale…

— Zupełnie nie o to mi chodziło!

— Dobrze, poddaję się — rzekł mąż, splatając ramiona na piersi. — Powiedz wreszcie, o co ci chodzi, bo naprawdę nie mam pojęcia.

— Mężczyźni — rzuciła Eloise z lekceważeniem.

— Biorę to za komplement — oznajmił Phillip.

Jej spojrzenie mogłoby zamrozić Tamizę. Z pewnością ostudziło jego żądzę, co nie poprawiło mu humoru, bo w zupełnie inny sposób zamierzał ją ugasić.

— Niesłusznie — warknęła żona.

Phillip oparł się o stół, żeby zirytować ją niedbałą postawą, i powiedział, nie tracąc spokoju:

— Eloise, postaraj się zdobyć na choć odrobinę szacunku dla mojej inteligencji.

— To trudne, kiedy tak niewiele jej przejawiasz — odparowała.

Cierpliwość Phillipa w końcu się wyczerpała.

— Nawet nie wiem, dlaczego się kłócimy! — wybuchnął. — W jednej

chwili jesteś chętna w moich ramionach, a w następnej krzyczysz na mnie jak prawdziwa jędza.

Eloise potrząsnęła głową.

— Wcale nie byłam chętna.

Phillipowi ziemia usunęła się spod stóp. Eloise musiała coś dostrzec na jego twarzy, bo szybko dodała:

— Chodziło mi tylko o dzisiaj. A właściwie o to, co było przed chwilą.

Phillip odetchnął z ulgą, ale nadal przepełniał go gniew.

— Próbowałam z tobą porozmawiać — wyjaśniła Eloise.

— Wciąż próbujesz ze mną rozmawiać — zauważył mąż. — Tylko mówisz, mówisz, mówisz.

Eloise aż się cofnęła.

— W takim razie nie powinieneś był się ze mną żenić — stwierdziła uszczypliwym tonem.

— Niestety, nie miałem wyjścia — odgryzł się Phillip. — Twoi bracia byli gotowi mnie wykastrować. I nie rób ze mnie potwora. Nie przeszkadza mi, że dużo mówisz, tylko, na litość boską, żebyś nie robiła tego przez cały czas. — Eloise próbowała odpowiedzieć mu ciętą ripostą, ale tylko bezgłośnie otwierała usta jak ryba wyciągnięta z wody. — Od czasu do czasu mogłabyś zastanowić się nad użyciem ust do jakiegoś innego celu.

— Jesteś okropny! — wykrztusiła w końcu Eloise.

Phillip celowo uniósł brwi w arogancki sposób, ale pominął jej zarzut milczeniem.

— Przykro mi, że tak cię męczy moja gadatliwość — ciągnęła żona. — Ale akurat teraz próbowałam porozmawiać z tobą o czymś ważnym, a ty myślałeś tylko o całowaniu.

Phillip wzruszył ramionami.

— Zawsze staram się cię pocałować. Jesteś moją żoną. Co, u licha,

innego mam robić?

— Nie każda pora jest na to właściwa — stwierdziła Eloise. — Jeśli chcesz, żeby nasze małżeństwo było dobre…

— Jest dobre — przerwał jej Phillip urażonym tonem.

— Tak, oczywiście, że jest dobre — zapewniła go pospiesznie Eloise — ale nie zawsze… no wiesz.

— Nie, nie wiem — zaprzeczył z uporem mąż.

Eloise zgrzytnęła zębami.

— Nie bądź taki, Phillipie — wycedziła.

Nic nie odpowiedział, tylko mocniej splótł ramiona na piersi, wpijając w nią wzrok.

Eloise zamknęła oczy i lekko wysunęła brodę do przodu. Jej usta się poruszały. I wtedy Phillip zrozumiał, że jego żona mówi, choć nie wydaje z siebie głosu.

Dobry Boże, ta kobieta nigdy nie miała dość mielenia językiem. Nawet teraz gadała do siebie.

— Co robisz? — zapytał.

Eloise nie otworzyła oczu.

— Próbuję przekonać samą siebie, że lepiej będzie, jak zlekceważę radę matki.

Phillip pokręcił głową, całkowicie przekonany, że nigdy nie zrozumie kobiet. Właśnie postanowił, że wyjdzie z oranżerii i zostawi żonę pogrążoną w rozmowie z samą sobą, kiedy Eloise się odezwała:

— Bardzo lubię to, co robimy w sypialni…

— Miło mi to słyszeć — burknął Phillip, nadal poirytowany.

Eloise nie skomentowała jego niegrzecznego tonu.

— Ale nie może chodzić tylko o to — powiedziała.

— O co?

— W naszym małżeństwie. — Zarumieniła się, wyraźnie skrępowana. — Nie może w nim chodzić tylko o miłość fizyczną.

— Ale ona jest bardzo ważna — zaprotestował Phillip.

— Dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać? — spytała z wyrzutem Eloise. — Mamy kłopot i musimy jakoś z niego wybrnąć.

I wtedy coś pękło w Phillipie. Do tej pory sądził, że tym razem mu się poszczęściło. Był przekonany, że ich małżeństwo jest idealne, a tu jego żona narzeka?

— Jesteśmy po ślubie dopiero tydzień — przypomniał. — Zaledwie tydzień. Czego ode mnie oczekujesz?

— Nie wiem. Ja…

— Jestem tylko mężczyzną.

— A ja tylko kobietą — powiedziała cicho Eloise.

Z jakiegoś powodu jej słowa jeszcze bardziej zirytowały Phillipa. Pochylił się ku niej, żeby ją onieśmielić.

— Wiesz, od jak dawna nie spałem z kobietą? — syknął. — Masz pojęcie?

Oczy Eloise się rozszerzyły. Potrząsnęła głową.

— Od ośmiu lat. Ośmiu długich lat. Więc następnym razem, kiedy będę próbował cię posiąść, wybacz mi, proszę, moją niedojrzałość i brak opanowania. — Mówił z sarkazmem i gniewem. — Po prostu czerpię z tego wielką radość po długim okresie abstynencji.

Potem stwierdził, że ani chwili dłużej nie zniesie jej widoku…

Nie, to nieprawda. Miał dosyć siebie.

Tak czy inaczej, wybiegł z oranżerii.

16

…masz do tego prawo, najdroższa Kate. Mężczyznami tak łatwo jest kierować. Nie wyobrażam sobie, żebym z którymś przegrała sprzeczkę. Oczywiście, gdybym przyjęła oświadczyny lorda Laceya, nie miałabym po temu okazji. On rzadko się odzywa, co uważam za bardzo dziwne.

Z listu Eloise Bridgerton do bratowej, wicehrabiny Bridgerton, po odrzuceniu piątej propozycji małżeństwa

Eloise została w oranżerii przez prawie godzinę. Była w stanie tylko patrzeć przed siebie i zastanawiać się…

Co się stało?

W jednej chwili rozmawiali — no, dobrze, sprzeczali się, ale w rozsądny i cywilizowany sposób — a w następnej Phillip wpadł w gniew.

I wyszedł. A właściwie wybiegł z oranżerii. Zostawił ją w środku kłótni, z otwartymi ustami i urażoną dumą.

Opuścił ją. Oto co naprawdę ją dręczyło. Jak można wyjść w połowie sporu?

Owszem, to ona wszczęła dyskusję — no, dobrze, sprzeczkę — ale w żaden sposób nie sprowokowała go do takiej reakcji.

A najgorsze, że nie wiedziała, co robić.

Do tej pory to nie zdarzyło się nigdy. Nie zawsze jej decyzje okazywały się słuszne, ale przynajmniej była pewna siebie, kiedy je podejmowała. A teraz, siedząc na ławie, czuła się zdezorientowana i głupia. Uświadomiła sobie, że woli działać i się mylić, niż nic nie robić i odczuwać bezradność.

I jakby tego było mało, nie mogła uciszyć głosu matki rozbrzmiewającego w jej głowie. „Nie ponaglaj, Eloise. Nie naciskaj”.

Mogła jedynie sobie wmawiać, że wcale nie ponaglała. Na niebiosa, ona tylko przyszła w sprawie dzieci. Czy to tak źle porozmawiać, zamiast od razu pędzić do sypialni? Racja, to niedobrze, kiedy para unika intymnych kontaktów, ale oni przecież…

Nawet dziś rano!

Akurat w sypialni nie mieli żadnych kłopotów. Żadnych.

Eloise westchnęła i przygarbiła się. Nigdy w życiu nie czuła się taka samotna. Zabawne. Kto by pomyślał, że wyjdzie za mąż — na zawsze złączy się z drugim człowiekiem — i będzie samotna.

Brakowało jej matki.

Nie, wcale nie. Zdecydowanie nie. Matka byłaby łagodna i wyrozumiała, ale rozmowa z nią sprawiłaby, że Eloise poczułaby się jak dziecko, a nie jak osoba dorosła.

Potrzebowała sióstr. Nie Hiacynty, która miała zaledwie dwadzieścia jeden lat i nie znała się na mężczyznach, ale jednej z zamężnych. Daphne, która zwykle umiała powiedzieć właściwe słowa, albo Franceski, która nigdy nie mówiła tego, co człowiek chciał usłyszeć, ale zawsze udawało się jej wywołać uśmiech na twarzy rozmówcy.

Niestety, obie znajdowały się daleko, jedna w Londynie, druga w Szkocji, a Eloise nie zamierzała uciekać. Wychodząc za mąż, sama przesądziła swój los, a poza tym z radością kładła się co noc do łóżka z Phillipem. Gorzej było z dniami.

Nie zamierzała stchórzyć i wyjechać, choćby tylko na kilka dni.

Ale do Sophie miała blisko, zaledwie godzinę jazdy od Romney Hall. Nie były rodzonymi siostrami, ale pokrewnymi duszami.

Eloise wyjrzała z oranżerii. Chmury przesłaniały słońce, ale oceniła, że

całkiem niedawno minęło południe. Mogła spędzić większość dnia z Sophie i wrócić na kolację.

W swojej dumie nie chciała, by ktoś wiedział, że jest nieszczęśliwa, ale w głębi duszy pragnęła ramienia, na którym mogłaby się wypłakać.

Zwyciężyła ta druga potrzeba.

Phillip spędził kilka następnych godzin, maszerując po polach i ze złością wyrywając chwasty.

Miał dużo pracy, bo zawędrował na ziemie nieuprawiane, co oznaczało, że niemal każde zielsko mógł uznać za chwast, zależnie od humoru.

A był właśnie w takim nastroju, że najchętniej wyrwałby wszystkie rośliny na kuli ziemskiej.

On, botanik!

Lecz akurat teraz nie chciał sadzić, patrzeć, jak coś rośnie albo kwitnie. Wolał kopać z gniewem, kaleczyć, niszczyć. Był zły na siebie, wściekły na Eloise i gotowy rzucić się na każdego, kto wejdzie mu w drogę.

Lecz po paru godzinach deptania, urywania kwiatów polnym roślinom i łamania źdźbeł trawy usiadł na kamieniu i oparł głowę na rękach.

Do diabła!

A on myślał, że są szczęśliwi!

Uważał, że ich małżeństwo jest doskonałe i cały ten czas — no, dobrze, zaledwie tydzień — był, jego zdaniem, sielanką. Tymczasem Eloise czuła się nieszczęśliwa.

A w każdym razie na pewno nie była szczęśliwa.

No, może trochę, ale z pewnością nie pławiła się w błogiej rozkoszy tak jak on.

Teraz musiał coś zrobić, a to była ostatnia rzecz, na którą miał ochotę. Rozmowa z Eloise, zadawanie pytań, próby zrozumienia, co jest nie

w porządku, nie wspominając o szukaniu sposobów rozwiązania sytuacji… przed takimi rzeczami zawsze się wzbraniał.

Niestety, nie miał wyjścia. Ożenił się z Eloise między innymi, no, może nawet głównie po to, żeby wzięła na siebie te wszystkie drobne, irytujące sprawy codziennego życia, uwolniła go od uciążliwych obowiązków, a jemu pozwoliła skupić się na rzeczach naprawdę ważnych. Fakt, że coraz bardziej mu na niej zależało, był dodatkową i nieoczekiwaną nagrodą.

Podejrzewał jednak, że małżeństwa nie można traktować jako kolejne z codziennych, drobnych, irytujących zadań, więc nie mógł troski o ich związek tak po prostu zostawić na głowie Eloise. I choć sama myśl o szczerej rozmowie sprawiała mu niemal fizyczny ból, musiał chwycić byka za rogi.

Był całkiem pewien, że wszystko spartaczy, ale przynajmniej mógłby powiedzieć, że próbował.

Jęknął cicho. Eloise bez wątpienia zacznie pytać go o uczucia. Czy nie było na świecie kobiety, która by rozumiała, że mężczyźni o nich nie rozmawiają? Do diabła, połowa z nich nie miała żadnych uczuć.

A może zdołałby się wymigać tanim kosztem, prosząc Eloise o przebaczenie? Wprawdzie nie wiedział, za co miałby przepraszać, ale jego skrucha na pewno by ją udobruchała, a tylko to się liczyło.

Nie chciał, żeby jego żona była nieszczęśliwa. Nie chciał, by nawet przez chwilę żałowała, że za niego wyszła. Najchętniej cofnąłby się do czasu, kiedy myślał, że jest idealnie: spokojnie w dzień, namiętnie w nocy.

Ruszył w górę zbocza do Romney Hall, powtarzając sobie w myślach, co ma powiedzieć. Krzywił się przy tym, że te słowa brzmią idiotycznie.

Jego wysiłki okazały się daremne, bo kiedy dotarł do domu, kamerdyner poinformował go, że pani nie ma.

— Co to znaczy „nie ma”? — zapytał Phillip.

— Pojechała do swojego brata, sir — wyjaśnił Gunning.

Phillipowi ścisnął się żołądek.

— Którego?

— Chyba tego, który mieszka w pobliżu.

— Chyba? — powtórzył Phillip.

— Na pewno — poprawił się kamerdyner.

— Powiedziała, kiedy zamierza wrócić?

— Nie, sir.

Phillip zaklął pod nosem. Eloise na pewno go nie porzuciła. Nie należała do osób, które uciekają z tonącego statku, póki się nie upewnią, że ostatni pasażer wysiadł bezpiecznie na ląd.

— Nie wzięła torby — dodał kamerdyner.

To ci dopiero! Sługa uznał za stosowne pocieszyć swojego pana, że żona go nie opuściła.

— To wszystko, Gunning — rzucił Phillip przez zęby.

Kamerdyner ukłonił się i odszedł.

Phillip stał w holu przez kilka minut jak wrośnięty, z pięściami zaciśniętymi po bokach. Co, u licha, miał teraz zrobić? Nie zamierzał pędzić za Eloise. Jeśli tak rozpaczliwie chciała uwolnić się od jego towarzystwa, to proszę bardzo.

Poszedł do gabinetu, żeby tam w spokoju dać upust złości, ale zatrzymał się kilka kroków od drzwi i spojrzał na duży zegar dziadka stojący w głębi holu. Minęła trzecia, pora, kiedy bliźnięta jadły podwieczorek. Przed ślubem Eloise zarzuciła mu, że niedostatecznie się nimi interesuje.

Phillip zawahał się, który kierunek wybrać. Mógł pójść na górę i spędzić kilka minut z dziećmi. Wciśnie się na małe krzesełko i zje z nimi herbatniki z mlekiem. Po prawdzie, nie miał nic lepszego do roboty, skoro i tak musiał

czekać na żonę. A kiedy Eloise wróci, przynajmniej nie będzie robić mu wyrzutów, że zaniedbuje Amandę i Olivera.

Zdecydowanie ruszył do schodów. On też dorastał w pokojach na poddaszu, wśród tych samych mebli i zabawek, pod tym samym pęknięciem w suficie nad łóżkami, które wyglądało jak kaczka.

Zmarszczył brwi, wchodząc po ostatnich stopniach. Chyba powinien zobaczyć, czy rysa nadal tam jest, a jeśli tak, zapytać dzieci, co im przypomina. Jego brat George przysięgał, że wyraźnie widzi świnię, ale Phillip nigdy nie rozumiał, jak można wziąć dziób za ryj.

Pokręcił głową. Na Boga, jak można pomylić kaczkę ze świnią? Nawet…

Zatrzymał się nagle. Od pokoju dziecinnego dzieliło go jeszcze dwoje drzwi, ale coś usłyszał. Nie wiedział co, jednak dźwięk mu się nie spodobał. To był…

Wytężył słuch.

Płacz.

W pierwszym odruchu chciał wpaść do pokoju, ale zauważył, że drzwi są uchylone. Podkradł się więc i zajrzał przez szparę.

Od razu zrozumiał, co się dzieje.

Oliver leżał zwinięty w kłębek na podłodze, trzęsąc się od wstrzymywanego płaczu, a Amanda stała pod ścianą, opierając się o nią rękami i szlochając, podczas gdy niania okładała ją po plecach ciężką książką.

Phillip pchnął drzwi z taką siłą, że omal nie wyrwał ich z zawiasów.

— Co pani wyprawia, do diabła? — ryknął.

Pani Edwards odwróciła się zaskoczona, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, Phillip wyrwał jej książkę i cisnął ją o ścianę.

— Sir Phillipie! — wykrzyknęła guwernantka.

— Jak pani śmie bić dzieci? — rzucił Crane głosem drżącym z wściekłości.

— Kazano mi…

— Robiła to pani tak, żeby nikt się nie zorientował. — Phillip był coraz bardziej wzburzony. — Ile razy pani biła dzieci, nie zostawiając śladów?

— Zwracały się do mnie bez szacunku — oświadczyła niania. — Musiały zostać ukarane.

Gdy Phillip zrobił krok do przodu, cofnęła się odruchowo.

— Proszę wynosić się z mojego domu — zażądał.

— Mówił pan, że mam zaprowadzić dyscyplinę w taki sposób, jaki uznam za stosowny — przypomniała pani Edwards.

— I właśnie ten uznała pani za odpowiedni? — wycedził Phillip, z trudem trzymając ręce przy sobie.

Korciło go, żeby chwycić jak najgrubsze tomiszcze i zacząć nim okładać tę babę, tak jak ona wcześniej jego dzieci.

Jednak się powstrzymał. Nie miał pojęcia, jak mu się to udało.

— Biła je pani książką? — ciągnął z furią.

Spojrzał na dzieci. Kuliły się w kącie, zapewne w równym stopniu przerażone jego gniewem, jak i chłodnym okrucieństwem niani. Żałował, że widzą go w takim stanie, bliskiego utraty panowania nad sobą, ale nie mógł się opanować.

— Nie było rózgi — stwierdziła wyniośle pani Edwards.

Phillip poczuł, że robi mu się gorąco, przed oczami zobaczył czerwoną mgłę. W pokoju dziecinnym była kiedyś rózga. Hak po niej nadal znajdował się przy oknie.

Phillip spalił ją w dniu pogrzebu ojca. Stojąc przed kominkiem, patrzył, jak obraca się w popiół. Nie zadowoliło go samo wrzucenie jej do ognia. Musiał widzieć, że znika, całkowicie i na zawsze.

Pomyślał o setkach razy, kiedy czuł ją na swoim grzbiecie, pomyślał o bólu, poniżeniu, o wysiłkach, żeby powstrzymać się od krzyku.

Jego ojciec nie znosił mazgajów. Łzy prowokowały go do dalszej chłosty. Do bicia pasem. Albo szpicrutą. A kiedy nie było nic innego, ręką.

Lecz nigdy książką, nagle uświadomił sobie Phillip. Pewnie ojcu nie przyszło to do głowy.

— Proszę się stąd wynosić — powtórzył ledwo słyszalnym głosem. A kiedy pani Edwards nie zareagowała, huknął: — Wynocha! Natychmiast!

— Sir Phillipie — zaprotestowała, przezornie odsuwając się poza zasięg jego silnych ramion.

— Wynocha!

Sam nie wiedział, co w niego wstąpiło. Wezwał na pomoc całą siłę woli, żeby się pohamować.

— Muszę zabrać rzeczy! — krzyknęła niania.

— Ma pani pół godziny — powiedział Phillip cicho, choć nadal drżał po gwałtownym wybuchu. — Trzydzieści minut. Jeśli do tego czasu nie opuści pani mojego domu, sam panią wyrzucę.

Pani Edwards obejrzała się w progu.

— Psuje pan te dzieci — wysyczała.

— Są moje — rzekł krótko Phillip.

— Pański wybór — odparowała pani Edwards. — I tak nic dobrego z nich nie wyrośnie. To małe potwory, źle wychowane, niesforne…

Naprawdę nie obchodziło jej własne bezpieczeństwo? Phillip z trudem nad sobą panował. Był bliski chwycenia tej kobiety za ramię i wyrzucenia jej za drzwi.

— Proszę wyjść — warknął, mając nadzieję, że po raz ostatni.

Gdy z groźną miną ruszył do drzwi, pani Edwards wreszcie uciekła z pokoju.

Phillip przez chwilę stał bez ruchu, żeby ochłonąć, dojść do siebie. Bał się spojrzeć w twarz Amandzie i Oliverowi. Dręczyło go poczucie winy, że sam zatrudnił tę kobietę, żeby dbała o jego dzieci. I że tak długo unikał spojrzenia prawdzie w oczy.

Nie chciał dostrzec, że bliźnięta cierpią tak samo jak on kiedyś.

W końcu odwrócił się powoli, obawiając się tego, co zobaczy w ich oczach. Ale kiedy podniósł wzrok, dzieci rzuciły się na niego z takim impetem, że omal go nie przewróciły.

— Och, tatusiu! — krzyknęła Amanda.

Nie mówiła tak do niego od lat. Już zapomniał, jak brzmi ten pieszczotliwy zwrot.

Oliver też oplótł go ciasno w pasie chudymi ramionkami. Twarz ukrył w jego koszuli, żeby nie było widać, że płacze.

Ale Phillip wyraźnie czuł łzy przez cienką tkaninę, a każde chlipnięcie syna odzywało się echem w jego brzuchu.

Mocniej przygarnął do siebie dzieci obronnym gestem.

— Cii, już dobrze. Jestem z wami. — Takich rzeczy nigdy nie mówił. Nie wyobrażał sobie, że kiedyś się na to zdobędzie. Nie przypuszczał, że sama jego obecność wystarczy, żeby było dobrze. — Przepraszam — wykrztusił. — Tak mi przykro.

Dzieci nieraz napomykały, że nie lubią niani, ale on ich nie słuchał.

— To nie twoja wina, tato — pocieszyła go Amanda.

Oczywiście, że był winny, ale uznał, że nie ma sensu tego roztrząsać. Nie teraz, kiedy nadszedł czas, żeby zacząć wszystko od nowa.

— Znajdziemy nową nianię — obiecał.

— Taką jak niania Millsby? — spytał Oliver, pociągając nosem.

Phillip pokiwał głową.

— Kogoś takiego.

Syn spojrzał na niego z powagą.

— Czy panna… mama może ci pomóc w wyborze? — zapytał.

— Oczywiście — odparł Phillip, mierzwiąc mu włosy. — Na pewno będzie chciała mieć coś do powiedzenia w tej kwestii. Jak to kobieta.

Dzieci zachichotały.

Phillip pozwolił sobie na uśmiech.

— Widzę, że dobrze ją znacie — zauważył.

— Ona lubi mówić — rzucił Oliver z wahaniem.

— Ale jest bardzo mądra! — wtrąciła Amanda.

— Istotnie — mruknął Phillip.

— Lubię ją — oznajmił chłopiec.

— Ja też — dodała jego siostra.

— Cieszę się, że to słyszę — rzekł Phillip. — Bo wierzę, że Eloise już tu zostanie.

Ja również, dodał w duchu. Przez całe lata unikał dzieci z obawy, że popełni jakiś błąd, że straci panowanie nad sobą. Uważał, że dla Amandy i Olivera jest najlepiej, kiedy on trzyma się od nich na bezpieczną odległość. A jednak się mylił. Bardzo się mylił.

— Kocham was — powiedział głosem ochrypłym ze wzruszenia. — Wiecie o tym, prawda?

Dzieci pokiwały głowami. Oczy miały rozpromienione.

— Zawsze będę was kochał — szepnął Phillip, kucając przed bliźniętami i przyciągając je do siebie. — Zawsze będę was kochał.

17

…mimo wszystko, Daphne, uważam, że nie powinnaś była uciekać.

Z listu Eloise Bridgerton do siostry, księżnej Hastings, w czasie jej krótkiej separacji z mężem, do której doszło zaledwie kilka tygodni po ślubie

Droga do domu Benedicta była wyboista i pełna kolein. Zanim Eloise dotarła do frontowych schodów, jej nastrój zdążył się zmienić ze złego na paskudny. Na domiar złego kamerdyner, który otworzył drzwi, spojrzał na nią jak na wariatkę.

— Graves? — odezwała się w końcu Eloise, kiedy stwierdziła, że sługa zaniemówił.

— Państwo oczekują pani? — spytał wreszcie, nadal zdziwiony.

— Nie — odparła Eloise i zerknęła znacząco w głąb domu. Właśnie zaczęło mżyć, a ona nie była ubrana na deszcz. — Nie sądzę jednak…

Kamerdyner wreszcie się zreflektował i odsunął na bok.

— Chodzi o panicza Charlesa — wyjaśnił. Miał na myśli pięcioipółletniego syna Benedicta i Sophie. — Jest bardzo chory...

Eloise ogarnął lęk.

— Co się stało? Czy on... — Na Boga, jak delikatnie zadać pytanie, czy dziecko umiera?

— Zawołam panią Bridgerton — powiedział Graves zdławionym głosem, po czym odwrócił się szybko i popędził do schodów.

— Poczekaj! — zawołała za nim Eloise. Chciała najpierw go wypytać, ale on już zniknął.

Opadła na krzesło w holu, chora z niepokoju, a na dodatek pełna obrzydzenia do siebie, że mogła być niezadowolona z własnego losu. Jej kłopoty z Phillipem, które, prawdę mówiąc, trudno w ogóle nazwać kłopotami, teraz wydały się jej zupełnie bez znaczenia.

— Eloise!

Po schodach schodził Benedict. Wyglądał marnie, oczy miał zaczerwienione, twarz ziemistą. Eloise wolała go nie pytać, kiedy ostatnio spał. Zresztą odpowiedź była wypisana na jego twarzy. Od paru dni nie zmrużył oka.

— Co tu robisz? — zapytał.

— Przyjechałam z wizytą. O niczym nie wiedziałam. Jak Charles? Widziałam go w zeszłym tygodniu. Nic nie zapowiadało choroby. Co się stało?

Brat przez chwilę zbierał siły.

— Ma wysoką gorączkę. W sobotę obudził się zdrowy, a przed obiadem był już cały rozpalony. — Benedict oparł się o ścianę i zamknął oczy. — Nie mam pojęcia, co robić.

— Co mówi doktor? — zapytała Eloise.

— Nic — odparł brat głuchym głosem. — W każdym razie nic użytecznego.

— Mogę zobaczyć Charlesa?

Benedict kiwnął głową. Oczy nadal miał zamknięte.

— Musisz odpocząć — stwierdziła Eloise.

— Nie mogę.

— Musisz — nalegała siostra. — Nikomu się nie przydasz w tym stanie. Sophie na pewno nie jest w lepszym.

— Godzinę temu zmusiłem ją, żeby poszła się zdrzemnąć — powiedział Benedict. — Wyglądała jak śmierć.

— Ty również — rzuciła Eloise celowo szorstkim tonem.

Czasami właśnie tego potrzebowali ludzie w ciężkich sytuacjach: żeby nimi pokierować. Współczucie mogło jedynie pogorszyć sprawę. Nie chciała być świadkiem załamania Benedicta.

— Idź do łóżka — rozkazała. — Natychmiast. Ja zajmę się Charlesem. Nawet godzina snu dobrze ci zrobi.

Brat nie odpowiedział. Zasnął na stojąco.

Eloise szybko przejęła dowodzenie. Kazała Gravesowi zaprowadzić pana domu do łóżka, a sama udała się do chorego dziecka. Z trudem powstrzymała się od okrzyku, kiedy zobaczyła swojego małego bratanka.

Był drobny i kruchy w wielkim małżeńskim łożu; Benedict i Sophie przenieśli go do swojej sypialni. Miał wypieki na policzkach, oczy szkliste i nieprzytomne, leżał dziwnie nieruchomo albo rzucał się i mamrotał coś o kucykach, domkach na drzewie i cukierkach marcepanowych.

Ciekawe, co ona by bredziła, gdyby dopadła ją gorączka, zastanawiała się, czuwając przy Charlesie.

Wycierała chłopcu czoło, przewracała go na bok, pomogła służącym zmienić pościel. Nawet nie zauważyła, kiedy słońce schowało się za horyzontem. Dziękowała niebiosom, że pod jej opieką stan bratanka się nie pogarsza, bo pokojówki szepnęły jej, że państwo spędzili przy synku dwa dni bez przerwy. Eloise nie chciałaby obudzić ich złymi wieściami.

Przysunęła sobie krzesło do łóżka, czytała Charlesowi jego ulubioną książeczkę z bajkami, opowiadała historie z czasów, kiedy jego ojciec był mały. Wątpiła, czy słyszał choć słowo, ale czuła się lepiej, nie siedząc bezczynnie.

Sophie wstała o ósmej wieczorem. Dopiero kiedy bratowa zapytała o Phillipa, Eloise przyszło do głowy, że powinna wysłać wiadomość, bo mąż zapewne się niepokoi.

W pośpiechu skreśliła kilka słów i wróciła do czuwania przy chorym. Była spokojna, że Phillip ją zrozumie.

O ósmej wieczorem Phillip doszedł do wniosku, że istnieją tylko dwie możliwości, jedna gorsza od drugiej. Jego żona zginęła w wypadku albo go opuściła.

Nie sądził, żeby go rzuciła. Mimo popołudniowej kłótni wydawała się szczęśliwa w małżeństwie. A poza tym nie zabrała ze sobą żadnych walizek, choć, po prawdzie, to niewiele znaczyło. Większość jej rzeczy jeszcze nie przyjechała z Londynu, tak że w Romney Hall nie zostawiłaby dużo.

Tylko męża i dwoje dzieci.

Dobry Boże, a on właśnie niedawno im powiedział: „Wierzę, że Eloise tu zostanie”.

Nie — pomyślał z przekonaniem — Eloise go nie opuściła. Nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Nie należała do tchórzliwych osób, nigdy nie wymknęłaby się bez słowa pożegnania. Jeśli nawet była niezadowolona z paru rzeczy, powiedziałaby mu to wprost, bez ogródek.

A to oznaczało, uświadomił sobie, zarzucając płaszcz i biegnąc do frontowych drzwi, że leży martwa w rowie, gdzieś przy trakcie do Wiltshire. Przez cały wieczór padało, drogi między Romney Hall a Moim Domkiem były marne.

Do diabła, już lepiej, żeby go porzuciła.

Ale kiedy jechał do Benedicta Bridgertona, przemoczony, zły i jednocześnie pełen niepokoju, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Eloise jednak od niego odeszła.

Nie leżała w przydrożnym rowie, obok wywróconego powozu, nie zatrzymała się w żadnej z dwóch gospód przy trakcie.

Nie wybrała również innej drogi, bo do domu jej brata prowadziła tylko

ta jedna. Całą tę farsę można było zatem przypisać wielkiemu nieporozumieniu.

— Tylko zachowaj spokój — przykazał sobie, wchodząc po frontowych stopniach.

Jeszcze nigdy nie był tak bliski jego utraty.

Zapewne istniało logiczne wytłumaczenie nieobecności Eloise. Na przykład takie, że nie chciała wracać do domu w deszczu. Jeszcze nie lało, ale nie była to już zwykła mżawka. Jego żona mogła po prostu nie mieć ochoty na podróż.

Zastukał kołatką w drzwi.

Albo w powozie złamała się oś.

Zapukał mocniej.

Nie, w takiej sytuacji Benedict pożyczyłby siostrze swój pojazd.

Może…

Bezowocnie szukał w myślach innych powodów, dla których Eloise została u brata zamiast wracać do męża. Żaden nie przychodził mu do głowy.

Na usta cisnęły mu się przekleństwa.

Jeszcze raz sięgnął do kołatki, tym razem gotowy ją wyrwać i cisnąć w okno, ale drzwi się otworzyły i stanął w nich Graves, którego Phillip poznał zaledwie dwa tygodnie wcześniej, gdy musiał udowodnić, że zasługuje na rękę panny Bridgerton.

— Moja żona? — warknął Crane.

— Sir Phillip! — wykrztusił kamerdyner.

Phillip nie poruszył się, choć deszcz spływał mu po twarzy. W tym cholernym domu nie było ganku. Czy ktoś słyszał o czymś takim, zwłaszcza w Anglii?

— Moja żona — powtórzył.

— Jest tutaj — uspokoił go Graves. — Proszę wejść.

Phillip wkroczył do holu.

— Chcę zobaczyć się z żoną. Natychmiast.

— Wezmę od pana płaszcz — powiedział kamerdyner.

— Mniejsza o płaszcz — burknął Phillip. — Chcę rozmawiać z żoną.

Graves zamarł z wyciągniętą ręką.

— Nie dostał pan listu od lady Crane? — spytał zdziwiony.

— Nie.

— Właśnie tak sobie pomyślałem, że coś szybko pan przyjechał — zauważył sługa. — Musiał pan po drodze minąć się z posłańcem. Proszę wejść.

— Już wszedłem — warknął Phillip.

Graves westchnął przeciągle, jakby zapomniał, że dobry kamerdyner nigdy nie okazuje emocji.

— Myślę, że spędzi pan tutaj trochę czasu — uprzedził. — Proszę zdjąć płaszcz i wysuszyć się. Będzie panu wygodniej.

Gniew Phillipa nagle przerodził się w strach. Coś się przydarzyło Eloise? Dobry Boże, jeśli…

— Co się stało?

Kamerdyner popatrzył na niego ze smutkiem.

— Proszę pójść ze mną — powiedział cicho.

Phillip ruszył za nim po schodach. Z każdym krokiem jego przerażenie rosło.

Eloise chodziła do kościoła prawie co niedzielę. Tego od niej oczekiwano, ale nigdy nie była szczególnie religijna ani bogobojna. W czasie mszy zwykle błądziła myślami gdzieś daleko. Intonowała hymny razem ze wszystkimi, lecz nie z potrzeby ducha, tylko dlatego, że lubiła

muzykę, a kościół był jedynym miejscem, gdzie osoba o fatalnym słuchu mogła sobie pośpiewać.

Ale teraz, patrząc na bratanka, modliła się żarliwie. Stan Charlesa się nie pogarszał, ale też nie poprawiał.

Lekarz, który przyjechał już drugi raz tego dnia, stwierdził, że „wszystko jest w rękach Boga”.

Eloise nie znosiła tej wytartej formułki. Lekarze zwykle uciekali się do niej, gdy nie potrafili wyleczyć chorego. Teraz jednak przyszło jej do głowy, że ten doktor może mieć rację, dlatego postanowiła zwrócić się do Najwyższego.

Kiedy nie przykładała mokrej szmatki do czoła Charlesa ani nie próbowała wlać mu do ust kilku łyżek bulionu, pozostawało jej tylko się modlić w trakcie bezczynnego czuwania przy jego łóżku.

Siedziała z rękami złożonymi na kolanach i powtarzała szeptem:

— Proszę, proszę.

Nagle, jakby w odpowiedzi na tę osobliwą modlitwę, usłyszała kroki za drzwiami. Chwilę później w drzwiach stanął Phillip, choć wysłała mu wiadomość zaledwie godzinę wcześniej. Był cały mokry, włosy miał przylepione do czoła, ale w jej oczach wyglądał pięknie. Zanim się zorientowała, co robi, wstała z krzesła, przebiegła przez pokój i rzuciła mu się w ramiona.

— Och, Phillipie — wyszlochała, w końcu pozwalając sobie na płacz.

Trzymała się w ryzach przez cały dzień, bo właśnie tego potrzebowali jej brat i bratowa. Ale teraz zjawił się Phillip, taki silny i dobry, więc chyba po raz pierwszy w życiu Eloise pozwoliła sobie na chwilę słabości.

— Myślałem, że to ty — wyszeptał Phillip.

— Co? — zdziwiła się Eloise.

— Kamerdyner… nic mi nie wyjaśnił, kiedy wchodziliśmy po schodach.

Myślałem, że… — Machnął ręką. — Mniejsza o to.

Żona nic nie powiedziała, tylko spojrzała na niego ze smutnym uśmiechem.

— Jak z nim? — zapytał cicho Phillip. Eloise pokręciła głową.

— Niedobrze.

Phillip zmierzył wzrokiem Benedicta i Sophie, którzy wstali, żeby go przywitać. Oni też nie wyglądali dobrze.

— Od jak dawna jest w takim stanie? — spytał Phillip.

— Od dwóch dni — odparł Benedict.

— Od dwóch i pół — poprawiła go Sophie. — Od soboty rano.

— Musisz się wysuszyć, bo zachorujesz jak Charles — stwierdziła Eloise, odciągając męża na bok. — Ja też. — Popatrzyła na swoją suknię, przemoczoną od jego ubrania.

— Nic mi nie jest — zapewnił Phillip, wyminął żonę i zbliżył się do łóżka. Dotknął czoła chłopca, pokręcił głową i przeniósł wzrok na stroskanych rodziców. — Sam nie wiem. Przemarzłem w drodze.

— Ma gorączkę — rzekł ponuro Benedict.

— Jak go leczyliście? — zainteresował się Phillip.

— Znasz się na medycynie? — spytała Sophie z nadzieją w oczach.

— Doktor puścił mu krew — odparł Benedict. — Nie pomogło.

— Podajemy mu bulion — dodała jego żona. — I robimy zimne okłady.

— A rozgrzewamy, kiedy robi mu się zimno — dokończyła Eloise zmartwionym tonem.

— Nic nie pomaga — wyszeptała Sophie. I załamała się. Uklękła przy łóżku i zaczęła szlochać.

— Sophie. — Benedict opadł na kolana obok żony i otoczył ją ramieniem.

Crane’owie odwrócili wzrok, kiedy zobaczyli, że on również płacze.

— Herbata z kory wierzbowej — rzucił nagle Phillip, nachylając się do ucha Eloise. — Dawaliście mu ją do picia?

— Chyba nie. A po co?

— Dowiedziałem się w Cambridge, że kiedyś stosowano ją do uśmierzenia bólu, zanim popularne stało się laudanum. Jeden z moich profesorów twierdził, że pomaga również obniżyć gorączkę.

— Podawałeś ją Marinie? — zapytała Eloise.

Phillip popatrzył na nią zaskoczony, ale zaraz uświadomił sobie, że jego żona nie zna całej prawdy. Nadal sądziła, że Marina umarła na zapalenie płuc.

— Próbowałem, ale nie chciała pić. Poza tym była dużo bardziej chora niż Charles. — Na to wspomnienie poczuł ściskanie w gardle. Przełknął ślinę. — Pod wieloma względami.

Eloise przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a następnie skierowała wzrok na brata i jego żonę. Benedict i Sophie już się uspokoili, ale wciąż klęczeli na podłodze, pogrążeni w smutku.

W takich sytuacjach Eloise nie miała przesadnego szacunku dla cudzej prywatności, więc chwyciła brata za ramię i obróciła go do siebie.

— Macie herbatę z kory wierzbowej? — zapytała. Benedict nie od razu odpowiedział. Przez jakiś czas patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem, aż w końcu mruknął:

— Nie wiem.

— Pani Crabtree może mieć coś takiego — odezwała się Sophie. Mówiła o gospodyni, która opiekowała się Moim Domkiem, zanim Benedict się ożenił i zamieszkał w nim na stałe. — Niestety, pojechała z mężem w odwiedziny do córki. Wrócą za kilka dni.

— Można się dostać do ich domu? — spytał Phillip. — Jeśli znajdę

herbatę, a właściwie korę, namoczymy ją w gorącej wodzie. Napar pomoże zbić gorączkę.

— Kora wierzbowa. — W głosie Sophie dało się słyszeć powątpiewanie. — Chcesz leczyć mojego syna korą?

— Na pewno mu nie zaszkodzi — stwierdził Benedict, ruszając do drzwi. — Chodź, zaprowadzę cię, Crane. Mam klucz do ich domu. — W progu zawahał się jeszcze. — Wiesz, co robisz?

— Mam nadzieję — odparł Phillip zgodnie z prawdą.

Szwagier zmierzył go wzrokiem. Oddać rękę siostry to jedno, a zgodzić się na leczenie syna podejrzanymi wywarami to zupełnie co innego. Phillip doskonale go rozumiał. Sam miał dzieci.

— Dobrze — rzekł w końcu Benedict. — Chodźmy.

Phillipowi pozostało jedynie się modlić, żeby nie zawieść zaufania Benedicta Bridgertona.

Nie wiadomo, co wreszcie pomogło: napar z kory wierzbowej, ciche modlitwy Eloise czy zwykłe szczęście, ale następnego ranka gorączka spadła i choć Charles nadal był osłabiony, jego stan poprawiał się w oczach. Gdy w południe stało się jasne, że Eloise i Phillip już nie są potrzebni, a wręcz przeszkadzają, wsiedli do powozu i ruszyli do domu. Oboje nie mogli doczekać się chwili, kiedy wreszcie położą się i wyśpią.

Pierwsze dziesięć minut jazdy upłynęło im w milczeniu. O dziwo, nawet Eloise była zbyt zmęczona, żeby mówić. Lecz mimo wyczerpania napięcie, w którym spędziła ostatnią noc, nie pozwalało jej zasnąć. Wyglądała więc przez okno na mokry świat. Przestało padać w tym samym czasie, gdy Charlesowi spadła gorączka, co wskazywałoby na boską ingerencję, ale kiedy Eloise rzuciła spojrzenie na męża, który siedział obok niej z zamkniętymi oczami (choć na pewno nie spał), zrozumiała, że jednak podziałała kora wierzbowa.

Oczywiście nie mogła tego udowodnić, ale była przekonana, że życie jej bratanka uratował kubek herbaty.

I pomyśleć, że Phillip akurat tamtego wieczoru przyjechał do domu jej brata. Co za wyjątkowy zbieg okoliczności! Gdyby nie zajrzała do bliźniąt, gdyby nie postanowiła uświadomić mężowi, że nie lubią swojej niani, gdyby się nie pokłócili…

Wyglądało na to, że Charles Bridgerton jest największym szczęściarzem w Anglii.

— Dziękuję — szepnęła mimo woli.

— Za co? — mruknął Phillip sennym głosem, nie otwierając oczu.

— Za Charlesa.

Mąż tym razem uchylił powieki i odwrócił głowę w jej stronę.

— Wątpię, czy to moja zasługa. Nigdy się nie dowiemy, czy kora wierzbowa rzeczywiście pomogła.

— Ja wiem — powiedziała Eloise z przekonaniem.

Przez usta Phillipa przemknął lekki uśmiech.

— Zawsze wszystko wiesz.

Czy właśnie na coś takiego czekała przez całe życie? Nie na szalone uczucie i miłosne uniesienia, ale na poczucie bezpieczeństwa, spokój i pewność, że znalazła właściwego człowieka, że jej miejsce jest przy jego boku?

Położyła dłoń na ręce męża.

— To było straszne — powiedziała, zaskoczona łzami, które napłynęły jej do oczu. — Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam. Wolę sobie nie wyobrażać, jak musieli się czuć Benedict i Sophie.

— Ja również — rzekł cicho Phillip.

— Gdyby to było jedno z naszych dzieci… — W tym momencie Eloise

uświadomiła sobie, że po raz pierwszy powiedziała w ten sposób o Amandzie i Oliverze.

Phillip milczał przez dłuższą chwilę. Kiedy się odezwał, nie patrzył na nią, tylko za okno.

— Za każdym razem, gdy spoglądałem na Charlesa, dziękowałem w myślach Bogu, że to nie Amanda albo Oliver — wyznał podejrzanie zdławionym głosem. Kiedy odwrócił głowę w stronę żony, na jego twarzy malowało się poczucie winy. — To nie powinno się przydarzyć żadnemu dziecku.

Eloise ścisnęła jego dłoń.

— Nie sądzę, żeby było coś złego w takich myślach — pocieszyła go. — Nie jesteś świętym, tylko ojcem. Bardzo dobrym ojcem.

Spojrzał na nią zmieszany i potrząsnął głową.

— Nie jestem dobrym ojcem — oświadczył z powagą. — Ale mam nadzieję, że nim będę.

Eloise przekrzywiła głowę i zmierzyła go wzrokiem.

— Phillipie?

— Miałaś rację w sprawie niani — przyznał i zacisnął usta. Po chwili dodał: — Długo nie chciałem spojrzeć prawdzie w oczy, ale ona rzeczywiście je biła.

— Co takiego?

— Książką — ciągnął Phillip beznamiętnym tonem, jakby raptem wyzuty z wszelkich emocji. — Wszedłem do pokoju i zobaczyłem, że pani Edwards okłada Amandę książką. Z Oliverem już wcześniej się rozprawiła.

— Och, nie — wykrztusiła Eloise ze łzami smutku i gniewu w oczach. — Nie miałam pojęcia. Oczywiście nie lubiłam jej i wiedziałam, że czasami bije dzieci linijką po rękach, ale wszyscy przez to przechodziliśmy. —

Zgarbiła się, przytłoczona wyrzutami sumienia. — Powinnam była się domyślić, coś zauważyć.

Phillip prychnął.

— Mieszkasz w Romney Hall zaledwie od dwóch tygodni, a ja widywałem tę przeklętą jędzę przez parę miesięcy i też nic nie zauważyłem, więc niepotrzebnie się oskarżasz.

Eloise wolała milczeć, żeby jeszcze bardziej nie przygnębić męża.

— Przypuszczam, że ją zwolniłeś — powiedziała w końcu. Phillip skinął głową.

— Obiecałem dzieciom, że pomożesz mi znaleźć następczynię.

— Oczywiście — zapewniła szybko Eloise.

— A ja… — Mąż odchrząknął i znowu przeniósł wzrok za okno. — Ja…

— O co chodzi, Phillipie?

Nie patrzył na nią, kiedy zaczął mówić:

— Chcę być lepszym ojcem. Za długo odpychałem od siebie dzieci. Bałem się stać taki jak mój ojciec…

— Phillipie — Eloise dotknęła jego ręki — nie jesteś taki jak on. Nigdy nie potrafiłbyś.

— Wiem, lecz myślałem, że mógłbym być taki sam. Kiedyś poszedłem do stajni i chwyciłem bat. — Ukrył twarz w dłoniach. — Byłem wściekły. Cholernie wściekły.

— Jednak go nie użyłeś — wyszeptała Eloise z przekonaniem.

Potrząsnął głową.

— Ale chciałem.

— Nie zrobiłeś tego — powtórzyła z mocą Eloise.

Nie wiedziała, czy ją usłyszał, pogrążony we własnych wspomnieniach.

— Byłem taki wściekły. — Przeszył ją wzrokiem. — Rozumiesz, co to znaczy przerazić się własnym gniewem?

Żona bez słowa potrząsnęła głową.

— Mogłem komuś zrobić krzywdę — dodał Phillip.

— Ja też. — Widząc jego zdziwione spojrzenie, powiedziała: — Na pewno nie tobie, ale dziecku tak.

— Nigdy byś tego nie zrobiła — stwierdził Phillip, odwracając głowę.

— Ty też.

Mąż się nie odezwał.

— Mówisz, że byłeś zły, ale na kogo? — zapytała cicho Eloise.

Popatrzył na nią tak, jakby nie zrozumiał.

— Dzieci przykleiły włosy guwernantki do poduszki — wyjaśnił.

— Wiem. — Eloise z lekceważeniem machnęła ręką. — Na twoim miejscu też nieraz miałabym ochotę udusić Amandę i Olivera. Ale nie o to pytałam. — Czekała, aż Phillip coś powie, lecz on milczał, więc mówiła dalej: — Byłeś zły na dzieci czy na siebie, bo nie wiedziałeś, jak przemówić im do rozumu?

Nie zdobył się na odpowiedź, ale oboje ją znali. Eloise wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

— Nie jesteś taki jak twój ojciec, Phillipie — zapewniła go po raz kolejny. — Nie jesteś i nigdy nie będziesz.

— Teraz to wiem, ale nie masz pojęcia, jak bardzo chciałem rozerwać tę cholerną babę na strzępy.

— Wyobrażam sobie — powiedziała Eloise.

Phillip poczuł, że jego wargi rozciągają się w lekkim uśmiechu. Ton żony rozbawił go i jednocześnie dodał mu otuchy. Jakoś dopatrzyli się w tej niewesołej sytuacji humorystycznej strony.

— Na nic innego sobie nie zasłużyła — dodała Eloise, wzruszając ramionami. Potem zmierzyła go wzrokiem. — Ale nie tknąłeś jej, prawda?

Phillip potrząsnął głową.

— Nie. A skoro wtedy udało mi się nad sobą zapanować, chyba nie stracę panowania przy dzieciach.

— Oczywiście, że nie — z przekonaniem rzekła Eloise. Poklepała męża po ręce i przeniosła wzrok za okno, całkiem spokojna.

Co za wiara — pomyślał Phillip. Wiara w jego dobroć, w szlachetność, podczas gdy jego przez lata dręczyły wątpliwości.

I wtedy stwierdził, że musi być do końca szczery. Zanim zorientował się, co robi, wyrzucił z siebie:

— Myślałem, że mnie zostawiłaś.

— Wczoraj? — Odwróciła się do niego, wyraźnie wstrząśnięta. — Jak mogłeś tak pomyśleć?

Phillip wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Może dlatego, że pojechałaś do brata i nie wróciłaś.

— No to teraz już wiesz, dlaczego zostałam — powiedziała. — Zresztą nigdy bym ciebie nie opuściła. Powinieneś to wiedzieć.

Mąż uniósł brew.

— Naprawdę?

— Oczywiście. — Eloise wyglądała na urażoną. — Składałam przysięgę w kościele, a zapewniam cię, że nie traktuję lekko takich rzeczy. Poza tym zobowiązałam się przed Amandą i Oliverem, że będę im matką. Nigdy bym ich nie zawiodła.

Phillip zmierzył ją wzrokiem, a potem stwierdził:

— Nie zrobiłabyś tego. Jestem głupi, że o tym nie pomyślałem.

Eloise odchyliła się na oparcie siedzenia i splotła ramiona na piersi.

— A powinieneś był. Przecież mnie znasz. — Kiedy milczał, dodała: — Biedne dzieci. Już raz straciły matkę. Na pewno nie ucieknę, żeby ponownie coś takiego przeżyły. — Popatrzyła na męża z urazą. — Nie mogę uwierzyć, że w ogóle tak o mnie pomyślałeś.

Phillip też się sobie dziwił. Znał Eloise… Boże, czy to możliwe, że zaledwie od dwóch tygodni? Wydawało mu się, że całe życie. Ponieważ czuł, że zna ją dobrze. Oczywiście miała swoje sekrety, jak wszyscy, i był pewien, że nigdy do końca jej nie zrozumie, bo nie wyobrażał sobie, żeby był w stanie zrozumieć kobietę.

Ale znał ją. Przynajmniej na tyle, by się nie martwić, że go zostawiła.

Musiał powodować nim strach. Chyba wolał myśleć, że go porzuciła, niż wyobrażać sobie ją martwą w przydrożnym rowie. W tym pierwszym wypadku mógł wpaść do domu Benedicta i zaciągnąć ją do domu.

Gdyby zginęła…

Nie był przygotowany na ból, który poczuł w sercu na samą tę myśl.

Kiedy zaczęła znaczyć dla niego tak wiele?

Chciał, żeby była szczęśliwa. Nie tylko dlatego, że, jak sobie powtarzał, dzięki zadowolonej Eloise jego życie będzie się toczyć gładko. Zależało mu na tym, bo gdyby cierpiała, on cierpiałby jeszcze bardziej.

Oto prawdziwa ironia losu. Długo sobie wmawiał, że ożenił się z nią wyłącznie ze względu na dzieci, ale teraz, kiedy oświadczyła, że właśnie z ich powodu nigdy go nie zostawi, jej przywiązanie do bliźniąt okazało się dla niego zbyt silne…

Był zazdrosny.

Zazdrosny o własne dzieci. Chciał, żeby go zapewniła, że rola żony jest dla niej równie ważna jak rola matki.

Żeby go pragnęła. Nie tylko dlatego, że przysięgała mu w kościele, ale dlatego, że bez niego nie potrafiłaby żyć. Może nawet dlatego, że go kochała.

Dobry Boże, kiedy to się stało? Kiedy aż tak wiele zaczął oczekiwać od małżeństwa? Ożenił się z Eloise, żeby matkowała jego dzieciom. Oboje o tym wiedzieli.

No, i była jeszcze namiętność. Do licha, nie miał kobiety od ośmiu lat. Co w tym dziwnego, że dotyk jej skóry, ciche jęki i okrzyki rozkoszy przyprawiały go o zawrót głowy? Że ogarniał go płomień za każdym razem, kiedy brał ją w ramiona?

Dostał wszystko, na czym mu zależało. W dzień Eloise ułatwiała mu życie, nocą ogrzewała łoże. Spełniła wszystkie jego pragnienia. Nie zauważył jednak, że dokonała czegoś więcej.

Trafiła do jego serca. Zmieniła go.

Kochał Eloise. Nie szukał miłości, nawet o niej nie myślał, ale ona go dopadła i okazała się najcenniejszą rzeczą na świecie.

To była pierwsza strona nowego rozdziału jego życia. I ogromne wyzwanie. Bo nie chciał zawieść. Nie teraz, kiedy wreszcie znalazł wszystko, czego potrzebował. Eloise. Dzieci. Siebie.

Minęły lata, odkąd czuł się dobrze we własnej skórze, ufał własnym instynktom, patrzył w lustro, nie unikając swojego wzroku.

Wyjrzał przez okno. Powóz dojeżdżał do Romney Hall, zwalniał. Wszystko było szare: niebo, kamienne ściany domu, okna, w których odbijały się chmury. Nawet trawa wydawała się mniej zielona.

Ten widok doskonale pasował do jego kontemplacyjnego nastroju.

Pojawił się lokaj, żeby pomóc wysiąść lady Crane. Gdy Phillip wyskoczył z powozu, Eloise odwróciła się do niego i powiedziała:

— Jestem wykończona. Ty też nie wyglądasz najlepiej. Zrobimy sobie drzemkę?

Phillip już miał się zgodzić, bo też był zmęczony, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i odparł:

— Idź beze mnie.

Eloise chciała coś powiedzieć, ale uciszył ją, lekko dotykając jej ramienia.

— Zaraz przyjdę — obiecał. — Ale najpierw uściskam dzieci.

18

…niedostatecznie często powtarzam Ci, Droga Mamo, jak się cieszę, że jestem Twoim dzieckiem. Niewielu ludzi dostaje od rodziców takie zrozumienie i wsparcie. Jeszcze rzadziej zdarza się, żeby matka uważała córkę za przyjaciółkę. Kocham Cię, Droga Mamo.

Z listu Eloise Bridgerton do matki po odrzuceniu szóstej propozycji małżeństwa

Kiedy Eloise obudziła się z drzemki, ze zdziwieniem stwierdziła, że pościel po drugiej stronie łóżka jest nietknięta. Phillip był równie zmęczony jak ona, może nawet bardziej, bo poprzedniej nocy przejechał całą drogę do domu Benedicta w wietrze i deszczu.

Doprowadziwszy się do porządku, poszła go odszukać. Niestety, nigdzie nie mogła go znaleźć. Mówiła sobie, że nie ma powodu się martwić, bo Phillip na pewno potrzebował trochę czasu, żeby pomyśleć.

To, że ona nie przepadała za samotnością, nie oznaczało, że inni są tacy sami.

Zaśmiała się do siebie. Tę lekcję usiłowała przyswoić przez całe życie. Bez powodzenia.

Teraz nakazała sobie zaprzestać poszukiwań. Była mężatką i nareszcie zrozumiała, co w dniu ślubu starała się jej przekazać matka. W małżeństwie chodziło o kompromis, a ona i Phillip bardzo się różnili. Mogli być sobie przeznaczeni, ale to nie oznaczało, że są identyczni. I jeśli chciała, żeby mąż dla niej zmienił niektóre swoje przyzwyczajenia, sama powinna pójść na ustępstwa.

Nie widziała go przez resztę dnia: ani przy popołudniowej herbacie, ani wtedy, gdy mówiła bliźniętom dobranoc, ani przy kolacji, którą musiała zjeść sama, choć czuła się bardzo osamotniona przy wielkim mahoniowym stole. Jadła w milczeniu, świadoma obecności lokajów, którzy uśmiechali się do niej współczująco.

Eloise z grzeczności odwzajemniała uśmiechy, ale w duchu wzdychała z rezygnacją. Smutne było to, że służący, zwykle obojętni na cudze troski, litują się nad nią.

Po prawdzie, to zaledwie tydzień po ślubie siedziała sama przy kolacji. Kto by jej nie żałował?

Poza tym służba wiedziała jedynie tyle, że sir Phillip wypadł z domu jak burza, żeby pojechać za żoną, która po strasznej awanturze prawdopodobnie uciekła do domu swojego brata.

Nic dziwnego, pomyślała Eloise z westchnieniem, że Phillip myślał, że go opuściła.

Jadła niewiele. Nie chciała przedłużać posiłku bardziej niż to konieczne. Po dwóch kęsach obowiązkowego puddingu wstała od stołu. Zamierzała iść do łóżka, gdzie zapewne czekał ją samotny wieczór i noc.

Ale kiedy wyszła do holu, stwierdziła, że jest za wcześnie, by udać się na spoczynek. Zaczęła więc bez celu chodzić po domu. Dobrze, że wzięła szal, bo noc była chłodna jak na późny maj. Dużo czasu spędziła w różnych wiejskich siedzibach, w których kominki paliły się przez całą noc, dając światło i ciepło, ale w Romney Hall, choć przytulnym i wygodnym, ogień utrzymywano tylko tam, gdzie to konieczne, a większość pokoi zamykano na noc.

I, do licha, było zimno.

Eloise szczelniej otuliła się szalem, a drogę oświetlał jej tylko słaby blask

księżyca, co nawet jej się podobało. Ale kiedy zbliżyła się do galerii portretów, dostrzegła światło lampy.

Ktoś tam był. Zanim zrobiła następny krok, wiedziała, że to Phillip.

Podeszła cicho i zajrzała do środka. Widok ścisnął jej serce.

Jej mąż stał zupełnie nieruchomo przed portretem Mariny. Wpatrywał się w zmarłą żonę, a na jego twarzy malował się taki smutek, że Eloise gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

Czyżby Phillip ją okłamał, kiedy mówił, że nigdy nie kochał Mariny? Kiedy zapewniał, że nie budziła w nim pożądania?

Czy to miało znaczenie? Marina nie żyła. Nie była dla niej prawdziwą rywalką. Przecież Phillip nie darzył miłością Eloise, ona zresztą też…

A może jednak go kocham, pomyślała w jednym z tych nagłych olśnień, które człowieka pozbawiają tchu.

Nie wiadomo, jak i kiedy, ale szacunek i ciepłe uczucia, które do niego żywiła, przerodziły się w coś głębszego.

Och, jakże pragnęła, żeby on czuł do niej to samo.

Potrzebował jej, tego była pewna. Może nawet bardziej niż ona jego. Lubiła być niezastąpiona, ale teraz stwierdziła, że już to jej nie wystarcza.

Uwielbiała jego uśmiech, trochę krzywy, chłopięcy, lekko zdziwiony, jakby Phillip nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

Uwielbiała sposób, w jaki na nią patrzył. Choć całkiem przeciętna, w jego oczach była najpiękniejszą kobietą na świecie.

Podobało się jej, że słuchał tego, co miała do powiedzenia, ale nie bał się wyrażać swojego zdania. Uwielbiała nawet jego docinki, że za dużo mówi, bo prawie zawsze osładzał je uśmiechem, no i oczywiście miał rację.

Uwielbiała, że mimo tych uwag nigdy nie kazał jej zamilknąć.

Uwielbiała to, że kocha swoje dzieci.

Uwielbiała jego honor, uczciwość, dyskretne poczucie humoru.

I to, że do siebie pasowali. Było jej dobrze.

I w końcu uświadomiła sobie, że tu jest jej miejsce.

Lecz teraz on stał przed portretem zmarłej żony i Bóg wie, od jak dawna wpatrywał się w ten obraz. A jeśli nadal ją kochał…

Raptem Eloise ogarnęły wyrzuty sumienia. Jak mogła czuć coś innego niż smutek. Marina umarła tak młodo, niespodziewanie. Straciła rzecz najważniejszą dla każdej matki, prawo dane od Boga: możliwość obserwowania, jak rosną jej dzieci.

Zazdrość o zmarłą kobietę była bezsensowna.

A jednak…

Okazało się, że Eloise nie jest dobrym człowiekiem, bo nie mogła tego znieść. Nie mogła bez kłucia w sercu obserwować, jak Phillip wpatruje się w portret pierwszej żony. Właśnie zrozumiała, że go kocha i będzie kochać do końca swoich dni. Nie chciała, żeby ktoś między nimi stał. Nie, pomyślała z przekonaniem. On nic nie czuje do Mariny. Może nigdy nie darzył jej uczuciem. Poprzedniego ranka wyznał, że nie był z żadną kobietą od ośmiu lat.

Osiem lat?

W końcu do niej dotarło.

Dobry Boże!

Ostatnie dni były tak intensywne, że nawet nie miała kiedy zastanowić się nad tym, co powiedział.

Osiem lat.

Nigdy by się tego nie spodziewała. Nie po mężczyźnie takim jak Phillip, namiętnym, wręcz nienasyconym.

Marina nie żyła od piętnastu miesięcy. Jeśli Phillip obywał się bez kobiety przez osiem lat, to oznaczało, że nie dzielili ze sobą łoża od poczęcia bliźniąt.

Nie…

Eloise szybko dokonała w myślach kilku obliczeń. Nie, przestali ze sobą obcować już po narodzinach dzieci. Niedługo po nich.

Oczywiście Phillip mógł pomylić daty albo przesadzić, ale Eloise nie sądziła, żeby tak było. Raczej dokładnie wiedział, kiedy on i Marina ostatni raz spali ze sobą. I obawiała się, że to przeżycie nie pozostawiło po sobie miłych wspomnień. Jednak Phillip nie zdradził żony. Pozostał wierny kobiecie, która go odtrąciła. Eloise nie była tym zaskoczona, zważywszy na jego wrodzoną godność i honor, ale nie myślałaby o nim źle, gdyby poszukał pocieszenia gdzie indziej.

Lecz tego nie zrobił…

I za to pokochała go jeszcze bardziej.

Ale jeśli jego małżeństwo z Mariną źle się układało, dlaczego przyszedł tu dzisiaj? Dlaczego stał przed jej portretem, jakby nie mógł ruszyć się z miejsca? I patrzył na nią, jakby o coś błagał.

Błagał o łaskę nieżyjącą kobietę.

Eloise nie mogła dłużej tego znieść. Zrobiła krok do przodu i zakaszlała cicho.

Phillip zaskoczył ją, odwracając się natychmiast. Eloise przypuszczała, że kompletnie zagubiony we własnym świecie nie od razu ją usłyszy. Nie odezwał się, nie wymówił nawet jej imienia, ale potem…

Wyciągnął rękę.

Eloise podeszła i ją ujęła. Nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby zrobić, i, o dziwo, co powiedzieć. Po prostu stanęła obok niego i spojrzała na portret Mariny.

— Kochałeś ją? — spytała, żeby jeszcze raz się upewnić.

— Nie — rzekł krótko Phillip.

Eloise zrozumiała, że w głębi duszy nadal w to nie wierzyła, bo ulga,

którą poczuła po tym stanowczym zaprzeczeniu, zaskoczyła ją swoją siłą.

— Tęsknisz za nią?

— Nie — powiedział ciszej, ale z równym przekonaniem.

— Nienawidzisz jej? — wyszeptała Eloise.

Mąż pokręcił głową i odparł z wielkim smutkiem:

— Nie.

Eloise nie wiedziała, o co jeszcze zapytać, więc milczała, czekając, aż Phillip pierwszy się odezwie. I po długiej chwili to zrobił.

— Była smutna. Zawsze była smutna.

Eloise zerknęła na niego z boku, ale nie odwzajemnił jej spojrzenia. Oczy miał utkwione w portrecie Mariny, jakby musiał na nią patrzeć, kiedy o niej mówił. Jakby był jej to winien.

— Zawsze była przygnębiona — ciągnął — zawsze cicha, milcząca, ale po narodzinach bliźniąt jeszcze się pogorszyło. Nie wiem dlaczego. Akuszerka stwierdziła, że młode matki często płaczą, więc nie powinienem się martwić, bo wszystko minie po kilku tygodniach.

— Ale nie minęło — domyśliła się Eloise.

Phillip potrząsnął głową i odgarnął ciemny kosmyk, który spadł mu na czoło.

— Wręcz przeciwnie. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale było niemal tak, jakby… — Wzruszył bezradnie ramionami. — Było niemal tak, jakby zniknęła. Rzadko opuszczała łóżko. Nigdy nie widziałem jej uśmiechu. Dużo płakała. Bardzo dużo.

Mówił cicho, powoli, z namysłem, jakby z trudem szukał w pamięci odpowiednich słów. Eloise nie odzywała się, nie przerywała mężowi, nie próbowała mu pomóc.

W końcu Phillip oderwał wzrok od portretu i spojrzał Eloise prosto w oczy.

— Starałem się uczynić ją szczęśliwą. Robiłem wszystko, co w mojej mocy. Wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. Ale to nie wystarczyło.

Eloise chciała jakoś go pocieszyć, dodać mu otuchy, ale nie dopuścił jej do głosu.

— Rozumiesz? — zapytał głośniej naglącym tonem. — To nie wystarczyło.

— To nie była twoja wina — powiedziała cicho, bo choć nie znała Mariny jako dorosłej kobiety, całkiem dobrze zdążyła poznać swojego męża.

— W końcu się poddałem — wyznał Phillip bezbarwnym głosem. — Zrezygnowałem z wszelkich prób, żeby jej pomóc. Miałem dość walenia głową w mur. Starałem się jedynie chronić dzieci, trzymać je z dala od niej, kiedy była w naprawdę złym nastroju. Bo dzieci bardzo ją kochały. — Popatrzył na Eloise błagalnie, szukając zrozumienia albo może pociechy. — Była ich matką.

— Wiem — szepnęła Eloise.

— Była ich matką i… nie mogła…

— Ale byłeś jeszcze ty — przypomniała żona.

Phillip roześmiał się ochryple.

— Tak, i co z tego? Mieć jednego złego rodzica to pół biedy, ale dwoje? Nie życzyłbym tego nikomu, lecz moje dzieci właśnie taki los spotkał.

— Nie jesteś złym ojcem. — Eloise nic nie mogła poradzić na to, że do jej głosu wkradła się karcąca nuta.

Phillip skwitował jej słowa wzruszeniem ramion i odwrócił się do portretu.

— Wiesz, jak to bolało? — wyszeptał. — Masz pojęcie?

Eloise potrząsnęła głową, choć na nią nie patrzył.

— Tak się starałem, tak bardzo, lecz nigdy mi nie wychodziło. Do

diabła… — Zaśmiał się krótko, z goryczą, z nienawiścią do samego siebie. — A ja nawet jej nie lubiłem.

— Nie lubiłeś Mariny? — zdziwiła się Eloise.

Wargi Phillipa wykrzywiły się w ironicznym grymasie.

— Czy można lubić kogoś, kogo się nie zna? — Przeniósł na nią spojrzenie. — Nie znałem własnej żony. Byłem jej mężem przez osiem lat, a zupełnie jej nie znałem.

— Może ona nie pozwoliła bliżej się poznać — zasugerowała Eloise.

— Albo ja powinienem był bardziej się starać.

— Może nic więcej nie mogłeś zrobić — rzekła Eloise z całym przekonaniem, na jakie się zdobyła. — Niektórzy ludzie rodzą się melancholikami. Nie wiadomo dlaczego, ale tacy już są.

Phillip popatrzył na nią z wyraźnym powątpiewaniem w oczach, więc Eloise dodała:

— Nie zapominaj, że ja też ją znałam. W dzieciństwie, dawno temu, zanim ty dowiedziałeś się o jej istnieniu.

Mąż wpił w nią wzrok, wyraz jego twarzy zmienił się nagle.

— Nigdy nie słyszałam jej śmiechu — ciągnęła Eloise. — Ani razu. Kiedy cię poznałam, próbowałam ją sobie lepiej przypomnieć, zrozumieć, dlaczego wtedy uważałam ją za dziwną i obcą. Teraz myślę, że chodziło właśnie o jej nienaturalną powagę. Ona nigdy się nie śmiała. Kto widział dziecko, które nigdy nie jest wesołe?

Phillip milczał przez dłuższą chwilę, a potem rzekł:

— Ja też nie słyszałem, żeby się śmiała. Czasami na jej twarzy pojawiał się uśmiech, kiedy dzieci do niej przychodziły, ale nigdy się nie śmiała.

Eloise pokiwała głową.

— Ja nie jestem Mariną, Phillipie.

— Wiem. Uwierz mi, że doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Właśnie

dlatego się z tobą ożeniłem.

Eloise niezupełnie takie słowa chciała usłyszeć, ale przełknęła rozczarowanie i pozwoliła mężowi mówić dalej.

Zmarszczki na jego czole pogłębiły się. Phillip potarł je mocno. Wyglądał na bardzo zmęczonego, wręcz przytłoczonego brzemieniem odpowiedzialności.

— Po prostu chciałem mieć żonę, która nie będzie wiecznie smutna — wyznał. — Kogoś, kto zajmie się dziećmi, kto…

Urwał, odwrócił się do niej tyłem.

— Kto co? — ponagliła go Eloise, wyczuwając, że to ważne.

Milczał przez całą wieczność, a kiedy Eloise już pogodziła się z tym, że nie pozna odpowiedzi, w końcu wyrzucił z siebie:

— Umarła na influencę. Wiesz o tym, prawda?

— Tak. — Nie zobaczyłby jej skinienia głową, bo stał plecami do niej.

— Umarła na influencę — powtórzył Phillip. — Tak wszystkim mówiliśmy…

Eloise nagle zrobiło się słabo, bo domyśliła się, co zaraz usłyszy.

— To była prawda — rzekł Phillip z goryczą, zaskakując ją swoimi słowami, bo była pewna, że mąż przyzna się do kłamstwa. — Prawda, ale nie cała. Marina rzeczywiście umarła na influencę, ale nikomu nie powiedzieliśmy, dlaczego zachorowała.

— Jezioro — wyszeptała Eloise mimo woli.

Phillip z posępną miną skinął głową.

— Nie wpadła do wody przypadkiem.

Eloise zakryła ręką usta. Nic dziwnego, że Phillip tak się zdenerwował, kiedy zabrała dzieci na kąpiel. Oczywiście nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, że…

— Zjawiłem się w samą porę — ciągnął Phillip. — W samą porę, żeby

uratować ją przed utonięciem. Ale nie zdążyłem uratować jej przed śmiertelną chorobą. Umarła trzy dni później. — Zaśmiał się z goryczą. — Nie pomogła jej nawet moja słynna herbatka z kory wierzbowej.

— Tak mi przykro — szepnęła Eloise. I mówiła szczerze, choć śmierć Mariny w pewnym sensie pozwoliła jej znaleźć szczęście.

— Nic nie rozumiesz — stwierdził Phillip, nie patrząc na nią. — Nie możesz rozumieć.

— Nigdy nie znałam kogoś, kto odebrał sobie życie — powiedziała ostrożnie Eloise, niepewna, co się mówi w takiej sytuacji.

— Nie to miałem na myśli — rzekł Phillip. — Nie wiesz, jak to jest czuć się schwytanym w pułapkę, bezradnym. Tak się starać i… — spojrzał na nią płonącym wzrokiem — nie móc się z niej wyrwać. Próbowałem. Codziennie. Próbowałem ze względu na siebie, na Marinę, a przede wszystkim ze względu na Olivera i Amandę. Robiłem wszystko, korzystałem z rad innych, ale nic nie pomagało. Starałem się, ona i tak płakała, starałem się jeszcze bardziej, a ona jeszcze głębiej zagrzebywała się w pościeli, naciągała kołdrę na głowę. Żyła w ciemności, za zasuniętymi storami, bez światła. W końcu wybrała słoneczny dzień i poszła się utopić.

Oczy Eloise się rozszerzyły.

— Słoneczny dzień — powtórzył Phillip. — Po całym miesiącu zachmurzonego nieba raptem wyszło słońce i akurat wtedy Marina postanowiła się zabić. — Roześmiał się niewesoło. — Po tym, co mi zrobiła, musiała jeszcze zepsuć wszystkie pogodne dni.

— Phillipie. — Eloise położyła dłoń na jego ramieniu.

Lecz on się odsunął.

— I jakby tego było mało, nie potrafiła nawet ze sobą skończyć. Nie, nie, to moja wina. Utonęłaby, gdybym się nie zjawił i nie zmusił jej, żeby nas wszystkich dręczyła jeszcze przez trzy dni, trzymała w napięciu, czy

przeżyje. — Phillip pokręcił głową. — Ale oczywiście umarła. Nie wiem, dlaczego łudziliśmy się nadzieją. Ona wcale nie walczyła, nie próbowała pokonać choroby. Po prostu leżała i słabła w oczach, a ja na próżno czekałam, że się uśmiechnie, skoro udała się jej jedyna rzecz, na której jej zależało.

— O Boże — wyszeptała Eloise, przerażona tym obrazem. — I uśmiechnęła się?

Phillip potrząsnął głową.

— Nie. Nawet na to nie miała siły. Po prostu umarła ze swoim zwykłym wyrazem twarzy. Pustym.

— Tak mi przykro — powiedziała Eloise. — Nikt nie powinien przechodzić przez coś takiego.

Phillip patrzył na nią przez dłuższą chwilę, jakby czegoś szukał w jej oczach. Potem nagle odwrócił się, podszedł do okna i wyjrzał w atramentową noc.

— Tak bardzo się starałem — rzekł głosem pełnym rezygnacji — a jednocześnie żałowałem, że nie ożeniłem się z kimś innym. — Oparł czoło o chłodną szybę. — Z kimkolwiek.

Długo milczał. Za długo, według Eloise, więc zbliżyła się o krok, szepcząc jego imię. Chciała jedynie usłyszeć jego głos, upewnić się, że wszystko jest w porządku.

— Wczoraj wspomniałaś, że mamy kłopot… — raptem odezwał się Phillip.

— Nie — przerwała mu szybko Eloise. — Nie chodziło mi…

— Powiedziałaś, że mamy kłopot — powtórzył mąż cicho, lecz z taką mocą, że nie śmiała po raz drugi zaprotestować. — Ale póki nie przeżyjesz tego, co ja przeżyłem, nie utkniesz w beznadziejnym małżeństwie, nie

będziesz spać samotnie przez całe lata, pragnąc jedynie dotyku drugiej ludzkiej istoty…

Odwrócił się od okna i podszedł do niej. Jego oczy płonęły.

— Póki tego wszystkiego nie doświadczysz, nie skarż się na nasze życie. Bo dla mnie… dla mnie… — Głos mu się załamał. — To jest raj. Nie mogę znieść, że uważasz inaczej.

— Och, Phillipie — wyszeptała Eloise, a potem zrobiła jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do męża z całej siły. — Tak mi przykro. — Jej łzy zmoczyły jego koszulę. — Bardzo przykro.

— Nie chcę i ciebie zawieść — wyrzucił z siebie Phillip, wtulając twarz w jej szyję. — Nie mogę… nie mógłbym…

— Tak się nie stanie — zapewniła go Eloise.

— Musisz być szczęśliwa — powiedział tak, jakby słowa z trudem wydostawały się z jego gardła. — Musisz. Proszę…

— Jestem szczęśliwa — zapewniła go Eloise. — Naprawdę.

Mąż odsunął się i ujął w dłonie jej twarz, zmuszając ją, żeby spojrzała mu głęboko w oczy. Zdawał się czegoś w nich szukać: potwierdzenia, może wybaczenia albo zwykłej obietnicy.

— Jestem szczęśliwa — powtórzyła Eloise, nakrywając jego dłonie swoimi. — Bardziej niż kiedykolwiek marzyłam. I dumna, że jestem twoją żoną.

Twarz Phillipa stężała, dolna warga zaczęła drżeć. Eloise wstrzymała oddech. Jeszcze nigdy nie widziała płaczącego mężczyzny, ale kiedy po jego policzku wolno stoczyła się łza i osiadła w kąciku ust, wyciągnęła rękę i starła ją delikatnie.

— Kocham cię — powiedział Phillip zdławionym głosem. — Nieważne, czy czujesz do mnie to samo. Kocham cię i… i…

— Och, Phillipie — wyszeptała Eloise, dotykając jego mokrej twarzy. — Ja też cię kocham.

Jego usta się poruszyły, jakby próbował coś dodać, ale w końcu zrezygnował ze słów i przyciągnął ją do siebie z wielką siłą. Wtulił usta w szyję żony, powtarzając cicho jej imię. Potem jego szepty zmieniły się w pocałunki.

Eloise nie wiedziała, jak długo tak stali objęci, jakby świat miał się skończyć tej nocy. Później mąż porwał ją na ręce i ruszył przez ciemną galerię. Wszedł z nią po schodach i zanim się zorientowała, razem leżeli w małżeńskim łożu.

— Pragnę cię — wyznał Phillip ochryple, drżącymi rękami ściągając z niej suknię. — Potrzebuję cię jak powietrza. Jak jedzenia, jak wody.

Eloise chciała odpowiedzieć, że też go pragnie, lecz nie zdołała wydobyć z siebie głosu, bo Phillip wziął w usta koniuszek jej piersi, a ona poczuła, że ogarnia ją niepohamowana żądza. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to oddać się mężowi.

Phillip wstał tylko na chwilę, żeby zerwać z siebie ubranie, i czym prędzej wrócił do Eloise. Przygarnął ją do siebie i delikatnie pogłaskał po włosach, drugą rękę trzymając w dole jej pleców.

— Kocham cię — wyszeptał. — Marzę tylko o tym, żeby cię chwycić i… — Przełknął ślinę. — Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo cię teraz pragnę.

Usta Eloise zadrżały w lekkim uśmiechu.

— Chyba mam pewne pojęcie.

Phillip też się uśmiechnął.

— Umieram z pożądania. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie czułem, ale… — Pochylił się, musnął ustami jej usta. — Najpierw musiałem ci to powiedzieć.

Eloise nie mogła mówić, z trudem oddychała. W jej oczach wezbrały łzy i spłynęły na dłonie męża.

— Nie płacz — poprosił szeptem Phillip.

— Nie mogę się powstrzymać — odparła drżącym głosem. — Tak bardzo cię kocham. Nie sądziłam… Zawsze miałam nadzieję, ale nigdy nie przypuszczałam…

— Ja też.

Oboje wiedzieli, o czym myślą.

Żadne nie sądziło, że spotka ich takie szczęście.

— Chyba całe życie czekałem na ciebie — rzekł Phillip, przesuwając dłońmi po jej piersiach, brzuchu, udach.

— Ja wiem na pewno, że czekałam na ciebie — odparła Eloise.

Phillip przytulił ją mocniej, omal nie sparzył dotykiem.

— Nie potrafię się nie spieszyć — uprzedził rwącym się głosem. — Zużyłem cały zapas silnej woli.

— Nie szkodzi — uspokoiła męża Eloise, zarzucając mu ramiona na szyję. Zanurzyła palce w jego włosach, przyciągnęła do siebie jego głowę i szepnęła: — Nie chcę, żebyś się powstrzymywał.

Gdy mąż w nią wszedł, zaparło jej dech w piersiach. Z ust wyrwał się cichy okrzyk: „Och!”.

Phillip uśmiechnął się łobuzersko.

— Sama mówiłaś, że chcesz szybko.

W odpowiedzi oplotła go nogami i uniosła biodra.

— To było szybko? — rzuciła z uśmiechem. — Chyba żartujesz.

A potem zapomnieli o słowach. Nie poruszali się z wdziękiem niczym w tańcu. Nie byli zgrani, jęki, które wydawali, nie brzmiały ładnie ani melodyjnie.

Całkowicie się zatracili, zmierzając prostą drogą na szczyt. Eloise

próbowała przedłużać grę, ale ogień wzniecony przez Phillipa nie dał się ugasić. I kiedy już nie mogła wytrzymać ani chwili dłużej, z głośnym krzykiem rozkoszy wygięła się w łuk, niemal unosząc się nad łóżkiem. Wstrząsana spazmami, chwytała powietrze i wbijała palce w plecy męża.

Zanim zdążyła ochłonąć, Phillip wydał zduszony jęk i opadł na nią całym ciężarem.

A ona nie miała nic przeciwko temu. Uwielbiała czuć go na sobie, uwielbiała jego zapach i smak potu na skórze.

Kochała go.

To było takie proste.

Kochała go, a on kochał ją i nie istniało na świecie nic ważniejszego. Nie tutaj, nie w tym momencie.

— Kocham cię — wyszeptał Phillip, w końcu pozwalając jej zaczerpnąć tchu. — Kocham cię.

Niczego więcej nie potrzebowała.

19

…moje dni są wypełnione rozrywkami. Robię zakupy, umawiam się na obiady, składam wizyty (i również je przyjmuję). Wieczorami zwykłe chodzę na bale, koncerty albo na mniejsze przyjęcia. Czasami zostaję w domu we własnym towarzystwie i czytam książkę. To naprawdę jest pełne i wesołe życie. Nie mam powodu się skarżyć. Często zadaję sobie pytanie: czego więcej mogłaby chcieć dama?

Z listu Eloise Bridgerton do sir Phillipa Crane'a w szóstym miesiącu ich niezwykłej korespondencji

Do końca swoich dni Eloise miała pamiętać następny tydzień jako jeden z najbardziej magicznych w jej życiu. Nie było żadnych nadzwyczajnych wydarzeń, wyjątkowej pogody, urodzin, drogich prezentów ani niespodziewanych gości.

Lecz choć wydawało się, przynajmniej z zewnątrz, że jest całkiem zwyczajnie…

Wszystko się zmieniło.

Nie była to jedna z tych rzeczy, które są niczym grom z jasnego nieba, trzaśnięcie drzwiami albo — pomyślała Eloise z lekkim uśmiechem — jak wysokie c w operze. Raczej stopniowa zmiana, której człowiek zupełnie sobie nie uświadamia, póki się nie dokona.

Zaczęło się kilka dni po tym, jak znalazła Phillipa w galerii portretów. Kiedy się obudziła, siedział ubrany w nogach łóżka i patrzył na nią z czułością w oczach.

— Co robisz? — zapytała Eloise, siadając. Jednocześnie podciągnęła

kołdrę pod brodę.

— Obserwuję cię.

W pierwszej chwili Eloise zrobiła zdziwioną minę, ale potem musiała się uśmiechnąć.

— Nie jestem zbyt interesująca — stwierdziła.

— Wprost przeciwnie — rzekł Phillip. — Nie sądzę, żeby coś innego na tak długo przyciągnęło moją uwagę.

Eloise zarumieniła się i mruknęła, że jest głuptasem, ale w rzeczywistości jego słowa sprawiły, że zapragnęła wciągnąć go z powrotem do łóżka. Miała przeczucie, że wcale by się nie opierał — nigdy tego nie robił — ale stłumiła pożądanie, bo, jak przypuszczała, jej mąż nie bez powodu wstał tego dnia wcześniej.

— Przyniosłem ci rogalik — oznajmił.

Gdy Eloise podziękowała i zaczęła jeść (żałując, że nie pomyślał również o czymś do picia), Phillip powiedział:

— Przyszło mi do głowy, że może dzisiaj gdzieś się wybierzemy.

— Ty i ja?

— Właściwie myślałem o całej czwórce.

Eloise zamarła z rogalem podniesionym do ust i zmierzyła męża wzrokiem. Po raz pierwszy, uświadomiła sobie, coś takiego zaproponował. Po raz pierwszy wyciągnął rękę do dzieci, zamiast je odpychać, żeby ktoś inny się nimi zajął.

— Uważam, że to świetny pomysł — oświadczyła.

— To dobrze — powiedział Phillip i wstał. — Zostawiam cię teraz, żebyś zajęła się poranną toaletą, a ja poinformuję tę biedną pokojówkę, którą zmusiłaś, żeby była ich nianią, że zabieramy dzieci na cały dzień.

— Na pewno się ucieszy — stwierdziła Eloise.

Mary nie chciała być nianią, nawet tymczasowo. Wzbraniały się przed

tym wszystkie służące. Aż za dobrze znały bliźnięta. A długowłosa Mary żywo pamiętała dzień, kiedy musiała spalić pościel, do której dzieci przykleiły włosy ostatniej guwernantki; nie mogła inaczej ich usunąć.

Eloise wymogła na dzieciach obietnicę, że będą traktowały Mary z szacunkiem należnym, powiedzmy, królowej, i na razie Amanda i Oliver dotrzymywali słowa. W głębi duszy miała nadzieję, że Mary w końcu ustąpi i zgodzi się być nianią na stałe. Ostatecznie zarabiałaby więcej niż jako zwykła służąca.

Eloise ze zdziwieniem stwierdziła, że Phillip nadal stoi w drzwiach, marszcząc brwi.

— Co się stało? — spytała.

Mąż spojrzał na nią z zasępioną miną.

— Nie wiem, co zrobić.

— Sądzę, że gałka u drzwi obraca się w obie strony — rzuciła Eloise.

Phillip spiorunował ją wzrokiem i powiedział:

— W miasteczku nie ma dzisiaj żadnych targów ani ciekawych wydarzeń. Co będziemy robić z dziećmi?

— Cokolwiek — odparła Eloise, uśmiechając się do niego z miłością. — Albo zupełnie nic. To naprawdę nie ma znaczenia. Amandzie i Oliverowi wystarczy twoja obecność.

Dwie godziny później Phillip i Oliver stali przed zakładem krawieckim Larkinów w miasteczku Tetbury, czekając z pewnym zniecierpliwieniem na Eloise i Amandę.

— Musieliśmy przyjechać na zakupy? — jęknął Oliver nieszczęśliwym głosem.

Phillip wzruszył ramionami.

— Tego chciała twoja matka.

— Następnym razem mężczyźni będą wybierać — oświadczył chłopiec.

— Gdybym wiedział, że nowa mama…

Phillip z trudem pohamował wybuch śmiechu.

— Mężczyźni muszą czasami poświęcać się dla kobiet, które kochają — rzekł poważnym tonem i poklepał syna po ramieniu. — Tak już jest w życiu, niestety.

Oliver westchnął przeciągle, jakby codziennie dokonywał tego rodzaju poświęceń.

Phillip zajrzał przez okno wystawowe. Nie wyglądało na to, żeby Eloise i Amanda wkrótce miały się pojawić.

— A jeśli chodzi o zakupy i o to, kto zadecyduje, co będziemy robić przy następnym wspólnym wypadzie, to zgadzam się z tobą całkowicie — dodał.

W tym momencie Eloise wychyliła głowę przez drzwi i zawołała:

— Oliverze, możesz tu przyjść?

— Nie. — Chłopiec energicznie potrząsnął głową.

Eloise zmarszczyła brwi.

— Pozwól, że wyrażę się inaczej — powiedziała. — Chciałabym, żebyś do nas przyszedł.

Oliver zerknął na ojca błagalnym wzrokiem.

— Obawiam się, że musisz zrobić tak, jak życzy sobie mama — stwierdził Phillip.

— Za dużo tych poświęceń — burknął syn, wlokąc się do schodów.

Phillip zakaszlał, żeby zamaskować śmiech.

— Ty też idziesz? — rzucił Oliver przez ramię.

Do diabła, nie, omal nie wyrwało się Phillipowi, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

— Muszę tu zostać, żeby pilnować powozu.

Oliver zmrużył oczy.

— Dlaczego powóz wymaga pilnowania? — zapytał.

— E, chodzi o bagaż — wymamrotał Phillip. — Te wszystkie pakunki, rozumiesz.

Nie dosłyszał, co Eloise mruknęła pod nosem, ale sądząc po tonie, nic pochlebnego.

— Biegnij, Oliverze — powiedział, klepiąc syna po plecach. — Mama cię potrzebuje.

— Ciebie również — odezwała się Eloise słodkim głosem. — Przydałyby ci się nowe koszule.

Phillip jęknął.

— Nie możemy sprowadzić krawca do domu?

— Nie chcesz wybrać materiału? — spytała żona.

— Ufam ci bezgranicznie — zapewnił Phillip.

— Tata musi przypilnować powozu — pospieszył mu na ratunek Oliver, który nadal stał na progu zakładu.

— Będzie musiał pilnować swoich pleców, jeśli nie… — zaczęła Eloise groźnym tonem.

— No, dobrze, już idę — powiedział szybko Phillip. — Ale tylko na chwilę. — Gdy jako jedyny mężczyzna znalazł się w połowie zakładu przeznaczonej dla kobiet, zadrżał. — Można się tu nabawić klaustrofobii.

— Taki duży, silny mężczyzna jak ty? — rzuciła Eloise z ironiczną nutą w głosie. — Nonsens. — Potem spojrzała na niego znacząco i przywołała go skinieniem głowy.

— Słucham? — zapytał Phillip, podchodząc do żony.

— Amanda — szepnęła Eloise, wskazując na drzwi w głębi sali. — Kiedy wyjdzie, okaż entuzjazm.

Phillip rozejrzał się z niepewną miną. Czuł się tutaj tak nie na miejscu, że równie dobrze mógłby znajdować się w Chinach.

— Nie jestem dobry w udawaniu — ostrzegł.

— Ucz się — poradziła Eloise i przeniosła wzrok na Olivera. — Teraz pańska kolej, panie Crane. Pani Larkin…

Jęk Olivera postawiłby na nogi umarłego.

— Wolę pana Larkina — zaprotestował. — Tak jak tata.

— Chciałbyś zobaczyć się z krawcem?

Oliver energicznie pokiwał głową.

— Naprawdę? — starała się upewnić Eloise.

Chłopiec potwierdził takim samym gestem, choć już z mniejszym przekonaniem.

— Mimo że niecałą godzinę temu przysięgałeś, że nawet końmi nie zaciągnie się ciebie do sklepu, chyba że będzie to sklep z bronią albo ołowianymi żołnierzykami? — ciągnęła Eloise z modulacją, która zapewniłaby jej miejsce na scenie Drury Lane.

Oliverowi wyraźnie zrzedła mina, ale skinął głową.

Ledwo dostrzegalnie.

— Jesteś dobra — szepnął Phillip żonie do ucha, patrząc, jak syn wlecze się do części zakładu, w której królował pan Larkin.

— Cały sekret polega na tym, żeby pokazać dzieciom gorszą możliwość — uświadomiła go Eloise. — Przymiarka u pana Larkina to koszmar, ale u pani Larkin… to dopiero byłoby straszne.

Nagle powietrze przeszył wrzask oburzenia i chwilę później przybiegł Oliver. Prosto do Eloise. Phillip poczuł się trochę zazdrosny. Chciałby, żeby to u niego dzieci szukały pomocy.

— Ukłuł mnie igłą! — poskarżył się chłopiec.

— Wierciłeś się? — zapytała Eloise, nie mrugnąwszy nawet okiem.

— Nie!

— Ani trochę?

— Tylko troszeczkę — przyznał się Oliver.

— No, cóż, następnym razem stój spokojnie — powiedziała Eloise. — Zapewniam cię, że pan Larkin jest bardzo dobry w swoim fachu. Jeśli nie będziesz się ruszał, nie zostaniesz pokłuty. To proste.

Oliver zastanawiał się przez chwilę nad jej słowami, a potem spojrzał na ojca błagalnym wzrokiem. Phillipa ucieszyło, że syn uważa go za sojusznika, ale nie zamierzał sprzeciwiać się woli Eloise i podważać jej autorytetu. Zwłaszcza że zgadzał się z nią całkowicie.

Ale wtedy Oliver go zaskoczył. Nie zaczął prosić o uwolnienie go ze szponów pana Larkina, nie powiedział niczego przykrego pod adresem Eloise, co z pewnością uczyniłby jeszcze parę tygodni temu, tylko zapytał:

— Pójdziesz ze mną, tato?

Phillip nagle stwierdził, że nie może wydobyć z siebie głosu. W oczach poczuł pieczenie i uświadomił sobie, że jest po prostu wzruszony.

Nie chodziło tylko o to, że syn potrzebuje jego towarzystwa przy męskim rytuale. Nie po raz pierwszy Oliverowi zależało na jego obecności, ale po raz pierwszy Phillip sam tego chciał. Był pewien, że idąc z synem, zrobi właściwą rzecz. I sądził, że znajdzie odpowiednie słowa.

A nawet jeśli nie, nie będzie to miało znaczenia. Wreszcie zrozumiał, że nie jest i nigdy nie stanie się taki jak jego ojciec. Nie mógł dalej pozwalać sobie na tchórzostwo, oddawać dzieci pod opiekę innych osób ze strachu przed popełnieniem błędu.Teraz już wiedział, że błędy są nieuniknione. Ale nabrał pewności, że dzięki Eloise nie będą one wielkie. Uwierzył, że nawet on poradzi sobie z bliźniętami.

Położył dłoń na ramieniu Olivera.

— Chętnie będę ci towarzyszył, synu — rzekł lekko ochrypłym głosem. Potem nachylił się i szepnął: — Ostatnie, co nam potrzeba, to kobiety w męskiej części zakładu.

Oliver skwapliwie pokiwał głową.

Phillip wyprostował się i ruszył razem z nim przez salę. W tym momencie usłyszał za sobą ciche chrząknięcie Eloise. Odwrócił się i zobaczył, że jego żona wskazuje wzrokiem w głąb pomieszczenia.

Stała tam Amanda.

Wyglądała bardzo dorośle w nowej lawendowej sukni. Można było dostrzec w niej kobietę, którą kiedyś miała się stać.

Po raz drugi w ciągu ostatnich minut Phillipa zapiekły oczy.

Uświadomił sobie, ile tracił wyłącznie dlatego, że się bał. Dzieci dorastały bez niego.

Klepnął syna w ramię, dając mu znak, żeby się obejrzał. Następnie podszedł do córki. Bez słowa ujął jej dłoń i złożył na niej dworny pocałunek.

— Panno Amando Crane — powiedział z czułością w oczach, uśmiechu i głosie — jest pani najpiękniejszą dziewczynką, jaką w życiu widziałem.

Oczy córki zrobiły się wielkie jak spodki, usta uformowały w literę O.

— A panna Bri… a mama? — zapytała szeptem.

Phillip spojrzał na żonę, która sama wyglądała, jakby była bliska łez. Potem odwrócił się z powrotem do Amandy, pochylił się i szepnął jej do ucha:

— Umówmy się w ten sposób. Możesz uważać, że twoja mama jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Ale ja skłaniam się ku myśli, że ty nią jesteś.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy położył dzieci do łóżek i ucałował je na dobranoc, w drzwiach zatrzymał go szept córki:

— Tato?

Obejrzał się.

— Tak, Amando?

— To był najlepszy dzień w moim życiu — powiedziała dziewczynka.

— Najlepszy — zgodził się z nią brat.

Phillip pokiwał głową.

— Dla mnie również — wyznał zdławionym głosem.

Zaczęło się od liściku.

Późnym wieczorem, kiedy Eloise zjadła kolację i odsunęła talerz, zobaczyła pod nim karteczkę złożoną w mały prostokąt.

Jej mąż wcześniej odszedł od stołu pod pretekstem, że musi poszukać książki z wierszem, o którym rozmawiali przy puddingu. Eloise otworzyła liścik tak, żeby nie zobaczył go lokaj, który sprzątał ze stołu.

Nigdy nie byłem biegły w słowie…

Od razu rozpoznała pismo Phillipa. W dolnym rogu widniał dopisek mniejszymi literami:

Idź do swojego gabinetu.

Zaintrygowana opuściła jadalnię. Minutę później znalazła na biurku następną kartkę.

Wszystko zaczęło się od listu, prawda?

Zgodnie z wypisaną na kartce instrukcją Eloise ruszyła do bawialni. Z całych sił starała się nie przyspieszać kroku, mimo że najchętniej puściłaby się biegiem.

Na czerwonej poduszce umieszczonej na samym środku kanapy leżał kolejny mały liścik.

Skoro zaczęło się od słów, niech tak będzie dalej.

Tym razem została skierowana do głównego holu.

Ale nie istnieją słowa, którymi mógłbym podziękować Ci za wszystko, co mi dałaś, więc użyję tych, które mam do dyspozycji, i wyrażę moją wdzięczność w jedyny sposób, jaki znam.

W dolnym rogu kartki znajdowało się polecenie, żeby poszła do sypialni.

Eloise ruszyła w górę po schodach, z mocno bijącym sercem. Przeczuwała, że Phillip będzie tam na nią czekał, że weźmie ją za rękę i poprowadzi ku wspólnej przyszłości.

Rzeczywiście wszystko zaczęło się od listu, a przerodziło w miłość — głęboką i szczerą.

Dotarłszy na piętro, cicho podeszła do drzwi sypialni. Były lekko uchylone, więc ostrożnie otworzyła je szerzej… I gwałtownie zaczerpnęła tchu.

Łóżko było zasłane kwiatami. Setkami rzadkich kwiatów, starannie wybranych z kolekcji Phillipa. Czerwone pąki oraz białe i różowe płatki układały się w napis: „Kocham Cię”.

— Słowa nie wystarczą — powiedział cicho Phillip, wychodząc z cienia.

Eloise odwróciła się, nie zdając sobie sprawy z tego, że po jej policzkach toczą się łzy.

— Kiedy to zrobiłeś? — wykrztusiła.

Mąż się uśmiechnął.

— Chyba pozwolisz mi na kilka sekretów.

— Ja… ja…

Phillip wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

— Zaniemówiłaś? Ty? Mój pomysł okazał się lepszy, niż przypuszczałem.

— Kocham cię — szepnęła Eloise. — Bardzo kocham.

Mąż otoczył ją ramionami, a kiedy przytuliła policzek do jego piersi, oparł brodę o czubek jej głowy.

— Dzisiaj bliźnięta powiedziały mi, że to był najlepszy dzień w ich życiu, a ja zrozumiałem, że mają rację.

Eloise pokiwała głową. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Ale potem doszedłem do wniosku, że jednak się myliłem — ciągnął Phillip.

Żona spojrzała na niego pytająco.

— Nie umiałbym wybrać jednego dnia — wyjaśnił. — Każdy dzień z tobą jest najlepszy. — Musnął wargami jej usta. — Każdy tydzień, każdy miesiąc, każdy rok. — Pocałował ją z uczuciem i dokończył: — Każda chwila, kiedy jesteśmy razem.

Epilog

Mam nadzieję tyle Cię nauczyć, Maleńka. Chciałabym to robić, dając Ci dobry przykład, ale czuję, że muszę również przelać słowa na papier. To takie moje dziwactwo, które na pewno kiedyś dostrzeżesz i może uznasz za zabawne, gdy przeczytasz ten list.

Bądź silna.

Bądź sumienna.

Bądź uczciwa. Nic się nie zyska, wybierając łatwą drogę. Chyba że akurat taka się trafi, jak to czasami bywa. Wtedy nie szukaj innej, trudniejszej. Tylko męczennicy dopraszają się kłopotów.

Kochaj swoje rodzeństwo. Masz już brata i siostrę, a Bóg da, że będzie ich więcej. Kochaj ich wszystkich, bo to Twoi najbliżsi. W ciężkich lub niepewnych chwilach właśnie oni staną u Twojego boku.

Śmiej się. Śmiej się głośno i często. A kiedy okoliczności wymagają ciszy, poprzestań na uśmiechu.

Nigdy nie rezygnuj. Wiedz, czego chcesz, i sięgaj po to. A jeśli nie wiesz, bądź cierpliwa. Odpowiedź przyjdzie do Ciebie we właściwym czasie i może się przekonasz, że to, czego pragnęłaś, przez cały czas miałaś na wyciągnięcie ręki.

I zawsze pamiętaj, że masz ojca i matkę, którzy kochają Ciebie i siebie nawzajem.

Czuję, że robisz się niespokojna. Twój ojciec zaczyna dziwnie pochrząkiwać i na pewno zaraz straci cierpliwość, jeśli nie oderwę się od sekretarzyka i nie przyjdę do łóżka.

Witaj na świecie, Maleńka. Bardzo się cieszymy, że Cię poznaliśmy.

List Eloise, lady Crane, do córki Penelopy z okazji narodzin dziewczynki

Drodzy Czytelnicy!

Czy kiedykolwiek po zamknięciu książki zastanawialiście się, co się stało z waszymi ulubionymi bohaterami? Czy chcieliście przedłużyć swój pobyt w świecie ulubionej powieści? Ja owszem, a jeśli pytania moich czytelników stanowią jakąkolwiek wskazówkę, nie jestem osamotniona. Zatem po niezliczonych prośbach wielbicieli Bridgertonów postanowiłam spróbować czegoś innego — i napisałam „drugi epilog" każdej powieści. To opowiadania, których akcja rozgrywa się długo po wydarzeniach opisanych w powieści.

Początkowo drugie epilogi do powieści o Bridgertonach były dostępne tylko online; później zostały wydrukowane (razem z nowelą o Violetcie Bridgerton) w zbiorze pod tytułem The Bridgertons: Happily Ever After. *Teraz, po raz pierwszy, każdy drugi epilog zostaje włączony do powieści, którą zamyka. Mam nadzieję, że z radością spotkacie się znów z Eloise i Phillipem.*

Z serdecznymi pozdrowieniami
Julia Quinn

Oświadczyny - Drugi epilog

Nie można mnie nazwać wyjątkowo cierpliwą osobą. I nie toleruję głupoty. Dlatego jestem z siebie dumna, że tego popołudnia, na herbatce u państwa Brougham, trzymałam język za zębami.

Broughamowie to nasi sąsiedzi od sześciu lat, odkąd pan Brougham odziedziczył posiadłość po swoim ojcu, również zwanym panem Broughamem. Mają cztery córki i jednego, bardzo zepsutego syna. Chwała Bogu, syn jest ode mnie młodszy o pięć lat, więc nie muszę zastanawiać się nad możliwością wyjścia za niego za mąż (chociaż moje siostry, Penelopa i Georgiana, młodsze ode mnie o dziewięć i dziesięć lat, nie mają tyle szczęścia). Córki Broughamów urodziły się rok po roku, najstarsza ma o dwa lata więcej ode mnie, a najmłodsza — o dwa lata mniej. Są sympatyczne, nawet jeśli, jak na mój gust, odrobinę przesłodzone i zbyt łagodne. Ostatnio jednak nie jestem w stanie ich znieść.

To dlatego, że ja też mam brata, a on nie jest od nich pięć lat młodszy. To mój bliźniak, w związku z tym mógłby być kandydatem na męża dla każdej z nich.

Nic dziwnego, że Oliver nie pojechał z nami, czyli ze mną, mamą i Penelopą, na herbatkę.

Ale tak się właśnie stało i dlatego cieszę się, że nie powiedziałam tego, co miałam ochotę oznajmić, a mianowicie: „Jest pani absolutną idiotką”.

Popijałam herbatę, starając się trzymać filiżankę przy ustach na tyle długo, by uniknąć pytań o Olivera, kiedy w pewnej chwili pani Brougham zapytała:

— To jest takie intrygujące być jednym z bliźniąt. Powiedz mi, proszę, droga Amando, czym to się różni od sytuacji innych dzieci?

Mam nadzieję, że nie muszę wyjaśniać, dlaczego uznałam to pytanie za

kretyńskie. Nie mogłam jej wyjaśnić, na czym polega różnica, gdyż całe dotychczasowe życia spędziłam z bratem bliźniakiem, zatem mam dokładnie zerowe doświadczenie w życiu bez bliźniaka.

Zapewne moja twarz zdradzała pogardę, gdyż matka rzuciła mi jedno ze swoich legendarnych ostrzegawczych spojrzeń w chwili, kiedy akurat otworzyłam usta, by udzielić odpowiedzi. Jako że nie chciałam stawiać jej w kłopotliwej sytuacji (a nie dlatego, że pragnęłam, by pani Brougham poczuła się mądrzejsza, niż naprawdę jest), wyjaśniłam:

— Różnica polega chyba na tym, że przez cały czas ma się towarzysza.

— Przecież twojego brata tu nie ma — odezwała się jedna z panien Brougham.

— Ojciec nie zawsze przebywa z mamą, ale mama uznaje go za swojego towarzysza — odparłam.

— Brat to coś zupełnie innego niż mąż — zaćwierkała pani Brougham.

— Mam nadzieję — odpaliłam. W życiu nie brałam udziału w tak absurdalnej rozmowie. Poza tym zerknęłam na Penelopę i już wiedziałam, że po powrocie do domu będziemy musiały odpowiadać na jej pytania.

Mama rzuciła mi kolejne spojrzenie, mówiące, że doskonale wie, jakie pytania Penelopa zada, i że nie chce na nie odpowiadać. Ale ponieważ, jak zawsze twierdziła, w kobietach ceni ciekawość… Wdepnęła na minę, którą sama podłożyła.

Powinnam dodać, że pomijając miny, jestem pewna, że mam najlepszą matkę w Anglii. I w przeciwieństwie do nieposiadania bliźniaka, tym razem wiem, o czym mówię, bo mam porównanie z inną matką, zatem jestem w pełni uprawniona do wyrażenia takiej opinii.

Moja matka, Eloise Crane, w rzeczywistości jest moją macochą, chociaż nazywam ją tak tylko wtedy, kiedy zachodzi potrzeba szczegółowych wyjaśnień. Eloise wyszła za mąż za mojego ojca, kiedy razem z Oliverem mieliśmy osiem lat, i jestem pewna, że nas wszystkich uratowała. Trudno

wytłumaczyć, jak wyglądało nasze życie, zanim w nie wkroczyła. Potrafię opisać wydarzenia, lecz cała atmosfera, jaka panowała w naszym domu…

Nie bardzo wiem, jak ją oddać.

Moja matka — rodzona matka — popełniła samobójstwo. Przez wiele lat nie miałam o tym pojęcia. Byłam przekonana, że zmarła na gorączkę, bo to zresztą prawda. Tylko nikt mi nie powiedział, że gorączkę wywołała ona sama, kiedy w środku zimy próbowała utopić się w jeziorze.

Nie mam w planach targnięcia się na swoje życie, lecz gdyby jednak tak się zdarzyło, to nie wybrałabym maminego sposobu.

Wiem, że powinnam jej współczuć, ale… Eloise, która jest daleką kuzynką mojej rodzonej matki, mówiła mi, że mama przez całe życie była smutna. Podobno tak bywa. Jedni ludzie są smutni, inni wciąż tryskają nienaturalnym optymizmem. Nie mogę jednak pozbyć się myśli, że skoro już mama musiała się zabić, to mogła to zrobić wcześniej. Kiedy miałam kilka lat. Albo jeszcze lepiej — gdy byłam niemowlęciem. To z pewnością bardzo ułatwiłoby mi życie.

Zapytałam wujka Hugh (to właściwie nie jest mój wujek, lecz mąż przyrodniej siostry żony brata mojej obecnej matki, poza tym mieszka niedaleko i jest pastorem), czy pójdę do piekła za takie myśli. Odpowiedział, że nie i że moje wnioski brzmią sensownie.

Naprawdę wolę jego parafię od tej, do której należę.

Chodzi jednak o to, że ja pamiętam Marinę, moją pierwszą matkę. Nie chcę tych wspomnień. Są zamglone i splątane. Nie potrafię sobie przypomnieć jej głosu. Oliver twierdzi, że pewnie dlatego, iż prawie się nie odzywała. Nie pamiętam, czy coś mówiła, czy milczała. Nie pamiętam kształtu jej twarzy ani jej zapachu.

Pamiętam za to, jak stałam przed jej drzwiami, mała i przerażona. Pamiętam, jak wciąż musieliśmy chodzić na palcach, bo nie wolno było

hałasować. Pamiętam, że zawsze byliśmy podenerwowani, jakby przeczuwając nadciągające nieszczęście.

I nieszczęście nadeszło.

Czy wspomnienie nie powinno być konkretne? Nie miałabym nic przeciwko, by móc z tego okresu przywołać choćby jedną chwilę, twarz czy dźwięk. A mnie zostały tylko mgliste wspomnienia, w dodatku pozbawione radości.

Kiedyś zapytałam Olivera, czy ma takie same wspomnienia, ale on tylko wzruszył ramionami i odparł, że tak naprawdę nie myśli o matce. Nie wiem, czy mu wierzyć. Chyba tak. Mój brat rzadko zastanawia się głębiej nad takimi sprawami. A ściślej rzecz biorąc, nie zastanawia się głębiej nad niczym. Można tylko mieć nadzieję, że kiedy się ożeni (co z pewnością zasmuci siostry Brougham), wybierze pannę podobną do siebie pod względem bezmyślności i brak rozsądku, inaczej unieszczęśliwi tę dziewczynę. Ona jego oczywiście nie, gdyż Oliver nawet nie zauważy, że jego żona jest nieszczęśliwa.

Podobno mężczyźni już tacy są.

Na przykład mój ojciec nie zauważa niczego, chyba że chodzi o roślinę — wtedy natychmiast wychwytuje wszelkie szczegóły. Jest botanikiem i najchętniej spędzałby całe dnie w swojej oranżerii. Moim zdaniem wyjątkowo nie pasuje do matki, osoby pełnej życia i towarzyskiej, zawsze rozgadanej, lecz kiedy są razem, wyraźnie widać, że bardzo się kochają. W zeszłym tygodniu przyłapałam ich, jak całowali się w ogrodzie. Byłam oburzona. Mama dobiega czterdziestki, ojciec jest jeszcze starszy.

Ale odchodzę od tematu. Mówiłam o rodzinie Broughamów, a dokładnie o głupich pytaniach pani Brougham o to, jak to jest nie mieć bliźniaka. Jak już wspomniałam, byłam z siebie dumna, gdyż zachowałam się uprzejmie, a wtedy pani Brougham powiedziała coś interesującego.

— Po południu przyjedzie mój bratanek.

Wszystkie panny Brougham wyprostowały się na swoich miejscach. Przysięgam, przypominało to dziecięcą grę w snapa. Tryk, tryk, tryk, tryk… każda po kolei w jednej sekundzie przechodziła z postawy idealnej do sztywnej, jakby kij połknęła.

Z tej zmiany wydedukowałam od razu, że bratanek pani Brougham jest w wieku odpowiednim do ożenku, zapewne ma przyzwoitą fortunkę, a przypuszczalnie też nieźle się prezentuje.

— Nie wspomniałaś, że przyjeżdża Ian — odezwała się jedna z córek.

— To nie Ian — odparła pani Brougham. — Jak wiecie, on jest wciąż w Oxfordzie. Przyjeżdża Charles.

Puuf! Córki państwa Brougham oklapły jednocześnie.

— Och — odezwała się jedna z nich. — To Charlie.

— Przyjeżdża dzisiaj? — upewniła się kolejna z całkowitym brakiem entuzjazmu.

— Będę musiała pochować lalki — dodała trzecia.

Czwarta nie powiedziała nic; piła dalej herbatę, wyraźnie znudzona.

— Dlaczego musisz chować lalki? — zapytała Penelopa. Szczerze mówiąc, sama się nad tym zastanawiałam, lecz takie pytanie wydawało mi się zbyt dziecinne jak na dziewiętnastoletnią damę.

— Dulcie, to się zdarzyło dwanaście lat temu — upomniała ją pani Brougham. — Naprawdę masz pamięć jak słoń.

— A co on zrobił? — dopytywała Penelopa.

Dulcie przeciągnęła dłonią po szyi. Penelopę zatchnęło z wrażenia. Muszę wyznać, że mina Dulcie miała w sobie coś diabolicznego.

— To potwór — orzekła jedna z jej sióstr.

— Nieprawda! — upierała się pani Brougham.

Dziewczęta spojrzały na nas wszystkie w milczeniu i zgodnie kręcąc głowami, jakby mówiły: „Nie słuchajcie jej”.

— Ile lat ma teraz pani bratanek? — zapytała mama.

— Dwadzieścia dwa — odparła pani Brougham, chyba wdzięczna za to pytanie. — W zeszłym roku skończył Oxford.

— Jest o rok starszy od Iana — wyjaśniła jedna z córek.

Pokiwałam głową, chociaż dla mnie Ian, którego nigdy nie poznałam, nie był żadnym punktem odniesienia.

— Nie jest tak przystojny.

— Ani tak sympatyczny.

Przeniosłam spojrzenie na ostatnią z panien Brougham, czekając na jej wypowiedź, ona jednak tylko ziewnęła.

— Jak długo tu zabawi? — zapytała mama uprzejmie.

— Dwa tygodnie — wyjaśniła pani Brougham, lecz udało się jej tylko wydobyć z siebie: „dwa ty…”, kiedy jedna z jej córek zawyła z rozpaczy.

— Dwa tygodnie! Całe czternaście dni!

— Miałam nadzieję, że pojedzie z nami na bal — wyznała pani Brougham.

Odpowiedziały jej kolejne jęki. Muszę przyznać, że zaczynał mnie ciekawić ów Charles. Przerażenie, jakie wzbudził w pannach Brougham, wystarczyło za rekomendację.

Spieszę z wyjaśnieniem: to nie tak, że nie lubię córek państwa Brougham. Nie zaspokajano każdego ich kaprysu, jak w przypadku ich brata, więc wyrosły na naprawdę znośne dziewczyny. Ale są… jakby to ująć… łagodne i potulne, czyli nie są to osoby, z którymi spędzałabym czas z własnego wyboru (mnie nikt nigdy tak nie określił). Chyba nigdy nie słyszałam, żeby którakolwiek z nich wyraziła zdecydowaną opinię na jakikolwiek temat. Jeśli wszystkie cztery aż tak kogoś nie znoszą, to ten ktoś zapowiada się interesująco.

— Czy pani bratanek lubi jeździć konno? — zapytała mama.

Pani Brougham odpowiedziała jej porozumiewawczym spojrzeniem.

— Tak przypuszczam.

— Może Amanda zgodziłaby się pokazać mu okolicę — stwierdziła matka

z wyjątkowo nietypowym dla niej, niewinnie słodkim uśmieszkiem.

Powinnam dodać jeszcze jeden powód, dla którego uważam moją matkę za jedną z najlepszych w Anglii: ona rzadko bywa słodka i niewinna. Och, nie zrozumcie mnie źle — ma złote serce, a dla rodziny uczyniłaby wszystko. A że ma siedmioro rodzeństwa, sama jest piąta z kolei, więc potrafi być cudownie diaboliczna i podstępna.

Poza tym nie da się jej przegadać. Wierzcie mi, próbowałam.

Kiedy więc zaproponowała mnie na przewodniczkę, mogłam się tylko zgodzić, chociaż trzy z czterech sióstr Brougham zareagowały chichotami. (Czwarta wciąż wyglądała na znudzoną. Zaczęłam się zastanawiać, czy wszystko z nią w porządku).

— Jutro — odezwała się pani Brougham z rozanieloną miną, złożyła ręce i rozpromieniła się. — Przyślę go jutro po południu. Czy tak będzie dobrze?

Ponownie mogłam tylko przytaknąć — i to zrobiłam, zastanawiając się, na co właściwie się zgodziłam.

Następnego dnia po południu nałożyłam najlepszy strój do jazdy konnej i kręciłam się po salonie, zastanawiając się, czy tajemniczy Charles Brougham rzeczywiście się zjawi. Jeśli nie, uznam, że ma do tego pełne prawo. Oczywiście postąpiłby nieuprzejmie, gdyż nie dotrzymałby obietnicy, jaką w jego imieniu złożyła ciotka, lecz mimo wszystko nie prosił o to, by dać się ujeździć miejscowym rodzinom ziemskim.

Gra słów niezamierzona.

Mama nawet nie próbowała zaprzeczać, że bawi się w swatkę. Tym mnie zaskoczyła; spodziewałam się przynajmniej słabych protestów. Ona jednak przypomniała mi, że zrezygnowałam z sezonu w Londynie, a potem zaczęła rozwodzić się nad brakiem kawalerów w odpowiednim wieku i nadających się do ożenku w Gloucestershire.

Przypomniałam jej, że ona z kolei nie znalazła sobie męża w Londynie.

Wtedy powiedziała: „Niezależnie od tego…”, po czym tak szybko zmieniła temat i tak zaczęła kręcić i dywagować, że całkowicie straciłam wątek.

Z całą pewnością do tego właśnie dążyła.

Matka nawet się nie rozgniewała, kiedy odmówiłam wyjazdu do Londynu; lubi nasze wiejskie życie; a mój tata nie przetrwałby w mieście tygodnia. Mama twierdzi, że niełądnie z mojej strony tak mówić, lecz chyba się ze mną zgadza; tata zająłby się jakąś roślinką w pierwszym napotkanym parku, a my nigdy byśmy już go nie odnaleźli. (Tato jest dość roztargniony).

Mógłby też — przyznaję, że to nawet bardziej prawdopodobne — na spotkaniu towarzyskim palnąć coś całkowicie niepoprawnego. W przeciwieństwie do mamy tata nie ma daru prowadzenia rozmówek salonowych i zdecydowanie nie uznaje potrzeby używania półsłówek, aluzji i błyskotliwych ripost. Według niego należy mówić to, co się myśli.

Kocham ojca, lecz jest dla mnie jasne, że należy go trzymać z dala od miasta.

Gdybym naprawdę chciała, mogłabym pojechać do Londynu na sezon. Rodzina mamy jest świetnie ustosunkowana. Jej brat jest wicehrabią, siostry powychodziły za diuka, księcia i barona. Pojawiałabym się na najbardziej ekskluzywnych przyjęciach. Ale nie miałam ochoty jechać; oznaczałoby to koniec wolności. Tutaj, na wsi, mogę chodzić na spacery lub odbywać przejażdżki konne samotnie, pod warunkiem, że powiem, dokąd jadę. W Londynie młoda dama nie ośmieli się wystawić czubka buta za próg bez towarzystwa przyzwoitki. Dla mnie to okropne.

Ale wracając do matki: nie przeszkadzało jej to, że nie chciałam jechać do Londynu, gdyż dzięki temu nie musiała rozstawać się z ojcem na kilka miesięcy. (Jak już wspomniałam, trzeba byłoby go zostawić w domu). A jednocześnie szczerze troszczy się o moją przyszłość i w tym celu ruszyła

na swego rodzaju krucjatę. Jeśli ja nie zacznę poszukiwań odpowiedniego kandydata, ona przyprowadzi go do mnie.

Stąd Charles Brougham.

O czternastej nadal go nie było; muszę wyznać, że zaczęłam się irytować. Dzień był upalny, przynajmniej jak na Gloucestershire, a mój ciemnozielony strój do konnej jazdy, który wydawał się tak stylowy i atrakcyjny, kiedy go zakładałam, teraz mnie już drapał.

Czułam, że więdnę.

Moja matka i pani Brougham jakimś cudem zapomniały ustalić dokładną godzinę przybycia bratanka, więc równo o dwunastej w południe zostałam zmuszona do przebrania się i przygotowania.

— Jak myślisz, o której godzinie kończy się popołudnie? — zapytałam, wachlując się zwiniętą gazetą.

— Hm?

Mama pisała list, zapewne do któregoś z licznych braci i sióstr, i właściwie mnie nie słuchała. Siedząc tak przy oknie, wyglądała ślicznie. Nie mam pojęcia, jak wyglądałaby moja pierwsza matka w tym wieku, gdyż nie wyświadczyła mi tej uprzejmości, by go dożyć, Eloise jednak nie straciła nic z urody. Włosy miała wciąż bujne i kasztanowe, cerę bez zmarszczek. Kolor jej oczu trudno opisać, gdyż wciąż się zmienia.

Mówiła mi, że w młodości nie uważano jej za piękność. Nie była postrzegana jako nieatrakcyjna, miała wielbicieli, lecz nigdy nie określono jej mianem brylantu czystej wody. Jak twierdzi Eloise, kobiety inteligentne starzeją się ładniej.

Interesujące stwierdzenie i mam nadzieję, że dobrze mi wróży na przyszłość.

Ale w tamtej chwili nie interesowała mnie przyszłość dalsza niż dziesięć minut, po których na pewno czekała mnie śmierć z przegrzania.

— Popołudnie — powtórzyłam. — Jak myślisz, o której się kończy?

O szesnastej? Siedemnastej? Proszę, powiedz, że nie o osiemnastej.

Mama w końcu podniosła wzrok.

— O czym ty mówisz?

— O panu Brougham. Umawialiśmy się na popołudnie, prawda?

Mama spojrzała na mnie bezmyślnie.

— Jak już z popołudnia zrobi się wieczór, mogę przestać na niego czekać, prawda?

Mama zastanawiała się przez chwilę z piórem zawieszonym w powietrzu.

— Amando, nie powinnaś być tak niecierpliwa.

— Nie jestem niecierpliwa — odparłam stanowczo. — Jestem przegrzana.

Mama rozmyślała przez chwilę.

— Ciepło tu, prawda?

Kiwnęłam głową.

— Mam na sobie wełniany strój.

Zrobiła minę, lecz, jak zauważyłam, nie zaproponowała, żebym zmieniła suknię. Nie miała zamiaru stracić ewentualnego zalotnika z tak trywialnego powodu jak pogoda. Znów zaczęłam się wachlować.

— On chyba nie nazywa się Brougham — dodała mama.

— Słucham?

— Wydaje mi się, że to krewny pani Brougham, nie jej męża. Nie znam jej nazwiska panieńskiego.

Wzruszyłam ramionami.

Mama wróciła do pisania listu. Pisuje ich bardzo wiele, nie mam pojęcia, o czym. Nie nazwałabym naszej rodziny nudną, lecz jesteśmy raczej zwykli. Jej siostry z pewnością już się znudziły nowinami typu: „Georgiana nauczyła się odmiany czasowników francuskich” lub „Frederick rozbił sobie kolano”.

Mama jednak lubi otrzymywać listy, a jak twierdzi, jeśli chce się je dostawać, trzeba je pisać, więc niemal codziennie siada przy biurku i przekazuje nudne szczegóły z naszego życia.

— Ktoś idzie — powiedziała akurat w chwili, kiedy zaczynałam już przysypiać na sofie. Wyprostowałam się i odwróciłam do okna. Faktycznie, podjazdem toczył się powóz.

— Wydawało mi się, że mieliśmy się przejechać konno — stwierdziłam z lekką irytacją. Czyżbym na darmo pociła się w tym stroju?

— Mieliście — zamruczała mama, ze zmarszczonymi brwiami obserwując zbliżający się pojazd.

Nie sądzę, żeby pan Brougham, czy kto tam siedział wewnątrz, zdołał zajrzeć do salonu przez otwarte okno, lecz na wszelki wypadek utrzymałam moją dostojną pozę na sofie, jedynie leciutko przechylając głowę, by lepiej obserwować wydarzenia rozgrywające się przed domem.

Powóz zatrzymał się, wyskoczył z niego dżentelmen, lecz stanął plecami do okna, więc widziałam tylko, że jest średniego wzrostu i ma ciemne włosy. Wyciągnął rękę i pomógł wysiąść damie.

Dulcie Brougham!

— Co ona tu robi? — zapytałam z oburzeniem.

Kiedy Dulcie bezpiecznie stanęła na ziemi, dżentelmen pomógł wysiąść kolejnej damie, potem jeszcze jednej. I następnej.

— Czy on przywiózł wszystkie Broughamówny? — zapytała mama.

— Najwyraźniej.

— Myślałam, że go nie znoszą.

Pokręciłam głową.

— Widać nie.

Przyczyna tak nagłej zmiany frontu sióstr wyjaśniła się kilka chwil później, kiedy Gunning je zapowiedział.

Nie wiem, jak kuzyn Charles wyglądał kiedyś, ale teraz… z pewnością każda młoda dama uznałaby go za przystojnego. Włosy miał gęste, lekko falujące, nawet z drugiego końca pokoju widziałam, że ma niewiarygodnie

długie rzęsy. A jego usta wyglądały tak, jakby miały za chwilę się uśmiechnąć — bardzo mi się to podobało.

Nie twierdzę, że poczułam cokolwiek innego niż uprzejme zainteresowanie, lecz siostry Brougham prześcigały się jedna przez drugą, by wesprzeć się na jego ramieniu.

— Dulcie — odezwała się mama, ruszając do nich z gościnnym uśmiechem. — Antonio. Sarah… — Zaczerpnęła powietrza. — I Cordelio. Co za miła niespodzianka.

O wyjątkowych umiejętnościach towarzyskich mojej mamy świadczy fakt, że naprawdę mówiła tak, jakby się z tego cieszyła.

— Nie mogłyśmy naszego drogiego kuzyna Charlesa puścić tu samego — wyjaśniła Dulcie.

— Nie zna drogi — dodała Antonia.

Trudno o łatwiejszą drogę: wystarczyło wjechać do wsi, przy kościele skręcić w prawo i po jakiejś mili wjeżdżało się na nasz teren.

Ale się nie odezwałam. Spojrzałam tylko na kuzyna Charlesa z niejakim współczuciem. Podróż na pewno nie była dla niego przyjemna.

— Charlesie, kochany — mówiła Dulcie — to lady Crane i panna Amanda Crane.

Dygnęłam, zastanawiając się, czy będę musiała wsiąść do powozu razem z całą piątką. Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie. W salonie było tylko gorąco, ale w powozie nie dałoby się wytrzymać.

— Lady Crane, Amando — ciągnęła Dulcie — to nasz drogi kuzyn Charles, pan Farraday.

Na te słowa przechyliłam głowę na bok. Mama miała rację, nie nazywał się Brougham. O rety, czy to oznacza, że jest krewniakiem pani Brougham? Uważałam jej męża za rozsądniejszą połowę tej pary.

Pan Farraday skłonił się uprzejmie; na ułamek sekundy nasze spojrzenia się spotkały.

Powinnam wyjaśnić, że nie jestem romantyczką. A przynajmniej za taką się nie uważam. Gdyby było inaczej, pojechałabym do Londynu na sezon. Dnie spędzałabym na czytaniu poezji, a wieczory na tańcach, flirtach i zabawie.

Absolutnie nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia. Nawet moi rodzice, zakochani w sobie bardziej niż jakakolwiek znana mi para, jak przyznawali, nie zakochali się w sobie od razu.

A jednak kiedy moje spojrzenie napotkało spojrzenie pana Farradaya…

Jak powiedziałam, nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, gdyż nie wierzę w takie rzeczy. Właściwie od pierwszego wejrzenia nic nie zaszło, lecz pojawiło się coś… Nie jestem pewna, jak to opisać.

Gdyby ktoś naciskał, powiedziałabym, że to poczucie, jakbyśmy się znali. Oczywiście to niedorzeczne.

Ale nie tak niedorzeczne, jak zachowanie jego kuzynek, które ćwierkały, mizdrzyły się i wdzięczyły. Najwidoczniej uznały, że kuzyn Charles już nie jest potworem, a jeśli ma się z kimkolwiek ożenić, to z jedną z nich.

— Panie Farraday — powiedziałam i poczułam, jak kąciki ust drżą mi w skrywanym uśmiechu.

— Panno Crane — odpowiedział z bardzo podobną miną. Pochylił się nad moją ręką, pocałował ją, ku konsternacji Dulcie, stojącej tuż obok mnie.

Muszę jeszcze raz podkreślić, że nie jestem romantyczką — jednak kiedy jego wargi dotknęły mojej skóry, przeszył mnie dreszcz.

— Niestety, ubrałam się jak na wycieczkę konną — poinformowałam go, wskazując mój strój.

— Tak, widzę.

Spojrzałam smutno na jego kuzynki, których sukienki z pewnością nie nadawały się do jakiejkolwiek formy wysiłku fizycznego.

— Taka piękna pogoda — zamruczałam.

— Dziewczęta — odezwała się moja mama, patrząc prosto na siostry

Brougham — może posiedzicie ze mną, podczas gdy Amanda pojedzie na przejażdżkę z waszym kuzynem? Przecież obiecałam waszej matce, że pokaże mu okolicę.

Antonia otworzyła usta, by zaprotestować, lecz nie stanowiła przeciwniczki dla Eloise Crane; nawet nie wydobyła z siebie dźwięku, a moja matka dodała:

— Za chwilę Oliver zejdzie na dół.

To wystarczyło. Usiadły, cała czwórka, rządkiem na sofie, opadając na nią w idealnej synchronizacji, z identycznymi spokojnymi uśmiechami na twarzach.

Niemal pożałowałam Olivera.

— Nie sprowadziłem swojego wierzchowca — stwierdził z żalem pan Farraday.

— To nic — odparłam — mamy doskonałe stajnie. Na pewno znajdziemy coś odpowiedniego.

I wyszliśmy z salonu, potem z domu, następnie skręciliśmy za róg, gdzie był trawnik, a tam…

Pan Farraday wybuchnął śmiechem.

— Och, dziękuję! — powiedział gorąco. — Dziękuję, dziękuję!

Nie byłam pewna, czy udawać nieświadomość. Nie mogłam przyznać się, że go rozumiem, nie obrażając jednocześnie jego kuzynek, a tego nie chciałam. Mówiłam już: nie chodzi o to, że nie lubię sióstr Brougham, pomimo ich dość niedorzecznego zachowania po południu.

— Niech pani powie, że umie jeździć — powiedział.

— Oczywiście.

Pan Farraday wskazał gestem dom.

— Żadna z nich tego nie umie.

— Niemożliwe — odparłam zdziwiona. Na pewno raz czy dwa widziałam je na końskim grzbiecie.

— Umieją siedzieć w siodle — stwierdził, a w oczach błysnęło mu coś, co mogło być tylko wyzwaniem — ale jeździć nie potrafią.

— Rozumiem — mruknęłam, po czym dodałam: — Ja umiem.

Spojrzał na mnie i uniósł kąciki ust. Oczy miał w przyjemnym odcieniu zieleni przypominającej mech z brązowymi plamkami. I znów odniosłam dziwne wrażenie, że myślimy podobnie.

Mam nadzieję, że nie okażę pychy, twierdząc, iż w kilku dziedzinach radzę sobie naprawdę nieźle. Potrafię strzelać z pistoletu (ale nie ze strzelby, poza tym ustępuję mamie — ona jest niewiarygodnie dobra). Potrafię rachować dwa razy szybciej niż Oliver, pod warunkiem że mam pióro i papier. Umiem łowić ryby, pływać, a nade wszystko jeździć konno.

— Proszę ze mną — powiedziałam, wskazując stajnie.

Posłuchał i ruszył obok mnie.

— Proszę powiedzieć, panno Crane — zagadnął tonem, w którym pobrzmiewało rozbawienie — jaką łapówką przekonano panią, by się tu dzisiaj stawiła?

— Uważa pan, że pańskie towarzystwo nie wystarczy?

— Nie znała mnie pani — zauważył.

— Racja. — Skręciliśmy na ścieżkę do stajni; ku mojej radości powiał silniejszy wiatr. — No cóż, przyznaję, wmanewrowała mnie w to moja matka.

— Przyznaje się pani, że została wmanewrowana — zamruczał. — Ciekawe.

— Nie zna pan mojej matki.

— Nie — przyznał — ale jestem pod wrażeniem. Większość ludzi nie przyznałaby się do tego.

— Jak mówiłam, nie zna pan mojej mamy. — Odwróciłam się do niego z uśmiechem. — Ma siedmioro rodzeństwa. Przechytrzenie jej w jakimkolwiek szatańskim podstępie to prawdziwy triumf.

Dotarliśmy już do stajni, ale przed wejściem przystanęłam jeszcze na chwilę.

— A czym pana przekupiono, by się pan tu dzisiaj pojawił? — zapytałam.

— Ja także zostałem przechytrzony — przyznał. — Powiedziano mi, że w ten sposób ucieknę przed kuzynkami.

Na te słowa parsknęłam śmiechem. Tak, owszem, to zachowanie niewłaściwe, lecz nie do uniknięcia.

— Zaatakowały mnie akurat na wyjściu — powiadomił mnie ponuro.

— To bardzo agresywna banda — odparłam z kamienną twarzą.

— Miały przewagę liczebną.

— Myślałam, że pana nie lubią — zauważyłam.

— Ja też. — Położył ręce na biodrach. — Tylko z tego powodu zgodziłem się na tę wizytę.

— A co dokładnie zrobił im pan w dzieciństwie? — zapytałam.

— Lepiej byłoby zapytać, co one zrobiły mnie.

Wiedziałam, że nie warto wytykać mu przewagi, jaką dawała mu jego płeć. Cztery dziewczyny z łatwością spuszczą baty jednemu chłopakowi. Sama w dzieciństwie wiele razy walczyłam z Oliverem, a chociaż on nigdy się do tego nie przyzna, częściej to ja wychodziłam ze zmagań zwycięsko.

— Żaby? — zapytałam, przypominając sobie to, co wyprawiałam w dzieciństwie.

— To ja — przyznał zawstydzony.

— Zdechłe ryby?

Nie odezwał się, lecz przybrał minę winowajcy.

— U której? — Spróbowałam sobie wyobrazić przerażenie Dulcie.

— U wszystkich.

Wciągnęłam ze świstem powietrze.

— Jednocześnie?

Kiwnął głową.

Byłam pod wrażeniem. Zapewne większość dam nie doceniłaby tego figla, ale ja zawsze miałam nietypowe poczucie humoru.

— A zastawił pan na kogoś pułapkę z mąki?

Uniósł brwi i wręcz pochylił się w moją stronę.

— Niech mi pani o tym opowie.

Opowiedziałam mu więc o matce, o tym, jak razem z Oliverem staraliśmy się ją odstraszyć, zanim wyszła za mąż za ojca. Byliśmy małymi potworkami. Naprawdę. Nie rozbrykanymi dzieciakami, lecz prawdziwym wrzodem na twarzy ludzkości. Cud, że tata nie wysłał nas do kolonii karnej. Najbardziej pamiętny z naszych wyczynów polegał na umocowaniu nad drzwiami pokoju mamy wiadra z mąką, żeby ją obsypała, kiedy wyjdzie na korytarz.

Tylko że wypełniliśmy wiaderko prawie w całości, więc mąka praktycznie ją przykryła, właściwie wywołała prawdziwy potop.

Nie przewidzieliśmy też, że wiaderko uderzy ją w głowę.

Kiedy twierdzę, że moja obecna mama, pojawiając się w naszym życiu, uratowała nas wszystkich, mówię całkiem dosłownie. Oliver i ja rozpaczliwie pragnęliśmy czyjegoś zainteresowania, a tata, chociaż wspaniały, nie miał pojęcia, jak z nami postępować.

Opowiedziałam o tym panu Farradayowi. To dziwne. Nie mam pojęcia, dlaczego mówiłam tak długo i powiedziałam aż tyle. Prawdopodobnie dlatego, że okazał się wyjątkowo dobrym słuchaczem — chociaż później przyznał się, że wręcz przeciwnie, nie nadaje się do słuchania, bo za często przerywa rozmówcy.

A jednak mi nie przerywał. Słuchał, kiedy opowiadałam, a potem ja słuchałam, jak on opowiada; o swoim bracie Ianie, obdarzonym anielską urodą i manierami godnymi dworu, o tym, jak wszyscy się nad nim rozpływają, chociaż to Charles jest starszy; o tym, jak Charles nigdy jednak nie zdołał go za to znienawidzić, gdyż w ostatecznym rachunku Ian to świetny człowiek.

— Nadal chce pan się przejechać? — zapytałam, widząc, że słońce już zaczyna się zniżać nad horyzontem. Nie mam pojęcia, jak długo tak staliśmy, rozmawiając i słuchając się wzajemnie.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu Charles odparł przecząco i zamiast tego zaproponował spacer.

Zatem poszliśmy na spacer.

*

Wieczór tego dnia był ciepły, więc po kolacji wyszłam na zewnątrz. Słońce skryło się za horyzontem, lecz nie ściemniło się jeszcze całkowicie. Usiadłam na stopniach, twarzą zwrócona ku zachodowi, więc widziałam ostatnie promienie dnia, przechodzące z lawendy w fiolet i na końcu w czerń.

Uwielbiam tę porę dnia.

Siedziałam tak dość długo, aż na niebie pojawiły się gwiazdy, a ja musiałam otoczyć się ramionami, chroniąc się przed nocnym chłodem. Nie wzięłam ze sobą szala, zapewne nie sądziłam, że zasiedzę się aż do wieczora. Już miałam wracać do środka, kiedy usłyszałam zbliżające się kroki.

To tata wracał z oranżerii. Niósł latarnię, dłonie miał brudne. Jego widok w jakiś sposób sprawił, że poczułam się znów jak dziecko. Jest potężnym mężczyzną, a nawet zanim ożenił się z Eloise, kiedy jeszcze nie potrafił rozmawiać ze swoimi dziećmi, zawsze budził we mnie poczucie bezpieczeństwa. To mój ojciec, będzie mnie chronił. Nie potrzebowałam jego zapewnień, po prostu to wiedziałam.

— Późno już — odezwał się, siadając obok. Postawił latarnię i wytarł dłonie o spodnie robocze, strząsając z nich ziemię.

— Rozmyślam — odparłam.

Pokiwał głową, po czym oparł łokcie na udach i spojrzał w niebo.

— Widać spadające gwiazdy?

Pokręciłam głową, chociaż nie patrzył na mnie.

— Nie.

— A potrzebujesz jakiejś?

Uśmiechnęłam się do siebie; pytał, czy chcę wymówić jakieś życzenie. Kiedy byłam mała, zawsze wspólnie wypowiadaliśmy życzenia przy spadających gwiazdach, lecz potem z tego wyrośliśmy.

— Nie — odparłam.

Miałam ochotę na refleksję; chciałam porozmyślać o Charlesie i zastanowić się, dlaczego po spędzeniu z nim całego popołudnia nie mogę się doczekać, by jutro znów się z nim zobaczyć. Ale nie miałam żadnych życzeń do spełnienia. Przynajmniej nie teraz.

— A ja zawsze mam życzenia — zauważył tata.

— Naprawdę? — Odwróciłam się do niego, z przechyloną głową wpatrując się w jego profil. Wiem, że zanim poznał Eloise, był bardzo nieszczęśliwy, ale to już przeszłość. Teraz wiódł życie człowieka naprawdę szczęśliwego i spełnionego. — A czego sobie życzysz?

— Po pierwsze i najważniejsze: zdrowia i szczęścia dla moich dzieci.

— To się nie liczy — stwierdziłam, czując, jak się uśmiecham.

— Tak sądzisz? — zapytał, a spojrzenie miał przy tym zdecydowanie rozbawione. — Zapewniam cię, że jest to pierwsza moja myśl po przebudzeniu i ostatnia przed pójściem spać.

— Naprawdę?

— Amando, mam pięcioro dzieci, każde jest zdrowe i silne. Z tego, co wiem, jesteście wszyscy szczęśliwi. To zapewne czyste zrządzenie losu, że tak pięknie wyrośliście, ale nie mam zamiaru go kusić, wyrażając inne pragnienia.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Nigdy nie przyszło mi do głowy życzyć sobie czegoś, co już mam.

— Czy bycie rodzicem jest trudne? — zapytałam.

— To najbardziej przerażająca rzecz na świecie.

Nie wiem, czego oczekiwałam — ale na pewno nie tego. Wtedy jednak uświadomiłam sobie, że ojciec rozmawia ze mną jak z osobą dorosłą. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej tak się do mnie odzywał. To wciąż mój ojciec, wciąż jestem jego córką, lecz przekroczyliśmy jakiś tajemniczy próg.

Było to jednocześnie niesamowite i smutne.

Jeszcze przez kilka minut siedzieliśmy razem, wskazując sobie gwiazdozbiory i rozmawiając o błahostkach. Potem, kiedy już miałam zbierać się do domu, tata zaczął:

— Mama mówiła, że po południu odwiedził cię kawaler.

— I cztery jego kuzynki — uzupełniłam.

Spojrzał na mnie, unosząc brwi w milczącej naganie za to lekceważenie tematu.

— Tak — przyznałam. — Zgadza się.

— Spodobał ci się?

— Tak. — Poczułam, jak zaczyna mi się kręcić w głowie. — Spodobał.

Tata przetrawiał tę wiadomość, po czym odezwał się:

— Chyba muszę się postarać o wielki kij.

— Co takiego?

— Kiedyś mówiłem mamie, że gdy będziesz mieć zalotników, będę musiał odstraszać kawalerów kijem.

Był w tym coś słodkiego.

— Naprawdę?

— Oczywiście nie wtedy, kiedy byłaś bardzo mała; wtedy zachowywałaś się tak koszmarnie, że zwątpiłem, czy ktokolwiek cię zechce.

— Tato!

Tata zachichotał.

— Chyba nie zaprzeczysz, że to prawda.

Nie mogłam zaprzeczyć.

— Ale kiedy nieco podrosłaś, a ja zacząłem dostrzegać pierwsze oznaki, że

z dziewczynki stałaś się młodą kobietą… — westchnął. — Wielki Boże, bycie rodzicem jest przerażające…

— A teraz?

Zastanawiał się przez chwilę.

— Teraz mogę chyba tylko mieć nadzieję, że wychowałem cię na tyle dobrze, żebyś podejmowała rozsądne decyzje. — Przerwał na moment. — Oczywiście, jeśli komukolwiek wpadnie do głowy potraktować cię nieodpowiednio, znajdę ten kij.

Uśmiechnęłam się i przysunęłam bliżej, tak, by położyć mu głowę na ramieniu.

— Kocham cię, tato.

— Ja też cię kocham, Amando. — Tata obrócił się i pocałował mnie w czubek głowy. — Też cię kocham.

*

Przy okazji: faktycznie wyszłam za Charlesa, a tata ani razu nie musiał chwytać za kij. Ślub odbył się pół roku później, po stosownych zalotach i nieco niestosownych zaręczynach. Z pewnością nie będę jednak przelewać na papier żadnych wydarzeń, które zadecydowały o niestosowności zaręczyn.

Mama upierała się przy rozmowie przedmałżeńskiej, ale ponieważ odbyła się ona w wieczór przed ślubem, wtedy już informacje te nie były dla mnie żadną nowością, do czego jednak się nie przyznałam. Mimo to odniosłam wrażenie, że ona i mój tato chyba także nieco pospieszyli się ze skonsumowaniem swojego związku. Byłam wstrząśnięta, naprawdę wstrząśnięta. To zupełnie do nich niepodobne. Teraz, kiedy poznałam fizyczne aspekty miłości, sama myśl, że moi rodzice…

To za wiele.

*

Charles pochodzi z Dorset, jego dom rodzinny leży tuż nad morzem, a ponieważ jego ojciec żyje i ma się dobrze, wynajęliśmy dom w Somerset, w połowie drogi między jego rodzinnym domem a moim. Mój mąż tak samo jak ja nie lubi miasta. Zastanawia się nad założeniem hodowli koni, a co dziwne, uprawa roślin wydaje się opierać na podobnych podstawach, co hodowla koni. Bardzo zaprzyjaźnił się z moim tatą, co z jednej strony jest cudowne, ale z drugiej — tato dość często nas odwiedza.

Nasz nowy dom nie grzeszy wielkością, wszystkie sypialnie leżą dość blisko siebie. Charles wymyślił nową zabawę, którą nazwał: „Sprawdźmy, jak cicha potrafi być Amanda”.

Wtedy wyprawia ze mną najbardziej niecne rzeczy, podczas gdy tata śpi po przeciwnej stronie korytarza!

To prawdziwy szatan, ale ja go uwielbiam. Nic na to nie poradzę. Zwłaszcza kiedy…

Zaraz, zaraz, przecież nie miałam o tym pisać, prawda?

Wiedzcie tylko, że na samo wspomnienie uśmiecham się szeroko.

A tego akurat moja mama nie ujęła w swojej rozmowie przedmałżeńskiej.

Chyba powinnam przyznać, że wczoraj w nocy przegrałam. W ogóle nie zachowywałam się cicho.

Tata nie pisnął ani słówkiem, jednak po południu dość nieoczekiwanie wyjechał, zasłaniając się jakimś nagłym wypadkiem botanicznym.

Nie wiem, czy roślinom przytrafiają się nagłe wypadki, lecz od razu po jego wyjeździe Charles uparł się, by sprawdzić, czy jego róże nie złapały tej samej choroby co róże ojca.

Tylko że z niejasnego powodu zapragnął sprawdzić róże już ścięte i włożone do wazonu w naszej sypialni.

— A teraz zagramy w nową grę — szepnął mi do ucha. — „Sprawdźmy, jak głośna potrafi być Amanda”.

— A na czym polega moja wygrana? — zapytałam. — I co z nagrodą?

Potrafię walczyć zawzięcie, Charles też, lecz chyba mogę stwierdzić, że tym razem wygraliśmy oboje.

A nagroda była cudowna.

Drzewo genealogiczne Bridgertonów



Violetta Ledger (ur. 1766) + Edmund (1764–1803)

Anthony (ur. 1784)	Colin (ur. 1791)	Eloise (ur. 1796)	Gregory (ur. 1801)	Hiacynta (ur. 1803)
Ktoś mnie pokochał Tom 2	*Miłosne tajemnice* Tom 4	*Oświadczyny* Tom 5	*Ślubny skandal* Tom 8	*Magia pocałunku* Tom 7

Benedict (ur. 1786)	Daphne (ur. 1792)	Francesca (ur. 1797)
Propozycja dżentelmena Tom 3	*Mój książę* Tom 1	*Grzesznik nawrócony* Tom 6



Więcej informacji na www.juliaquinn.com